

POWIEŚĆ JEDNEJ Z NAJBARDZIEJ  
UTALENTOWANYCH I UTYTUŁOWANYCH  
SZWEDZKICH PISAREK!

STINA JACKSON

FATUM



WYDAWNICTWO  
STARA  
SZKOŁA

STINA JACKSON

# FATUM

Przełożyła  
Patrycja Włóczyk



WYDAWNICTWO  
**STARA  
SZKOŁA**

## CHOMIKO\_WARNIA

Tytuł oryginału: *Ödesmark*

Copyright © Stina Jackson, 2022

Published by agreement with Salomonsson Agency.

Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2022

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, udostępnianie i rozpowszechnianie całości lub fragmentów bez pisemnej zgody wydawnictwa zabronione.

The cost of this translation was defrayed by a subsidy from the Swedish Arts Council, gratefully acknowledged.

Koszt tłumaczenia niniejszej powieści został częściowo pokryty przez Szwedzką Radę Kultury i Sztuki, za co serdecznie dziękujemy.

Projekt okładki: Miroslav Šokčić

Redaktor prowadzący: Mirosław Śmigielski

Korekta: Ewa Żak



Wydawca:

Stara Szkoła Sp. z o.o.

Rudno 16, 56-100 Wołów

biuro@stara-szkola.com

[www.stara-szkola.com](http://www.stara-szkola.com)

ISBN: 978-83-66013-93-3

Opracowanie ebooka:  
Katarzyna Rek

*Mamie i Tacie*

*Nie ma już miejsca, z którego przychodzicie,  
miejsce, do którego, jak wam się wydaje, zmierzacie,  
nigdy nie istniało,  
a miejsce, w którym jesteście, jest do niczego,  
jeżeli nie potraficie z niego wyjść[1].*

Flannery O'Connor, *Mądrość krwi*

[1] W przekładzie Magdaleny Kucharskiej.

## Część I

### PRZEDWIOŚNIE 1998

Dziewczyna porusza się w ciemności. Księżyc uśmiecha się do niej blado, gdy slalomem omija kałuże, które zostawił po sobie śnieg. Całodobowa stacja benzynowa rzuca na to odludzie neonowe światło. Dziewczyna wchodzi do środka i kupuje puszkę coli oraz paczkę czerwonych marlboro. Sprzedawca ma miłe oczy, które ją peszą. Szybko wychodzi na zewnątrz, staje przy oświetlonej myjni samochodowej i zapala papierosa. Wydycha dym w kierunku nocnego nieba, a jej wzrok pada na ciężarówkę zaparkowaną za dystrybutorami paliwa. W sfoferce śpi kierowca. Na głowie ma ciemną czapkę z daszkiem, drzemie z otwartą buzią. Dziewczyna rzuca na ziemię na wpół wypalonego papierosa i gasi go butem. Kałuże lśnią w świetle latarni jak olej, gdy idzie w kierunku ciężarówki. W oddali słychać szum pojedynczych samochodów, poza tym jest cicho. Po plecach przebiega jej dreszcz. Kiedy dociera do ciężarówki, chwyta za boczne lustro i wspina się po schodkach. Gdy jej oczy znajdują się na wysokości twarzy śpiącego mężczyzny, zauważa, że jest młodszy, niż myślała, ma rzadki zarost, a w uchu błyszczący kolczyk.

Dziewczyna widzi, jak jej własne knykcie zbliżają się do szyby. Puka w nią delikatnie, ale mężczyzna i tak budzi się z gwałtownym wzdrygnięciem. Czapka z daszkiem zsuwa mu się z głowy, odsłaniając łysinę. Mężczyzna mruga powiekami i dopiero po chwili opuszcza szybę.

– O co chodzi?

Adrenalina sprawia, że trudno jej się uśmiechnąć. Dłoń, którą przytrzymuje się lustro, zaczęła już boleć.

– Może masz ochotę na towarzystwo?

Oślupiały mężczyzna w pierwszej chwili wygląda, jakby miał zaprotestować, lecz kiwa głową w stronę siedzenia pasażera.

– Wsiadaj.

Dziewczyna obchodzi ciężarówkę pełna nadziei. Rozgląda się, by sprawdzić, czy ktoś jej nie obserwuje, ale jedynym człowiekiem, jakiego widzi, jest sprzedawca ze stacji benzynowej, lecz on nie patrzy w jej stronę. Dochodzi druga w nocy i stacja jest pusta. Jeśli coś miało się wydarzyć, nie będzie żadnych świadków.

Mężczyzna oddycha ciężko przez usta, gdy dziewczyna siada obok niego.

– Okej, co z ciebie za jedna?

– Po prostu dziewczyna.

W kabinie czuć słodką woń oddechu.

– To widzę.

Sprawia wrażenie nieporadnego, trze oczy dłońmi i zerka na nią z boku, jakby była zwierzęciem, którego nie chce rozjuszyć.

– Dlaczego chcesz tutaj ze mną siedzieć?

– Wydajesz się samotny.

Wbija w niego wzrok. Odnotowuje, że jest przestraszony, i to dodaje jej odwagi. Mężczyzna cicho chichocze i zerkając na nią, zaczyna się nerwowo bawić brodą.

– A więc nie robisz tego dla pieniędzy?

Dziewczyna kładzie rękę na jego dłoni. Srebrne pierścionki błyszczą w ciemności niczym

ły. Ma nadzieję, że mężczyzna nie czuje, jak pulsuje w niej krew.

– Nie, nie jestem taka.

Z tyłu kabiny jest dużo miejsca. Kładzie ją na wąskiej leżance i wchodząc w nią, trzyma ją mocno za biodra. Nie rozbierają się. Spodnie zatrzymują się na ich kostkach, jakby spodziewali się, że ktoś ich nakryje. Ona podnosi wzrok i widzi uśmiechające się do niej ze zdjęcia dziecko, obejmujące pulchnymi rączkami szyję brązowego labradora. Potem zerka na wygniecioną pościel. Po chwili mężczyzna wydaje z siebie jęknięcie i z niej wychodzi – szybko, tak że cała sperma ląduje na podłodze. Ona szybko podciąga majtki. Płacz jest nagle niebezpiecznie blisko, więc przetyka ślinę, żeby go zdusić.

Mężczyzna wydaje się ożywiony. Jego ręce są pewniejsze, gdy zapina pasek, jak nastolatek, który zaliczył swój pierwszy raz. Zdumiewa ją to, jak bardzo wszyscy mężczyźni są do siebie podobni.

Siadają z przodu kabiny i pałą. Świat za szybą jest ciemny i wilgotny. Szczypie ją w pochwie, ale przestało jej się chcieć płakać.

– Gdzie planujesz następny postój?

– W Haparandzie.

Jego dialekt brzmi śmiesznie, prawie jakby śpiewał.

– Chcesz ze mną jechać? – dodaje.

Dziewczyna odwraca głowę, żeby wydmuchać dym.

– Wybieram się dalej niż do Haparandy.

Jego zęby błyszczą w ciemności. Nie robił tego wcześniej. Widać, że zaczynają go już dręczyć wyrzuty sumienia. Łagodnym głosem próbuje wygładzić to, co się przed chwilą stało. Kiwa głową w stronę stacji benzynowej.

– Skoczę po coś do jedzenia. Przynieść ci coś?

– Bułeczkę cynamonową.

– Okej, robi się.

Wyjmuje kluczyk ze stacyjki i lekko się do niej uśmiecha, po czym otwiera drzwi i wysiada z ciężarówki. Idzie trochę koślawo i zdaje się nie przejmować kałużami. Dziewczyna odprowadzając go wzrokiem, rozważa, czy mimo wszystko z nim nie pojechać. Mogłaby wysiąść w Luleå. Słyszała, że to całkiem spore miasto, a w takim można się zaszyść.

\* \* \*

Zmierzch był najgorszy. Świadomość, że minął kolejny dzień. Dzień jak wszystkie inne. Stała za kasą w świetle jarzeniówek, udając, że nie zauważa ciemności zapadającej za oknami. Czuła się jak na scenie. Ludzie zatrzymujący się, by zatankować, widzieli ją w tym świetle – jej zmęczone ruchy i nieuchwytne spojrzenie. Cienkie włosy, które nie chciały dorosnąć do ramion, i sztuczny uśmiech, od którego bolały ją policzki. Widzieli ją, podczas gdy ona tylko wyczuwała ich obecność.

Stacja benzynowa znajdowała się w środku miejscowości, a ona знаła nazwiska prawie wszystkich osób, które wchodziły tymi drzwiami, lecz tak naprawdę nic o nich nie wiedziała. Im może się wydawało, że ją znają. Tak czy owak, wiedziała, co o niej mówią. O córce Björnlunda, przed którą świat stał otworem, ale nigdy tego nie wykorzystała. A teraz było już za późno, uroda i wigor zaczęły przemijać. Najlepsze lata miała już za sobą. Jedyne jej osiągnięcie to dziecko, chłopiec, ale nikt nie wiedział, jak do tego doszło, ponieważ nigdy z nikim się nie spotykała, a przynajmniej nic im o tym nie było wiadomo. Chłopiec urodził się niespodziewanie i mimo tych wszystkich plotek krążących przez lata nigdy się nie wyjaśniło, kto jest jego ojcem. To była niewygodna sprawa, która wciąż wywoływała emocje. Jediną rzeczą, co do której mieszkańcy



wioski się zgadzali, było to, że Liv Björnlund jest trochę dziwna. Może nawet by jej współczuli, gdyby nie pieniądze. Trudno współczuć komuś, kto ma ich jak lodu.

Popijała zimną kawę z automatu i ukradkiem zerkała na zegarek. Mijające sekundy pulsowały jej w skroniach. Tego dnia miała zejść ze sceny punkt dziewiąta. Czuła, że jeśli tego nie zrobi, jej głowa eksploduje. Ale pracownik nocnej zmiany pojawił się dopiero pięć po dziewiątej. Nawet jeśli zauważył, że się w niej gotuje, nic sobie z tego nie robił.

– Ojciec czeka na ciebie na zewnątrz – poinformował tylko.

Vidar Björnlund zaparkował tam gdzie zwykle, przy dystrybutorze oleju napędowego. Siedział w swoim zniszczonym volvo, kurczowo zaciskając na kierownicy palce przypominające szpony. Za nim, jak jego cień, siedział Simon z twarzą w telefonie komórkowym. Dotknęła jego kolana, zanim przypięła się pasem. Chłopak na ułamek sekundy podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Uśmiechnęła się do siebie.

Vidar przekręcił kluczyk w stacyjce i samochód zakaszłał. Stary gruchot wyjechał z fabryki na początku lat dziewięćdziesiątych i teraz bardziej nadawał się na złom niż na dziurawe, wiejskie drogi, ale gdy powiedziała to ojcu, tylko się obruszył:

– Nie mruczy jak kot, ale wciąż jeździ.

– Nie sądzisz, że najwyższa pora kupić nowy?

– Nie ma mowy! Kupno nowego auta to jak wycieranie gówna pieniędzmi.

Liv ponownie odwróciła się w stronę Simona. Z długimi nogami i umięśnionymi ramionami pod kurtką zdawał się zajmować całe tylne siedzenie. Przemiana nadeszła ukradkiem, niepostrzeżenie, pewnego dnia po prostu tam siedział – dorosły mężczyzna. Pucułowate policzki zostały zastąpione przez ostrzejsze rysy twarzy, a rudawy zarost na policzkach gęstniał z każdym dniem. Po jej pulchnym chłopczyku nie było ani śladu. Domagała się jego uwagi, lecz zdawał się tego nie dostrzegać. Gorączkowo pisał kciukami na telefonie, zatopiony w innym świecie, do którego nie miała dostępu.

– Jak było w szkole?

– Spoko.

– Szkoła – prychnął Vidar. – To strata czasu.

– Nie zaczynaj znowu – zaprotestowała Liv.

– Szkoła uczy tylko trzech rzeczy: chłania, bicia się i latania za spódniczkami.

Vidar tak ustawił wsteczne lusterko, żeby widzieć wnuka.

– Może się mylę?

Simon schował usta za kołnierzem, ale wiedziała, że się uśmiecha. Stary bawił go częściej niż ją. Potrafił obśmiać to, co ją doprowadzało do szewskiej pasji.

– Tak mówisz, bo sam nie masz żadnego wykształcenia – stwierdziła.

– Do czego mi wykształcenie? I bez tego potrafiłem się bić i chlać. A na powodzenie u kobiet za młodu nie narzekałem.

Liv pokręciła głową i spojrzała na las. Unikała widoku starych dłoni zaciśniętych na kierownicy i oddechu Vidara. Po chwili asfalt zamienił się w szuter i przybyło drzew. Nie mijaly ich żadne samochody, za długimi światłami była tylko ciemność. Liv rozpięła górne guziki koszuli służbowej i podrapała się po dekolcie oraz karku. Czasem drapała się aż do krwi. Świąd zawsze przybierał na sile w drodze do domu, jakby po jej głowie i rękach wędrowały tysiące mrówek. Lub jakby ciało rozpaczliwie próbowało wyrwać się z opinającej je skóry. Jeśli Vidar i Simon to zauważali, to nic nie mówili, zbyt przyzwyczajeni do jej zachowania, by zwracać na nie uwagę. Komórka chłopaka wibrowała w równych odstępach czasu, ciągle domagając się jego uwagi. Stary prowadził ze wzrokiem utkwionym w drogę, miał szczęką. Wolał przeżuwać słowa, niż się nimi dzielić.

Kiedy zbliżali się do Ödesmark, wróciły wspomnienia – te wszystkie sytuacje, gdy wyskakiwała z auta i biegła prosto w las, jakby mógł ją ochronić. Ödesmark było ostatnią osadą przy drodze prowadzącej donikąd, która kilka mil na zachód ginęła w zaroślach i ruinach tego, co tu kiedyś istniało. Okrążając wioskę samochodem, miało się wrażenie, że las niebawem ją pochłonie. Domy stały w bezpiecznej odległości od siebie, oddzielone lasem sosnowym i mokradłami oraz rozciągającym się w środku tego wszystkiego czarnookim jeziorem, w którym odbijało się to pustkowie. W sumie znajdowało się tam czternaście domostw, ale tylko pięć zamieszkanym. Reszta to podupadłe, zdewastowane chaty z zabitymi oknami.

Liv wydeptywała ścieżki wijące się przez las i знаła tę okolicę lepiej niż samą siebie: każde źródło, każdy malinowy chruśniak oraz każdą nieczynną studnię. Ludzi też znała, mimo że ich unikała. Potrafiła rozpoznać śmiech i zapachy niesione przez wiatr. Nie musiała nawet wyglądać przez okno, żeby wiedzieć, czy samochód mknął właśnie szutrową drogą albo czyja piła łańcuchowa brutalnie przerwała ciszę. Słyszała szczekanie ich psów. Dzwonki pasterskie ich krów. Ziemia i ludzie zarówno ją zniewalali, jak i dawali jej życie.

Björngården, jej dom rodzinny, stał na wzniesieniu, bezpiecznie otoczony lasem. Z okna swojego pokoju na piętrze widziała czarne oko jeziora w dolinie. Vidar zbudował ten dom, zanim się urodziła, i jako dorosła kobieta wciąż tu mieszkała, chociaż już jako dziecko poprzysięgła sobie, że na pewno za nic w świecie tu nie zostanie. Nie dość tego, że została, to jeszcze pozwoliła, by Simon dorastał w tym samym zapomnianym przez Boga miejscu. Trzy pokolenia pod jednym dachem, tak jak się żyło kiedyś, gdy była taka potrzeba. Ale teraz nie było takiej konieczności, innej niż ta stworzona przez ludzi, by trzymać się razem. A im dalej w las, tym trudniej podnieść wzrok nad wierzchołki drzew i pomyśleć o życiu gdzie indziej. Prościej było pozwolić się powoli pochłaniać razem z resztą wsi.

Vidar podjechał pod szlaban i odchrząknął.

– Nie ma jak w domu – powiedział, wpatrując się w podupadły dom na szczycie wzgórza.

Silnik pracował na jałowym biegu, gdy Simon wysiadał z auta i pochylał się nad kłódką. Z tyłu, patrząc na jego szerokie plecy i masywny kark, ledwo go poznawała. Kiedy podniósł szlaban, samochód ruszył i jak tylko przejechali na drugą stronę, Simon opuścił go i ponownie zamknął na kłódkę. Liv drapała się po swędzącej szyi, podczas gdy samochód piał się w górę.

– Nie jest już dzieckiem – stwierdziła.

– Całe szczęście.

Liv zerknęła na swojego ojca i doszła do wniosku, że na nim również czas odcisnął swoje piętno. Skurczył się z wiekiem, pomarszczona skóra wisiała na kościach i sprawiał wrażenie, jakby powoli więdnął od środka. Ale gdy na nią patrzył, w jego oczach wciąż płonął ogień – dwa bezlitosne płomienie. Odwróciła głowę i zobaczyła w szybie swoje własne, puste spojrzenie. Już dawno zapadł zmierzch, została tylko ciemność.

\* \* \*

Liam Lilja przyglądał się swojemu odbiciu w pękniętym lustrze. Podłużna rysa biegła przez twarz niczym szrama, zniekształcała nos i kości policzkowe. Dolna połowa twarzy wykrzywiła się w uśmiechu. Białe zęby w ciemnym zaroście. Górna połowa się nie uśmiechała. Oczy odwzajemniały jego spojrzenie. Zuchwale, jakby chciały wszczać kłótnię. Gdyby to nie były jego oczy, nie pozwoliłyby tak natarczywie na siebie patrzeć.

– Rany, pacykujesz się, czy co? – rozległ się głos Gabriela za drzwiami.

– Już idę.

Liam odkręcił wodę, włożył dłonie pod zimny strumień i opłukał twarz. Zaszczypała go rana na policzku i zabolął ząb w dolnej szczęce, ale on z zadowoleniem przyjmował ten ból,

który wyostrzał obraz świata.

W dobrze oświetlonym sklepie na stacji benzynowej poczuł na sobie wzrok sprzedawcy. Starszego, łysego mężczyzny, który nerwowo mrugał. Spoglądając na niego, Liam poczuł rosnącą irytację – jak twarz mu tężeje i jak zwalnia czas. Gabriel przycisnął paczkę chipsów do jego klatki piersiowej, tak mocno, że aż zaszeleściły.

– Masz śniadanie – powiedział. – Kupiłem też fajki.

Siedzieli w aucie, jedli chipsy i popijali colę. Zaczęło się rozjaśniać, lecz słońce nie zdołało jeszcze wznieść się ponad drzewa. Gabriel pochłonął chipsy w niecałe dziesięć minut, po czym skręcił jointa grubymi palcami.

– Wczoraj zajrzałem na plantację – poinformował. – Przepaliły się dwie lampy, trzeba załatwić nowe.

Liam zgniół opakowanie po chipsach i uruchomił silnik.

– Teraz to już twoja sprawa. Ja się z tego wycofuję.

– Sadzonki są bardzo ładne – oznajmił Gabriel, jakby tego nie słyszał. – Najlepsze jakie do tej pory mieliśmy. Zamierzam podnieść cenę.

Liam zerknął na samochód zaparkowany obok. Na miejscu pasażera siedziała jakaś kobieta i malowała sobie usta jaskrawo czerwoną szminką, szeroko ziewnęła. Ciekawiło go, gdzie pracuje, czy ma dzieci, może ogród, a w nim huśtawki. Kierowca, prawdopodobnie jej mąż, wrócił z budynku stacji benzynowej i usiadł za kierownicą. Miał nudne okulary i włosy zaczesane na mokro do tyłu. Liam podniósł rękę i przyliżał swoją grzywkę, lecz niesforne kosmyki nie chciały dać się ujarzmić. Nie miało znaczenia, jak bardzo się starał, wiedział, że i tak nigdy nie będzie wyglądał tak jak oni, zwykli ludzie.

Wyjechali z Arvidsjaur. Jechali bocznymi drogami wijącymi się w głąb pustkowiec. Rozległe tafle jezior po obu stronach drogi oblały się rumieńcem tak jak niebo. Gabriel palił jointa z zamkniętymi oczami. Ciszę przerywał jedynie jego rżący kaszel. Brzmiało to tak, jakby poluzowały mu się żebra i tłukły się po klatce piersiowej. Miał bliznę na dolnej wardze sprawiającą, że lewy kącik ust nieco mu opadał – pamiątka po haczyku wędkarskim, który zaczepił mu się w dzieciństwie. Ale Gabriel twierdził, że został ugodzony nożem. Ta historia bardziej do niego pasowała.

W miejscu, gdzie kończyły się jeziora, był tylko las, gęsty i ciemny wzdłuż popękane go asfaltu. Liam poczuł w żołądku niepokój.

– Spodziewa się nas?

Gabriel zakasłał, woń niemytych zębów i dym wypełniły samochód.

– Tak.

Zachwaszczone tory kolejowe pojawiły się znikąd i towarzyszyły im przez jakiś czas, zanim znowu się nie schowały pod ściółką leśną. Minęli opuszczoną, zarośniętą stację kolejową. Stały tam zardzewiałe wagony, całe w dziurach po kulach, przez które przebijały się zarośla i inne przejawy życia. Kawalek dalej znajdowały się ruiny gospodarstwa otoczonego pustymi pastwiskami, na których dziko rosnąca trawa i przywiedle kwiaty czekały na rozkaz słońca, żeby się podnieść.

Asfalt przeszedł w szuter i Liam skręcił w jeszcze węższą drogę, a potem w kolejną. Na początku zawsze mylił drogę, w czasach, gdy nie miał prawa jazdy, a auto było kradzione. Wtedy droga do domu Juhy wiła się na tym pustkowiec niczym labirynt i o to pewnie chodziło. Nikt nie miał tam trafić.

Obok czarnego, szemrzącego strumyka pomiędzy drzew wyłoniła się drewniana chata. Nie doprowadzono do niej prądu ani wody. Liam zaparkował w odpowiedniej odległości i przez chwilę siedzieli w milczeniu, zbierali siły. Z komina wydobywała się smużka dymu i otulała las

niczym koc. Całkiem idylliczny obrazek, gdyby nie martwe zwierzęta. Na drzewach wisiały dwa ciała, oskórowane i bez łbów. Ogromne kawały mięsa lśniące w promieniach słońca.

Kiedy otworzyli drzwi samochodu, usłyszeli szum świerków i szemranie strumyka. Liam wziął reklamówkę z kawą i marihuaną. Starał się nie patrzeć na wiszące mięso. Przez ułamek sekundy wyobraził sobie, że to ludzie, poćwiartowani i powieszani przez Juhę.

Juha Bjerke, Samotny Wilk, z wyboru żył z dala od ludzi i rzadko pojawiał się we wsi. Krążyła plotka, że to z powodu wypadku podczas polowania na łosie w latach dziewięćdziesiątych. Juha miał przez przypadek zastrzelić własnego brata. Nie zgłoszono tego na policję, ale matka nigdy mu nie wybaczyła. Wiele osób twierdziło, że Juha zrobił to z premedytacją, powodowany zazdrością. Miało to miejsce jeszcze przed narodzinami Liama i wiedział tylko tyle, że Juha unika ludzi w równym stopniu, co oni jego.

Z zarośli wybiegł pies. Stali zupełnie nieruchomo, podczas gdy on obwąchiwał ich nastroszony. Chociaż ich rozpoznał, z jego gardła wyrwało się śpiewne warczenie. Gabriel splunął na trawę.

– Chętnie zastrzeliłbym tę przeklętą bestię.

Pies biegł przed nimi, gdy szli w kierunku domu.

– Idź pierwszy – powiedział Gabriel. – Ciebie bardziej lubi.

Zbliżając się do chaty, Liam poczuł, jak jego ciało sztywnieje. Choć rzadko musieli się z nim spotykać, wizyty u Juhy zawsze go spinały. Najczęściej tylko wyciągał rękę, by przekazać gotówkę i wziąć towar. Nie wdawał się z nimi w pogawędki, a mimo to Liamowi kurczyły się mięśnie za każdym razem, gdy wyrastała przed nim ta odludna chata.

Tak samo było z Gabrielem. Całkiem zamilkł, człapał kilka kroków za Liamem. Może za sprawą tego odludzia i dlatego, że znajdowali się na terenie Juhy. A może to przez tę tragedię, która wisiała nad nim jak chmura gradowa. Chociaż od tamtego wypadku minęło wiele lat, smutek głęboko wyrył się na jego twarzy. Było coś przerażającego w człowieku, który stracił wszystko.

Czaszka sarny, niedbale przybita do drzwi wejściowych, zawibrowała, gdy Liam energicznie w nie zapukał. Pies dyszał u ich stóp, a wewnątrz chaty rozległo się szuranie, czyjeś stopy powłóczyły po zniszczonych deskach podłogowych. Drzwi delikatnie się uchyliły, w szparze pojawił się chudy cień. W środku palił się ogień – cienie płomieni drgały w ciemnym wnętrzu. Juha wystawił głowę i zmrużył oczy. Był na tyle stary, że mógłby być ich ojcem. Miał jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat, ale ciało silne i sprężyste jak u młodego chłopaka. Długie włosy związane w kucyk spoczywały na plecach, a jego twarz była ogorzała i poorana zmarszczkami.

Bez słowa wziął od Liama reklamówkę, pochylił się nad nią i włożył nos w marihuanę, żeby się upewnić, że jest dobra, po czym wręczył mu gotówkę. Liamowi wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że to za mało. Zaskoczyło go to. Juha Bjerke nigdy nie kombinował z płatnościami.

– To tylko połowa.

Oczy Juhy wypełniły się dziwnym światłem.

– Co?

– Musisz zapłacić całą kwotę, to tylko połowa.

Juha wycofał się w mrok szybkim, kocim ruchem. Jedną rękę trzymał za plecami, jakby coś za nimi ukrywał, może broń. Liam poczuł, że jego serce przyspieszyło.

– Wejdźcie na chwilę, to pogadamy – rozległ się głos Juhy.

Liam włożył plik banknotów do kieszeni i zerknął na Gabriela. Był blady i zdumiony. To było coś nowego, Juha nigdy wcześniej nie zaprosił ich do środka. Kiedy dostał towar, zazwyczaj

przeganiał ich, jakby byli bezpańskimi psami, na karmienie których go nie stać. Teraz pierwszy raz mieli przekroczyć próg jego chaty.

W środku palił się ogień, Liam dojrzał wiszącą w równych rzędach broń myśliwską. Do kraty paleniska było przymocowanych kilka małych zwierzęcych czaszek straszących swoimi otworami.

– No wchodźcie – rzucił Juha. – Nie gryzę.

Na kilka długich sekund czas stanął w miejscu, słysząc było jedynie trzask ognia i szum wiatru. Nieuchwytny uśmiech Juhy przywoływał ich z wnętrza chaty. Przed wejściem do środka Liam napełnił płuca świeżym powietrzem. Po przekroczeniu progu poczuł ciepło, jego nos wypełnił się obcymi zapachami, a oczy próbowały dostrzec, co kryje się w ciemnym wnętrzu. To było jak wejście do pieczary. Mrocznej, wibrującej pułapki.

\* \* \*

Była sam na sam ze światem. Światło przenikało przez nagie brzozy. Słońce nad czarnym lasem wyglądało jak żarzący się strup. Stała tyłem do domu i starała się nie odwracać. Oddech stanowił tarczę przeciwko światu. Nie widziała, że zapaliło się światło, nie słyszała, że ktoś ją woła. Dopiero gdy chudy fiński lapphund wyskoczył z zarośli i zrobił wokół niej kilka tanecznych kółek, wbiła siekiere w pień i się odwróciła.

Vidar stał na ganku z oczami jak czarne szparki.

– Chodź coś zjeść – krzyknął słabym głosem.

Potem zniknął. Liv strzepnęła kurtkę i niechętnie ruszyła w kierunku domu. Jej kroki niosły się w ciszy jak uderzenia bębna.

Stary i chłopak siedzieli w kuchni wypełnionej zapachem kawy. Dłonie Vidara sztywniały przez noc i rano jego palce były jak szpony, którymi ledwo był w stanie zbliżyć do ust kubek z kawą. To Simon kroił chleb i robił mu kanapki, skupiony na tej czynności.

– Dziadku, wzięłeś leki?

Vidar nie odpowiedział, dalej przeżuwał kanapkę. Nie chciał zaakceptować faktu, że musi brać leki, i gdyby nie Simon, który każdego ranka układał przed nim tabletkową tęczę, to by ich nie zażywał.

– Nie popijaj ich kawą, bo będziesz miał zgagę.

– Gderasz gorzej niż baba!

Ale połknął leki, jeden po drugim. Gdy już to zrobił, delikatnie pogłaskał Simona po dłoni, większej od dłoni Vidara, a chłopak uśmiechnął się pod nosem. Liv odwróciła wzrok, zastanawiając się, skąd Simon ma w sobie tę dobroć, to światło. Na pewno nie po niej.

Poszła na górę, żeby się przebrać. Drzwi do pokoju Simona były uchylone i jej wzrok przykuła panująca w środku ciemność. Narzuta zsunęła się z łóżka i leżała na podłodze obok wysp brudnych ubrań i książek niemieszczących się na półkach. Roleta była opuszczona, a jedyne źródło światła stanowił stary komputer bucujący na biurku. Kupiła go Simonowi mimo protestów Vidara i dla samotnego chłopaka komputer stał się namiastką przyjaciela. To tutaj toczyło się życie, o którym nie miała pojęcia.

Stała z twarzą w szparze uchylonych drzwi, zaciągała się wonią nastolatka – wonią przepoconych skarpet i lęku. Przez chwilę nasłuchiwała ich głosów na dole w kuchni, zanim pchnęła drzwi i weszła do środka. Strzeliło jej w kolanie, gdy podnosiła narzutę z podłogi. W pokoju wzbił się kurz. Coś błysnęło pod łóżkiem. Gdy przykucnęła, zobaczyła, że to szklana butelka bez etykiety. Woń alkoholu była tak intensywna, że nie musiała jej odkręcać, by wiedzieć, co się w niej kryje. Jakiś bimber, mocny, może Vidara.

– Co ty, do cholery, robisz? Dlaczego grzebiesz w moich rzeczach?

Simon stał w drzwiach, czerwony na twarzy z wściekłości. Liv wstała, trzymając butelkę w obu rękach, czuła gładkość chłodnego szkła.

– Zamierzałam pościelić ci łóżko i znalazłam to.

– Nie jest moja. Przechowuję ją tylko koledze.

Oboje wiedzieli, że to kłamstwo, nie ma żadnych kolegów. Ale nie mogła tego powiedzieć na głos. Wytarła butelkę z kurzu i ostrożnie postawiła ją na biurku przy komputerze. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Simon miał siedemnaście lat, nie było sensu się o to kłócić. Może to dobry znak, że zachowuje się jak nastolatek? – pomyślała.

– Któremu koledze? – spytała.

– Nie twoja sprawa.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Między jego brwiami pojawiła się zmarszczka, co sprawiło, że stał się podobny do Vidara. Ale ona i tak w twarzy syna zobaczyła siebie. Bunt i głód czegoś innego, głód wolności. Gdyby nie on, nie byłoby jej tu teraz, w tym domu, w którym się urodziła. Byłaby daleko stąd. Może o tym wiedział, być może właśnie to było powodem pogłębiającej się przepaści między nimi. Zastanawiała się, czy w końcu zdobył przyjaciół, może takich, którzy piją i wdają się w bójkę. A może siedzi sam przed niebieskim ekranem komputera i popija wieczorami? Obie możliwości napawały ją niepokojem.

Simon sięgnął po plecak, krew odpłynęła z jego policzków.

– Spóźnię się do szkoły.

Skinęła głową.

– Pogadamy wieczorem.

– Nie chcę, żebyś wchodziła do mojego pokoju, gdy mnie nie ma.

– Już wychodzę.

Począł, aż opuści pokój, po czym zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku, zanim zszedł na dół. Liv ruszyła za nim. Wpatrując się w meszek na jego karku, pomyślała o tych wszystkich chwilach, gdy wtulała w niego twarz i wdychała jego zapach. O tych wszystkich nocach, gdy kładła dłoń między jego łopatkami, by upewnić się, że oddycha, że śmierć go jej nie zabierze. To było tak dawno, wieki temu.

Liv i stary stali w oknie i patrzyli, jak idzie na autobus. Odprowadzali go wzrokiem, dopóki nie zniknął w lesie.

– Wydaje mi się, że ma dziewczynę – stwierdził Vidar.

– Naprawdę?

– Mhm. Czuję to po zapachu, inaczej pachnie.

– Nie zauważyłam.

Vidar włożył kostkę cukru między zęby i sącząc przez nią kawę, posłał jej wymowne spojrzenie.

– Wdał się w swoją matkę, wspomnisz moje słowa. Niedługo przestanie wracać do domu na noc.

\* \* \*

W domu Juhy Bjerkego trudno było oddychać. Liam i Gabriel siedzieli przy chybottliwym stole, podczas gdy chudy mężczyzna człapał po pomieszczeniu. Wokół jego butów unosiły się kłęby kurzu, a ciężkie od dymu powietrze szczypało w oczy. Patrzył to na Liama, to na Gabriela i nie sposób było nawiązać z nim kontaktu wzrokowego.

– Wybaczcie mi – powiedział. – Nie nawykłem do ludzi.

Liam próbował ukryć wzbierającą w nim niechęć. Zerknął na Gabriela. Brat wydawał się rozbawiony, w kącikach jego ust błędził uśmiech, zaciekawionym wzrokiem omiatał chatę,

przyglądał się dziwnemu wystrojowi i trofeom myśliwskim. W blat stołu był wbity nóż, resztki zaschniętej krwi zostawiły ciemny ślad na porysowanej powierzchni. W jednym z okien, niczym zasłonka, wisiała zwierzęca skóra. W ciasnym pomieszczeniu było duszno i ciepło. Juha stanął przy ogniu, w półmroku jego oczy zdawały się płonąć, gdy na nich patrzył. Mówił zachrypniętym głosem, jakby struny głosowe w jego gardle zaczęły rdzewieć. Pewnie tak się działo, gdy człowiek nie miał z kim rozmawiać.

– To wy jesteście tymi wariatami, którzy polują na lisy na skuterach – stwierdził. – Widzę to po was.

– Nie wiem, o czym mówisz – odezwał się Liam. – Czy my wyglądamy na myśliwych?

– Ale na forszę polujecie, zgadza się? I tak upływa wam życie: na narkotykach i szybkich pieniądzach.

Liam poczuł wibracje nóg Gabriela lekko tupiących w podłogę. Żaden z nich nie odpowiedział.

– Nie przychodzicie z kawą i trawą do starego człowieka tylko dlatego, że jesteście mili, prawda? Chcecie zarobić.

– Nie zajmujemy się działalnością charytatywną, jeśli o to pytasz – oświadczył Gabriel. – Masz rację.

Juha zachichotał piskliwie. Liam widział kątem oka nóż wbity w stół, wystarczyło tylko wyciągnąć po niego rękę. To go uspokajało.

Juha powiesił nad ogniem kociołek z kawą.

– Jesteście głodni – powiedział. – I to mi się podoba. Ja też byłem kiedyś głodny. Ale jak się długo głoduje, to już się nie słyszy krzyku żołądka. Jest cicho jak makiem zasiał.

Mimo chryпки miał w głosie jakąś melodyjność, jakby wyśpiewywał słowa.

– W młodości znałem waszego starego – dodał. – Chodziliśmy razem do szkoły. Dawał nauczycielom popalić. Był humorzasty. Człowiek nigdy nie wiedział, czego się po nim spodziewać, ale jak się wpadło w tarapaty, to zawsze pomógł.

– Ojciec nie żyje – poinformował Gabriel.

– Wiem. Nikt nie ucieknie przed rakiem. Gdy wbije w człowieka szpony, nie pozostaje nic innego, jak tylko złożyć wiosła i podziękować.

Juha już kiedyś wspominał o przyjaźni z ich ojcem, za pierwszym razem, gdy kupował od nich trawę. Liam miał wrażenie, że teraz robi to samo – wykorzystuje ich zmarłego ojca, by zdobyć ich zaufanie.

Juha podrapał się po zapadniętej klatce piersiowej, wzrok miał utkwiony w płomieniach. W izbie roznosił się zapach kawy. Liam i Gabriel spojrzeli na siebie, czekali.

– Mam dla was robotę – powiedział w końcu Juha. – Jeśli jesteście zainteresowani.

– Jaką robotę? – zdziwił się Gabriel.

Juha się uśmiechnął i nalał kawy, ostrożnie postawił przed nimi na stole dwa kubki. Przy palenisku królowała ogromna siekiera. Ostrze lśniło w świetle płomieni. Liama zaczęło kręcić w żołądku. Zaduch i woń skór zwierzęcych przyprawiały go o mdłości.

Juha stanął u szczytu stołu, przeniósł ciężar ciała na palce i wydał z siebie świszczący dźwięk, dmuchając na gorący napój.

– Kawalek stąd znajduje się nieodkryta kopalnia złota. Po prostu tam sobie jest i czeka na takie wygłodniałe biedaczyska jak wy.

Odbarwiony przez czas i pot sweter wisiał na nim jak zwiotczała skóra. Spodnie miały długie rozdarcia, przez które prześwitywały blade nogi. Parował z niego zapach igieł sosnowych i wilgotnej gleby. Nagle wyrwał z blatu nóż i zaczął ostrzem czyścić paznokcie. Liam zerknął w kierunku drzwi. Wystarczyły trzy kroki, żeby znowu znaleźć się na świeżym powietrzu.

– Chcemy naszych pieniędzy – oświadczył. – Dostałeś trawę, a my, tak jak wspomniał brat, nie prowadzimy działalności charytatywnej.

– Też miałem kiedyś brata – oznajmił Juha. – Byliśmy nierozłączni, tak jak wy. Niezwyciężeni, brat i ja, mieliśmy cały świat u swoich stóp. Ale potem on umarł, skurczybyk jeden, i wtedy uświadomiłem sobie, że na tym świecie nie ma sprawiedliwości. Los tylko sobie z nas drwi.

Skrzywił się, jakby z bólu, przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Nic się nie poruszało, z wyjątkiem ognia, który żył własnym życiem za jego plecami, płonął i trząsał. Trudno było zinterpretować wyraz twarzy Juhy w tym przytłumionym świetle, wyprzedzać go o krok. Stopa Gabriela znalazła pod stołem stopę Liama i szturchnęła ją.

– Opowiedz coś więcej o tej kopalni złota – zaproponował. – Gdzie się znajduje?

Twarz Juhy wykrzywił grymas uśmiechu.

– Znacie Vidara Björnlunda z Ödesmark?

– Chyba wszyscy znają tego skąpca.

– Może i żyje jak mysz kościelna, ale pieniędzy to on ma jak lodu. Zbierał je na kupkę przez te wszystkie lata, dusigrosz jeden. A bankom nie ufa, dużą część tej forsy przechowuje w sejfie w swoim domu. Jest stary i schorowany, obrabowanie go byłoby banalnie proste.

Gabriel uniósł brwi.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Stał, że dawno temu robiliśmy razem interesy. W czasach, gdy wciąż byłem zbyt głupi, żeby zrozumieć, co z niego za jeden. Wycyganiał ziemię od porządnych ludzi, a potem sprzedawał ją przedsiębiorstwom leśnym. Ten Vidar to naprawdę chciwy szubrawiec. I nikt nie chce już robić z nim interesów. Wszystko, co ma, to córka Liv, chociaż bardziej pasowałoby do niej Livegen[2], bo własnego życia to ona nigdy nie miała, bidulka. Wciąż mieszka w Ödesmark ze swoim ojcem, mimo że ma dzieciaka, a może właśnie dlatego.

Juha obrócił głowę i splunął w ogień, jego policzki się zaczerwieniły, a głos drżał, gdy mówił dalej:

– Tylko Vidar zna szyfr do tego sejfu. W kwestii pieniędzy nie ufa nawet najbliższym. Córka i wnuk tańczą, jak im zagra. Dopóki żyje, nie mają nic do powiedzenia i nie staną wam na drodze, tego jestem pewien. Więc nic im nie zrobicie, czy to jasne? Nie ma żadnego powodu, by robić krzywdę córce czy wnukowi. Musicie tylko zaskoczyć starego i wtedy forsa będzie wasza.

Liam zerknął na Gabriela. Zmarszczył nos, zamglone spojrzenie nabrało nowego blasku.

– Dlaczego sam tam nie pojedziesz, skoro to takie proste?

Twarz Juhy przybrała udęczony wyraz, przez co nagle wyglądał na dużo starszego.

– Rzadko wychodzę z domu, ludzie mnie męczą, a co dopiero taka akcja. Wolę dać szansę profesjonalistom. Wiem, że dobrze się spiszeć.

– Skończył ci się szmal, tak?

– Ależ skąd. Niczego nie potrzebuję. Po prostu mam cholernie dość Vidara Björnlunda, tego głupca, który dość już się tu napanoszył. Najwyższy czas, by dostał nauczkę.

Juha wbił mroczne spojrzenie w Liama i udał, że przeciąga nożem po swoim gardle, co wyglądało komicznie, lecz Liam i tak poczuł ciarki na plecach. Spojrzał na Gabriela, zobaczył nowy blask w jego twarzy i wiedział, że brat już podjął decyzję. Wystarczyło niewiele, by obudzić jego głód. Odwieczne marzenie o szybkich pieniądzach. On sam nie był co do tego przekonany. Pomyślał o Vanji, o tych wszystkich marzeniach z nią związanych. Marzeniach o zwyczajnym życiu bez poczucia wstydu, o dużym, czystym domu. Przypomniał mu się inkubator, w którym leżała przez kilka dni po przyjsciu na świat: niewidome zawiniątko z rurkami wychodzącymi z każdego otworu, podczas gdy narkotyki krążyły po jej małym ciałku.



Nie wolno mu było jej dotknąć, mógł tylko patrzeć na jej walkę. Ten obraz już zawsze będzie go prześladował.

– Czego od nas chcesz? – spytał Liam.

– Co masz na myśli?

– Opowiedziałeś nam o tym, bo chcesz czegoś w zamian, tak?

– Niczego od was nie chcę. Jedyne, na czym mi zależy, to zobaczenie wreszcie upokorzonego Vidara Björnlunda. Zobaczenie, jak traci majątek, który nigdy mu się nie należał.

Liam odsunął krzesło i wstał. Juha wpatrywał się weń, ważąc nóż w rękę.

– Jesteś pewien, że ma sejf?

– Jak tego, że słońce wschodzi rano i zachodzi wieczorem. Czekać, zaraz coś wam pokażę.

Juha odwrócił się do nich plecami i zaczął grzebać w skrzyni stojącej na podłodze. Wokół niego wzbil się biały kurz i łaskotał ich w nosie. W końcu Juha wydał z siebie cichy pomruk i podniósł coś do góry – pożółkły papier, naznaczony czasem i tłustymi palcami. Z triumfem położył go na stole między nimi.

– Co to jest?

– Nie widać? Mapa.

Wyglądała jak niedbały plan domu: sień, kuchnia oraz pokój naszkicowane rozedrganym atramentem. Drzwi i okna wyraźnie zaznaczone, czarne strzałki prowadzące do pokoju. Tam, w jednym z narożników, ktoś narysował gruby, czarny krzyżyk. Juha pochylił się nad stołem i wbił nóż w jego środek, tak że rękojeść aż zawibrowała.

– Oto one – powiedział. – Wasze zmaterializowane marzenia.

\* \* \*

Liv piła kawę, stojąc przy blacie kuchennym, żeby nie siedzieć obok ojca. Vidar wyglądał przez okno, wypatrując jakichś oznak życia na opustoszałej szutrówce. Był porządnie ubrany i miał przy pasku nóż, chociaż jego ręce rzadko pozwalały mu go używać. Nie oglądał telewizji, nie czytał książek, nie rozwiązywał krzyżówek ani nie obstawiał gonitw. Dni mijały mu na picciu kawy i pilnowaniu wioski. Nawet jeśli nie mieszał się w sprawy sąsiadów, musiał wiedzieć, co zamierzają. Miał ich na oku, tak jak swoją rodzinę. Nic nie uszło jego uwadze, zamglone oczy starego wciąż wszystko widziały.

Liv nie wspomniała mu o butelce z alkoholem znalezionej w pokoju Simona. Wiedziała, że prędzej czy później Vidar i tak ją odkryje.

Nagle drogą przejechał samochód. Vidar poderwał się z krzesła tak szybko, że aż trzasnęło mu w stawach, i wyciągnął szyję z zainteresowaniem.

– Widzisz, Karl-Erik znowu się rozbija. Że też jeszcze nie zabrali mu prawa jazdy.

– Usiądź i przestań się gapić.

– Ciągłe jest na bani, w końcu przejedzie jakiegoś biedaka.

Liv spojrzała na błotnistą drogę i słońce odbijające się w roztopionym śniegu. Usłyszała, jak auto Karla-Erika wyjeżdża na główną drogę. Wiedziała, że niechęć Vidara wobec sąsiadów wynika z samotności. Już nie umiał zbliżyć się do ludzi, bliskość go przerażała, czyniła zjadliwym.

– Piła łańcuchowa się zepsuła – poinformowała.

– I?

– Nie porąbię całego drewna ręcznie.

– Chłopak może ci pomóc. Coś przecież musi robić z tymi mięśniami.

Vidar wolno przeżuwał chleb. Rano smarował go tylko masłem, inne dodatki do

pieczywa musiały poczekać do lunchu. Liv dolała sobie kawy, przyglądając się smutnej stercie drewna leżącej na podwórku. Pośród całej tej szarości krwista rękojeść siekiery rzucała się w oczy. Piła łańcuchowa była zbędna. Jeśli chce nową, sama musi ją sobie kupić. Mężczyzna niepozwalający sobie rano na plasterek żółtego sera nie będzie trwonil pieniędzy na nową piłę.

Vidar pogładził leżącą przed nim gazetę spracowaną dłonią. Jego wzrok przyciągały ogłoszenia domów na sprzedaż, które zakreśliła czerwonym długopisem. Robiła to z jego powodu, żeby zobaczyć, że chcą się stąd wyprowadzić, ona i Simon. Na początku, wiele lat temu, wkurzało go to, lecz teraz tylko śmieszyło.

– Nie chcesz mieszkać w mieście. Są tam tylko spaliny, śmieci i dziwnie wyglądający ludzie. Tutaj wieczorem można przynajmniej zobaczyć gwiazdy.

Kiedy wstał, żeby dolać sobie kawy, czmychnęła do łazienki. Wysikała się do zardzewiałej muszli klozetowej, po czym przez dłuższą chwilę stała, opierając się o popękana umywalkę. Lustro też było uszkodzone, w lewym górnym rogu znajdowała się pajęczyna pęknięć. Unikała patrzenia na własną twarz. Zmęczone usta i szkliste oczy dodawały jej smutku i zmęczenia. Nie tylko dom popadał w ruinę, jej twarz również. Słyszała Vidara nucącego w kuchni. To on był stary, to on powinien myśleć o śmierci, a nie ona. Codziennie myślała, że nie zostało mu zbyt wiele czasu, musi tylko wytrzymać z nim jeszcze kilka lat. Potem zacznie żyć.

Kiedy wróciła do kuchni, Vidar znowu siedział na swoim krześle. To było jak ciche porozumienie między nimi, taki osobliwy taniec. Jeśli jedno siedziało przy stole, drugie stało przy blacie kuchennym, jeśli jedno chodziło, drugie stało nieruchomo. Tak jakby dom nie tolerował zbyt wielu ruchów jednocześnie. Mimo że mieszkali pod jednym dachem, odkąd się urodziła, przepaść między nimi stale się powiększała.

Drogą przejechał quad, a Vidar przyciął się za firanką. Między świerkami mignął polar.

– No proszę – powiedział. – Modig znowu kupił sobie nową zabawkę. Nie ma grosza przy duszy, ale na nowe zabawki to go stać.

– Skąd wiesz, że jest nowy?

– Mam oczy! Stary był czarny, ten jest czerwony.

Liv podeszła do okna. Douglas Modig zatrzymał się przy szlabanie i podniósł rękę. Odmachała mu.

– Może pożyczę od niego piłę, dopóki nie kupimy nowej.

Vidar zaczął kasłać, zacharczało mu w płucach.

– Za żadne skarby – rzucił, gdy doszedł do siebie. – Nie chcę na mojej działce tego cholerstwa. Wolę sam porąbać drewno.

\*

Po chwili znowu stała przy pieńku. Wiosenne słońce było tak ostre, że unosząc siekiere, musiała zmrużyć oczy, a gdy ta opadła, na pieńku leżała rozłupana głowa ojca.

[2] *livegen* (szw.) – poddany

## LATO 1998

Dziewczyna idzie splekaną drogą. Słońce przypieka, a w gorącym powietrzu unosi się intensywny zapach sosen. Odgłos gwałtownego hamowania wypłoszył z lasu renifery i teraz obserwują ją zaciekawione. Ich poroża unoszą się dumnie ku niebu, a ona czuje się w ich obecności bezpieczna. Udaje, że jest jedną z nich. Ma na sobie białą sukienkę, która faluje na wietrze jak kwiat, przyjemnie pieści jej nogi. Słyszcząc nadjeżdżający samochód, chowa się w rowie i kuca do momentu, aż dostrzeżga jego kolor i markę. Dopiero wtedy wstaje i unosi rękę.

Stary mercedes trąbi, mącąc ciszę. Renifery bezpiecznie przechodzą przez środkową linię. Może to przez nie się zatrzymał? Ale mężczyzna za kierownicą kiwa w jej stronę, żeby podeszła. Ona strzepuje z sukienki igliwie i podchodzi do opuszczonej szyby. Jego oczy chowają się za dużymi okularami przeciwsłonecznymi i dziewczyna widzi w nich tylko swoje własne odbicie – rozczochrane włosy i nieśmiały uśmiech.

– Dokąd się wybierasz? – pyta mężczyzna.

Ona wzrusza ramionami.

– Dokądkolwiek.

Mężczyzna lekko się śmieje, gdy siada obok niego. Pod jego wargą błyszczący snus[3]. W aucie unosi się woń tytoniu i potu, nagrzana tapicerka parzy ją w gołe nogi. Mężczyźni lubią, gdy nie udziela im prostych odpowiedzi, to ich intryguje. Zerkając na niego, niemal dostrzeżga to podekscytowanie.

Mężczyzna włącza silnik i ostrożnie manewruje między reniferami. Z wentylatorów wydobywa się przyjemne, chłodne powietrze. Dziewczyna wystawia rękę przez okno, rozczapierza palce na wietrze, jakby nikt za nimi nie jechał.

– Czyli nie wybierasz się do wioski na spotkanie z jakimś chłopakiem?

Dziewczyna kręci głową. Wioska jest zbyt blisko, ona chce jechać dalej. Mężczyzna ciężko oddycha.

– Jesteś cholernie ładna. Więc może na tańce?

– Czy ja wiem...

– Dawno nie wiozłem takiej urodziwej dziewczyny.

– Masz papierosa?

Ma tylko snus. Bierze od niego trochę, lepi sporą kulkę i wpycha ją sobie pod górną wargę. On znowu się śmieje – tym typowym dla nich, nerwowym śmiechem. Właśnie to lubi najbardziej, że trochę się jej boją. Że patrzą na nią jak na nieobliczalne dzikie zwierzę, zdolne do wszystkiego.

Potem następują pytania. Mężczyzna chce wiedzieć, jak jej na imię, gdzie mieszka, kim są jej rodzice.

– To nie ma żadnego znaczenia – odpowiada ona.

Z jego twarzy znika uśmiech. Kiedy jadą przez wieś, dziewczyna zapada się głęboko w fotel. Przyroda wokół niej jest w pełnym rozkwicie, promienie słońca mienią się na powierzchni jeziora, a śmiechy ludzi przenikają przez brudne szyby. Zastanawia się, czy mężczyzna się zatrzyma, ale nie, jedzie dalej, mijając połyskujące brzozy i sklepy.

– Napijesz się? – pyta, kiwając głową w stronę schowka.

W środku znajduje się butelka bez etykiety. Dziewczyna odkręca korek, a zapach alkoholu jest tak intensywny, że do jej oczu napływają łzy. Bierze kilka porządnych łyków i on znowu się śmieje, ale sam nie chce się napić, przecież prowadzi. Znowu natykają się na renifery

i tym razem w oczekiwaniu na to, aż zwierzęta się rozstąpią, on obejmuje ramieniem jej siedzenie. Ani nie przeklina, ani nie trąbi.

– Prawda, że mimo wszystko są cholernie piękne? – pyta.

To przesądza sprawę. Dziewczyna wyciąga rękę i głaszcze go po policzku. Nie ogolił się dokładnie i wyczuwa pod palcami pojedyncze, drapiące włoski. Najpierw wzdryga się pod jej dotykiem, jakby go wystraszył, lecz już po chwili jego oczy robią się zupełnie szkliste. Na jego koszuli pojawiają się ciemne plamy potu.

– Kim jesteś?

– Po prostu dziewczyną.

Zawsze tak odpowiada, bo tak miło być nikim, móc wymazać wszystko, co ciąży w żołądku, i zacząć od nowa. To nie zawsze działa, ale w tym momencie – gdy widzi w jego oczach niepokój – czuje się, jakby lewitowała. Alkohol też robi swoje, czyni ją lekką i zwiewną. Mężczyzna kładzie swoją szorstką rękę na jej udzie, a jego palce wspinają się coraz wyżej pod sukienkę. Ona wyjmuje snus i nieco rozchyła nogi. Mężczyźni zawsze tego chcą. Ich przewidywalność daje jej poczucie bezpieczeństwa.

Na parkingu leśnym, gdzie się zatrzymali, nagle znikąd pojawia się samochód. Koła wzbijają kurz, kiedy gwałtownie hamuje, a w karoserię mercedesa uderza deszcz tłucznia. Mężczyzna obok niej przeklina i nerwowo majstruje przy dżinsach. Ona sama nie może znaleźć sukienki. Zawieruszyła się na tylnym siedzeniu, wśród skór reniferów i skrzynek ze sprzętem wędkarskim. Dziewczyna siedzi w samych majtkach, gdy ojciec szarpie za drzwi i siłą wyciąga ją z auta.

– Nie widzisz, że to jeszcze dziecko? – krzyczy do mężczyzny. – Jest niepełnoletnia. Mógłbym cię za to wsadzić do pierdła!

Gdy ojciec wywleka ją z auta, twarz osłupiałego mężczyzny robi się purpurowa. Wygląda jak borówka brusznica. Palce ojca parzą na skórze, kiedy ciągnie ją po szutrze i wrzuca do swojego samochodu. Krzyczy na nią, widzi jego poruszające się usta i czuje na policzkach drobinki śliny, ale jego słowa do niej nie docierają, nie słyszy ich. W tej samej chwili, w której zatrząskują się drzwi auta, zaczyna ją swędzieć całe ciało.

\* \* \*

Liv zasznurowała buty i uwiązała psa, żeby nie pobiegł za nią do lasu. Powietrze smakowało wodą roztopową, wszędzie było błoto, które obryzgiwało spodnie. Dotarłszy do szkoły na szczycie wzgórza, zatrzymała się i oparła ręce o uda. Płuca ją piekły i czuła w ustach kwaśny posmak. Poniżej, w dolinie, majaczyło jezioro – czarna woda w miejscu, z którego wycofał się lodowiec. Zerknęła na opuszczoną szkołę. Za popękaną szybą dostrzegła poźółkłą firankę. Działka cyklicznie była wystawiana na sprzedaż na Blocket, ale nikt nie chciał złapać przynęty. Pomyślała, że kiedyś przyroda sama odzyska to drewno, z którego zbudowano szkołę. Biegła dalej, mijając gospodarstwa sąsiadów, do miejsca, gdzie zaczynał się gęsty, jeszcze zaśnieżony, ponad stuletni las. Zatrzymała się dopiero, gdy w oddali zobaczyła ostatni dom, stojący tak daleko od wioski, że ledwo był częścią Ödesmark. Zawahała się i przystanąła w zaroślach. Ściany budynku wyglądały niesamowicie biało na tle szarych drzew, zeszlóroczne liście były usypane w dwie okazałe kupki, a na trawie leżały wyciągnięte dwa psy, które wyglądały jak ciemne kałuże. Jeśli ją zauważyły, to nie dały tego po sobie poznać, dopóki nie zaczęła się zbliżać do domu, dopiero wtedy podniosły głowy. Ogony uderzały o ziemię w rytm bicia jej serca. Przykucnęła i pogłaskała szorstką sierść, po czym weszła na taras. Na początku zawsze na nią czekały, lecz w końcu się przyzwyczyły. Wiedziały, że nie chce im zrobić krzywdy.

Darowała sobie pukanie, zostawiła buty w sieni i podwinęła nogawki, zanim weszła do środka. Pot spływał jej po plecach, gdy przemykała przez ciemne pokoje. Dom należał kiedyś do starszej pani, wdowy, i wszystko w nim przypominało o dawnych czasach: ciemne drewno, aksamit oraz obrusy robione na szydełku. Łóżko w sypialni było przykryte pstrokatą narzutą, na której osiadł kurz. Jedynie leżący w nim mężczyzna nie pasował do tego domu. Widziała zarys jego sylwetki pod kołdrą i włosy rozsypane na poduszce. Powietrze w pokoju było ciężkie od snu i rozgrzanego ciała. Liv zdjęła bluzkę i spodnie treningowe, ściągnęła z siebie wszystko, po czym wsunęła się do łóżka i położyła obok tego śpiącego mężczyzny.

Najpierw obudziły się jego ręce i zaczęły błądzić po jej skórze, jakby w nocy stracił wzrok i musiał się upewnić, że to ona. Intensywnie pachniał drewnem i dziegiem, a stare łóżko wdowy niepokojąco zaskrzypiało, gdy ich ciała się do siebie zbliżyły.

Po wszystkim, gdy on zapalił papierosa, Liv leżała i wpatrywała się w głowę łosia wiszącą na przeciwległej ścianie. Zdawało jej się, że widzi wyrzut w błyszczących, porcelanowych oczach.

- Wiedziałaś, że zmarła w łóżku?
- Kogo masz na myśli?
- Wdowę Johansson, tę, która tu mieszkała.

Podał jej papierosa.

- Zmieniłem pościel.

Śmiejąc się, wydmuchiwali dym ku zaplamionemu sufitowi. Śmiali się, aż oczy zaszyły im łzami, a za oknem zaczęły wyc psy.

- Jesteś głodna? Zrobić ci coś do jedzenia?
- Jedzenie też tu stoi od dwa tysiące ósmego roku?
- Nie, jest świeże.

Łóżko zaskrzypiało w proteście, gdy z niego wstawał. Właściwie to był cud, że jeszcze się nie rozpadło pod jego ciężarem. Liv paliła na leżąco, podczas gdy on zaczął stukać za ścianą sztućcami i porcelaną.

\*

Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, nad wioską mieniła się zorza polarna. Jechał cały dzień i było po nim widać, że pochodzi z południa – nie miał porządnego ubrań. Stanął przed nimi w samej bluzie z kapturem oraz w butach sportowych i wyciągnął rękę na powitanie. Liv zaparzyła kawę, a Vidar dał mu klucz do domu, który kupił za bezcen, jeszcze zanim wdowa po Johanssonie zdążyła ostygnąć w grobie. Liv podejrzewała, że kupił tę rudę bardziej z potrzeby kontroli niż faktycznej chęci jej posiadania, bo potem przez niemal dekadę stała pusta.

Przed Johnnym Westbergiem, bo tak nazywał się mężczyzna, z którym sypiała, nikt nie chciał wynająć tego domu. On miał czterdzieści dwa lata i dostał pracę w tartaku w sąsiedniej wsi. Tamtego dnia, gdy się poznali, wymijająco odpowiadał na wszystkie pytania. Kiedy Liv spytała go o rodzinę, tylko kiwnął głową w kierunku samochodu, w którym siedziały dwie czarne, dyszące bestie.

- Mam psy.

Być może już wtedy wiedziała, że zaledwie kilka tygodni później wyląduje w łóżku wdowy po Johanssonie. Może Vidar też to przeczuwał, bo gdy Johnny odjechał, zostawiając za sobą tumany śniegu, odwrócił się w kierunku Liv z poważną miną.

- Masz się od niego trzymać z daleka.
- Dlaczego?
- Bo nie można mu ufać, widać to gołym okiem. Coś ukrywa.

\*

Liv zgasila papierosa i wstala z lozka. Ubierajac sie, odwrócila sie plecami do glowy losia. W kuchni plomienie swiec migotaly nad cerata wdowy. Johnny postawil na stole dwa piwa oraz polmisek z zolтым serem i kielbasa. Mimo to nie mogla usiasc przy stole.

- Nie bede jadla.
- Ale chyba mozesz zostac jeszcze chwile?
- Jest pozno, musze wracac do domu.

W poswiacie swiec jego twarz wygladala na smutna, co sprawilo, ze sie zawstydyla i przysiegla sobie w myslach, ze to byl ostatni raz. Zanim ktos ich przylapie i wszyscy zaczną o nich gadać. Zanim Vidar sie dowie i przepedzi go z wioski. Wycofala sie do sieni i psow wyjaczych na zewnatrz. Sznurujac buty, czula na sobie jego palace spojrzenie, a gdy sie wyprostowala i probowala sie usmiechnac, Johnny nie odwzajemnil usmiechu. Byla ciekawa, co by sie stalo, gdyby przyprowadzila go do domu, gdyby trzymajac Johnny'ego za reke, przedstawila go Vidarowi jako swojego faceta. Probowala sobie wyobrazic reakcje ojca, co by powiedzial, lecz nie byla w stanie, to bylo zbyt abstrakcyjne.

\* \* \*

Zblizajac sie do Björngården, czula chlod nocy i zapagnela wrócic do tego mężczyzny i jego ciepła. Po cichu przemknęła obok stodoły i drewni. Zatrzymała się przy drzwiach garażu. Na sznurku do wieszania prania powiewała sukienka, której nie miała na sobie od wielu lat – biały materiał wyglądający jak zjawa. Ten widok sprawił, że zrobiło jej się ciemno przed oczami. Podbiegła i zerwała sukienkę tak gwałtownym ruchem, że sznurek się zakołysał, a klamerki pospadały na ziemię. Rozszarpała zwiewny materiał na strzępy, wrzuciła je do kubła na śmieci i jeszcze przysypała ręką dla pewności, że nie da się już ich uratować.

Siedział w ciemności, gdy weszła do środka. Poczula woń maści i odór bimbrowy, jeszcze zanim go zobaczyła. Na stole paliła się świeczka, ale on siedział poza zasięgiem jej światła, skulony jak duch.

- Dlaczego siedzisz po ciemku?
- Czekał na ciebie.
- Jest środek nocy.
- Siedzę tu razem z twoją matką i myślę o tym, jakie jesteście do siebie cholernie podobne.

Liv weszła w głąb pomieszczenia. Jej wzrok padł na fotografię leżącą na stole. W migoczącym świetle dostrzegła uśmiech matki. Zakręciło jej się w głowie, nogi się pod nią ugięły i musiała usiąść. Opadła na krzesło naprzeciwko Vidara, którego spowijała ciemność. Oboje mieli twarze w mroku, więc się nie widzieli. O Kristinie mówił tylko w stanie upojenia alkoholowego, wtedy znowu była żywa. Wówczas widział ją i słyszał – alkohol sprawiał, że wiedział, co by powiedziała, gdyby została. Gdyby żyła.

- Mama nie żyje – przypomniała Liv.

Ale jej słowa przeleciały obok niego, głuchy trzepot ich skrzydeł rozplynał się w mroku, był zbyt lekki, aby się przebić. Vidar dolał bimbrowy do kieliszka i podsunął go jej, zachęcając, żeby się napiła. W blasku świecy jego oczy wyglądały jak ciepłe kamyki.

- Wiesz, co mi powiedziała przed naszym ślubem?
- Nie mów tak głośno, bo obudzisz Simona.

– Nie pozwól, by pochłonął mnie mrok – powiedział. – Spraw, żebym zawsze miała głowę nad powierzchnią. Nie pozwól mi utonąć, cokolwiek się stanie.

Alkohol wygładzał głos, słowa układały się w miękką pieśń przyprawiającą Liv o dreszcze. Uniosła kieliszek do ust, wstrzymała oddech i opróżniła go jednym haustem.

– To ja jej zrobiłem dziecko – dodał Vidar. – To ja chciałem je mieć, chociaż wiedziałem, jaki to będzie miało na nią wpływ.

Broda mu drżała, ciekło mu z nosa. Liv wpatrywała się w płomień świecy. Chciała być gdzie indziej, gdziekolwiek, tylko nie tutaj. Chciała mu powiedzieć, żeby się zamknął, że nie chce już tego słuchać. Ale siedziała nieruchomo, czując, jak Vidar zrzuca na jej barki tę czarną, niewyobrażalnie ciężką winę.

– W dniu, w którym się urodziłaś, było już po niej. Zamknęła się w sobie, nie chciała kontaktu z nami. Lekarze mówili, że muszę mieć cierpliwość, że się jej poprawi, ale tak się nie stało. Już nie żyła. Równie dobrze mogła umrzeć w trakcie porodu.

Słowa wypadały z jego ust jak kamienie i rezonowały w niej negatywnymi emocjami. Słyszała je już tyle razy, te prawdy wydobywające się z niego, gdy pił, a mimo to wciąż nie traciły mocy. Świadomość, że matka nie żyje przez nią. W dokumentacji medycznej napisano: samobójstwo będące następstwem psychozy poporodowej. Poród był słowem-kluczem, to on był wszystkim winny. A ona musi żyć z tym poczuciem winy, chociaż miała wtedy zaledwie kilka miesięcy.

Vidar sięgnął po fajkę i zamlaskał. Płacz dał mu rodzaj ukojenia, niemal zadowolenia z tego, że przypomniał jej o życiu, które mają na swoim sumieniu.

Liv objęła szyjkę butelki, napełniła kieliszek do połowy i wychyliła go tak gwałtownie, że bimer spłynął jej po brodzie. Próbowała zapanować nad trzęsącymi się rękami.

– Nie widzisz tego, ale nosisz w sobie ten sam mrok, co twoja matka. Widzę, jak tobą miota, jak próbuje cię zabrać z tego świata.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie mogę cię zmusić, żebyś została, jesteś na to za stara. Ale wiedz, że dopóki żyję, nie spuszczę cię z oczu. Nie pozwolę, żebyś utonęła w ramionach kogoś z tych bydlaków, do których biegasz po nocach. Po moim trupie.

Pochylił się nad stołem, żeby go lepiej widziała – rozmyte kontury starzejącego się ciała, samotność spojrzenia, które wnikało w nią głęboko i poruszało to, co chciałaby wyprzeć. Odwróciła twarz do okna, spojrzała w noc. Kiedy była młodsza, noc za oknem ją przerażała, ale teraz umiała w niej zniknąć, znaleźć schronienie. Zobaczyła w szybie swoje odbicie – nieszczęśliwe dziecko, które się tam ukryło i błagało ją o ratunek.

Kiedy wstała, płomień świecy drgnął. Alkohol już krążył w krwioobiegu i sprawił, że się zachwiała. Odważyła się zaprotestować, dopiero gdy odwróciła się plecami do Vidara.

– Nie jestem Kristiną.

Zdażyła dojsć zaledwie do progu, gdy usłyszała za sobą trzask tłuczonego szkła. Kiedy się odwróciła, potłuczony kieliszek leżał na podłodze, a Vidar wymachiwał ręką w powietrzu, w jej kierunku.

– Jeśli mnie zostawisz, to nie wiem, co zrobię.

\* \* \*

Leżała w zimnej pościeli i wsłuchiwała się w jego ciężkie kroki na schodach, jego głośny, świszczący oddech za drzwiami. Zamarła i czekała. Wsunęła rękę pod materac w poszukiwaniu noża. Jego cień zamajaczył w szparze między drzwiami a podłogą – niespokojne stopy, które chciały wejść do pokoju. Napiął się każdy mięsień jej ciała. Zobaczyła, jak Vidar naciska klamkę, najpierw ostrożnie, lecz potem tak za nią szarpnął, że prawie wyrwał futrynę. Jej dłonie zaciśnięte na rękojeści noża przyciśniętego do piersi spocily się, ale zamek nie dał za wygraną

i usłyszała, jak Vidar puszcza klamkę z przeciągłym jękiem. Stał za drzwiami, samotny i zdenerwowany. Minęła dłuższa chwila, zanim zostawił ją w spokoju. Zanim odważyła się zamknąć oczy.

\* \* \*

Vanja precyzyjnie rozsmarowała dżem z malin moroszek na chrupiącym naleśniku. To samo zrobiła ze śmietaną, po czym zwinęła całość ostrożnie, tak żeby nic z boku nie wypłynęło. Włożyła naleśnika do buzi i zrobiła śmieszna minę.

– Babcia mówi, że musisz sobie kupić dom. Mówi, że nie można mieszkać w garażu.

Liam wrzucił na patelnię kawałek masła i wlał na nią kolejną porcję ciasta naleśnikowego.

– Babcia ma rację – powiedział. – Garaż to miejsce dobre dla aut. Zbuduję dla nas całkiem nowy dom. Cierpliwości.

Usta Vanji lśniły od dżemu.

– Możemy go pomalować na zielono? – spytała.

– Na zielono?

– Tak. Żeby miał kolor zorzy.

Liam energicznym ruchem przewrócił naleśnika i uśmiechnął się.

– Jasne. Nasz dom będzie zielony jak zorza polarna.

Uśmiechnęła się, odsłaniając bezzębne zębia. To był ten uśmiech, który go kompletnie rozbrajał i sprawiał, że chciało mu się tańczyć i śpiewać z radości. Tak jak na wiosnę. Od siedemnastego roku życia mieszkał nad garażem dla traktorów. Głównie dlatego, żeby uciec przed matką i psami. Rozłożona wersalka zajmowała większą część pokoju. Naprzeciwko niej stały kuchenka, lodówka i mały stół dla dwóch osób. Nieszczelne okno wychodziło na wybieg dla psów. Ich szczekanie i ujadanie prawie codziennie wyrывało go ze snu. No i smród benzyny przenikający przez deski podłogi. To nie było dobre miejsce do wychowywania dziecka. Vanja potrzebowała własnego łóżka, swojego pokoju. I to on powinien jej to zapewnić. Właściwie tylko o tym myślał. O tym, żeby zbudować dla niej dom.

Właśnie zjedli ostatniego naleśnika, gdy nagle otworzyły się drzwi i do środka wparował Gabriel. Niesforne loki ujarzmił pod czapką z daszkiem, miał podkrążone oczy. Vanja poderwała się od stołu i pobiegła mu na spotkanie, a on podniósł ją, lekką jak piórko, do góry i posadził sobie na ramionach. Dziewczynka złapała go za uszy i się roześmiała. Sufit był niski, więc miało się wrażenie, że zaraz uderzy w niego głową. Liam się odwrócił, przysłuchując się ich szczebiotom.

– Jak się dzisiaj miewa nasz smark?

– Nie jestem żadnym smarkiem!

– Jak to nie? Przecież cała jesteś zielona jak smark!

Vanja śmiała się tak głośno, że na zewnątrz zaczęły ujadać psy. Wystarczyło, że Gabriel otworzył usta, a ona już parskała śmiechem. Wystarczyło, że na nią spojrział.

Liam sięgnął po komórkę i zrobił zdjęcie. Uwiecznił ich uśmiechy, a oni nawet tego nie zauważyli. Pomyślał, że takie fotki są najlepsze. Następnie wyjął z lodówki colę i postawił ją przed bratem. Gabriel usiadł na krześle z Vanją na kolanie i rozczesywał niezdarnymi palcami jej długie, puszyste włosy.

– Nie masz piwa?

– Nie ma jeszcze dziesiątej.

– Jest sobota. W sobotę można chyba pić przed południem? – Przysunął twarz do buzi Vanji. – Co ty na to, smarku? W weekend można chyba sobie pozwolić na piwko?



Vanja skinęła głową. Wyraziła zgodę. Liam odstawił colę i wyjął piwo norrlands. Oparł się o lodówkę i przyglądał się Gabrielowi, który otworzył puszkę i zaproponował Vanji łyka, na co ta zmarszczyła nos. Liam wsunął dłonie pod pachy, wbił paznokcie w ich wewnętrzną stronę, aż poczuł ból. Nie wiedział, skąd pojawiła się ta złość, wiedział tylko, że ma to coś wspólnego z Vanją. Z Vanją i jego bratem. Nie chciał, żeby Gabriel wypaczył jej obraz świata. Te jego gadki, że mózg ludzki musi się znieczulać różnymi substancjami, bo inaczej człowiek w końcu zaczyna świrować. Że ludzie ćpają od zawsze, inaczej by nie przetrwali.

Gabriel wypił duszkiem kilka łyków i zdusił beknięcie. Dotknął papierosa, ale miał na tyle rozumu, żeby go nie zapalać. Liam położył przed Vanją kartki i kredki. Poprosił, żeby narysowała dom, który zbudują – dom w kolorze zorzy polarnej. Nad jej głową napotkał wzrok brata.

– Po co przyszedłeś?

– A muszę mieć jakiś powód? Chciałem tylko zobaczyć moją bratanicę.

– Przecież widzę, że masz jakąś sprawę.

Gabriel uśmiechnął się z przekąsem, zdjął czapkę z głowy i przecesał ręką włosy, po czym znowu ją założył. W świetle jarzeniówki jego cera wyglądała niezdrowo, jakby nigdy nie widziała słońca.

– Nie mogę przestać o nim myśleć.

– O kim?

– O tym kolesiu z Ödesmark.

Liam spojrzał na Vanję pochyloną nad kartką. Rysowała na przemian niebieską i zieloną kredką. Polizowała kciuk i potarła nim papier, żeby wymieszać te dwa kolory. Dokładnie tak, jak ją nauczył.

– Pogadamy o tym później.

Gabrielowi drgnęła powieka.

– Wiem, że potrzebujesz kasy, żeby raz na zawsze uciec z tej szcurzej nory – powiedział.

– Nie mam zaufania do Juhy.

– Ja też nie, ale możemy chyba tam pojechać i się rozejrzeć.

Liam milczał. Wiedział, że Gabriel ma rację. Potrzebuje pieniędzy, a plantacja marihuany nigdy nie generowała dużych dochodów, to drugie gównno też nie. Problem z szybkimi pieniędzmi polegał na tym, że równie szybko znikają. Silny, wiosenny wiatr uderzył w ściany budynku i uciszył psy. Liam nalał sobie kawy i wyjrzał przez okno. Las walczył z wiatrem. Psy leżały skulone w swoich budach, tylko jedna suka wydawała się nie przejmować nadciągającą burzą. Stała i węszyła nosem. Jej futro falowało na wietrze.

– Co ty na to? – Gabriel nie dawał za wygraną. – Przejedziemy się tam?

Liam wypił łyk zimnej kawy i skrzywił się z powodu goryczki. Wciąż obserwował sukę, która leżała spokojnie, niewzruszona niczym królowa, jakby była nietykalna. Śpiewny wiatr niósł ze sobą ostrzeżenie, które przyprawiło go o gęsią skórkę na ramionach. Spojrzał na Gabriela, a potem na pochylony kark swojej córki.

– Okej – rzucił w końcu. – Możemy się trochę rozejrzeć.

Uśmiech Gabriela sprawił, że po plecach przebiegł mu nieprzyjemny dreszcz. Brat zсадził Vanję z kolan i wstał. Pusta puszkę zachwiała się na blacie stołu.

– Daj mi buziaka, smarku, bo idę.

Vanja złożyła usta w dzióbek i spełniła jego prośbę.

– Odezwe się w odpowiednim czasie – oznajmił, rzucając Liamowi wymowne spojrzenie.

Kiedy zatrzasnęły się drzwi, Liam osunął się na krzesło wykończony. Spojrzał na rysunek Vanji. Narysowała słońce, od którego odchodziły długie promienie w kierunku dużego,

niebieskozielonego domu, a przed nim stały dwie uśmiechnięte postacie trzymające się za ręce. Vanja podążyła za jego wzrokiem i oświadczyła, pokazując palcem:

– To ty i ja, tatusiu. A to nasz dom.

\* \* \*

Drzwi do pokoju Simona zawsze były zamknięte. Docierała do niej jedynie niebieska poświata komputera. Liv lubiła przykładać ucho do chłodnego drewna i wsłuchiwać się w dźwięki po drugiej stronie: palce uderzające w klawiaturę, głucho chrapanie, gdy spał, albo ten rap, którego Vidar tak nienawidził. Czasami Simon śmiał się za tymi drzwiami, śmiał się zaraźliwie. Nie wiedziała z czego, z filmu czy z któregoś ze swoich tajemniczych przyjaciół po drugiej stronie ekranu. Mieszkali wszędzie, ci przyjaciele, daleko w świecie. Ta myśl zapierała jej dech w piersiach. Rozumiała, że to jego sposób na ucieczkę – mógł podróżować, nie opuszczając pokoju.

Kiedy zapukała, zapadła kompletna cisza. Wstrzymując oddech, czekała, aż syn odkrzyknie, że może wejść. Uchyliła drzwi i poczuła zimne powietrze wpadające przez otwarte okno.

– Nie jest ci zimno?

– Nie.

Na ekranie komputera zobaczyła zapauzowaną japońską kreskówkę. Simon od zawsze marzył o podróży do Japonii, mówił o tym już w podstawówce. O tym, że chce zobaczyć kwiaty kwitnącej wiśni i zjeść prawdziwe sushi. Nie będę taki jak ty – mówił. Nie będę przez całe życie mieszkał w Ödesmark. Spadam stąd, jak tylko skończę osiemnaście lat.

Spojrzał na nią wymownie.

– O co chodzi?

Liv stała w progu. Chciała mu powiedzieć, żeby spakował walizki. Zróbmy to, jedźmy do Japonii. Ale tylko wzruszyła ramionami, omiotła spojrzeniem łóżko, pod którym leżała butelka z alkoholem, lecz było zbyt ciemno, żeby zobaczyć, czy wciąż tam jest. Simon podążył za jej wzrokiem.

– Nie musisz mękolić, oddałem flaszkę kumpeli.

– Jakiej kumpeli?

– Dziewczynie, po prostu.

– Dziewczynie?

– Mhm.

Zauważyła, że Simon oblewa się rumieńcem. Pomyślała, że Vidar miał rację. Nic nie ujdzie uwadze starego.

– Znam ją?

– Może.

Przez jego twarz przemknął figlarny uśmiech, który ją zaniepokoił. Siedemnaście lat minęło, jak z bicza strzelił, niedługo go tutaj nie będzie, niebawem ją zostawi. Dla Tokio i Lofotów oraz tych wszystkich miejsc, o których mówił. Weszła do pokoju i zamknęła okno. Wychodząc, dotknęła jego głowy.

– Nie mów o tym dziadkowi – poprosił.

– Jasne. Ale może mi zdradzisz, kto to taki?

Pokręcił głową, nie chciał powiedzieć. Liv nigdy wcześniej nie widziała go z dziewczyną, nie od czasu wczesnej podstawówki, gdy tylko dziewczynki zapraszały go na swoje urodziny. Był w ich rękach jak lalka, cichy i spolegliwy, pozwalał im się czesać i ubierać w sukienki. Żeby tylko go nie odtrąciły. Potem chłopcy byli dla niego bezlitośni.

Zatrzymała się w drzwiach, spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. Kiedyś o wszystkim jej mówił. Siedziała na jego łóżku i wsłuchiwała się w jego jasny, chłopięcy głos, w te wszystkie pytania na temat świata. Wtedy nie było między nimi tego muru. Zaczęła się zastanawiać, kiedy właściwie się pojawił. Nagle po prostu tam był.

– Dlaczego jesteś taki tajemniczy?

– Mógłbym cię spytać o to samo. – Raptem w jego głosie pojawiła się pogardliwość Vidara. – To nie ja skradam się nocą po wsi – dodał.

\* \* \*

Między drzewami unosiła się mgła i zamieniała drogę w śmiertelną pułapkę. Auto powoli sunęło do przodu. Renifery wróciły z zimowych pastwisk, a między sosnami majaczyły ich sylwetki, wychudzone, o niebieskawej skórze, wyleniałe. Gabriel siedział obok niego ze wzrokiem wlepionym w komórkę, gdzie miał zdjęcie planu, który dostali od Juchy. Brudny paznokieć Gabriela przesuwiał się po ekranie.

– Jak myślisz, skąd miał ten plan? – spytał Liam.

– Pewnie sam go narysował. Przecież mówił, że kiedyś znał tego starego.

– Nie zdziwiłoby mnie, gdyby to wszystko okazało się jedną wielką ściemą.

– Możliwe, ale wszyscy wiedzą, że Vidar śpi na forsie. Tego Juha sobie nie wymyślił.

To była prawda. Wszyscy znali historię Vidara Björnlanda, lecz nikt tak naprawdę nie znał jego samego. Liam próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio go widział. W jego wspomnieniach był tylko rozmytą twarzą za szybą samochodu, niemal mistyczną postacią, o której wszyscy mówili, ale która bardzo rzadko pojawiała się we wsi. Stronił od ludzi i w obronie swojej ziemi gotów był posunąć się naprawdę daleko. Plotkowano, że wymachuje strzelbą, jak tylko ktoś wejdzie na jego posesję. Ale nie zawsze tak było. W młodości żył pełnią życia, robił interesy, kupując i sprzedając ziemię, i nieźle się na tym wzbogacił. Wszystko się zmieniło, gdy zmarła jego żona. To wtedy sprzedał las i wycofał się z życia, przestał robić interesy. Oficjalna wersja była taka, że powiesiła się na drzewie w ogrodzie, lecz wiele osób twierdziło, że Vidar jej w tym pomógł, że nie wytrzymał.

Gabriel podał mu jointa.

– Chcesz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo obiecałem Vanji.

Gabriel zachichotał, jakby Liam powiedział coś śmiesznego.

– Dla niej to bez znaczenia.

– Mylisz się.

– Kogo próbujesz oszukać? Od pięciu lat gadasz, że z tym skończysz i co? Gównu. Myślisz, że jesteś lepszy ode mnie, bo zostałeś ojcem, ale jesteś taką samą miernotą jak zawsze. Nigdy tego nie rzucisz i im szybciej to sobie wbijesz do łba, tym lepiej.

Gabriel wymachiwał skrzętem w powietrzu. Liam nie miał siły się z nim kłócić, odkręcił szybę i się wychylił. Słodka woń marihuany wymieszała się z kwaśnym zapachem wody roztopowej. Minęli kilka gospodarstw i błotnistych pastwisk, na których stały konie i machały ogonami. Liam tęsknie zerkał na pomalowane na czerwono budynki mieszkalne z białymi narożnikami i obramowaniami okien oraz balustradami balkonowymi lśniącymi w tej szarzyźnie. Na drzewa owocowe o sękatych gałęziach, na których wisały opuszczone huśtawki poruszające się na wietrze. Na jednej z huśtawek widział Vanję z bezzębnym uśmiechem. Wyżej – krzyczałyby. – Tato, wyżej!

- To tam – Gabriel szturchnął go w ramię.
  - Co?
  - Ödesmark, pięć kilometrów. Nie widziałeś drogowskiego?
- Liam zerknął w lusterko wsteczne.

- Nie zauważyłem.
- Bo wciąż bujasz w obłokach.

Przejechali prawie dwa kilometry, zanim znaleźli miejsce, żeby zawrócić. Na drogowskiej pokazującym Ödesmark siedziały dwa kruki, które odwróciły się za nimi, gdy je mijali. Liam poczuł skurcz żołądka. Droga była w kiepskim stanie, pełna dziur i kolein wypełnionych wodą oraz gliną oblepiającą opony. Po lewej stronie majaczyło smutne jezioro, zwiewne welony mgły unosiły się nad jego spokojną taflą. Pierwszy opuszczony dom, który mijali, stał tyłem do wody. Dach miał porośnięty mchem, a ceglany komin w rozsypce.

- Dlaczego milioner miałby mieszkać w tej zasranej dziurze?
- Bo jest zbyt skąpy, żeby się stąd wyprowadzić – odparł Gabriel.

Wzdłuż drogi rosły świerki i brzozy bez liści po zimie. Pod choinkami wciąż zalegało mnóstwo śniegu, a las parował i lśnił w porannym świetle. Pora roku im sprzyjała. Mieli większe szanse, że pozostawione przez nich ślady przysypie śnieg albo się roztopią. Zima i wiosna walczyły o dominację.

Pomiędzy świerkami po lewej stronie dostrzegli kolejny opuszczony dom. W oknach wisiały białe płachty, a wzdłuż ścian rosły chaszczki. Wyboista szutrówka przyprawiała o ból głowy.

- Z taką forszą mógłby zamieszkać wszędzie – stwierdził Liam.
- Kiedy ludzie w końcu się dorabiają, często jest już za późno, by coś zmienić.
- Czasami po trawie naprawdę sensownie gadasz.

Gabriel uśmiechnął się z przekąsem.

- To tam. Widzisz szlaban?

Liam zwolnił. Po prawej stronie znajdowało się wzniesienie, a na nim stał czerwony dom. Żółty szlaban blokował wjazd i trzymał obcych na dystans. Na słupie była umieszczona metalowa skrzynka na listy, ptasie odchody zasłaniały tabliczkę z nazwiskiem, lecz nie mieli wątpliwości, że dobrze trafili. To tutaj ukryto skarb, o ile w ogóle istniał.

- Co teraz? – spytał Liam.
- Sprawdźmy, czy da się zaparkować na dole, przy jeziorze. Potem wrócimy tu pieszo.

Minęli dwa duże gospodarstwa, zanim znaleźli ślady opon, które zaprowadziły ich do wody. Las ciągnął się aż do brzegu plaży, drzewa zwisały nad jeziorem i dotykały błyszczącej tafli gałęziami. Uparte kawałki kry tworzyły na jeziorze wyspy. Liam podjechał do wody tak blisko, jak tylko się dało, jednocześnie próbując schować się między świerkami.

- A jeśli ktoś zauważy nasz samochód?
- Niby kto? Przecież tutaj nikt nie mieszka. Starego otaczają nawiedzone domy.

Gabriel wyjął ze schowka lornetkę i wysiadł z auta, Liam niechętnie ruszył za nim. Zatoczyli szerokie koło i podeszli do domu od północy. Źle się ubrali. Śnieg był mokry i ciężki, więc trampki szybko nasiąkły lodowatą wodą, od której przemarzły im stopy. Liam chciał protestować, ale Gabriel był teraz daleko z przodu, równie uparty i niewzruszony, co pies myśliwski w terenie. Kluczył między świerkami z uniesioną lornetką kilkaset metrów od budynku. Liam skradał się za nim i czekał na swoją kolej. Dom Vidara Björnlunda czasy świetności miał już dawno za sobą. Ściany były pokryte bladymi smugami, odłaziła z nich czerwona farba, a na podjeździe stało ponad dziesięcioletnie volvo. Po zacienionej stronie, w zaspie brudnego śniegu, stał skuter kurczowo trzymający się zimy.

Liam zmrużył oczy, patrząc na ciemne okna, lecz nie dostrzegł żadnych oznak życia.

– Mógłby sobie chociaż sprawić nowe auto, skoro jest taki dziany, jak się o nim mówi.

– Właśnie dlatego jest taki dziany, bo nic sobie nie kupuje.

Gabriel podał mu lornetkę. Liam skierował ją na gospodarstwo, próbował uchwycić detale. Przy krótszej ścianie domu na suszarce ogrodowej powiewały wyblakłe dżinsy i niebieskie spodnie robocze – znak, że ktoś rzeczywiście tam mieszka, chociaż dom był w opłakanym stanie. Liam przesuwiał wzrok wzdłuż spękanej elewacji i nagle w jednym z okien na parterze zamajaczyła mu męska twarz. Mimo dużej odległości był w stanie dostrzec, że mężczyzna jest stary. Zobaczył jego białe, przerzedzone włosy i przygarbione plecy.

– Widzę go, tego Vidara.

– Gdzie?

– W oknie na parterze. Jest tam ktoś jeszcze, chyba jego wnuk.

– Cholera, wczesnie wstają.

Wyglądało to tak, jakby siedzieli przy stole i jedli śniadanie. Liam widział, jak ruszają szczękami, widział kubki z kawą błyszczące w słońcu, gdy podnosili je do ust. Chłopak był wyższy od starego, wyglądał raczej jak mężczyzna niż jak dziecko. To Liama zaniepokoiło.

– Słyszałeś, że zerznął własną córkę? – syknął Gabriel. – Stąd wziął się chłopak.

– To tylko plotki.

– Możliwe, ale wiem z zaufanego źródła, że z chłopakiem jest coś nie tak. Jest jakiś opóźniony.

Liam przyglądał się jedzącym ludziom. Wyglądali tak zwyczajnie, normalnie. Nic nie wskazywało na to, że coś jest z nimi nie tak. Mieszkali w ruderze, ale kto nie mieszka? On sam miał swojej córce do zaferowania pokój nad garażem i wiedział, co ludzie mówią. Te spojrzenia sugerujące, że jest złym ojcem. Że nie zasłużył na taką córkę. Ludzie lubią wyciągać wnioski, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

– Nawet jeśli jest tępakiem, to wcale tego nie widać – stwierdził Liam. – Ale jest wyższy, niż myślałem. O głowę wyższy od starego i co najmniej dziesięć kilogramów cięższy.

– To bez znaczenia – szybko powiedział Gabriel. – Zaskoczymy ich we śnie, nie będzie miał szans.

Trzy osoby, w tym jeden nastolatek, na ich dwóch – to nie wyglądało zbyt dobrze. Nagle sobie uzmysłowili, że to nie będzie takie proste, jak twierdził Juha. Liam podał lornetkę Gabrielowi, wyjął z kieszeni komórkę i zrobił kilka zdjęć domu, obejścia i lasu, który to wszystko otaczał. Między drzewami znajdowało się kilka prześwitów, ścieżek biegnących ze wszystkich stron świata i łączących się przy budynku mieszkalnym. Dróg ewakuacyjnych było kilka, w razie gdyby się okazało, że są potrzebne. Liam robił zdjęcia, żeby nie musieć wszystkiego zapamiętywać. Z sękatych gałęzi kapłała woda, słońce wypierało zimę. Liam czuł, że się poci, jakby on też zaczynał topnieć.

– Zobaczymy też drugą stronę?

– Nie teraz. Lepiej wróćmy tu w nocy, gdy wszyscy będą spać.

Gabriel odwrócił się w kierunku jeziora. Liam rzucił ostatnie spojrzenie na dom. Bez lornetki nie widział ich twarzy, lecz wiedział, że tam siedzą – Vidar Björnlund i jego wnuk.

Złudne poczucie bezpieczeństwa uspiło ich czujność.

\* \* \*

Kiedy zeszła na dół, siedzieli w kuchni, głowy pochylili nad stołem jak podczas modlitwy. Słoiczek z maścią stał wśród produktów wyjętych na śniadanie. Rozmawiali ścisłym, konspiracyjnym głosem i przez chwilę poczuła się dziwnie.

– Nareszcie – powiedział Vidar. – W końcu raczyłaś wstać. Niektórzy wykonali już całą pracę zaplanowaną na ten dzień.

Wysunął dla niej krzesło, ale Liv nie chciała siadać. Piła kawę, stojąc przy blacie kuchennym. Ostry, nieprzyjemny zapach maści odebrał jej apetyt. Szpony Vidara leżały niezgrabnie na stole, a chłopak wmasowywał w nie życie. Wyglądało to jednocześnie czule i brutalnie: stara skóra upstrzona plamami pod skórą młodą i miękką, a do tego zmarszczki bólu na twarzy Vidara, gdy zaciskał zęby. Kawa smakowała chorobą, ale Liv i tak ją piła. Piła i marzyła o tym, żeby zniknąć.

Simon stanął obok niej i umył ręce, ale zapachu maści nie dawało się tak łatwo pozbyć, będzie mu towarzyszyć w drodze do szkoły. Ich wzrok spotkał się nad stertą brudnych naczyń i Simon puścił do niej oko, jakby dzielili jakąś tajemnicę, co dodało jej skrzydeł. Jej syn był zakochany i to jej się z tego zwierzył, nie Vidarowi. Przepaść między nimi była płytsza, niż myślała. Wiedziała, że pewnego dnia wyzna mu całą prawdę, tylko musi znaleźć odpowiednie słowa.

– Co jest? Masz dziwną minę.

– Nic. Po prostu na ciebie patrzę.

Widziała, że się zawstydził, ale nie umiała się powstrzymać. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Wilgotne włosy i dołeczki w policzkach – dostrzegła je, chociaż ostatnio rzadko się uśmiechał. Towarzyszące mu wszędzie światło ożywiało i ubarwiało te smutne pomieszczenia.

– Nie gap się tak na mnie – powiedział, sięgając po plecak, ale w jego głosie nie było złości.

Kiedy szedł do sieni, poczuła na plecach swędzenie. Stała nieruchomo i przysłuchiwała się, jak Simon wkłada kurtkę i buty.

– Pa! – zawołał, zanim zatrzasnęły się drzwi.

– Pa! – powtórzyły ich głosy.

Odprowadzili go wzrokiem, aż w końcu zniknął pod szlabanem i ruszył ku głównej drodze oraz przystankowi autobusowemu. Rzęzący oddech Vidara wypełnił ciszę. Liv poczuła świąd między łopatkami. Zobaczyła unoszący się nad drzewami dym z kominów sąsiadów, a może to była mgła. Szary i mroczny las przyciągał jej wzrok.

Pewnego dnia wyjaśni synowi, dlaczego została. Nie chodziło tylko o Vidara, lecz o samą ziemię, o wszystko, co przez lata w niej pogrzebano i za co czuła się odpowiedzialna. Przyjrzała się jarzębinie wyciągającej ku niebu nagie gałęzie. W niektóre dni widziała tam matkę, chociaż nie mogła jej pamiętać. W jej fantazjach Kristina miała na sobie tę białą sukienkę ze ślubnego zdjęcia – delikatna koronka powiewała na wietrze, a gęste i błyszczące włosy opadały na twarz. To Vidar ją odciął, tak było napisane w raporcie. Kiedy przyjechała karetka, Kristina leżała na kanapie w kuchni. Najpierw nie wiedzieli, co się stało, myśleli, że ją udusił. Był w szoku i zapomniał o dziecku. Liv znalazł na piętrze policjant, kiedy usłyszał jej krzyk. Minęło wiele lat, zanim poskładała wszystko w jedną całość. Dopiero jako dorosła kobieta, mając wgląd w dokumentację medyczną i raporty policyjne, zrozumiała, co się stało.

\* \* \*

Kiedy jechali samochodem, bolała ją skóra. Zapięła koszulę pod szyję, żeby nikt nie zobaczył śladów zadrapań. Vidar siedział pochylony nad kierownicą. Miał za słabe okulary. Pomiędzy nim a światem wisiała mleczna mgła sprawiająca, że czuła się nieswojo, napotykając jego wzrok. Jechał za szybko i zbyt blisko rowu. Zamykała oczy, żeby tego nie widzieć. Drogę znała na pamięć, więc nie musiała na nią patrzeć, by wiedzieć, że się zbliżają.

Pracę na stacji benzynowej dostała zimą po urodzeniu Simona. Był to pierwszy niepewny

krok ku czemuś własnemu. Vidar nie protestował, bo przecież musiała się jakoś utrzymywać, ale nalegał, że będzie ją codziennie odwozić. Przez szesnaście lat odwoził ją i odbierał jak przedszkolaka. Chcesz mi zabrać moją jedyną rozrywkę – mówił, gdy protestowała. Odwożenie jej do pracy było wszystkim, co miał. Poza tym posiadali tylko jeden samochód i nie chciał słyszeć o kupnie drugiego. Nie przeżyłby takiej rozrzutności, nawet gdyby to ona wyłożyła pieniądze na auto.

Nie wiedziała, ile zarobił na lesie, ale ponoć kilka milionów. W dzieciństwie widziała pieniądze w sejfie – grube pliki połączone gumkami. Teraz nie otwierał już przy niej sejfu. Nie przyznawał się do tego, że jest zamożny. Skazał ich na konieczność przetrwania za kilka tysięcy miesięcznie. Wystarczało na zaspokojenie podstawowych potrzeb, lecz na prawdziwe życie już nie. Ich majątek jawił się jej jak daleki krewny; jak ktoś, o kim się słyszało, ale nigdy się go nie widziało.

Wiele osób pytało ją, dlaczego pracuje na stacji benzynowej. Przecież jesteś bogata – mówili z błyskiem w oku. Ale Liv zawsze zaprzeczała: To nie ja jestem bogata, tylko mój ojciec.

Vidar skręcił przy kościele i zaparkował, co oznaczało, że chce jej coś powiedzieć. Żółte drewno lśniło na tle nieba. W dzieciństwie uważała, że to najpiękniejszy budynek na świecie, jak zamek z bajki, lecz teraz bolały ją od niego oczy. Położyła rękę na klamce. Stacja znajdowała się rzut kamieniem od samochodu. Jeśli otworzyłaby drzwi i wybiegła, nie dogoniłby jej.

– Zaczynam za dziesięć minut.

Vidar wyjrzał przez okno, obserwował nagie brzozy.

– Chyba musimy się pozbyć naszego lokatora.

– Kogo?

– Johnny'ego Westberga. Jest jakiś podejrzany.

Strach był jak cios w brzuch. Liv zerknęła w kierunku stacji benzynowej, szyba delikatnie zaparowała od jej oddechu.

– Przecież nie sprawia kłopotów.

– Wynajęcie tego domu obcemu człowiekowi z południa nie było dobrym pomysłem. Obawiam się, że coś kombinuje.

– O czym ty mówisz?

– Kilka dni temu w naszej skrzynce pojawił się list zaadresowany do Johnny'ego Westberga. Od komornika.

Na desce rozdzielczej wylądowały białe kropelki śliny Vidara. Skrzywił się, jakby samo to słowo przyprawiało go o mdłości. Komornik – najbardziej przerażający urząd ze wszystkich. Liv brała pod uwagę, że ojciec może kłamać, że to wymyślił, żeby jej dopiec, lecz Vidar wyjął list i pomachał jej nim przed twarzą. Brudnym paznokciem wskazał na litery, żeby ich nie przeoczyła. Nadawcą był komornik ze Sztokholmu. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Liv wzruszyła ramionami, udawała, że się tym nie przejęła. Miała przed oczami Johnny'ego, jego twarz rozświetloną żarem papierosa, przypominała sobie jego szorstkie dłonie na swojej skórze. Uchyliła drzwi i poczuła zimny podmuch.

– To nie musi nic znaczyć. Dopóki płaci czynsz, nie możemy mu nic zarzucić.

Niebo wisiało nisko, drobne, ostre płatki śniegu wirowały w powietrzu, po czym spadały na ziemię i znikwały. Vidar pochylił się ku niej tak blisko, że poczuła jego nieświeży oddech.

– Będę go mieć na oku. Najmniejszy błąd i wylatuje. Nie można ufać ludziom z długami. Muszę myśleć o tobie i Simonie.

– Uważam, że przesadzasz.

Zacisnął dłoń wokół jej nadgarstka i z zaskakującą siłą wciągnął ją z powrotem do środka.

– Chyba to nie do niego biegasz po nocach?

– Puść mnie.

– Bo jeśli tak, to wyrzucę go jeszcze dzisiaj, słyszysz? Jak wrócisz do domu, już go nie będzie.

Na zewnątrz wirowały płatki śniegu. Ledwo widoczna stacja benzynowa jawiła jej się teraz jak bezpieczna przystań. Odzyskała kontrolę i wyrwała się ojcu, pobiegła na oślep przez wiosenny śnieg. Słyszała jego krzyki, ale się nie odwróciła ani razu.

[3] *snus* (szw.) – popularna w Szwecji używka: drobno mielony wilgotny tytoń z dodatkiem soli, konserwantów i ekstraktów smakowych; umieszcza się go pod dolną lub górną wargą



## JESIEŃ 1998

Spojrzenie ojca łaskocze ją w kark, gdy idzie drogą w dół. Nad wsią rozlegają się dwa strzały. W dolinie rozpoczęło się polowanie. Na myśl o tym, że może zostać trafiona rykoszetem, kręci jej się w głowie. Kiedy nadjeżdża autobus, wciąż stoi wyprostowana. Jak co rano wita się z nią tylko kierowca. Nie zwraca uwagi ani na jej strój, ani na jej zachowanie. Dziewczyna zaszywa się w sennej ciszy z tyłu autobusu i obserwuje sosny migające za oknem. Kiedy wjeżdżają do miejscowości, autobus jest pełny, lecz obok niej nikt nie siedzi. Wolą stać w przejściu.

Zatrzymuje się przed wejściem do szkoły i wysepia kilka machów od dwóch chłopaków stojących pod drzwiami. Są cali ubrani na czarno i mają oczy pomalowane czarną kredką. Jeden z nich jest tak niski, że ledwo dosięga jej do ramienia, lecz próbuje to nadrobić, stawiając sobie włosy na lakier. Drugi ma na sobie długi płaszcz i zawsze trzyma w ręku wymiętolone kieszonkowe wydanie jakiejś książki o nudnym tytule. Na przerwach, gdy nie pali, zazwyczaj siedzi z nosem w książce i chowa się za nią przed samotnością. Nie obchodzi ich, że Liv codziennie przychodzi do szkoły w tych samych dżinsach i nosi dziergane swetry, które kiedyś należały do jej mamy. Myślą po prostu, że jest taka jak oni i chce podkreślić swoją odrębność.

Po wejściu do szkoły przemyka się po korytarzu ze wzrokiem wbitym w lśniąca posadzkę, słyszy wokół siebie głosy i śmiechy. Nie ma żadnej książki, za którą mogłaby się schować. Razi ją światło jarzeniówek i idzie na palcach, żeby jej masywne trapery nie przyciągały uwagi. Są co najmniej o dwa numery za duże, żeby starczyły na kilka lat, na wypadek gdyby jej stopy jeszcze urosły. Grube podeszwy sprawiają, że nie może przemknąć niezauważona. Jej samotność niesie się echem po korytarzu.

\*

Na długiej przerwie spotykają się w toalecie. Nigdy nic nie mówi, tylko przypiera ją do pomazanej ściany, zaciska dłonie na jej piersiach i próbuje ją całować, liże ją po policzkach, wpycha język do jej ucha. Gdy na nią napiera, jego wąsy łaskoczą ją jak zwierzę. Nigdy jej tak naprawdę nie pocałował. Zawsze bardzo mu się śpieszy. Wkłada w nią palec, a potem go wacha, kiedy ona wsuwa mu rękę w spodnie. Opiera się o ścianę i energicznie porusza biodrami do momentu, gdy jest po wszystkim. Wtedy ona podaje mu papier toaletowy i czeka, aż poprawi zaparowane okulary. Nawet na nią nie spogląda, kiwa tylko głową w kierunku drzwi i szepcze:

– Wyjdź pierwsza.

Potem, stojąc już w klasie i mówiąc tym swoim dźwięcznym niemieckim, nigdy nie patrzy w jej stronę. Nawet gdy zgłasza się do odpowiedzi.

\* \* \*

Vanja oglądała telewizję, gdy on pakował kominiarkę, glocka i rolkę srebrnej taśmy. Założył ciasne w palcach, zniszczone skórzane rękawiczki. Perlisty śmiech Vanji wypełniał pokój i sprawiał, że kroilo mu się serce. Liam przez chwilę klęczał obok plecaka. Pochylił się, jakby się modlił, przez jego głowę przebiegało tysiąc myśli, buzowała w nim krew. Powinien zadzwonić do Gabriela i powiedzieć, że rezygnuje, że ryzyko jest zbyt duże.

– Tato, co robisz?

– Nic takiego. Po prostu trochę odpoczywam.

– Dlaczego założyłeś rękawiczki?

– Bo zaraz wychodzimy.

Miał nadzieję, że mała zaprotestuje, ale Vanja wyłączyła telewizor i sięgnęła po kurtkę. Miała tak długie włosy, że dotknęły podłogi, gdy pochyliła się, żeby zasznurować buty. Już nie potrzebowała jego pomocy – ani przy wiązaniu butów, ani przy zapinaniu zamka błyskawicznego. Pomyślał, że nawet się nie obejrzy, a wcale nie będzie go potrzebowała.

Przewiesił plecak przez ramię i złapał ją za rękę, gdy szli przez podwórko. Psy dyszały i ujadły za kratą. Ich oczy świeciły na żółto w świetle księżyca. Patrzyły za nimi tęsknie, gdy szli do domu. Hodowla wystartowała po śmierci ojca. Zaczęło się od jednego szczeniaka, potem były kolejne. Kupowali na Blocket starsze psy, które potrzebowały nowego domu, dawali też schronienie czworonogom z Grecji i Danii. Agresywne psy, które na dobrą sprawę powinno się uśpić, snuły się w kagańcach i zebrały o uwagę. Ojciec by je wszystkie zatłukł, gdyby żył, lecz mimo wszystko Liam był niemal pewien, że to właśnie przez niego wszystko się tak potoczyło. Matka musiała wypełnić jakąś pustkę – w świecie pełnym ludzi niegodnych zaufania psy dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Gdyby nie ona, już dawno odebraliby mu opiekę nad Vanją. Matka była tu zawsze, niezmiennie, niczym jedna z tych starych sosen, o którą opierał czoło. Ratowała mu skórę za każdym razem, gdy się skompromitował albo dał ciała.

Kiedy weszli, siedziała w kuchni. Na stole mieniły się kamienie i kryształy we wszystkich kolorach tęczy. Vanja szybko puściła jego rękę. Kochała te idiotyczne kamienie – uzdrawiające kamienie babci, jak je nazywała. Liam stał w progu i obserwował, jak Vanja wspina się na jedno z chybotliwych krzesel, wciąż w kurtce i czapce, i zaczyna się nimi bawić.

– Miałam nadzieję, że wpadniecie, potrzebuję kogoś do pomocy.

Jej jaskrawo czerwony kardigan ciągnął się za nią po podłodze, a w puszyste włosy wetknęła znalezione w polu pióro jakiegoś drapieżnego ptaka. Jej prawa powieka opadała, gdy na niego patrzyła. To pamiątka po życiu z ojcem.

– Nie wejdiesz? – spytała.

– Muszę skoczyć w jedno miejsce. Zajmiesz się Vanją?

– Jakie miejsce?

– Po prostu muszę w czymś pomóc Gabrielowi.

W jej oczach pojawił się niepokój, a zaraz potem jej usta ułożyły się w krzywy uśmiešek oznaczający, że ani trochę mu nie wierzy. Wstała od stołu i podeszła do niego, brzękając bransoletką. Wokół niej roztaczała się woń tymianku i mokrej sierści. Liam wycofał się do sieni, ścisnął szelki plecaka. Stanęła tuż przy nim i wnikliwie przyglądała się jego twarzy, jakby spodziewała się, że między pryszczami i zmarszczkami znajdzie coś ważnego. Liam stał nieruchomo i jej na to pozwalał. Glock i kominiarka ważyły tonę, gdy tak go mierzyła wzrokiem.

– To nie jest tego warte – wyszeptowała. – Cokolwiek chcesz zrobić, to nie jest tego warte.

– Daj spokój.

Uniosła ręce i zbliżyła je do jego twarzy, ostrożnie położyła mu je na uszach, jakby próbowała go odciąć od całego zgiełku tego świata. Przeszyła go spojrzeniem w kolorze topniejącego śniegu.

– Nie jesteś taki słaby, jak myślisz – powiedziała. – Nie musisz nikomu ulegać. Możesz iść tam, dokąd uznasz za stosowne.

Chwycił ją za nadgarstki i odsunął od siebie z większą siłą, niż zamierzał. Wpadła na ścianę, po czym odepchnęła się od niej ręką. Wyraz jej twarzy uległ zmianie. Pojawił się na niej strach, który w sobie nosiła. Liam to zauważył i zrobiło mu się głupio. Odwrócił się na pięcie i wyszedł na zewnątrz. O mały włos nie eksplodował i wiedział, że nie byłby w stanie nad tym zapanować.

– Zajmij się Vanją – poprosił. – I nie omamiał jej tymi swoimi przekłętymi sztuczkami.

\* \* \*

Liv stanęła przy drzwiach pokoju Simona, przyłożyła do nich ucho i wstrzymała oddech. Słaba, niebieska poświata padała na palce jej stóp, lecz nie słyszała żadnych dźwięków. Niczego, co świadczyłoby o tym, że Simon śpi lub nie śpi.

Zdarzało się, że przyłapywał ją na podsłuchiwanie. Czasami drzwi otwierały się tak nagle, że na siebie wpadali. Twarz Simona stawała się wtedy podobna do wściekłej, brzydkiej twarzy Vidara. Mimo to nie mogła się powstrzymać. Musiała się upewnić, że jest w domu, że jest bezpieczny. I że nie leży przy drzwiach i nie słyszy, jak ona wymyka się z domu.

Było po północy, gdy zeszła na palcach po schodach i minęła pokój Vidara. Pies uderzył ogonem w podłogę, kiedy przechodziła obok niego, lecz poza tym nikt nie zauważył, że wychodzi. Parter domu wibrował od chrapania Vidara, ale i tak trzęsły jej się ręce, gdy wkładała buty i sięgała po kurtkę.

Nad lasem świecił srebrny księżyc i oświetlał mokrą ścieżkę biegnącą przez wieś. Chłód na policzkach sprawił, że poczuła się wolna i uśmiechnęła się od ucha do ucha, jakby właśnie za tym tęskniła.

W nocy dom wdowy po Johanssonie prezentował się dużo lepiej, nie było widać, że to ruina. W środku było ciemno, a światło księżycy nadawało starym meblom lekko upiornego blasku. Liv zdjęła w sieni zarówno buty, jak i spodnie, a potem idąc do sypialni, dalej się rozbierała. Po drodze zostawiała za sobą rozrzucone ubrania.

Leżał na plecach w łóżku zmarłej wdowy i oddychał przez otwarte usta. Przez chwilę stała u wezłowia i przyglądała mu się. Nieogolonym policzkom i bliźnie na szyi wyglądającej jak biały uśmiech. Patrząc, jak tak leży, bezbronny i nieświadomy jej obecności, poczuła w podbrzuszu pulsowanie. Zalała ją niespodziewana fala niepewności. Właściwie nic o nim nie wiedziała, o jego wcześniejszym życiu. Wmawiała sobie, że tak jest lepiej, że lepiej nie pozwalać sobie na zbyt dużą bliskość.

Odsunęła kołdrę i usiadła na nim okrakiem. Ciało Johnny'ego obudziło się szybciej niż on sam, jakby na nią czekało. Jego powieki zadrżały, gdy go w siebie wsunęła i po chwili chwycił ją za biodra. Kochali się cicho, ale tak namiętnie, że stare łóżko pod nimi skrzypiało, a kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, położyła na nich dłoń i zamknęła oczy, czekając na orgazm.

Po wszystkim leżeli każde po swojej stronie łóżka, a on zapalił papierosa. Wciąż milczeli, ale słyszała po jego oddechu, że chce coś powiedzieć. Kilka razy już otwierał usta, lecz ona, unikając jego wzroku, wpatrywała się w głowę łośia wiszącą na ścianie.

– Widziałem dzisiaj twojego młodego – oznajmił w końcu.

– Nie spodziewała się tego. Serce zaczęło jej walić tak mocno, że zobaczyła, jak unosi się kołdra.

– I?

– Jest wyższy, niż myślałem. Wygląda prawie jak dorosły facet.

– Ma siedemnaście lat.

– Wygląda na starszego.

Johnny zgasił papierosa i położył rękę na jej dłoni.

– Gdzie jest jego ojciec?

– Nie wiem.

Przekręcił głowę i spojrzał na nią.

– Nie wiesz?

– Nie jest stąd. Simon nigdy go nie poznał.

– Cholera, smutne. Każdy potrzebuje ojca.

– Przecież ma Vidara.

Miała wrażenie, że Johnny ją osądza, więc wymyśliła historyjkę o Niemcu. Niemcu o kręconych włosach, który zataczał wokół niej kręgi na lodzie, gdy się poznali. Samochód był przykryty ciemnym materiałem, żeby ukryć markę, a on jechał zbyt szybko i zbyt blisko. Żeby jej zaimponować. Był kierowcą testowym Audi, miał w Dreźnie narzeczoną, lecz oczywiście poinformował o tym Liv, kiedy już było za późno.

Siedziała na lodzie i łowiła ryby w przeręblu, a on krążył wokół niej jak drapieźnik wokół zdobyczy. Styczniowe słońce było tak ostre, że widziała tylko jego uśmiech za kierownicą, ale już wtedy wiedziała, do czego ten uśmiech doprowadzi. Wjechali na szczyt wzniesienia, gdzie wydostała się z kombinezonu, a on rzucił się na nią w tym tajemniczym aucie. Było tak ciemno i zimno, że nic nie widziała ani nic nie czuła. Kiedy nadeszła wiosna i zorientowała się, że jest w ciąży, jego już nie było, wrócił do domu.

Johnny słuchał jej z popielniczką na piersi. Unosiła się i opadała w rytm jego oddechu.

– Znalezienie go nie powinno być takie trudne – stwierdził. – Przecież wiesz, gdzie pracował.

– Ale po co nam on?

– No tak – powiedział Johnny, zerkając na nią. – Słyszałem, że twojemu staremu się powodzi, więc podejrzewam, że tobie i chłopakowi niczego nie brakuje.

Wstrzymała oddech, unikając jego spojrzenia.

– Gdzie to słyszałeś?

– Co?

– Że się nam powodzi.

Zgasił papierosa, a w kącikach jego ust błąkał się przebiegły uśmiech.

– Wszyscy o tym gadają. Podobno Vidar ma pieniądze, ale nie umie z nich korzystać. Mam nadzieję, że dba o ciebie? W końcu jesteś jego córką.

Liv zniknęła pod kołdrą i zacisnęła powieki.

– Ludzie bez przerwy gadają. Nie słuchałabym ich na twoim miejscu.

Poczekwała, aż Johnny zaśnie, i dopiero wtedy sięgnęła po ubrania. Następnie opuściła dom wdowy i nie patrząc pod nogi, ruszyła biegiem przez las. W sieni przywitał ją pies. Wstrzymała oddech, skradając się przez dom. Drzwi do pokoju Vidara były uchylone, więc szybko weszła po schodach na górę i zaszyła się u siebie. Wsunęła się pod zimną kołdrę i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w drzwi, zanim w końcu odważyła się zamknąć oczy. Wiatr uderzał w dom i gdy tak leżała, cała spięta, wydawało się jej, że słyszy na zewnątrz jakieś głosy. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Księżyc chował się za chmurami i zza nich wychodził, a las kołysał się na wietrze, przez co trudno było skupić na czymś wzrok. Nasłuchiwała ludzi, lecz słyszała jedynie zawodzenie wiatru. Brzmiało prawie tak, jakby wył człowiek. Jak ostrzeżenie.

\* \* \*

– Czym będziesz się zajmował, gdy zostaniesz prawdziwym Szwedem? – spytał Gabriel.

– Nie wiem. Czymkolwiek.

– Legalna praca nie jest łatwa.

– Wiem.

– Nie dorobisz się na niej.

– Na tym głównie też nie.

– Na razie nie, ale kto wie, może z czasem...

Gabriel trzymał w ręku wędzone serce renifera, odkrajał cienkie plasterki i wkładał je sobie do ust. Nieważne, co robili, apetyt zawsze mu dopisywał. Liam zaparkował przy jeziorze

i wyłączył silnik. W świetle księżycy mgła unosząca się nad wodą wyglądała niczym zamrożony oddech. Przez chwilę siedzieli w samochodzie, trochę onieśmieleni ciemnością panującą na zewnątrz. Gabriel położył na języku dwie tabletki, po czym włożył rękawiczki.

– Gotowy? – spytał.

– Mhm.

– Jesteś trochę błądy.

Gabriel uniósł torebkę z tabletkami, ale Liam pokręcił przecząco głową. Nie znieczuliłyby go, chociaż strach chwycił już za gardło i utrudniał oddychanie. Na trzeźwo czuł się zupełnie inaczej. Nie istniało nic pomiędzy. Nic, za czym można by się schować. Wyostrzały się wszystkie zmysły, a otaczający świat był dużo wyraźniejszy.

Liam poczuł pulsowanie palców. Wszystko się w nim buntowało. Gabriel położył dłoń na jego karku i przycisnął czoło do jego czoła. Pachniało mu słodko z ust i Liam czuł wibrujące w nim napięcie.

– To zmieni wszystko.

Liam odepchnął go od siebie i założył kominiarkę. Materiał był ciepły i wilgotny, łaskotał skórę głowy, która już zaczęła się pocić. Uczucie, że się dusi, przybierało na sile.

– Co zrobimy, jak stary zacznie stawiać opór?

– Wtedy go uciszymy.

Gabriel puścił do niego oko, po czym zniknął w ciemnościach. To nie był ich pierwszy napad. Mając po kilkanaście lat, w weekendy jeździli autobusem nad morze, do Piteå, i nocą, w drodze do domu, okradali pijaków. Gabriel nazywał to pracą wakacyjną. To było takie proste. Następnego lata okradli sklep spożywczy w Glommerstråsk. Tuż po zamknięciu, więc w środku nie było już klientów i pieniędzy też niewiele. To Gabriel stał przy kasie, wymachiwał glockiem i rozmawiał ze sprzedawcą. Liam czatował przy drzwiach do magazynu. Sprzedawca nawet go nie widział, ale rozpoznał Gabriela. Tydzień później w domu pojawiła się policja i zwinęli Gabriela, który później sypanął Liama, ponieważ nie chciał się z tym mierzyć sam. Skończyło się na tym, że obaj wylądowali w poprawczaku.

Kiedy wysiedli z samochodu, wokół panowały ciemność i cisza, słychać było jedynie plusk wody o kamienie. Gabriel szedł przodem i świecił komórką. Warstwa lodu sprawiała, że nogi ślizgały się niepewnie po ścieżce. Jeśli musieliby biec, byłoby nieciekawie. Ostatni odcinek ścieżki piął się stromo w górę, gałęzie drapały ich po twarzach, rozrywało im płuca. Było tak ciemno, że ledwo widzieli, gdzie stawiają nogi, wszystko trzaskało i skrzypiało. Gabriel co chwilę się zatrzymywał, odkasływał i spluwał. Przez palenie całkowicie stracił kondycję.

– Rany, ale rżęzisz.

– Zamknij się!

Dom górował na wzniesieniu. W oknie na piętrze paliło się światło. Zatrzymali się na obrzeżach działki, żeby nie włączyło się zewnętrzne oświetlenie. Liam uniósł lornetkę i omiół wzrokiem dom oraz to jasne okno, ale nikogo nie zauważył.

– Co widzisz?

– Nic.

Stali nieruchomo i nasłuchiwali. Z ich ust wydobywała się biała para. Słyszeli tylko swoje oddechy, nic więcej. Żadnych ptaków, żadnych psów, nawet wiatru w gałęziach świerków. Jedynie paraliżującą, usypiającą ciszę.

Nagle po prostu się tam pojawiła, jak duch w oświetlonym oknie. Chuda kobieta w białej koszuli nocnej, zapatrzona w ciemność. Jakby czegoś wypatrywała. Liam opuścił lornetkę i położył palec na ustach. Gabriel też ją zobaczył. Wziął lornetkę od Liama i przyłożył ją do oczu.

– To ona – wyszeptał. – Jego córka.

Znali ją ze stacji benzynowej. To była ona, płochliwa dziewczyna z za kasy nigdy niepatrząca w oczy. Miała cichy głos, który zawsze brzmiał trochę fałszywie i świadczył o tym, że tak naprawdę chciałyby być gdzie indziej. Nie była jak inni pracownicy stacji, którzy przekonani, że Liam i Gabriel chcą coś ukraść, nie spuszczała z nich wzroku, gdy ci przechadzali się między regałami.

Liam wyjął z kieszeni komórkę i zrobił kilka zdjęć, uważając, żeby nie włączyć lampy błyskowej. Ta dziwnie jasna postać na ekranie wyglądała bardziej jak duch niż jak człowiek.

Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Światło w oknie zgasło i w ciemnej szybie odbijał się już tylko nadchodzący świt. Gabriel opuścił lornetkę.

– Myślisz, że nas widziała?

– Nie wiem.

– Chodź, spadamy. To nie jest nasza noc.

\* \* \*

Kiedy o świcie Liv stanęła na progu kuchni, Vidar siedział z lornetką i wyglądał przez okno. Na stole, obok wypitej kawy i porannej gazety, leżała gotowa do użycia strzelba myśliwska. Czarna lufa była skierowana prosto na nią. Zatrzymała się w progu.

– Co ty wyprawiasz?

Najpierw zdawał się jej nie słyszeć. Stare ciało nie poruszyło się na krześle, lecz potem niechętnie opuścił lornetkę i odwrócił się ku niej. Jego oczy błyszczały.

– Patrzę, kto kręci się po naszej ziemi.

– Po co ci broń?

Gdy podeszła bliżej, położył dłoń na strzelbie, jakby chciał ją ochronić.

– Podejrzewam, że to wilk – poinformował.

– Wilk?

– Widziałem je dzisiejszej nocy, co najmniej dwa. Może więcej.

Liv podeszła do blatu i nasypała do kawiarki świeżą kawę. Czekała, aż się zaparzy, naląła sobie trochę zimnej. Vidar powrócił do swoich obserwacji. Palce jak sztywne gałęzie nie chciały się do końca zacisnąć na czarnym plastiku. W powietrzu unosiła się woń smaru do broni.

Poszła do sieni, żeby wypuścić psa. Na schodach siedział Simon w samej piżamie i dygotał. Liv zerwała z wieszaka puchową kurtkę i ostrożnie go otuliła.

– Co tu robisz? Dlaczego siedzisz na zewnątrz?

Uniósł czerwoną od zimna rękę i wskazał na drzewa. Liv powiodła za nią wzrokiem. Wydawało jej się, że dostrzegła jakiś ruch, dwie płochliwe postacie. Wiatr niósł ze sobą dźwięk samotnego dzwoneczka.

– To renifery – powiedział. – Ale spłoszyłem je.

– Dlaczego?

– Żeby dziadek ich nie zabił, to chyba oczywiste?

– Siedzi w kuchni i opowiada o wilkach.

Simon rzucił jej przez ramię mroczne spojrzenie.

– Wiesz, jaki on jest. Widzi tylko to, co chce zobaczyć.

\*

Liv i chłopak rąbali drewno, a stary siedział w swoim oknie i ich obserwował. To był jeden z tych dni, gdy na przemian pada śnieg i przypieka słońce. Stali w samej bieliźnie termicznej i na zmianę wymachiwali siekierą. Zaskoczyło ją, że Simon wcale nie marudził.

Kiedy nadeszła pora kawy, usiedli na stercie drewna, twarzą ku słońcu, i chociaż po wysiłku bolały ją ramiona, cieszyła się tą chwilą tylko we dwoje. Miał na nadgarstku czerwono-żółtą, plecioną bransoletkę, której wcześniej nie widziała. Dotknęła jej. Żywe kolory świadczyły o tym, że jest nowa.

– Dostałeś ją od swojej dziewczyny?

Mruknął w odpowiedzi i naciągnął wilgotny rękaw, oblewając się rumieńcem.

– Lubi kreskówki?

– To się nazywa *anime*.

– Właśnie, *anime*.

– Woli książki.

– Może mógłbyś ją do nas zaprosić?

– Do ciebie i dziadka? Raczej nie.

Zaśmiał się, jakby to był kiepski żart, coś niedorzecznego. Liv pogłaskała go po głowie, zatrzymała rękę na wilgotnym karku. Pomyślała o ogłoszeniach domów i czerwonym długopisie, o tych wszystkich możliwościach, które zakreśliła przez lata, o życiu, które mogliby razem wieść. Tylko we dwoje.

Simon splunął na trociny.

– Okłamałem ją – oświadczył.

– W jakiej sprawie?

– Powiedziałem, że ferie zazwyczaj spędzam w Niemczech, u ojca.

Spoglądając na niego, poczuła w sercu pustkę. Uzmysłowała sobie, że jej kłamstwa uczynił swoimi. Skinęła głową, próbując pozbyć się guli w gardle. Topniejący śnieg spadał z drzew i uderzał o ziemię. Brzmiało to tak, jakby ktoś krążył wokół nich, czekając na odpowiedni moment do ataku.

– Przecież to mogłaby być prawda – wydusiła z siebie w końcu.

W lesie rozległo się gwizdanie. Wymienili pytające spojrzenia. Zamarli, nasłuchując. Żaden mieszkaniec wsi z własnej woli nie wszedłby na ich działkę, przeciwnie, sąsiedzi zazwyczaj szli naokoło, żeby nie wpaść na Vidara. Ale teraz jasna i beztraska melodia niosła się nad ich ziemią, a między drzewami zamajaczyła męska postać. Kiedy Liv zobaczyła, kto to taki, usiadła na pieńku, bojąc się wyjść mu naprzeciw.

Johnny szedł w lekkich butach biegowych po mokrym śniegu. Gdy ją zobaczył, cały się rozpromienił, zdradzając tym zdecydowanie zbyt wiele.

– Rany, rąbiecie drewno siekierą?

Liv zerknęła na Simona. Jego oczy zwięziły się w podejrzliwe szparki. Uniósł siekierę nad głowę i wbił ją w pień z taką siłą, że rękojeść zawibrowała. Wytarł spocone włosy mokrą bluzką, Liv zrobiła to samo.

– To dobry trening – oznajmiła.

– Wierzę, oboje wyglądacie jak zmokłe koty.

Jego sztokholmski dialekt niósł się po podwórku, a gdy do nich podchodził, Liv poczuła, że w jej ciele napina się każdy mięsień. Może to zauważył, bo zatrzymał się i wręczył jej białą kopertę, nie dotykając jej ani w żaden sposób nie zdradzając, że co kilka dni ze sobą sypiają.

– To czynsz za następny miesiąc.

Wzięła kopertę i zerknęła przez ramię. Vidar w kuchni podniósł się z krzesła i stał z czołem przy szybie, obserwując ich, jak wygłodniały pies za kratami. Johnny też to zauważył i podniósł rękę w geście pozdrowienia. Nagle zaczął padać ciężki, mokry śnieg, a Liv stwierdziła, że w dziennym świetle Johnny wygląda jakoś inaczej, surowiej i poważniej niż w półmroku domu Johanssonów. Cały czas zerkał na Vidara stojącego w oknie.

Podawała mu swój kubek z wypitą do połowy kawą, bo coś musiała mu przecież zaproponować. Popijając, stanął obok niej, a Simon usiadł na stosie drewna i schował głowę w ramionach. Od czasu do czasu rzucał Johnny'emu ukradkowe spojrzenie. Liv widziała, że obcy mężczyzna porusza w chłopaku jakąś czułą strunę. Rozmawiali o drewnie, o tym, czy powinno leżeć korą do góry, czy do dołu, o pogodzie, o śniegu, który nie chce przestać padać. Johnny uśmiechał się do Simona. Spytał, czy lubi hokeja, powiedział, że może załatwić bilety na rozgrywki finałowe, jeśli jest zainteresowany. Simon był zawstydzony i odpowiadał półsłówkami, jak w dzieciństwie. Wymamrotał spod grzywki, że kibicuje Luleå, ale nigdy nie był na meczu. To droga impreza i daleko od domu. Słyszając to, Liv poczuła wstyd, ponieważ tak właśnie powiedziałaby Vidar, i usłyszała swój własny śmiech:

– Jasne, że zobaczysz rozgrywki finałowe, skoro nadarza się okazja – zapewniła go.

Simon tylko wzruszył ramionami, lecz Liv widziała, że syn uśmiecha się pod nosem. Wyjęła siekiere z pieńka, choć ramiona drżały jej z wysiłku, i oświadczyła, że muszą wracać do pracy, bo inaczej nigdy nie skończą. Niespokojna postać Vidara majaczyła za oknem i mimo że jego głos do nich nie docierał, słyszała cedzone przez zęby przekleństwa.

Johnny podziękował za kawę, powiedział, że musi wracać do domu nakarmić psy, ale zanim odszedł, wyciągnął rękę i odgarnął śnieg z jej włosów, a ona stała jak zamurowana i pozwoliła mu na to, chociaż dobrze wiedziała, jakie będą konsekwencje. Potem stali w milczeniu i patrzyli, jak Johnny znika wśród drzew. Simon miał pod nosem smarki, a gdy je wycierał, natychmiast pojawiały się nowe.

– Jest w tobie zakochany – stwierdził.

– Tak myślisz?

– Widać z daleka.

\*

Kiedy weszli do ciepłego domu, wykończeni i odrętwiali, Vidar siedział z fajką w ustach i na nich czekał. Postawił na stole ugotowane ziemniaki oraz śledzia, a gdy Liv wręczyła mu kopertę z pieniędzmi, uparł się, żeby przeliczyła je dwa razy, zanim w końcu włożył plik do kieszeni na piersi. Niezdarne ruchy zdradzały, że pił. Kiedy na nią spojrzał, w jego oczach błysnęła iskra złości.

– Naprawdę mam nadzieję, że zawiesz poprzeczkę wyżej niż twoja matka, zanim się z kimś zadasz – powiedział do Simona.

Simon miał pełne usta, więc tego nie skomentował. Nabił śledzia na widelec i zajadał, jakby od kilku dni nie widział jedzenia. Zawsze tak reagował, gdy Vidar się wyzłośliwiał – chował się w chroniącej go skorupie. Ale Vidar nie zniechęcał się tak łatwo.

– Kiedy była w twoim wieku, codziennie uganiała się za facetami. Gdybym nie zrobił z nią porządku, miałbyś dzisiaj gromadkę rodzeństwa. Więcej gęb niż bylibyśmy w stanie wyżywić, możesz mi wierzyć.

Liv ścisnęła sztucę, poczuła na plecach świąd. Dyskretnie włożyła rękę pod bluzkę i zaczęła drapać palącą skórę.

– Dość tego – zaprotestowała, wbijając w niego wzrok. – Jesteśmy zmęczeni.

– Mówię tylko, jak było. Chyba nie ma co ukrywać prawdy? Gdyby nie ja, ten biedny chłopak miałby co tydzień nowego ojca.

Simon sięgnął po mleko, napełnił szklankę po brzegi i opróżnił ją jednym haustem. Nic nowego, słyszał to tysiące razy, te wywody Vidara na temat kiepskich wyborów Liv i jej ułomności. Jego gadki na temat tego, że powinni być wdzięczni za to, że mają dach nad głową i poczucie bezpieczeństwa.



Simon wytarł usta grzbietem dłoni i spojrzał Vidarowi głęboko w oczy.

– Byłoby lepiej mieć co tydzień nowego ojca, niż wcale go nie mieć.

– Co ty powiesz? – odparł Vidar, unosząc brwi w zdziwieniu, że chłopak się mu postawił. – Nie jestem tego taki pewien. Bo kiedy się urodziłeś, nie chciała nawet o tobie słyszeć, powinieneś o tym wiedzieć. To ja cię karmiłem i pilnowałem, żebyś miał suchą dupę. Ona była zbyt zajęta lataniem po okolicy i wypinaniem tyłka przed kim popadnie. Nie miała czasu na dziecko.

– Zamknij się!

Liv uniosła nóż przed twarzą ojca, musnęła nim jego drżącą skórę. W ostrzu odbijał się zmierzch i rzucał na ścianę rozedrgane zajączki, lecz Vidar tylko zarechotał, odchylił się i nonszalancko wydmuchał kółka dymu ponad ich głowami. Liv czuła gniew, mroczny i żarliwy, podszeptujący jej, żeby dźgnęła go nożem, ale zobaczyła strach w oczach syna. Przestał przeżuwać, chociaż miał usta pełne jedzenia. Opuściła nóż i odsunęła krzesło.

– Może powinieneś wyznać całą prawdę – powiedziała. – Skoro już poruszyłeś ten temat.

\* \* \*

W pracy skóra nigdy jej nie swędziała. Stała na oświetlonej scenie, a nad dystrybutorami benzyny zapadał zmierzch. Na podłodze leżała breja topniejącego śniegu wnoszonego przez klientów. Kiedy skończył się popołudniowy ruch, wyjęła mopa i próbowała z grubsza to zetrzeć. Hassan, jeden z miejscowych policjantów, zgrabnie przeskoczył przez świeżo umytą podłogę, podszedł do ekspresu i zaczął napełniać kubek kawą.

– Bułeczki cytrynowe macie tylko wczorajsze?

– Odłożyłam dla ciebie świeżą, leży za kasą.

Miał rozbrajający uśmiech. Gdyby nie mundur, mogłaby go nawet polubić. Oparła mopa o ścianę i poszła po bułeczkę.

– Myślałam, że ograniczasz cukier.

– Moja partnerka też tak myśli – powiedział, puszczając do niej oko. – Ale kiedy jestem na służbie, jem, co chcę. Wierz mi, nikt nie chciałby spotkać głodnego policjanta.

Wyciągnął kartę płatniczą, ale tylko machnęła ręką. Policjanci i kierowcy ciężarówek pili kawę za darmo, bułeczkę też mogła mu postawić.

– U ciebie wszystko w porządku? – spytał. – Wyglądasz na trochę zmęczoną.

– To przez ojca, doprowadza mnie do szału.

– Rodzice zazwyczaj tak mają. Nigdy nie myślałaś o tym, żeby tak jak my wszyscy wprowadzić się z domu?

– Nie poradzi sobie beze mnie.

Hassan zdjął wieczko i podmuchał kawę.

– Jasne, że sobie poradzi. Sprawdź, a sama się przekonasz.

Liv pokręciła głową, wiedziała, że Hassan tego nie zrozumie.

– Jedynym pocieszeniem jest to, że nic nie trwa wiecznie. Pewnego dnia umrze.

– Nie mów tak.

Wzruszyła ramionami i poczuła, jak wstyd rozpala jej policzki. Zawsze tak się działo, gdy próbowała rozmawiać z ludźmi. Zawsze coś palnęła, powiedziała jedno słowo za dużo.

\* \* \*

Nad ranem, gdy wciąż jeszcze było cicho i ciemno, zaparkowali nad jeziorem. Liam miał złe przeczucia. Spoglądając na wodę, poczuł niepokój.

– Nie zdążymy, zaraz zrobi się jasno.

– Nie potrzebujemy dużo czasu. Szybko nam pójdzie, tylko wejdziemy i wyjdziemy.

To przez Gabriela się spóźnili. Liam czekał na niego kilka godzin. W końcu się pojawił, nawalony benzo i wszystkim innym, co przytępia emocje. Miał pusty wzrok, gdy zakładał kominiarkę i dawał mu znak głową, żeby szli. Liam się zawahał, spojrzął w ciemność i usłyszał w głowie słowa matki: Nie musisz być taki jak Gabriel. Możesz podążać własną drogą. Jeszcze nie było za późno, wciąż mógł zawrócić. Pojechać do domu, do Vanji i o wszystkim zapomnieć. Znaleźć normalną pracę i postarać się o kredyt na dom, tak jak wszyscy inni.

Ale gdy Gabriel zastukał glockiem w szybę, wysiadł i ruszył za nim. Jak zawsze.

Droga do domu Vidara wydawała się krótsza, gdy już poznali ten las. Z drzew zwiewało zimny, wilgotny śnieg, ale on się pocił, z trudem łapał powietrze. Gabriel szedł przed nim zamaszystym krokiem. Nic by go teraz nie zatrzymało. Jego ruchy zdradzały, że jest zdolny do wszystkiego.

Kiedy weszli na wzniesienie, w domu Vidara wszystkie lampy były wyłączone. Przykucnęli przy szopie. Liam czuł mdłości, na przemian dygotał i zalewał się potem. W młodości lubił się bać. Dzięki buzującej w ciele adrenalinie czuł, że żyje. Zachwycał się kolorami i wyraźnymi konturami. Ale teraz strach był inny, osłabiał go.

Gabriel zbliżył usta do jego ucha, oddech brata łaskotał Liama po plecach.

– Pójdę pierwszy, ty poczekaj dziesięć sekund i rusz za mną.

Liam skinął głową. Kiedy znowu ruszyli w stronę domu, poczuł, że chce mu się kupę. Ciało zagroziło, że wszystko z siebie wydali. Miał przed oczami Vidara. Widział, jak Gabriel wrywa go ze snu i przystawia mu broń do pleców. Głęboko oddychając, przegonił te obrazy.

Po kilku krokach Gabriel przystanął i padł na ziemię. Liam zrobił to samo, położył się i przytulił policzek do zimnej ziemi, mieniającej się od szronu w słabym świetle księżyca. Chłód szybko przenikał przez cienkie warstwy odzieży. Liam nie usłyszał, że otworzyły się drzwi, lecz w świetle lampy ogrodowej zobaczył jakąś postać. Poruszała się szybko mimo ciemności, ziemia skrzypiała pod jej butami. To był Vidar i wyglądało na to, że idzie w ich stronę.

Liam zacisnął powieki i zamarł. Leżący obok niego Gabriel wstrzymał oddech. Żaden z nich nawet nie drgnął. Słysząc było jedynie buty starego poruszające się po zamrażniętej trawie.

Zamierzali skrępować im ręce i nogi oraz zakleić usta taśmą – staremu, jego córce i wnukowi. To stary miał im pokazać, gdzie jest forsa. Juha powiedział, że sejf znajduje się w szafie w pokoju i że tylko Vidar zna do niego szyfr.

Liam otworzył oczy i zobaczył, jak Vidar skręca tuż przed nim i wchodzi w las. Leżał z twarzą przyciśniętą do zimnej ziemi, dopóki Gabriel nie stanął na nogi i nie skinął głową w kierunku chaszczu, w których zniknął stary. Liam był tak zziębnięty, że ledwo mówił.

– Co teraz?

– Idziemy za nim.

## LATO 1999

Pochodzą z Norwegii i nie wiedzą, kim jest. Ogień wzbija się ku niebu, a ona tam siedzi, ogrzana wspólnotą. Butelka krąży, piją z niej wszyscy. Są z *Bodø* – czterech chłopaków i dwie dziewczyny. Przejechali rowerami przez granicę, jadą aż na wybrzeże, będą pedałowac całe lato. Bez rodziców i obowiązków. Dziewczyna siedzi pomiędzy tymi dwiema Norweżkami, otoczona ich opalonymi ramionami i tym śpiewnym językiem, który dźwięczy w uszach. Chłopakowi grającemu na gitarze włosy opadają na oczy, napotyka jej wzrok nad płomieniami, przygląda się jej.

O północy wzywa ich jezioro. Nocne słońce nisko wiszące na niebie rzuca złotą smugę światła na jego taflę. Dziewczyna płynie ku światłu, chłopak idzie za nią, jego ciemne loki znikają pod wodą. Płyną obok siebie w złotym blasku. Blisko, ale nie dotykając się. On opowiada o swojej ulubionej kapeli, która zagra na festiwalu w Piteå. To tam jadą. Ta impreza to cel ich długiej wyprawy rowerowej. Śpiewa refren, jego głos jest chropowaty i matowy, ale ona i tak rozpoznaje piosenkę. Kto by jej nie znał?

– Jedź z nami – proponuje. – Jedyne, czego potrzebujesz, to rower. Mamy miejsce w namiocie.

Jest wdzięczna za oślepiające słońce, za to, że on nie widzi jej podekscytowania, radości eksplodującej w jej sercu. Ale i tak kręci głową, to się nie uda. Opryskuje go wodą, żeby nie zadawał pytań, chowa się za śmiechem i hałasem. Jego zaproszenie wciąż brzmi w jej głowie, gdy potem znowu siedzą przy ogniu, wszyscy razem, z włosami ociekającymi wodą, blisko siebie. Te dwie dziewczyny też chcą, żeby z nimi pojechała, i po chwili wszyscy wołają:

– Jedziesz z nami! Jedziesz z nami! Jedziesz z nami!

W końcu podnosi rękę i zgadza się. Butelka robi kolejne okrążenie, a oni wznoszą toasty i cieszą się ze swojej nowej towarzyszki.

Zbliża się ranek i po kolei znikają w swoich namiotach, przy dogasającym ognisku zostaje tylko jedna z dziewcząt. Zaplata jej włosy, delikatnie rozczesuje je palcami, przyjemnie masując przy tym skórę głowy. Dziewczyna siedzi nieruchomo. Myśli, że tak to właśnie jest mieć siostrę. Albo mamę. Nie jest zmęczona, wcale, w głowie ma zbyt wiele planów, by zasnąć. Zamierza ukraść w wiosce rower, by nie musieć wracać do domu, do ojca. I musi ich przekonać, żeby w drodze na wybrzeże wybierali mniej uczęszczane drogi, te wyłączone z ruchu samochodowego.

Butelka jest pusta, a ogień ugaszony, gdy przez kemping Camp Gielas sunie volvo. Po pisku hamulców poznaje, że to on, na długo przed tym, zanim jej oczom ukaże się samochód. Jej włosy są splecione w cienkie warkoczyki, gdy wrywa ją z objęciem nowej przyjaciółki. Wszystko odbywa się szybko i w milczeniu, po kilku krokach jest już z powrotem na tylnym siedzeniu. Norweżka, która jako jedyna wciąż nie śpi, siedzi, zasłaniając ręką usta, gdy stamtąd odjeżdżają.

Ojciec jedzie szybko z opuszczoną osłoną przeciwsłoneczną, lusterko jest tak ustawione, żeby mógł na nią zerkać podczas jazdy.

– W końcu cię zamknę – mówi. – Zamknę cię i wyrzucę klucz.

\* \* \*

Liam przykucnął między świerkami. Ostre poranne słońce wschodziło nad wierzchołkami drzew i powodowało ból głowy. Vidar wyszedł na polanę. Uginała się pod nim ziemia, a chude ciało chwiało się przy każdym ruchu. Skulił głowę i mocno zacisnął pięści, jakby szykował się do

walki. Kiedyś był silny, zanim wiek zrobił swoje i uczynił z niego łatwą zdobycz.

Wypatrując Gabriela, Liam omiół wzrokiem las otaczający mokradła. To on nalegał, żeby się rozdzielili, i zniknął w lesie, zanim Liam zdążył zaprotestować. Przepadł. Zostali tylko Liam, Vidar i słońce, które coraz śmielej przenikało między drzewami, gdzie ukrył się Liam, i niebawem mogło go zdemaskować. Spacer za starym po lesie nie był częścią planu i pochopność tej decyzji przerażała Liama. Improwizacja z ich strony zawsze prowadziła do katastrofy.

Nagle Vidar głośno zaklął. Słyszając jego zachrypnięty głos, Liam wstrzymał oddech. Miał podrapaną twarz i pot na karku, wszystko go piekło i swędziało. Vidar się zatrzymał, mokra ziemia wokół niego parowała, a przeredzone włosy na głowie stanęły na wietrze, co sprawiło, że wyglądał jeszcze bardziej krucho. Nagle padł na kolana, na mech, i zaczął grzebać rękami w ziemi, jakby czegoś szukał. Klęczał tyłem do Liama, a jego kark był czerwony i spocony od wysiłku. Brudnymi palcami na przemian grzebał i macał wokół siebie. Może coś tutaj zostawił – coś, co chciał schować przed córką i wnukiem. Liam uniósł komórkę i zrobił kilka zdjęć. Chciał uwiecznić to miejsce, mogła się tam znajdować tajna skrytka. Wreszcie staruszek przestał kopać i wstał, wytarł brudne ręce w nogawki i zmrużył oczy, ponieważ oślepiło go wschodzące słońce. Na przemian klął i spluwał, lekko się chwiał, jakby się zmęczył. Uniósł dłoń do czoła, by osłonić się przed słońcem, po czym ruszył. Liam stał nieruchomo, nie miał już siły go śledzić. Zaczął pisać wiadomość do Gabriela, chciał się z nim spotkać przy samochodzie, ale nie zdążył jej wysłać.

Strzał pojawił się znikąd i ogłuszył Liama. Nagle było tylko igliwie, ziemia i smak krwi na języku. Upadł twarzą do nieba. Widział, jak jasne sklepienie wypełnia się niemymi, czarnymi ptakami. Kolejny strzał. Huczało mu w uszach, gdy próbował wstać. Położył rękę na klatce piersiowej, jakby chciał się upewnić, że serce wciąż jest tam, gdzie powinno być, że wciąż żyje. Pod kurtką wyczuwał jedynie twarde kontury glocka.

Nie ruszał się, dopóki serce się nie uspokoiło. Przykucnął w krzakach, żeby nie było go widać. Wzrok Liama padł na ciało Vidara wijące się w konwulsjach – z jego gardła wyrwał się przeciągły, charczący dźwięk. Potem zapadła cisza.

Liam klęczał na mchu, ziemia pod nim falowała, a las zniknął z pola widzenia. Widział jedynie tego umierającego mężczyznę – ciało, z którego powoli uchodziło życie, wygłodniałą ziemię, która zachłannie je wsysała, jakby chciała je połknąć. Klęzcząc, Liam zamarł w swojej kryjówce jak jedno z dzikich zwierząt żyjące w tym lesie. Nie był w stanie się ruszyć, oderwać wzroku od martwego ciała. Czas stanął w miejscu.

Z chaszcy po drugiej stronie mokradeł wyłonił się jakiś cień – dwie chude nogi, energicznie brnące w błocie i rozpryskujące je dookoła. To był Gabriel. Tak pędził do starszego mężczyzny, że aż się potknął i runął jak długi, potem pokracznie wstał i ruszył dalej w mokrym ubraniu oblepiającym wychudzone ciało. Twarz miał białą jak śnieg zalegający pod drzewami. Zatrzymał się tuż obok Vidara. Pochylił się nad martwym ciałem, zasłaniając twarz ręką. Z jego ust wydobył się dźwięk, który wyrwał Liama z otępienia. Otrząsnął się. Czuł chłód ciągnący od ziemi, przenikający przez odzież i skórę. Trząsnął się. Szczekał zębami, wstając i przyglądając się Gabrielowi.

Mokradła były usiane lśniącymi kałużami, które zmuszały go do skakania po oszronionych kępach mchu. Cienki lód skrywał głębokie przeręble, które potrafiły w kilka minut wysać z człowieka życie. Tak właśnie musiało do tego dojść – Vidar się poślizgnął, uderzył w głowę i zemdlął. Ale Liam słyszał strzał i podchodząc bliżej, poczuł swąd prochu. Spojrzał na Gabriela, na broń majaczącą pod jego kurtką. To, co zobaczył, sprawiło, że skulił się w sobie. Zimny, czarny strach wypełnił jego żołądek.

– Co ty, do cholery, robisz?

Gabriel nie odpowiedział. Stał pochylony nad umierającym mężczyzną i przeszukiwał jego ubrania. Ciemna krew z nosa i ust spłynęła po brodzie Vidara. Powieki miał rozchylone, widać mu było białka. Tył głowy leżał zanurzony w mokradle, woda sięgała aż do uszu, żółta i obwisła szyja była zanurzona, jakby nie należała do twarzy.

Nogi Liama odmówiły posłuszeństwa, osunął się na zbutwiały pieniek i wykasznął coś kwaśnego, co wylądowało na mchu i zapryskalo mu buty. Świat wokół niego wirował, trudno mu było zatrzymać na czymś wzrok. Próbował skupić go na Gabrielu, na jego dłoniach przesuujących się po Vidarze, niecofających się przed krwią, na jego palcach, wpychających się pod ubranie, do każdej kieszeni i zakamarka, palcach, które wyjmowały noże zza paska Vidara i unosiły je pod światło. Spokój na twarzy Gabriela czynił go podobnym do ojca – ten spokój, który zawsze następował po wybuchu agresji, gdy Liam przykładał ucho do drzwi łazienki i nasłuchiwał szlochu matki, by upewnić się, że ona wciąż żyje, podczas gdy ojciec siedział w fotelu i dopijał piwo.

Zataczając się, Liam podszedł do miejsca, gdzie przed chwilą Vidar grzebał w ziemi. Przykucnął nad wyrwanymi kępami mchu, lecz zobaczył tylko ślady jego palców i podchodzącą z ziemi wodę. Oparł się o szary pień drzewa, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Starał się nie patrzeć na martwego mężczyznę.

Gabriel przeskoczył przez ciało Vidara i wyprostowany stanął przed Liamem, który czekał na policzek. Ale Gabriel go nie uderzył, zamiast tego chwycił go za kark i popchnął.

– No dalej, wypad stąd! Uciekamy!

Ptaki krzyczały nad ich głowami, gdy zaczęli biec. Las wypełniało poranne światło, a Liam czuł się tak, jakby ktoś go ścigał. Zaskoczyło go, że nogi go niosą, że dają radę, mimo strachu buzującego w ciele. Poczul w ustach smak żółci, ale nie zwolnił. Zauważył, że Gabriel się ślizga, że nie jest w stanie biec równym krokiem. Liam przyśpieszył. Myślał tylko o tym, że musi stamtąd uciec, uciec od tego martwego mężczyzny. Uciec od Gabriela.

\* \* \*

Przyszedł do niej o świcie. Na ściany pokoju dziewczynki padało ciepłe, miodowe światło, a sosny za oknem rzucały na nie rozedrgane cienie. Zawodzenie wiatru, niczym odległy dziecięcy płacz przenikający przez stare deski domu, sprawiało, że mocniej naciągnęła na siebie kołdrę. Wyczuwała jego cień za drzwiami, niecierpliwie stopy, które chciały wejść do środka, które na nią polowały. Mocno zacisnęła powieki i zobaczyła ich oboje. Był młody, a ciemne włosy matki wirowały wokół jego głowy. Tańcząc, uśmiechali się ponad swoimi barkami. Obejmował ją w talii ramieniem niczym grubym paskiem. Robili obrót za obrotem, aż matka w końcu się rozplynęła i zniknęła jak kwiat na wietrze. Zamiast niej trzymał w swoich ramionach dziecko, mocno przyciskał je do zapadniętej klatki piersiowej. Kołysał je, człapiąc po skrzypiącej podłodze. Jego twarz była równie czerwona i pomarszczona jak twarz małej. Widziała, jak dziecko powoli zaczyna rosnać w jego ramionach, nabierać kształtów dorosłej kobiety. Odwróciła twarz ku słońcu i otworzyła oczy. Odsunęła od siebie te obrazy.

\*

Kiedy się obudziła, dom wstrzymał oddech. To była ta ulotna chwila między nocą a dniem, gdy jawa i sen zlewały się w jedno i trudno je było rozróżnić. Spojrzała na zamknięte drzwi i bezszelestnie przemknęła po chłodnych deskach. Powoli położyła dłoń na klamce, nagle przerażona, że zakłóci ciszę. W sieni panowała ciemność. Zerknęła na pokój Simona. Ze szpary pod zamkniętymi drzwiami wyciekała kałuża porannego światła. Jej bosa stopy skradały się po

czerwonej wykładzinie, która niczym pępowina łączyła te dwa pokoje. Ostrożnie przyłożyła ucho do szpary i nasłuchiwała, jak wiele razy wcześniej. Oparła się impulsowi, żeby uchylić drzwi, jak to robiła, gdy był mały.

Vidar też jeszcze się nie obudził, mimo że mleczny świt już wypełnił kuchnię, a ptaki tchnęły życie w brzozę. Wypiła szklankę wody, przyglądając się szronowi, który powoli wyparowywał na słońcu. Głowa wciąż jej ciążyła od snów i właśnie miała wrócić do łóżka, gdy usłyszała na drodze samochód. Stała na palcach i zobaczyła, jak obce auto, nienależące do żadnego mieszkańca wioski, czarne i lśniące, telepie się na szutrze. Przejechało niebezpiecznie blisko żółtego szlabanu. Przez moment myślała, że się tam zatrzyma, przed ich gospodarstwem, lecz po chwili odjechało z piskiem opon, zostawiając w glinie głębokie koleiny. Wróciła do łóżka i pozwoliła, by śpiew ptaków ukołysał ją do snu. Tym razem mogła śnić w spokoju.

\* \* \*

Liam nie czuł kierownicy pod palcami. Widział drogę przed sobą, ale nie wiedział, dokąd prowadzi. Wszędzie czuł krew. Gabriel siedział obok niego i krzyczał, a mimo to jego głos był daleko, nie docierał do niego. Bez ostrzeżenia wyciągnął rękę i chwycił za kierownicę, próbował kierować. Samochód wpadł w poślizg i o mały włos nie wpadł do rowu.

– Zatrzymaj się przed domem.

– Co?

– Pójdziemy po forszę, przecież po to tutaj przyjechalśmy, prawda? Stań przy szlabanie.

Liam go odepchnął i przyspieszył. Na szczycie wzgórza majaczyło gospodarstwo Björnlunda. W porannym słońcu wyglądało jeszcze gorzej.

Gabriel naciągnął na głowę kominiarkę, dyszał pod czarnym materiałem jak rozjuszony byk, w jednej dłoni trzymał glocka, a drugą próbował przejąć kierownicę. Czując przypływ adrenaliny i strachu, Liam odepchnął jego ręce. Czuł nadchodzącą katastrofę. Miał wrażenie, że leży w jakimś dole, a ktoś przysypuje go ziemią, grzebie go żywcem razem z tym nieboszczykiem.

Minął żółty szlaban i zrujnowany dom na szczycie. Odpierał ataki Gabriela, nie tracąc panowania nad kierownicą. Pieniądze nic już dla niego nie znaczyły. Cała ta akcja była pomyłką. Zginął człowiek, przez nich. Pot zalewał mu oczy i sprawiał, że las zlewał mu się z drogą, mimo to jechał, zdecydowany ich stamtąd zabrać. W oczach Gabriela płonęło szaleństwo, dwa czarne ognie w otworze kominiarki, a Liam wiedział, że cokolwiek się stanie, nie może tam zostać, nie może mu ustąpić, nie teraz. Nawet wtedy, gdy Gabriel uniósł glocka i w niego wycelował.

\* \* \*

Kiedy znowu się obudziła, w domu wciąż panowała cisza. Słońce mocno świeciło przez żaluzje. Położyła głowę na poduszkę i nasłuchiwała, lecz do jej uszu nie docierały żadne dźwięki – ani radio, ani stukoty, ani przekleństwa, jedynie grobowa cisza, która zmusiła ją do podniesienia się z łóżka i wyjrzenia na korytarz. Drzwi do pokoju Simona były zamknięte, a gdy zaczęła nasłuchiwać dźwięków z kuchni, usłyszała jedynie buczenie lodówki. Schodząc po schodach, poczuła w głowie pulsowanie, a zauważywszy, że Vidar jeszcze nie wstał, nie zaparzył kawy i nie zajrzał do gazety – lekki niepokój w klatce piersiowej. Tylko pies wybiegł jej z radością na spotkanie, jakby od bardzo dawna nie widział żadnego człowieka.

– Tato? Wstałeś już?

Jej głos brzmiał w tej ciszy upiornie. Wyobraziła sobie, że Vidar leży w swoim pokoju, blady i sztywny, z wytrzeszczonymi oczami.

Ale w pokoju było pusto i śmierdziało stęchlizną. Włączyła światło i zobaczyła, że ojciec

przykrył narzutą rozrzuconą pościel, żeby jak zwykle zamarkować, że zaścielił łóżko. Dbał o pozory porządku, chociaż tak naprawdę w jego pokoju panował kompletny chaos. Tak samo było z higieną. Mył się bardzo rzadko, to było jedynie kilka szybkich pryszniców w roku. Zazwyczaj oczyszczały go las i dym, sprawiające, że rzadko wyczuwało się jego własny smród. Podeszła do okna i je uchyliła. Drzewa wypełniły pokój swoim szeptem i dały jej poczucie towarzystwa.

Dawno nie była w pokoju Vidara. Widok tej klitki sprawił, że ścisnęło ją w dołku. Rozklekotane łóżko z zapadniętym materacem, zdecydowanie zbyt szerokim i wystającym po bokach. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś spało tu dwoje ludzi. Na stoliku nocnym stała poźółkła fotografia ślubna i przyciągała jej wzrok. Uśmiechała się tylko Kristina.

Robocze spodnie Vidara i poplamione skarpety wisiały na wezglówiu łóżka, lecz on sam przepadł jak kamień w wodę.

– Tato?

Zrobiła kilka kroków w głąb pokoju i dogoniła kilka ogromnych kłębow kurzu błakających się po drewnianej podłodze. Zajrzała do szafy i przesunęła na bok kilka wieszaków z ubraniami, żeby dostać się do schowanego tam sejfu. Był przymocowany do podłogi, a czarne oko zamka szyfrowego przyciągnęło jej wzrok. Vidar nie zdradził jej szyfru, w kwestii majątku nie ufał nikomu.

Zamknęła szafę i zawołała go kolejny raz. Na jej głos zareagował tylko pies, który wstał z legowiska w kuchni i przyczłapał do pokoju Vidara. Stał w progu, rzucając posępne spojrzenia.

– Gdzie twój pan?

W odpowiedzi suka lekko pomerdała ogonem i nastawiła uszy. Przyglądając się psu, Liv poczuła w żołądku niepokój. Vidar rzadko wychodził z domu bez tego kundla.

Jego kurtka zniknęła. Uchyliła drzwi wejściowe, wystawiła głowę i krzyknęła jego imię tak głośno, że rozniosło się echem po wiosce. Pies wymknął się z domu i pobiegł na skraj lasu, żeby się wysikać. Kiedy już to zrobił, Liv wskazała palcem na las i kazała mu szukać pana. Kundel był stary i nigdy nie przejawiał szczególnych predyspozycji do tropienia, teraz tylko spojrzał na nią ze smutkiem.

Kiedy wróciła do kuchni, w progu nagle stanął Simon, boso.

– Co się dzieje? Dlaczego krzyczysz?

– Dziadek zniknął.

– Jak to zniknął?

– Nie zaparzył kawy, nie ma go w łóżku. Zapadł się pod ziemię.

Simon rozejrzał się po kuchni, jakby się spodziewał, że Vidar siedzi tam gdzieś schowany, że go znajdzie, jeśli tylko dobrze się rozejrzy. Na zewnątrz rozległo się szczekanie, więc oboje stanęli w oknie. Patrzyli, jak pies zawzięcie biega w kółko po poźółkłej i przeredzonej po zimie trawie.

– Przecież Raja jest na dworze.

– Bo teraz ją wypuściłam.

– Dziadek nigdzie by bez niej nie poszedł.

Liv zaparzyła kawę i zerknęła na szutrówkę, po której właśnie jechał quad Douglasa Modiga. Uniosła rękę, ale nie widziała, czy odpowiedział na pozdrowienie. Simon usiadł przy stole. Wcześniej brał prysznic i woda kapiała mu teraz z włosów na stół. Wyjątkowo nie siedział z nosem w komórce, tylko pijąc kawę, wpatrywał się w las. Zobaczyli, jak pies wraca z chaszczy i kładzie się grzecznie na tarasie. Wciąż bez swojego pana.

Może to wiosna wygoniła go do lasu. Vidar od zawsze miał słabość do przemijania pór

roku. Lubił chodzić po polach i obserwować zmiany: pęknięcia lodu, powrót ptaków, kąt padania promieni słonecznych – wszystko było ważne. Nie spuszczał oka z ziemi, tak jak z Liv. Las był jego ukochanym dzieckiem, tak jak ona. Jednak tym razem Liv ogarnęły złe przecucia.

Simon obgryzał skórki przy paznokciach. Słońce wpadało do kuchni i ogrzewało jego skórę. Miał na twarzy zacięcie po żyletce, na którym zaschła krew.

– Jak myślisz, dokąd poszedł?

– Do wsi albo do lasu.

– Chcesz, żebym go poszukał?

– Musisz iść do szkoły. Przecież w końcu wróci.

Między jego brwiami pojawiła się zmarszczka, lecz nie zaprotestował. Odprowadziła go do sieni i patrzyła, jak wiąże buty.

– Co zrobisz, jeśli nie wróci?

Niepokój w głosie Simona był jak miód na jej serce. Mimo deklaracji, że wyjedzie, jak tylko skończy osiemnaście lat, zależało mu na tym, żeby rodzina trzymała się razem.

– Zacznę go szukać. Nie mógł zajść daleko, a wioska nie jest aż taka duża.

Jej odpowiedź chyba go zadowoliła. Przed wyjściem szybko ją uściskał, dokładnie tak jak kiedyś. Liv zignorowała poranny chłód i wyszła na ganek, by odprowadzić go wzrokiem. Na poręczy leżała fajka Vidara. Zapaliła ją i wydmuchując kółka dymu w kierunku nieba, przywoływała ojca. Las był skąpany w wiosennym słońcu, jasny i tętniący życiem. Zmrużyła oczy, patrząc na ścieżkę schodzącą w dół, do jeziora. Gdzieś tam śnieg zaczął topnieć i wypełzała spod niego ciemna, parująca ziemia. Łatwo byłoby znaleźć ślady, gdyby weszła między drzewa. Dziecinna igraszka dla niej i dla psa.

Ale przymknęła oczy i siedziała nieruchomo, delektując się ciszą.

\* \* \*

Liam stał przy ogniu i dzwonił zębami. Promienie słońca przenikały przez gałęzie sosen i docierały do skóry, ale on nie czuł ich ciepła. Gabriel dolał benzyny do zardzewiałej beczki, z której buchnęły płomienie.

– Wrzuc też buty.

– Nie mam innych.

– Mam to w dupie. Trzeba to było lepiej zaplanować.

– Zaplanować? Jak miałbym zaplanować ten przeklęty chaos!

– Mówię: zdejmuj buty! Bo inaczej ciebie też spalę!

Gabriel chwycił go za kark i pociągnął w kierunku płomieni, tak blisko, że Liama zapiekła skóra. Zawył i wyrwał się bratu. Niechętnie zdjął buty oraz skarpetki i wrzucił je do beczki, trzymając się w bezpiecznej odległości od ognia. Dym miał toksyczny zapach, jak palący się plastik. Liam przebiegł na palcach po mokrej ziemi do samochodu, gdzie mieli ubrania na zmianę. Naciągnął na siebie dżinsy i sweter. Były zimne i sztywne. W bagażniku znalazł buty, w które wsunął lodowate stopy.

Gabriel stał nagi nad ogniem i wytrząsał z kanistra ostatnie krople benzyny, aż syczało. Jego penis skurczył się jak przerażone zwierzę. Liam ponabijałby się z niego, gdyby wszystko było w porządku. Ale nic nie było w porządku. Przeciwnie, wszystko się spieprzyło. Pomimo zimna z czoła i po plecach spływał mu pot. Pochylił się nad mchem i gwałtownie zwymiotował. Przez dłuższą chwilę stał i pluł. Potem podszedł do Gabriela na trzęsących się nogach i dał mu ubrania na zmianę. Obserwował szutrówkę, obawiając się, że ktoś ich zobaczy.

Świat pokryła nierzeczywista powłoka, kontury stały się zimne i rozmyte. Liam próbował skupić na czymś wzrok, co nie było łatwe. Myśli przelatywały przez jego głowę, ale nie dawały



mu niczego, czego mógłby się uchwycić. Miał przed oczami twarz Vanji. Słyszał jej wystraszony głos, gdy wołała go w ciemności. Widział pot na jej czole, kiedy śnił się jej koszmar. Widział Juhę wbijającego nóż w blat stołu i słyszał jego drżenie. Czuł, że został oszukany.

Przecież mieli tylko okraść starego, nigdy nie było mowy o tym, że ktoś zginie. Plan był prosty: mieli ich zaskoczyć we śnie i ulotnić się równie szybko, jak się pojawili. Wziąć forszę i uciec, zanim komuś stanie się krzywda. Chciał to wykrzyczeć Gabrielowi, wyrzeszczyć z całych sił, że wszystko spieprzył i zmarnował im życie, ale struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa. Nic nie działało tak, jak powinno.

Gabriel stał wpatrzony w ogień i zdawał się nie zauważać rosnącej paniki Liama. Nie wyglądał też na zmarzniętego. Po prostu tam stał – nagi i niewzruszony, z rozbieganym wzrokiem. Liam podszedł do niego skulony jak pies, który boi się lania. Gabriel wyciągnął rękę.

– Podaj mi broń.

Powiedział to głosem ojca, matowym i nieznoszącym sprzeciwu, który mówił, że teraz rządzi jego świat, jego zasady i jeśli chcesz przeżyć, to lepiej się poddaj, współpracuj. Liam zerknął na glocka leżącego na kamieniu obok niego.

– Co zamierzasz?

Uderzenie w głowę wystarczyło, żeby na chwilę stracił równowagę.

– Zamknij się i rób, co mówię! Dawaj ten pistolet.

Gabriel stał za nim, trochę z boku i zerkał mu przez ramię jak Bóg albo diabeł. Liam sięgnął po broń, starając się zapanować nad drżeniem rąk i uważając, żeby lufa była skierowana do ziemi. Gabriel wyciągnął rękę, pomachał niecierpliwie palcami, ale Liam się ociągał, trzymał broń poza zasięgiem brata. Wewnętrzny głos krzychał, żeby nie wypuszczał jej z dłoni.

Po kilku nerwowych sekundach Gabriel go zaatakował. Przycisnął mu głowę łokciem tak, że zaczęło mu szumieć w uchu, po czym wyrwał mu z ręki broń.

– Do samochodu! Nie mogę na ciebie patrzeć.

Przez zachlapaną szybę samochodową widział, jak Gabriel owija oba pistolety folią spożywczą i wrzuca je do wody. Rzeka uwolniła się od lodu i zasilona wodą roztopową gnała w kierunku morza. Zdawał sobie sprawę, że broń przeleży w wodzie mnóstwo czasu, zanim wypłynie na brzeg, o ile w ogóle tak się stanie, lecz ta myśl wcale go nie pocieszała.

Wyjął dwie tabletki z woreczka foliowego leżącego na siedzeniu i pozwolił im się rozpuścić pod językiem. Nie potrafił się już dłużej opierać, potrzebował czegoś, co okiełzna ten chaos, uspokoi ciało. Gabriel w końcu zaczął się ubierać: czarne spodnie, czarna kurtka, czarne buty. Na tle tej czerni jego twarz wyglądała jak biała maska. Kiedy ruszył w stronę samochodu, w oczach miał determinację i pustkę. Usiadł na miejscu pasażera i zatrzasnął drzwi. W aucie rozniosła się woń ogniska, a jego obłęd unosił się wokół nich niczym mgła, sprawiając, że trudno się oddychało. Liama bolały napięte mięśnie, miał wrażenie, jakby stał nad przepaścią i nie pozostawało mu nic innego, niż się w nią rzucić.

Gabriel bez ostrzeżenia uderzył pięścią w deskę rozdzielczą i ryknął. Kilka razy walnął pięścią w plastik, aż otworzył się schowek i zaczęły mu krwawić knykcie. Dopiero wtedy się opamiętał i chwycił Liama, przyciągnął go do siebie. W oczach miał szaleństwo. Liam próbował się wyswobodzić, lecz Gabriel był silniejszy, od zawsze.

– Nie wiem, co z tobą nie tak – syknął. – Może matka upuściła cię na podłogę zbyt wiele razy albo taki się urodziłeś, mam to gdzieś. Ale nie pozwolę, żebyś spieprzył nam życie, prędzej cię zabiję.

– No dalej, zrób to. Zabij mnie.

Gabriel zarzucił głową, jakby zamierzał przywalić mu z bańki, ale opamiętał się w ostatniej chwili. Liam zacisnął powieki, próbował się rozluźnić. Gabriel szybciej odpuszczał,

jeśli nie czuł sprzeciwu. Liam próbował ukryć buzujący w nim strach, rozsadzający mu pęcherz.

– Przestraszyłeś się – powiedział Gabriel. – Przestraszyłeś się – powtórzył. – I pociągnąłeś za spust.

Jego usta znajdowały się zbyt blisko ust Liama, zabierały mu cały tlen. Liam pokręcił przecząco głową. Znowu poczuł strach, gdy uświadomił sobie, co Gabriel próbuje zrobić. To samo, co zawsze, odkąd byli mali. Gdy kryształowa salaterka spadła na podłogę i gdy skuter ojca wpadł do przerębła, gdy krosna matki spłonęły i gdy zdalnie sterowany samochód sąsiada znaleziono w ich piwnicy. Za każdym razem wskazywał palcem na Liama, żeby uratować własny tyłek: Tato, chodź, zobacz, co zrobił ten przygłup.

– Oto co się stało – oznajmił Gabriel. – I właściwie to sam jestem sobie winien. Powinienem być to przewidzieć. Nie jesteś stworzony do takiego życia. Najmniejsza przeszkoda i ci odwala, robisz głupstwa. A odkąd zostałeś ojcem, jest tylko gorzej.

Liam mocno odepchnął go od siebie, tak że Gabriel wylądował na drzwiach samochodu. Powiedział coś, czego Liam nie usłyszał, szumiało mu w głowie. Spojrzał na wartki nurt rzeki. Ogień zgasł, lecz z beczki wciąż wydobywał się dym, czarny, nieprzyjemny, unosił się między drzewami. Ślady zostały zatarte, broń wyrzucona, ciuchy spalone – pozostały tylko obrazy w jego głowie, to, co widział na mokradłach, lecz wiedział, że i tak nikt mu nie uwierzy. W sytuacji „słowo przeciwko słowu” obaj pójdą na dno. Zasłonił ręką oczy, zobaczył Vanję, poczuł jej ręce wokół swojej szyi, jak podczas zabawy w konia, gdy siedziała mu na plecach. Usłyszał jej perlisty śmiech.

– Nie zamierzam iść do pierdła – oświadczył Gabriel. – I tobie też na to nie pozwolę.

Uspokoił się, zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął, po czym głośno zakasłał. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Drągi zaczęły działać, Liam poczuł, że trafiły do krwi i wszystko spowolniły, ale nie na tyle, by nie mógł odpalić auta. Pomyślał, że musi jechać do domu, do Vanji, że wszystko się ułoży, kiedy tylko ją przytuli.

Zachmurzyło się. Gdy jechali, wszystko spowijała szarość. Gabriel siedział z zamkniętymi oczami, jego zaciśnięte pięści spoczywały na udach. Kiedy dotarli do Arvidsjaur, Liam miał wrażenie, że wszyscy się na nich gapią, jakby to, co zrobili, ktoś wypisał na karoserii samochodu. Powoli wjechał między budynki i zaparkował przed domem, w którym Gabriel mieszkał ze swoją dziewczyną. Dopiero wtedy odchrząknął gulę w gardle.

– Kończę z tym.

Gabriel zdawał się tego nie słyszeć. Przez szyby wdzierало się słońce, ostre i bezlitosne, poranek już dawno się skończył. Liam szturchnął brata zniecierpliwiony.

– Słyszałeś, co powiedziałem?

Zobaczył, jak ścięgna na szyi Gabriela się napinają.

– Nie skończysz z tym, dopóki nie będzie po wszystkim.

– Nie chcę, żebyś do nas wpadał, nie chcę, żebyś kręcił się w pobliżu Vanji.

Gabriel przyglądał mu się sennym wzrokiem, w kącikach jego ust błąkał się uśmiech, jakby ta sytuacja go ubawiła. Liam spodziewał się, że Gabriel się na niego rzuci, walnie jego głową o szybę, o kierownicę, przywali mu z główki w nos, lecz nic takiego się nie stało. Tylko powietrze między nimi wibrowało.

– Spoko, zostawię cię w spokoju.

– Świetnie.

Gabriel trzymał dłoń na klamce, mimo to wciąż nie wysiadał.

– Mogę ci ufać? – spytał.

– O co ci chodzi?

– Nie zrobisz nic głupiego?

Liam poczuł ból w chorym zębie, ostry i rozpierający. Otworzył drzwi i splunął. W ustach miał posmak krwi.

– Nie martw się, nic nie powiem.

Nie miał pewności, że tak właśnie będzie, ale to wystarczyło. Gabriel posłał mu ostatnie, przeciągłe spojrzenie, nieme ostrzeżenie, po czym wysiadł z auta. Liam zmrużył oczy i poczekał, aż Gabriel zniknie w bramie. Światło było tak ostre, że aż sprawiało ból, łzawiły mu oczy. Przez całą drogę do domu słońce przypiekało przez szybę, a mimo to Liam dygotał z zimna.

\* \* \*

Kiedy nadeszła pora wyjścia do pracy, Vidara wciąż nie było w domu. Liv siedziała w koszuli służbowej ze wzrokiem utkwionym w zaroślach i czekała, aż stary pojawi się między świerkami. Nigdy nie przegapił okazji, żeby ją zawieźć, nawet jeśli źle się czuł, i wydawało jej się wręcz nie do pomyślenia, że sama miałyby usiąść za kierownicą, lecz w końcu uzmysłowiła sobie, że Vidar nie wróci. Powinno ją to przestraszyć, ale jedyne, co czuła, ściskając w dłoni kluczyki do auta, to podekscytowanie.

Wyjeżdżając na główną drogę, słuchała Laleh, przez całą drogę śpiewała na całe gardło. Kiedy parkowała za magazynem, przy śmietniku stał Niila. Oczy o mało nie wyskoczyły mu z orbit, gdy zobaczył ją za kierownicą.

– Nie wiedziałem, że masz prawko!

– Nie wiesz o mnie wielu rzeczy.

Uśmiechnął się z przekąsem.

– Gdzie twój ojciec?

Liv wzruszyła ramionami. Ze śmietnika wydobywał się kwaśny smród, ale i tak się zatrzymała i pomogła mu wrzucać worki.

Raz Vidar zobaczył ją tam z Niilą i potem w drodze do domu wypytywał, ile ma reniferów: Jeśli chcesz się zadawać z Lapończykiem, to musisz wiedzieć, ile ma reniferów.

Niila otworzył drzwi do magazynu i zmrużył oczy, puszczając ją przodem.

– Stało się coś? – spytał.

– Nie, dlaczego pytasz?

– Wyglądasz na taką zadowoloną, oczy ci błyszczą.

\* \* \*

Liam wszedł do domu matki i oznajmił, że jest chory i musi się położyć. W oczach Vanji pojawił się ten mroczny strach, który wywraçał mu wnętrzości. Próbował się uśmiechać.

– Tata ma tylko lekko podwyższoną temperaturę.

Pościeliła mu na kanapie, przyniosła kołdrę, poduszkę i pluszaki. Jej troska wywołała w nim poczucie wstydu. Czuł, że nie zasługuje w życiu na nic dobrego, a na nią najmniej.

\*

Trwał na granicy jawy i snu, od czasu do czasu docierały do niego dźwięki kreskówek i śpiew Vanji. Próbował ukryć, że mu zimno i się poci, podciągnął kołdrę aż pod brodę i robił wszystko, żeby nie zasnąć. Bał się snu i tego, co przyniesie.

Kiedy zaczęło się ściemniać, matka pochyliła się nad jego głową. Usłyszał brzęk bransoletek i wyczuł niepokój w jej oddechu. Położyła coś na jego czole, jeden ze swoich kamieni, był lekki jak piórko, po prostu tam leżał, jak chłodny pocałunek, aż w końcu przestał go czuć. Liam chciał na nią krzyknąć, odepchnąć, lecz ciało go nie słuchało, po prostu leżał, niezdolny do protestów. W pewnym momencie uniosła ręką jego głowę i przystawiła mu do ust

filiżankę. Zapach igieł sosnowych i mięty wypełnił jego nozdrza. Zacisnął usta.

– Myślałam, że z tym skończyłeś – powiedziała.

– Bo skończyłem.

– Mam uwierzyć, że naprawdę jesteś przeziębiony?

– Mam gdzieś, co sobie myślisz.

Powinna go wyrzucić tak jak Gabriela. Powinna już wiedzieć, że żadne zioła i kamienie nie pomogą jej synom, miłość też nie.

Oddech Vanji poślaskotał go w ucho.

– Tatusiu, jesteś bardzo chory?

– Mam tylko lekką gorączkę. Jak się wyśpię, poczuję się lepiej.

Ale nie mógł zasnąć. Pod powiekami widział twarz Vidara. Czuł mokradło uginające się pod nogami, zamrznięty mech i strach rozsadzający ciało.

\*

Kiedy otworzył oczy, na brzegu łóżka siedział Gabriel, młodszy Gabriel, z kucykiem na karku i jednym z cygar ojca za uchem. W rękę trzymał piwo lapin kulta, które ukradli sąsiadowi. W rogu migotał telewizor, dźwięk był wyłączony, żeby nikogo nie obudzić. Noce należały do nich. Gdy kończyły się kłótnie, siedzieli w świetle księżyca i czuli, że ich mięśnie w końcu mogą się rozluźnić. Gabriel milkł, kiedy pił, zapadał się w siebie. Ale Liam i tak widział, że wszystko się w nim gotuje, te wszystkie myśli, które pojawiają się znikąd, myśli, które przybierają na sile i którymi trzeba się z kimś podzielić, zanim cię zjedzą.

Gabriel zapalił papierosa, wydmuchał dym w kierunku sufitu. Zerknął na Liama spod ciężkich powiek.

– Myślałeś kiedyś o tym, jak by to było kogoś zabić?

Liam pokręcił przecząco głową.

– A ty?

– Ja często o tym myślę.

Mówił cicho, niemal szeptał, mimo to jego słowa odbijały się echem od ścian, dźwięczały w głowie Liama. To było wyznanie – coś, czego nie można obśmiać ani zapomnieć. Liam nie wiedział, co na to powiedzieć, po prostu zamknął oczy, tak jak robiła to matka, gdy miała wszystkiego dość, kiedy nie chciała w czymś uczestniczyć. Gabriel szturchnął go łokciem.

– Jakiegoś skurwiela, który na to zasługuje. Nie chcę zaciukać kogokolwiek.

\*

Kiedy się obudził, za oknem było już ciemno, a na podłodze obok niego, w niebieskiej poświacie telewizora, siedziała Vanja i oglądała bajkę. Może wyczuła, że na nią patrzy, bo odwróciła głowę i posłała mu ten swój bezzębny uśmiech, który sprawiał, że czuł się jak w siódmym niebie. Nagle stało się dla niego jasne, co musi zrobić. Zapomnieć. Ze względu na nią.

\* \* \*

Po sześciu godzinach za kasą wciąż czuła podekscytowanie. Wreszcie nadeszła pora powrotu do domu. Zima się kończyła, w powietrzu wirowały duże, puszyste płatki śniegu, lecz w kontakcie z asfaltem natychmiast topniały. Jechała wolno i ostrożnie, a skręcając do wsi, czuła, że ma rozstrój żołądka.

Simon siedział na ganku, ale nie sam, ktoś zajmował miejsce obok niego i to nie był Vidar tylko szczuplejsza postać w jasnej, dżinsowej kurtce i z długimi farbowanymi włosami

połyskującymi na niebiesko. Dopiero wysiadłszy z samochodu, zobaczyła, że to Felicia Modig, córka sąsiadów. Zaskoczenie było jak cios w brzuch.

– Dziadka nie ma – zawołał Simon. – Gdy wróciłem ze szkoły, dom był pusty, tylko Raja ujadła w sieni.

Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że trzymają się za ręce. Felicia miała paznokcie pomalowane na czarno, a jej noga nonszalancko spoczywała na udzie Simona. Liv odwróciła głowę w kierunku lasu, poczuła, że się czerwieni. Pierwszy raz widziała go z dziewczyną i ten widok ją zawstydził. A więc to w niej Simon potajemnie się zakochał, to była dziewczyna, której imienia nie chciał zdradzić. Nie wiedziała, kogo się spodziewała, ale na pewno nie córki sąsiadów z jeziora. Simon spojrzał na Liv. Gdy się uśmiechnął, w jego policzkach pojawiły się dołeczki, a w oczach radość. Widzisz, mam? – wołały jego oczy. Oto ona. Moja dziewczyna. Liv przypomniała sobie te przyjęcia na początku podstawówki, gdy siedział wśród dziewczynek, jak lalka z szeroko otwartymi oczami. Przeszcześliwy, że w końcu nikt go nie odrąca.

Uśmiechnęła się na widok ich splecionych dłoni. Pomyślała, że w końcu wszystko zaczyna się układać, również jej synowi.

– Felicia – powiedziała. – A więc to z tobą spotyka się Simon.

Od razu pożałowała swoich słów, bo zobaczyła, że Simon się zawstydził. Ale Felicia wyglądała na rozbawioną.

– *Surprise, surprise* – rzuciła. – Jest pani w szoku, prawda?

– Trochę, przynajmniej. Co słyszeć u Douglasa i Evy?

Felicia się skrzywiła.

– Cóż, chyba dobrze. Tata jest jak zwykle zestresowany.

– Naprawdę?

– Mówi, że krowy wpędzą go do grobu.

Douglas Modig miał gospodarstwo po drugiej stronie jeziora, był czwartym pokoleniem hodowców krów mlecznych, lecz to jego żona Eva pracowała tam najciężej. Pochodziła z Vilhelminy i jako jedyna we wsi zaskarbiła sobie szacunek Vidara. Była małowówna i bardzo pracowita, a on obie te cechy wysoko sobie cenił. Natomiast Douglasa nie trawił, z wzajemnością – ci dwaj nie zamienili ani słowa od święta Midsommar w dziewięćdziesiątym ósmym roku, kiedy to dawna uraza z powodu kawałka ziemi doprowadziła ich do bójki. Alkohol pewnie zrobił wtedy swoje, ale nigdy się nie pogodzili. Za każdym razem, gdy wiatr przynosił smród krów Modiga lub latem dźwięk ich dzwoneczków, Vidar stawał się wyjątkowo zrzędlawy. Felicia była jedynym dzieckiem Modigów. Ona i Simon dorastali po dwóch stronach jeziora, lecz równie dobrze mogłyby to być dwie strony kraju. Liv nie przypominała sobie, żeby w dzieciństwie kiedykolwiek się ze sobą bawili. Dorośli do tego nie dopuszczali.

Liv widziała Felicię nad jeziorem jakiś miesiąc temu. Lód już wtedy popękał i ostre kawałki kry pływały po wezbranej wodzie. Felicia znajdowała się dobry kawałek od brzegu. Wyglądała jak zjawa, gdy skakała między kawałkami kry z rozłożonymi ramionami i rozwianymi, lśniącymi włosami, które wyglądały jak welon. Kra poruszała się pod nią nieprzewidywalnie, Felicia pochylała się i obracała, żeby utrzymać równowagę, palce miała rozczapierzone w powietrzu. Liv stała pod słońce, spanikowana, ale jej wołanie nie docierało do uszu Felicii. Jeśli wpadłaby do wody, Liv nie mogłaby nic zrobić, tylko stać i patrzeć, jak jezioro zabiera dziewczynę. Zabiłaby ją temperatura wody, zanim przyszedłby ratunek, o ile najpierw by się nie utopiła. Liv osunęła się na pień i czekała. Kiedy dziewczynie w końcu się znudziło i kilkoma susami przedostała się bliżej plaży, Liv wstała z pieńka.

– Utopisz się.

Czerwona na twarzy Felicja sapała, stojąc w rozkroku na kawałku lodu.

– Aha. I co z tego?

Liv знаła tę obojętność, to zmęczenie życiem, które sama też odczuwała w przeszłości, zanim urodził się Simon. Dopiero jego przyjście na świat skonfrontowało ją z własną śmiertelnością. Sprawilo, że uczepla się życia.

A teraz siedzial tu, trzymajac za reke swoja obojetya dziewczynę, i ten widok napełnil ją tą samą trwozą. Minęła ich i uchylila drzwi wejsciowe. Wystarczylo, że przekroczyła próg i już wiedziala, że dom jest pusty. Czuć bylo w powietrzu, że Vidara nie ma. Mimo to obesła kuchnię, gdzie na stole leżala rozložona gazeta z poprzedniego dnia. Kawa, która rano zaparzyła, wystygła w dzbanku. W zlewie znajdowały się tylko dwa kubki. Słoiček z maścią wciąż stal na parapecie. Dziwilo ją, że Vidar wyszedł tak wcześnie, często mijalo kilka godzin, zanim jego ręce robily się na tyle sprawne, żeby zasnuować buty.

Zajrzala do pokoju Vidara, zerknęła na niedbale zaścielone łóżko i brudne spodnie robocze wiszące na szczycie łóżka. Wszystko wygladalo tak jak rano, gdy wyjeżdżala do pracy. Vidara nie bylo w domu przez cały dzień. Znowu poczula tę dziwną ekscytację.

Wróčila na ganek i spojrzala na mlodych oraz ognisty zmierzch rozciągający się nad wierzchołkami drzew. Felicia miała mocno pomalowane oczy i mieniący się kolczyk w nosie. Kiedy ich spojrzenia się spotkaly, Liv znowu przyśpieszilo serce.

– Zadzwonimy na policję? – spytal Simon.

Liv oparla się o odrapaną balustradę i ścisnęła ją tak mocno, że aż zabolaly ją palce. Na pożółklej i przeredzonej po zimie trawie wydłużily się cienie, zapadal zmrok. Pomyślala o Vidarze. Zastanawiala się, czy gdzieś tam nie leży i nie wzywa pomocy. Miał osiemdziesiąt lat, ciało wytrzymałe jak żywica i głowę, która wciąż bronila się przed starością. Jeśli czegoś ją przez te wszystkie lata nauczyl, to tego, że nic nie da mu rady, ani ludzie, ani czas.

– Nigdy by nam tego nie wybaczyl.

## GWIAZDKA 1999

W wigilijny poranek wokół jarzębiny płonie ogień. Na stole między nimi stoi fotografia matki, której mroczne oczy obserwują ich ręce nalewające kawę i rozsmarowujące masło na chlebie. Ból wyrył głębokie zmarszczki na twarzy ojca. Cisza jest gęsta i ogłuszająca, słychać jedynie ich pracujące szczęki. Dziewczyna je, chociaż nie czuje głodu, je, bo to jedyny sposób, żeby się ukryć.

Jest środek zimy poskramiającej słońce, dzień zlewa się z nocą, lecz on i tak się upiera, żeby poszli do drzewa. Do matki. Rozkłada skórę renifera i wykopuje w śniegu dół na ogień. Będą tam siedzieć, dopóki żar nie wygaśnie. Zawsze opowiada te same historie – o tym, jak się poznali na tańcach w Malå i jak matka podstawiła mu nogę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Wylał piwo na jej sukienkę i przepadł. Wystarczyło jedno spojrzenie w te piękne oczy i stracił dla niej głowę. Przetańczyli całą noc i może na tym trzeba było poprzestać, bo nie miała ochoty na kolejne spotkanie. Uganiał się za nią przez całe lato, zanim w końcu zgodziła się na wycieczkę samochodem. Chodził za nią z taką samą determinacją, z jaką wędrował po lesie, traktował to ambicjonalnie, jakby była kolejnym kawałkiem ziemi do zdobycia.

– Trwało to trzy lata.

Barwnie ją opisuje. Opowiada o tym, jak robiła piruety w kuchni, jak śmiejąc się, odchyłała głowę do tyłu i pokazywała przy tym wszystkie zęby. Była emocjonalna, wrażliwa na zmiany pór roku i spojrzenia obcych ludzi, a mrok ciągle czyhał na progu. Najgorsza była wiosna, gdy wszystko kwitło i zimowe ubrania szły w odstawkę, i to bezlitosne światło wdzierające się w każdy zakamarek, każdy kąt. Pechowo dziewczynka przyszła na świat wiosną, kiedy ptaki świergotały całe noce, a matka była tak bardzo krucha. Jej ówczesny stan można by porównać do wykrwawiania się po porodzie i chociaż fizycznie czuła się dobrze, widział, że uchodzi z niej życie. Wszystko potoczyło się bardzo szybko.

– Twoje narodziny były dla niej gwoździem do trumny.

Siedząc tam i wpatrując się tępo w ogień, dziewczyna ma ochotę uciec, lecz uścisk ojca jest mocniejszy od uścisku zimy. Pije na umór, jego usta błyszczą od wódki. Kiedy żar dogasa, nie może się podnieść. Dziewczyna bawi się myślą, że go tam zostawi, na zimnie, które przenika do szpiku kości i szybko uśmierca.

Wchodzi do domu i nastawia wodę na kawę, rozkoszuje się ciepłem i ciszą. Nie jest już wcale tak wcześnie, ale słońce się ociąga i dopiero w porze lunchu zmrożony śnieg zaczyna się mienić. Wkłada kostkę cukru między zęby i pije kawę, siorbiąc. Obserwuje mrok skrywający ojca. To nie byłby pierwszy raz, gdy ktoś się upija i zamarza na śmierć, nikogo to nie zdziwi, przeciwnie. Biedna mała – powiedzą. Straciła zarówno matkę, jak i ojca. Nie ma nikogo, kto mógłby się nią zająć.

Cieszy się tylko jedną filiżanką kawy, potem pojawia się strach. Nie radzi sobie z samotnością, z tym, że przygniata jej klatkę piersiową i zabiera powietrze.

Zjeżdża na sparku[4] do jarzębiny. Ojciec leży zawinięty w skórę renifera, z butami w popiele. Na brodzie i na włoskach w nosie ma kryształki śniegu, lecz poza tym nie widać, żeby zimno miało go zabrać. Popiół wiruje jak deszcz wokół ich ciał, gdy wciąga go na sparka i zawozi do domu. Otwiera oczy tylko raz, leżąc w wannie, chwyta ją za włosy i patrzy na nią spojrzeniem młodego mężczyzny. Imię matki niesie się echem po łazience. Myli się tylko wtedy, gdy jest pod wpływem alkoholu, myśli, że dziewczyna to jego żona.

\* \* \*

Podzielili się. Simon i Felicia wzięli południową część wioski, drogę prowadzącą do gospodarstwa Modigów. Liv miała przeszukać północną część. Szybko zapadł zmrok i ścieżka wokół jeziora błyszcząca złowieszczą w świetle latarki. Roztopiony śnieg przymarzał na korzeniach drzew i dywanie z igliwia, więc musiała uważać, żeby się nie poślizgnąć. Wszystko było ostre i się mieniło. Słyszała chłopot jeziora pomiędzy kawałkami kry, w świetle księżyca majaczyły niecierpliwe, czarne fale. Radość, którą czuła w ciągu dnia, zniknęła.

Vidar zostawił na ścieżce ślady butów, rozpoznała masywne podeszwy, te same wgniecenia, które biegły wzdłuż i wszerz podwórka. Lubił spacerować po polach i obserwować zmiany pór roku, trzymał rękę na pulsie. Prawie codziennie chodził do lasu, tylko po to, żeby potem zdać raport z tego, co widział. Nic nie uszło jego uwadze, znał tę okolicę jak własną kieszeń, zbyt dobrze, by się zgubić.

Spomiędzy drzew wyłonił się dom. Słabe światło w oknach sprawiło, że wyłączyła latarkę i przystanęła. Nie pamiętała, by kiedykolwiek zapukała do kogoś z wioski, nawet w dzieciństwie. Ödesmark i tak miało wyraźnie zaznaczone rewiry, które szybko nauczyła się omijać. Nie chodziło o jakieś konkretne spory, raczej stare, wciąż tłące się urazy, ale nie z jej strony. Vidar często powtarzał, że Björnlundowie nie są zbyt towarzyscy. Samotność mamy we krwi – mawiał, gdy nastawała zima, a zimno i cisza oddalały ich od ludzi. Ale nigdy nie wyjaśnił, dlaczego tak jest.

Liv szła powoli w kierunku tego domu. W powietrzu unosił się zapach brzoźowego drewna i głośno śpiewały ptaki, jakby duże stado siedziało w sosnach i ostrzegało ją, by nie podchodziła zbyt blisko. Długo zwlekała, zanim w końcu zapukała w drewniane drzwi. Kiedy usłyszała kroki, ogarnęła ją chęć ucieczki i schowania się, a gdy się uchyliły, wycofała się w mrok.

\*

Serudia Gunnarsson z każdym rokiem coraz bardziej upodabniała się do ptaka. Jej głowa na długiej szyi wydawała się przekrzywiona, a pod brodą majtała obwisła skóra.

– Kto tam?

– To tylko ja, Liv Björnlund.

– Córnka Vidara? O co chodzi? Podejdz, niech cię zobaczę.

Liv niechętnie weszła na ganek i trzęsącym się głosem wyjaśniła powód swej wizyty. Serudia patrzyła na nią, mrużąc oczy, jakby niedosłyszała i czytała z ruchu warg.

– Widziałam Vidara dziś rano – oznajmiła. – Zdaje się, że szedł na mokradła, śpieszył się.

– O której godzinie?

– Wcześniej, tyle mogę powiedzieć. Słońce wciąż kryło się za drzewami.

Mętne spojrzenie Serudii świadczyło o tym, że nie widzi zbyt dobrze. Wyciągnęła żyłastą rękę, po omacku szukając Liv. Chude palce chwyciły się jej z zaskakującą siłą.

– Wejdz do środka, biedne dziecko. Nie marznij na zewnątrz.

Po chwili Liv siedziała już przy kuchennym stole staruszki i obserwowała jezioro. Po drugiej stronie majaczyły światła u Modigów i zdawało jej się, że słyszy głosy niosące się przez las.

Serudia nie zadowolila się kawą, po chwili położyła na stole ser, dżem z maliny moroszki i trzy rodzaje ciasteczek.

– Proszę nie robić sobie kłopotu.

– Czymś muszę cię przecież poczęstować. Niecodziennie goszczę córnkę Vidara.

Wydawała się naprawdę uradowana tą wizytą, częstowała Liv tym, co miała,



i przyglądała się jej z zainteresowaniem, jakby nie do końca wierzyła, że naprawdę siedzi przy jej stole.

- Będę się zbierać, muszę szukać ojca.
- Vidar był tutaj przedwczoraj – oznajmiła staruszka.
- Ojciec tu był? U pani?

Liv rozejrzała się po skromnej izbie, jakby się spodziewała, że Vidar schował się w jakimś zakurzonej zakamarku. Staruszka zaczerwieniła się jak uczennica i dotknęła palcami srebrnego warkocza przerzuconego przez ramię.

– Był tu rzucić okiem na mój piec. Szwankował mi przez całą zimę, ale Vidar w mgnieniu oka zrobił z nim porządek. Potrafi naprawić to i owo, ten twój ojciec. Zawsze to umiał.

– Nie wspominał, że tutaj był i pani pomógł.

– Gdyby nie Vidar, mój dom już dawno by się zawalił, jak Boga kocham. I nigdy nie chce za to pieniędzy, chociaż nikt inny nie zawahałby się przyjąć zapłaty.

Ser przykleił się Liv do podniebienia, gdy próbowała przetrwać te niesamowite słowa. W świetle lampy kuchennej oczy staruszki wyglądały jeszcze mętniej i pomyślała, że może Serudia widzi to, co chce widzieć, bo niedowierzała, że Vidar tu był i pomagał jej w domu, nie żądając za to żadnej zapłaty. To brzmiało jak kiepski żart albo coś, co miało miejsce w odległej przeszłości.

– Na pewno widziała go pani dziś rano?

Serudia odwróciła wzrok w kierunku mroku za oknem. W poświacie księżycy majaczyły poruszające się gałęzie drzew, a delikatne wieczorne światło odbijało się w jeziorze.

– Przebiegł obok mojego domu o świcie. Ledwo świtało, ale to na pewno był Vidar.

– Od dwudziestu lat nie widziałam, żeby mój ojciec biegał.

– Ależ zawsze to robi. Biegnie, jakby wilki deptały mu po piętach.

\* \* \*

Kiedy tylko udało mu się zasnąć, rozległ się strzał. Ciemność nie stanowiła ochrony, kula i tak go znalazła. W snach wbiegał daleko pomiędzy drzewa. Świerkowe gałęzie chłostały go po twarzy, a ciepła krew płynęła po karku niczym pot. Liam nie widział, gdzie kończy się las i zaczyna niebo, słyszał tylko kaszel Gabriela dochodzący ze wszystkich stron i wiedział, że biega w kółko. Kiedy kula go trafiła, poczuł jedynie ulgę, że już po wszystkim. Że może się obudzić.

Ojciec zawsze nastawiał ich przeciwko sobie, odkąd byli dziećmi. Liam pamiętał z wczesnego dzieciństwa te poranki, gdy stary miał kaca i użalał się nad sobą. Czasami chciał, żeby usiedli mu na kolanach. Najpierw prosił Liama o otwarcie okna, nawet w zimie, tak że do środka zawiewał śnieg tworzący mieniącą się powłóczkę na kurzu i kupionych przez matkę kaktusach z pustyni w Arizonie. To było jak siedzenie w zaspie śnieżnej, bez ubrań i ognia, a gdy Liam i Gabriel zaczęli szczerkać zębami, ojciec kazał im podejść i go schłodzić.

– Chodźcie tu, chłopcy. Zanim spłonę!

Potem musieli leżeć obok niego na kanapie, podczas gdy on palił papierosy gula blend i wypacał alkohol. Śmierdziało mu pod pachami, ale Liam i tak lubił te chwile. Czuł się świetnie w bliskości ojca, trochę tak, jakby leżał w chaszczach i przyglądał się ogromnemu zwierzęciu przechodzącemu tuż obok. Zwierzęciu, które w każdej chwili może się odwrócić i zaatakować.

Gabriel mógł trzymać zapalniczkę, osłaniał dłonią płomień za każdym razem, gdy ojciec wkładał do ust kolejnego papierosa. Liam musiał się zadowolić popielniczką, leżała na jego wychudzonej klatce piersiowej, dokładnie na żebrach, i za każdym razem, kiedy przez otwarte okno zawiewał wiatr, miał w oczach popiół.

Ojciec nie zwykł ich przytulać, lecz zdarzało się, że pocierał ich buzie swoimi nieogolonymi policzkami, co nie było przyjemne.

– Dobrze, że macie siebie – mówił. – Każdy król musi mieć co najmniej dwóch spadkobierców, gdy umiera. Nie faworyzuję żadnego z was. Po mojej śmierci będziecie musieli walczyć między sobą o tron. Nie będę się wtrącać w to, co się komu należy.

Gabriel i Liam spoglądali na siebie nad owłosionym torsem ojca. Ich rywalizacja już wtedy wisiała w powietrzu.

\* \* \*

Słyszała wołanie po drugiej stronie jeziora, wiatr niósł głos Simona, jasny i niestrudzony.

Las gęstniał na północy wsi. Gałęzie drapały ją i chłostały, a na ziemi pojawiła się świeża warstwa lodu niebezpiecznie połyskująca pod stopami. Cienie się poruszały, pełzały i drgały w świetle latarki. Kiedy zawołała Vidara, jej własny głos wydał jej się dziwny.

Przez głowę przemykały jej wspomnienia, małe przebłyski z innych czasów, gdy miała strupy na kolanach i rozczochrane włosy, a las dawał jej poczucie bezpieczeństwa i mogła się w nim zaszyć. Vidar próbował ją straszyć różnymi opowieściami o trollach i innych upiorach, by zatrzymać ją w domu, lecz to ją tylko dodatkowo popychało w leśną ciemność.

Była zbyt zdyszana, żeby usłyszeć, że ktoś się zbliża. Nagle poczuła czyjąś rękę na plecach i odwróciła się tak gwałtownie, że latarka upadła na ściółkę i zgasła. Na ścieżce przed nią stał mężczyzna, natychmiast dostrzegła toporne kontury i parę wydobywającą się z jego ust. Biła od niego obca woń zagłuszająca zapach igliwia. Pochyliła się i po omacku zaczęła szukać latarki, poczuła zimną wilgoć ziemi.

Poświeciła mu prosto w twarz. W ostrym świetle zobaczyła, jak się chwieje.

– Karl-Erik, ależ mnie wystraszyłeś!

Zakrył oczy owłosioną ręką. Dojrzała za nią pomarszczoną twarz i bardzo długą brodę.

– Tak krzyczycie, że słyhać aż u mnie. Można pomyśleć, że cała wieś się pali.

– Szukamy ojca, od rana nie było go w domu.

– A niech mnie! Vidar nie jest z tych, co się gubią.

Młodszy od Vidara Karl-Erik Brännström był starym kawalerem. Łączyły ich więzy krwi, lecz Vidar nie lubił się z tym afiszować. Mawiał, że Karl-Erik to nieudacznik, który zbyt często zagląda do kieliszka, facet nienadający się na salony. W dzieciństwie Liv była zachwycona Karlem-Erikiem, mimo że śmierdział piwem i śpiewał piosenki miłosne, okropnie przy tym fałszując. Czasami płakał jak dziecko, chociaż był dorosłym mężczyzną. Vidar mówił wtedy, że takiej słabości należy się bać, bo jest zaraźliwa.

Ale Karl-Erik na pewno nie wyglądał na słabego, gdy tak stał przed nią na ścieżce, chwiejąc się na ciężkich nogach.

– Nie widziałeś go?

– Ostatnio, gdy go widziałem, prowadził samochód, a ty siedziałaś obok niego, jak zawsze.

Liv trzymała latarkę pomiędzy nimi, żeby lepiej się widzieli. Spoglądając na nią, Karl-Erik znowu się zachwiał i gwizdnął. Słodka woń wódki wypełniła ciemność wokół nich.

– Czasami jesteś tak podobna do swojej matki, że człowieka aż ciarki przechodzą.

Nie spodziewała się tych słów. Nieliczni pamiętali Kristinę, a jeszcze mniej osób o niej wspominało. Niekiedy miała wrażenie, że mama była jedynie wymysłem Vidara, ciężarem, którym ją przygniatał.

Głos Simona niósł się po lesie, nawoływał ją. Nie widziała go, dostrzegała jedynie światło latarki przecinające morze świerków.

– Muszę iść, zanim pomyślą, że też się zgubiłam. Ale miej oczy szeroko otwarte.  
Karl-Erik uśmiechnął się, pokazując zęby.

– Jeśli będziesz miała szczęście, to zniknął na zawsze.

[4] *spark* (szw.) – rodzaj sanek z oparciem i wystającymi płozami, na których jadący staje jedną nogą i odpycha się drugą, podobnie jak podczas jazdy na hulajnodze; można na nich przewieźć dziecko lub zakupy, pomagają utrzymać równowagę na śliskiej nawierzchni

## PAŹDZIERNIK 2000

Ojciec znika o zmierzchu ze strzelbą na ramieniu. Dziewczyna siedzi w oknie i patrzy za nim, widzi w szybie swoje własne oczy. Jej klatka piersiowa się otwiera, barki opadają – wreszcie może swobodnie oddychać. Nie włącza światła, w kuchennym oknie odbija się jedynie żar papierosa. Planuje puścić muzykę i potańczyć. Może do kogoś zadzwoni i go zaprosi. Nacieszy się wolnością. Ale nigdzie nie dzwoni, nie ma do kogo, po prostu siedzi samotnie w ciemności.

Nad ranem zaczyna chodzić po skrzypiącej podłodze. Cały czas spogląda w noc za oknem, ale widzi tylko strach na własnej twarzy oraz duże, czarne oczy. Zapala świeczkę i stawia ją w oknie. Płomień drga od jej oddechu. Może już nie wróci? Dym papierosowy spowił pokój niczym mgłą, pieką ją oczy. Już nie myśli o tańcu, poczucie wolności prysnęło.

\*

Dom skrzypi na wietrze, dziewczyna leży w łóżku i nasłuchuje. Słyszy ciężkie kroki na schodach, lecz drzwi pozostają zamknięte. Podejrzewa, że to ojciec.

Do świtu nie udaje jej się zmrzyć oka. Pije kawę i chucha na zamarznąłą szybę, rysuje na niej wzorki. Na drzewach mieni się szron, na dworze jest zimno, zbyt zimno, żeby przeżyć. Ekscytująca myśl. Zastanawia się, co teraz zrobi – spakuje walizki, ale weźmie tylko cienkie ubrania. Tam, dokąd poleci, nie ma zimy. Tego spokojnego dnia znowu czuje podekscytowanie. Włącza muzykę, która wibruje między ścianami.

Muzyka gra tak głośno, że nie słyszy go, gdy przyjeżdża. Dochodzi pora lunchu. Na przyczepie leży poćwiartowany łoś. Dziewczyna czuje rozczarowanie pomieszane z ulgą, gdy ojciec wchodzi do sieni. W trakcie posiłku patrzą na ogromne poroże, które łoś zrzucił i zostawił na trawie. Ojciec opowiada o nocy, zimnie i długich godzinach wyczekiwania na słońce. O wszystkim, co się porusza we mgle o świcie, i ciężarze broni. Pyta go, czy trafił za pierwszym razem. Jego oczy lśnią.

– Najważniejsza jest cierpliwość – mówi. – Nie można być zbyt zachłannym.

Pyta ją, jak jej minęła noc, a ona zawstydzona wbija wzrok w stół.

– Chyba nie boisz się ciemności?

– Następnym razem chcę jechać z tobą.

Kiwa głową z uśmiechem. Jasne, że pojedzie. Następnym razem.

Ale nadchodzi jesień, potem następna i za każdym razem ojciec bierze strzelbę i wychodzi z domu. Zostawia ją ze strachem, wolnością i wiatrem poruszającym starym domem. Dopiero dużo później uświadamia sobie, że ojciec też się boi, za bardzo się boi, żeby dać jej do ręki broń.

\* \* \*

Po omacku, nie włączając latarki, doszła do domu wdowy po Johanssonie. Przywitały ją psy oraz samotna lampa ogrodowa. Ich łańcuchy hałasowały w ciszy. W oknach było ciemno, nie paliło się ani jedno światło. Uchyliła drzwi i zawołała go po imieniu. Nie otrzymała odpowiedzi, mimo wszystko weszła do środka. Jak wiele razy wcześniej przemknęła przez sieni, kuchnię i salon, mijając starzejące się meble. Stała na progu jego sypialni – łóżko było pościelone, a Johnny'ego tam nie było, napotkała tylko błyszczące oczy łośa. Kiedy nacisnęła włącznik światła, odkryła, że cała podłoga jest pokryta błotnistymi śladami butów, jakby

zapomniał je zdjąć.

Poszła do kuchni i zapaliła papierosa. Może pracował do późna w tartaku, nie znała jego grafiku. Nie byli w związku, w którym zna się grafik drugiej osoby. Nigdy nie była w takim związku. Podeszła do okna i stwierdziła, że nie ma jego samochodu. Otworzyła lodówkę i spojrzała na jej zawartość. Nie było tego wiele: sześciopak piwa, otwarte parówki w puszcze, maselniczka i słoik marynowanych buraczków, resztkę żółtego sera, którym ją częstował. Wróciła do sypialni i nagle poczuła ochotę, by pogrzebać w jego rzeczach. Z papierosem w ustach otworzyła drzwi szafy i wysuwała szuflady. Była tam tylko smutna kolekcja spranych dżinsów i ciemnych koszul flanelowych oraz T-shirty z kapelami rockowymi z lat osiemdziesiątych.

Wyjęła telefon komórkowy i pomyślała, że wyśle mu wiadomość: *Stoję w twojej sypialni. Ojciec nie żyje*. Wpatrując się w ekran, zmrużyła oczy. Uzmysłowała sobie, że nie zna jego numeru. Nie miała nic poza domem wdowy po Johanssonie i wszystkim tym, co wydarzyło się w jej łóżku. Johnny pracował w tartaku i jeździł fordem, tyle wiedziała. Nigdy nie zadawała mu żadnych pytań, nie chciała. I teraz tego żałowała.

Po drugiej stronie jeziora wciąż wołali Vidara. Przeraził ją niepokój w głosie Simona. Zaczęła biec, chociaż ciało stawiało opór. Wszystko ją bolało. Kiedy dotarła do gospodarstwa Modigów, grupa zdążyła się podzielić. Zobaczyła światło ich latarek błakające się między drzewami. Głosy zdawały się nadchodzić ze wszystkich stron.

Najpierw wpadła na Douglasa. Poruszał się niezdarnie, duży brzuch wylewał mu się zza paska. Gdy otarła się o jego ramię, odwrócił się, jakby go przestraszyła.

– Liv, to ty! Gdzie jest, u diabła, twój ojciec?

– Też chciałabym to wiedzieć.

– Simon mówi, że nie ma go cały dzień.

– Pewnie niedługo wróci.

Douglas zamrugnął powiekami.

– Vidar nie jest już młodzieniaszkiem.

– Ojciec ma więcej energii niż my wszyscy razem wzięci.

– Racja, ale to nie jest ubezpieczenie na życie.

Złość pojawiła się znikąd i paliła w żołądku. Douglas Modig wiedział, co to pech. Dziesięć lat temu spłonęło mu gospodarstwo i ciągle się po tym nie podniósł. Odziedziczył je po ojcu i jeśli wierzyć wiejskim plotkom, o mały włos wszystkiego nie stracił. Teraz stał naprzeciwko niej z triumfem wypisanym na twarzy, bo pech wreszcie przeszedł na kogoś innego.

Z ciemności za jego plecami wyłoniła się jakaś kobieta i rzuciła się Liv na szyję. Mocno ją uścisnęła, wyciskając z niej przy tym całe powietrze. Eva Modig była niska i krępa, obciążona na zapałkę. Vidar twierdził, że jest bardziej męska od Douglasa i że gdyby nie ona, ich gospodarstwo już dawno by splajtowało. Teraz odsunęła od siebie Liv i spojrzała na nią zadziornie.

– Przecież to Vidar zawsze gania po wiosce i cię szuka, nigdy odwrotnie.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

– Simon jest tutaj niemal codziennie, ale Vidar rzadko się pokazuje po naszej stronie jeziora.

– Serudia twierdzi, że widziała go przez okno dziś rano.

– Staruszka jest ślepa jak kura – stwierdził Douglas. – Nie wierzyłbym jej opowieściom.

Eva włożyła palec pod wargę i usunęła snus.

– Lepiej poczekałmy, aż się rozjaśni, jest ciemno jak w grobie.

– Właściwie to się nie martwię – oznajmiła Liv. – Ojciec umie o sobie zadbać.

To była prawda. Jeśli ktoś wiedział, jak przeżyć bez dachu nad głową, to właśnie Vidar. Nie straszne mu były ciemność ani zimno. Znał las lepiej niż ludzi i nie było tam nic, co mogłoby mu zrobić krzywdę. Mimo to, widząc w świetle laterek zatroskane twarze Evy i Douglasa, poczuła w sercu niepokój. Mieli takie miny, jakby widzieli coś, czego ona nie mogła zobaczyć.

– Zadzwoń do nas, jeśli do jutra nie wróci – powiedziała Eva. – Mamy psy i quady. Są do waszej dyspozycji.

– Dziękuję, ale nie będzie takiej potrzeby.

Nagle rozległ się szelest i z krzaków wyszli młodzi. Ich cienie były tak mocno ze sobą splecione, iż trudno było dostrzec, że to więcej niż jedna osoba. Skrzywili się, gdy zaświeciła im latarka w twarz. Byli zasmarkani i mieli zaróżowione policzki, makijaż Felicii spłynął na zimnie. Niebieskie włosy i buńczuczny wyraz twarzy sprawiały, że nie była podobna ani do Douglasa, ani do Evy. Liv nie mogła uwierzyć, że ta dziewczyna ma dziewiętnaście lat, że jest już wystarczająco dorosła, żeby opuścić Ödesmark.

– Znalazłaś go? – spytał Simon.

– Jeszcze nie, ale wracajmy do domu. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby tam na nas czekał.

\*

Dochodziła północ, gdy weszli do sieni i powiesili kurtki na wieszaku. Opuszczony pies Vidara krążył wokół ich przemarzniętych stóp i machał ogonem. W jego pokoju wciąż panowały ciemność i mrok, a łóżko było niedbale zaścielone. Simon podszedł do szafy i ją otworzył, jakby się spodziewał, że wyskoczy z niej Vidar, że to wszystko to tylko kiepski żart. Czarny zamek sejfu przyciągnął ich wzrok.

– Nie ma go tutaj.

– Przecież widzę.

– Co zrobimy?

– Jeśli do jutra nie wróci, zadzwonimy na policję.

– Powiedziałaś, że nigdy nam nie wybaczy, jeśli zaangażujemy w to policję.

– Trudno, przecież musimy go znaleźć.

Liv zaparzyła herbatę i rozpałała w kominku. Żadne z nich nie chciało się położyć, więc usiedli blisko siebie naprzeciwko ognia. Tak rzadko mieli okazję być sami, że poczuli się trochę dziwnie, byli lekko zawstydzeni. Mimo niepokojącego w powietrzu żadne z nich nie chciało rozmawiać o Vidarze, siedzieli w milczeniu, wpatrując się w trzaskające płomienie i ciemność napierającą na szyby okienne. Simon położył głowę na jej kolanach, a Liv ją głąskała, czego nie robiła od bardzo wielu lat. Nie odrywała wzroku od płomieni, pijana ze zmęczenia.

– A więc to w Felicii jesteś zakochany. Nigdy bym się nie domyśliła.

Jego głowa nagle zrobiła się gorąca.

– Dlaczego?

Jest przecież tyle dziewczyn – chciała odpowiedzieć. Tego kwiatu jest pół świata. Dlaczego zakochałeś się akurat w tej, która mieszka w Ödesmark? Ale nie chciała zepsuć tej chwili, nie chciała przestać czesać palcami jego włosów.

– Nie wiem, może myślałam, że poznałeś kogoś przez Internet. Kogoś, kto mieszka daleko stąd.

– Nie sądziłaś, że mogę poznać kogoś w realu, tak?

– Nie to miałam na myśli.

Przekręcił głowę na bok, zrzucając przy tym jej rękę. Obecnie trudno się z nim rozmawiało. Cały czas szukała odpowiednich słów, takich, które byłyby pomostem między nimi, które by ich do siebie zbliżyły.

– Felicia jest wyjątkowa – oświadczył. – Nie przejmuję się tym, co ludzie powiedzą, nie wierzy w to, co gadają. Sama wyrabia sobie opinię na każdy temat.

– To dobrze.

– Ale dziadek jej nie lubi.

– Dziadek nikogo nie lubi.

Odwrócił głowę, żeby mogli na siebie spojrzeć.

– Dlaczego zawsze go słuchasz?

– Nie wiem – odparła. – Może dlatego, że tak jest łatwiej.

– Jesteś dorosła, możesz robić, co chcesz.

– Czasami to nie takie proste.

W ciemności wyglądał na drobniejszego, młodszego. Tak łatwo było odpowiadać na jego pytania, gdy był dzieckiem. Mogła wymyślić cokolwiek, jeśli nie znała odpowiedzi lub nie potrafiła mu powiedzieć prawdy. Ale te czasy minęły bezpowrotnie, teraz potrafił ją przejrzeć, widział kłamstwa, które ją dusiły.

– Nigdy nie jeździsz samochodem, chociaż masz prawo jazdy. To żałosne.

– Dzisiaj jeździłam.

– No tak, ale tylko dlatego, że dziadek gdzieś przepadł. Inaczej by cię zawiózł, jak zawsze.

Liv spojrzała na płomienie, wydawały takie dźwięki, jakby się z niej śmiały. Simon właśnie zaczął kwestionować jej ograniczoną samodzielność. Zrobił to tym samym sarkastycznym tonem, którego używał Vidar, gdy chciał ją usadzić. Zastanawiała się, czy wie, jak bardzo są do siebie podobni.

\*

Kiedy zasypiał, drgały mu powieki. Siedziała nieruchomo i czuła, jak odpływa, zostawia ją sam na sam z nocą. Nasłuchując kroków Vidara w sieni, obserwowała, jak ogień zamienia się w żar. Nie wiedziała, co bardziej ją przeraża. To, że już nigdy go nie zobaczy, czy to, że stanie w drzwiach, jak gdyby nigdy nic.

\* \* \*

Liam siedział w ciemności i wsłuchiwał się w oddech śpiącej Vanji. Nie chciał siadać zbyt blisko niej, bał się, że zarazi ją swoimi lękami i wyrwie ją ze snu. Była wrażliwa, przejmowała emocje otoczenia i czyniła je swoimi. Wszystko, co w sobie nosił, cały jego wstyd i wszystkie niepowodzenia przechodziły na nią. Nie potrafił żyć z tą świadomością. Musiał stać się lepszy, nie miał wyboru.

Od zawsze bał się, że skończy jak ojciec. Ojciec, który harował w tartaku, odkąd skończył czternaście lat, płacił podatki i kupował wódkę w Systembolaget[5] jak porządny obywatel, żeby umrzeć przed pięćdziesiątką. Zatrął całe ich życie swoją agresją oraz pasywnością, a na łożu śmierci zwałił wszystko na pracę. W tartaku dawał z siebie wszystko, lecz nigdy nie dostał niczego w zamian, nic po sobie nie zostawił, ani korony. Zróbcie coś ze swoim życiem – wydusił z siebie, gdy stali nad jego łóżkiem w szpitalu. Życie, do cholery.

Liam wymknął się na zewnątrz, żeby zapalić. Psy skakały za kratami, ich oczy błyszczały w ciemności, merdające ogony wydawały świszczący dźwięk. W domu matki w dwóch oknach paliło się światło. W środku zamajaczyły jej bujne włosy i zwiewna sukienka – fruwała po tym swoim samotnym zamku jak ćma. Żle sypiała, zazwyczaj tylko kilka godzin przed świtem. Mam za dużo na głowie – mawiała. Liam wiedział, co ma na myśli. Nie ułatwiali jej życia, żaden z nich. I nie miało znaczenia, że czas mijał albo że ojciec zmarł, ponieważ wszystkie złe

wspomnienia wciąż żyły, wisiały nad nimi niczym nadciągająca burza. Liam przywarł do ściany, żeby matka go nie zauważyła. Zastanawiał się, co by się z nią stało, gdyby prawda wyszła na jaw, gdyby się dowiedziała, że jej starszy syn jest mordercą. Zbikowałaby na dobre, żadne psy ani kamienie tego świata by jej nie uratowały.

\* \* \*

Obudził się, słysząc, że Vanja wciska pieczywo do toster. Stała na chyboczącym się krześle z rozpuszczonymi włosami spływającymi na jej drobne plecy. Kawa się parzyła. Pięć lat i już umiała przyrządzić kawę. Zawstydził się, przypomniawszy sobie te wszystkie poranki, kiedy próbowała się nim zająć, a on leżał sponiewierany. Była do niego podobna, biedactwo, miała przy uchu znamię w kształcie maliny, takie samo jak on na goleni. Na początku Jennifer wykrzykiwała mu, że Vanja nie jest jego, ale teraz nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby coś takiego zasugerować.

Nie lubił myśleć o Jennifer. Gdy ostatni raz o niej słyszał, właśnie dała nogę z ośrodka odwykowego, uciekła na południe, żeby dalej ćpać. Twarde narkotyki. Nie było jej tak długo, że Vanja przestała o nią pytać, prawie jakby nie istniała.

Wstał z materaca i podszedł do córki, podciągnął żaluzje i wpuścił do środka trochę światła.

– Przygotowuję śniadanie.

– Widzę, cudownie. Może usiądziesz i porysujesz, a ja dokończę?

Jedli grzanki z dżemem, słuchając szczekania, które rozległo się w zagrodzie dla psów, gdy weszła do niej matka, by je nakarmić. Brzmiało to tak, jakby zamierzały rozszarpać ją na strzępy.

– Ale masz duże oczy – stwierdziła Vanja.

– Naprawdę?

Poszedł do łazienki. Ujrzał zapuchnięte powieki i chorobliwie zaróżowione białka. Przez dłuższą chwilę przepłukiwał twarz wodą. Kiedy skończył, zorientował się, że Vanja siedzi na desce sedesowej i go obserwuje.

– Ciągłe jesteś chory?

– Nie, czuję się już lepiej.

– Idę dzisiaj do przedszkola?

Napotkał w lustrze własne spojrzenie. Zaczerwienione oczy go wystraszyły – naprawdę nie wyglądał zdrowo. W szafce za lustrem leżał woreczek foliowy z prochami i go kusił. Był naprawdę bliski, żeby po niego sięgnąć. Ręka mu się trzęsła, gdy otwierał drzwiczki i wyjmował golarkę. Starał się nie patrzeć na tabletki.

– Tak, dzisiaj musisz iść do przedszkola, bo ja będę szukać pracy.

– Z Gabrielem?

Liam nałożył na policzki krem do golenia i poczuł przyływ determinacji.

– Nie, nie z Gabrielem. Będę szukał prawdziwej pracy, żebyśmy mogli wybudować dom w kolorze zorzy polarnej.

Wydała z siebie okrzyk zachwytu. Złapała go za nogi i mocno do niego przylgnęła. Kiedy skończył się golić, uczesał ją i zaplótł jej warkocz. Obejrzał mnóstwo filmików na YouTube, zanim opanował tę sztukę, żeby już pierwszego dnia zaimponować personelowi przedszkola. Nie chciał dać im najmniejszego powodu do tego, by myśleli, że nie jest dość dobrym tatą.

Stali obok siebie na dywaniku łazienkowym i ze szczoteczkami w ustach. Równocześnie splunęli do umywalki, po czym szeroko się do siebie uśmiechnęli, pokazując przy tym wyszorowane zęby. Uśmiech Vanji rozpałał w jego sercu małe ogniki, dodawał mu skrzydeł.



Kiedy wyszli na słońce, uzmysłowił sobie, że długo nie myślał o Vidarze Björnlundzie. Noc w Ödesmark wydawała się tylko złym snem, prawie jakby nigdy się nie wydarzyła.

Liv miała sześć lat, gdy w Ödesmark pojawiła się policja. Weszli do domu, nie zdejmując ani kurtek, ani butów. Ich głosy huczały między ścianami. Siedziała pod stołem w kuchni i widziała ślady zostawiane przez nich na podłodze. U ich pasów błyszczały kajdanki, a pod stołem stukały o siebie kolana Vidara. Położyła rękę na przetarciu jego dżinsów i pogłaskała prześwitującą przez nie wilgotną skórę. Oskarżyli go o kłusownictwo i pierwszy raz widziała go naprawdę wystraszonego. Jego głos stał się delikatny jak płatki śniegu, a gdy policjanci wyszli z domu, żeby zajrzeć do budynków gospodarczych, sięgnął pod stół i chwycił ją za rękę. Gdy spytała, czy wsadzą go do więzienia, odpowiedział: Nie, nie pozwolę im na to. Po moim trupie. Ale ona słyszała w jego głosie jedynie strach, który po chwili przeszedł z jego ręki na jej dłoń, po czym przesunął się w dół, do żołądka, gdzie szamotał się jak oślepię zwierzę. Kiedy jeden z policjantów pochylił się nad Vidarem i krzyknął mu coś do ucha, tak się przestraszyła, że zsikała się w majtki.

Teraz, widząc światła między świerkami, też poczuła parcie na pęcherz. Simon stał przy oknie i patrzył, jak radiowóz wjeżdża i parkuje na podjeździe. Powaga w jego oczach czyniła go tak podobnym do Vidara, że aż wstrzymała oddech. Odkąd przestał być pulchnym bobasem, stało się jasne, że odziedziczył po Vidarze policzki i podbródek oraz sprężyste ciało o długich ramionach, które głównie zawadzały. Kiedy teraz mu się przyglądała, widziała w nim swojego ojca. Ich podobieństwo sprawiało jej ból.

Simon nie miał pojęcia o aferze kłusowniczej, która w latach osiemdziesiątych zagroziła ich egzystencji. Tamte wydarzenia wyryły w jej pamięci bolesny, głęboki ślad. Wciąż pamiętała policjantów bez twarzy w budzących grozę mundurach. Strach, że aresztują Vidara i wsadzą go do więzienia, był gorszy niż cokolwiek innego. Przecież był wszystkim, co miała, nie przeżyłaby bez niego. W każdym razie tak myślała jako dziecko i być może wciąż tak sądziła. Może dlatego nigdy nie opuściła jego i Ödesmark.

Snuała się po domu przez całą noc. Gdy zrobiło się jasno, zadzwoniła na policję, pomimo tych wszystkich wspomnień i strachu przed gniewem Vidara. Teraz stała obok Simona, wstrzymując oddech, i patrzyła, jak duży facet w przyciasnym mundurze wysiada z radiowozu. Simon musiał pójść otworzyć mu drzwi, bo Liv była jak sparaliżowana i tak mocno ścisnęła słoiczek z maścią, że aż pobielaly jej knykcie.

Kiedy policjant wszedł do kuchni, odetchnęła.

– Przyjechałeś sam?

Hassan rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Na to wygląda. Mam nadzieję, że nie jesteś tym rozczarowana.

Uśmiechnął się i omiół kuchnię wzrokiem: zniszczone szafki, psa, puste krzesło, na którym powinien siedzieć Vidar.

– A więc tak mieszkanie?

– Znacie się?

– Powiedzmy. Hassan czasami robi zakupy na stacji.

Liv postawiła na stole dodatkową filiżankę i poprosiła go, by usiadł. Zajął miejsce naprzeciwko Simona, wyciągnął rękę nad stołem, żeby się przywitać. Ucieszyła się, że to Hassan, znajoma twarz, lecz jego obecność i tak sprawiała, że czuła się niepewnie. Piskliwym głosem zaczęła opowiadać o Vidarze, o pustym łóżku i porannej gazecie niewyjętej ze skrzynki na listy. Nigdzie nie pojechał, bo samochód stał na podjeździe, co oznaczało, że musiał gdzieś pójść. Nie było w tym nic dziwnego, przecież ciągle gdzieś się szwendał, ale nigdy nie zniknął bez słowa na ponad dobę, no chyba że na polowanie. Poza tym nocami wciąż było zimno. Stanowczo za

zimno, żeby włóczyć się po polach.

Simon opowiedział o poszukiwaniach, które odbyły się wieczorem, jak chodzili z latarkami i wołali Vidara, niestety na próżno. Okrążyli całe jezioro, on i Felicia, lecz niczego nie znaleźli. Liv opowiedziała o rozmowie z Serudią, o tym, że staruszka stwierdziła, iż widziała Vidara biegnącego, jakby gonił go wilk, chociaż trzeba wziąć poprawkę na jej słowa. Wystarczyło na nią spojrzeć, by się domyślić, że niewiele widzi, pewnie ma jakieś urojenia.

Hassan słuchał z uwagą. Jego masywne nadgarstki leżały na stole, nie zwracał sobie głowy notowaniem tego, co słyszy. Coś w jego spojrzeniu sprawiało, że Liv przeszył nieprzyjemny dreszcz.

– Ile lat ma Vidar?

– Osiemdziesiąt.

– Choruje na coś?

– Starość mu doskwiera, ale poza tym jest zdrow jak ryba. Nigdy nie choruje.

– Cierpi na sztywność – przypomniał Simon.

– Sztywność?

– Tak, ciało mu sztywnieje, gdy śpi, zwłaszcza ręce. Rano nie jest w stanie zacisnąć dłoni, palce są sztywne jak szpony. – Simon uniósł rękę i zademonstrował. – Bierze na to leki – dodał.

– A problemy z pamięcią?

– Ależ skąd – odparła Liv. – Raczej odwrotnie, ma świetną pamięć.

– Może mówił, że jest zmęczony życiem, albo okazywał to w jakiś inny sposób?

– Nie – odpowiedzieli jednocześnie.

Rosnąca na podwórku jarzębina kołysała się na wietrze, jakby się z nich śmiała.

– Nigdy nie targnęłby się na własne życie – oświadczyła Liv. – Samobójstwo, zanim rozprawi się z nami samo życie, uważa za akt tchórzostwa.

Kurtka Hassana zaszeleściła, gdy wstał i poszedł do pokoju Vidara. Liv i Simon stali w progu i przypatrywali się, jak wysuwa szuflady i otwiera szafę. Kiedy spojrzął na sejf, Liv poczuła skurcz żołądka.

– Jak był ubrany, gdy wychodził z domu? Wiecie?

– Zniknęła jego kurtka zimowa – odparła Liv. – I trapery. Nie wiem, jak udało mu się je zasnurować tak wcześniej rano.

Pies leżał z podkulonym ogonem i śledził ich czujnym wzrokiem. Liv chciała zrobić to, co on. Skulić się i schować, jak wtedy, dawno temu, gdy Vidar ścisnął jej rękę pod stołem. Tak mocno, jakby chciał połamać jej palce.

Hassan chodził po domu z pokoju do pokoju, a następnie poszedł do stodoły i innych budynków gospodarczych. Oni stali w oknie i patrzyli, jak wiatr podwiewa mu ubranie. Przez las przetaczała się wichura, drzewami kołysało i szarpało, liście goniły się na lichej trawie. Simon zaczął się niecierpliwić.

– To strata czasu – stwierdził. – Ja go znajdę.

Poszedł do sieni i zaczął sznurować buty. Liv niechętnie poszła w jego ślady. Kiedy na podjeździe spotkali się z Hassanem, właśnie zaczęła padać krupa śnieżna. Drobne, niesione wiatrem ziarenka kłuły skórę niczym igły i roztapiały się natychmiast po kontakcie z ziemią.

– Poprosiłem o psa tropiącego z przewodnikiem – poinformował Hassan. – Są z Piteå, więc trochę potrwa, zanim się tu zjawią.

– Poszukamy dziadka na własną rękę – oznajmił Simon. – Nie możemy siedzieć z założonymi rękami.

Był wzrostu policjanta, ale szczuplejszy. W jego głosie pojawiła się nieprzyjemna wrogość, która zawstydziła Liv. Jej twarz stężała. Simon narzucił kaptur i ruszył w kierunku lasu.

Kiwnął głową ze zniecierpliwieniem, żeby szła za nim.

- Jesteście naprawdę pewni, że nigdzie nie pojechał? – spytał Hassan.
- Przecież auto tu stoi – odparła Liv, pokazując palcem volvo.
- Ktoś mógł go zgarnąć z drogi.
- Niby kto?
- Przyjaciel albo znajomy?

Liv spojrzała za Simonem, który już zniknął między drzewami. Pokręciła przecząco głową.

- Ojciec nie ma przyjaciół.

\* \* \*

Tuż po tym, jak zostawił Vanję w przedszkolu, poczuł, że opuszcza go odwaga. Radio trzeszczało, kiedy jechał przez wieś. Wciąż nie komentowano sprawy Vidara Björnlunda, lecz zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu. Niebawem rozpęta się piekło. Ale nie mógł się po prostu poddać, musiał walczyć, jeśli chciał uporządkować swoje życie. Teraz albo nigdy. Był pewien, że bez problemu znalazłby zatrudnienie w tartaku, szef ojca obiecał im to na pogrzebie. Moje drzwi zawsze stoją dla was otworem – powiedział, a Liam i Gabriel wymienili porozumiewawcze spojrzenia świadczące o tym, że wolą umrzeć, niż skorzystać z tej oferty. Liam wciąż tak czuł. Na samą myśl, że miałby założyć kombinezon roboczy ojca, robiło mu się niedobrze. To była zasada, którą wypracowali przez lata – nigdy nie palić tych samych papierosów, nie pić tego samego piwa i nie zakładać tych samych ciuchów roboczych co ojciec. Wiedzieli, że jeśli to zrobią, będzie po nich.

Za wszelką cenę chciał uniknąć pracy w tartaku. Skręcił na stację benzynową, zaparkował przy jednym z dystrybutorów i wyłączył silnik. W dużym oknie wypatrywał córki Vidara Björnlunda. Miał nadzieję, że tam stoi na dowód tego, że wszystko jest dobrze, że ta noc w Ödesmark to tylko zły sen. Ale nie było jej tam, za kasą stał właściciel, niski mężczyzna z głębokimi zmarszczkami mimicznymi. Luz, z jakim się poruszał, świadczył o tym, że to człowiek cieszący się życiem, taki, który dobrze myśli o innych ludziach i patrzy im w oczy, nie wszczynając awantur. Taki człowiek, którym Liam chciałby być.

Kradli na tej stacji mnóstwo razy. Gabriel wciąż to robił. Chował snickersy pod kurtkę, bardziej z przyzwyczajenia niż z głodu. Ale dawno nie wpadli. Ostatnio, gdy Liam miał czternaście lat i próbowali ukraść papierosy z magazynu. Stacja miała wtedy inną nazwę. Sprzedawca biegł za nimi aż do kościoła, podstawił Gabrielowi nogę i docisnął go kolanem między łopatkami, gdy ten leżał na ziemi. Groził, że ukatrupi ich obu, ale pojawiła się policja i kazała mu się opamiętać. Karą było lanie od ojca i kilka rozmów w pomocy społecznej. W tamtym czasie ojciec nie miał już włosów, ale to go nie powstrzymało przed skopaniem im tyłków. Był wściekły głównie dlatego, że wpadli i przynieśli mu wstyd.

Liam pokręcił wsteczne lustro i spojrzał sobie w oczy. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł: to tutaj będzie pracował, w centrum miejscowości, by każdy mógł zobaczyć jego przemianę. Przyliżał ręką włosy, podeksycytowany. Pomyślał, że nie ma szans, by go zatrudnili, ale musi spróbować. Spojrzał na swój strój – dżinsy były całe i czyste, koszula wyglądała na nową, chociaż miała kilka lat. Prezent od matki z czasów, gdy nie wszystkie jej pieniądze szły na karmę dla psów i środki odrobaczające. Nigdy wcześniej jej nie założył, aż do teraz, nie pasowała do jego dawnego życia. Zobaczył w lusterku swoje zdenerwowane oczy. Próbował się uśmiechnąć, lecz na próżno, wyglądał raczej jak przerażony pies pokazujący zęby.

Było mu niedobrze, gdy szedł w kierunku stacji benzynowej. Kiedy wszedł do środka, przy kasie stał jakiś starszy mężczyzna. Właściciel głośno się śmiał. Chyba rozmawiali o hokeju,

o nowym transferze z Motali. Liam przypomniał sobie, jak truł ojcu, że chce grać. Marudził tak długo, aż ojciec w końcu nie wytrzymał i wykrzyczał mu, że nie stać go na te wszystkie łyżwy, kaski, ochraniacze na jaja i cały ten hokejowy badziew: Cholera, musiałeś wybrać najdroższy sport? Może pokop piłkę?

Starszy pan zapłacił za zakupy i mijając Liama, skinął głową. Liam odpowiedział skinieniem. W sklepie nie było ludzi, tylko on i właściciel. Podchodząc do kasy, poczuł nagły przypływ adrenaliny, jakby zamierzał ją obrabować. Kiedy zacisnął szczęki, poczuł ból w chorym zębie i zastanawiał się, czy po nim widać, że jest popaprańcem, że wszystko pod jego skórą jest ciemne i zgniłe.

Właścicielowi zrzędała mina, gdy Liam położył rękę na ladzie.

– Mogę w czymś pomóc?

– Chyba tak – odparł Liam z wahaniem. – To znaczy, chciałem spytać, czy nie potrzebujecie ludzi.

– Do pracy? U nas?

– Tak.

Właściciel ze zdziwieniem zamrugał powiekami. Zapadła niezręczna cisza. Liam zerknął na identyfikator, imię „Niila” nic mu nie mówiło. Nie przypominał sobie, żeby ich drogi kiedykolwiek się skrzyżowały, ale nigdy nie można mieć pewności. Schował dłonie w rękawach kurtki, by ukryć wytatuowane knykcie, lecz po chwili zmienił zdanie i znowu położył rękę na ladzie. Pomyślał, że jeśli ma dostać tę robotę, nie może niczego ukrywać, wybielać. Widział, jak Niila mierzy go wzrokiem, jak przygląda się bliznom na jego twarzy oraz koszuli, w której czuł się nieswojo.

– Możesz pracować w weekendy?

– Żaden problem.

– Stałeś kiedyś za kasą?

– Nie, ale dobrze liczę i takie tam.

– Nie musimy już tyle liczyć. – Niila dotknął maszyny i wysunęła się z niej szuflada z monetami. – Ona robi to za nas.

Liam gotował się pod koszulą, powstrzymywał się, żeby po prostu nie odwrócić się na pięcie i nie wyjść.

– No tak. Wygaduję głupoty.

– Gdzie wcześniej pracowałeś?

Niila wydawał się szczerze zainteresowany, w jego głosie nie było złośliwości ani pogardy. Liam przełknął ślinę. Planował opowiedzieć historię o czyszczeniu ryb w Norwegii, co nie było całkowitą nieprawdą, przecież czyścił ryby bilion razy, chociaż nigdy w Norwegii. I nigdy mu za to nie płacono. Zazwyczaj ściemniał bez problemów, ale teraz miał wrażenie, że jego mózg się zawiesił. Nie chciał kłamać, nie w tym momencie.

– Nigdy nie miałem normalnej pracy. Zawsze coś stało na przeszkodzie. Ale potrafię to i owo i szybko się uczę. Mam córkę, niedługo skończy sześć lat. Wychowuję ją sam, bo jej mama wybrała narkotyki. Mała ma tylko mnie i obiecałem sobie, że będę dobrym ojcem. Potrzebuję pracy i jeśli mnie zatrudnisz, to się nie rozczarujesz. Będę sobie wypruwał żyły.

Wypluł z siebie wszystko i może było coś w jego głosie, bo zobaczył powagę w spojrzeniu Niili. Nie roześmiał się ani go nie wygonił. Ale zanim zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i do środka weszły dwie młode dziewczyny, więc Liam odszedł na bok, żeby nie przeszkadzać. Długo chodziły między półkami, a Niila nic nie mówił, dopóki nie zapłaciły za słodczyce oraz kolorowe gazety i nie wyszły.

– Wiem, kim jesteś – oświadczył Niila. – Wiem też, kim jest twój brat. Jesteście braćmi

Lilja z Kallbodan.

Liam zatkąło, uczucie porażki było jak cios pięścią w brzuch. Jasne, że wiedział, wszyscy wiedzieli. Liam musiałby pojechać dalej niż do Arvidsjaur, by znaleźć pracę.

– Sprzedajecie trawę i prochy moim kuzynom.

– Już nie. Skończyłem z tym.

– Ćpasz?

Liam pokręcił przecząco głową. Twarz go paliła, czuł wstyd i złość. Miał ochotę chwycić Niilę za kark i uderzyć jego twarzą o lśniąca ładę, zrobić z niej miazgę. Dać mu odpowiedź, której oczekiwał. Ale miał przed oczami Vanję, jej duże, poważne oczy, więc stał nieruchomo i przyjmował wszystko na klatę.

Niila podrapał się po szyi. Pod kołnierzykiem zamajaczył tatuaż.

– W sumie to przydałby nam się ktoś w weekendy – powiedział. – Ale mogę ci dać góra dziesięć–piętnaście godzin, przynajmniej na początku.

– Okej. Wezmę cokolwiek.

– Przyjedź w sobotę o dziesiątej rano, to zobaczymy, do czego się nadajesz.

Uścisnęli sobie ręce nad ładą, a Liam poczuł gulę w gardle. Był w stanie jedynie się uśmiechnąć i skinąć głową. Kiedy wyszedł z budynku, padał mokry śnieg. Uniósł twarz ku niebu. Miał ochotę krzyknąć z radości, lecz zrobił to dopiero w samochodzie, dopiero wtedy uderzył dłońmi w kierownicę i zawył.

Wzrok Liama padł na mężczyznę stojącego przy dystrybutorze oleju napędowego i obserwującego jego emocjonalną reakcję. Chroniąc się przed śniegiem, uniósł kołnierz i założył na głowę kaptur, jego blada twarz majaczyła na tle czarnego materiału. Nagle Liam zamarł. Mógłby przysiąc, że to Vidar Björnlund. We własnej osobie.

\* \* \*

Ich głosy niosły się echem po lesie. Przestał padać śnieg, między drzewami pojawiło się światło, ziemia parowała, a na ich twarzach osadzała się wilgoć. Szli ścieżką wokół jeziora, Simon z przodu. Liv musiała się starać, żeby nie stracić go z oczu, bała się, że on też zniknie. Pies Vidara wbiegał w zarośla i z nich wybiegał, błogo nieświadomy tego, co się dzieje. Pies kanapowy – mało przydatny podczas poszukiwań. Liv była zdziwiona, że Vidar pozwalał mu żyć, nigdy nie był wielkim fanem głupich psów.

Ziemia była mokra i grzęzły w niej buty. Liv podnosiła wysoko nogi i wzdrygała się na dźwięk łamanych gałęzi. Miała wrażenie, że stąpają po kościach. Wyobraziła sobie las martwych ciał leżących w ziemi. I wszędzie widziała twarz Vidara. Wyglądał zza sosen i cmokał wąskimi ustami. Stawiając każdy następny krok, spodziewała się, że zaraz z krzaków wyłonią się jego powykrzywiane palce i ją chwycą.

Wibrował w niej głos Simona, jego wołanie sunęło po czarnym lustrze wody i biegło dalej, do wsi. Po jakimś czasie dołączyli do nich sąsiedzi. Najpierw przyszła Serudia. Jej przygarbiona postać stapała się ze świerkami i zauważyli ją dopiero, gdy zaczęła śpiewać imię Vidara tak silnym głosem, jakby nawoływała stado krów.

Modigowie też przyszli wraz ze swoją wonią obornika i podekscytowaniem. Felicia miała oczy pomalowane na czarno, a jej niebieskie włosy dziko powiewały na wietrze. Kiedy zobaczyła Liv, w kącikach jej ust pojawił się uśmiech, jakby ta sytuacja w jakiś sposób ją bawiła. Eva przyszła z kijkami narciarskimi, które wbijała w pulchną glebę. Za nią człapał Douglas, spocony i zasapany.

– Zadzwoniliście po pomoc? – spytał.

– Pies tropiący z przewodnikiem są w drodze.

– W drodze – Douglas splunął na mech. – Do tego czasu sami go wytropimy.

Dotarli do mokradeł rozciągających się za jeziorem. Eva prowadziła, wskazywała drogę i dyrygowała kijkami. Douglas deptał Liv po piętach, słyszała tylko jego sapanie i wodę płynącą pod kępami mchu. Johnny też do nich dołączył, spytał, skąd to poruszenie. Wyglądał, jakby dopiero co się obudził, był nieogolony, a włosy sterczały mu na wszystkie strony. Miał urażone spojrzenie, gdy Liv opowiadała mu o zaginięciu Vidara.

– Dlaczego z tym do mnie nie przyszedłeś?

– Przyszedłem, ale cię nie zastałem.

Poprosiła go, żeby szedł po zewnętrznej stronie tyraliery, jak najdalej od niej. Nie chciała, by się do niej zbliżał. Nie teraz.

Jedyną osobą, która nie zaoferowała pomocy, był Karl-Erik. Stał na granicy swojej działki z rękami splecionymi na brzuchu i się im przyglądał. Kiedy Douglas go zawołał, odwrócił się na pięcie i zniknął w krzakach, jakby niczego nie słyszał. Simon podniósł z ziemi patyk i rzucił nim w te krzaki.

– Dlaczego nie pomaga?

– Bo to przeklęty leń – odparł Douglas.

– Dajcie mu spokój – powiedziała Liv. – Ojciec też by go nie szukał, gdyby to on zginął.

Douglas splunął na ziemię i zrobił krok w ich stronę. Delikatne drżenie mięśni twarzy zdradzało jego podekscytowanie. Rajcowało go to, widziała to po nim. Zniknięcie Vidara było dla Douglasa jak wiatr w żagle.

– Może gdzieś tu leży człowiek i umiera – oznajmił. – To skandal, że nie pomaga w takiej sytuacji.

Liv odwróciła się do niego plecami i skupiła wzrok na mokrej ziemi i swoich wizjach. W ostrym świetle wszystko stało się wyraźniejsze, mniej złowrogie, lecz i tak widziała pod nogami Vidara. Białka jego oczu majaczyły pod leżącymi gałęziami i chrobotkiem reniferowym. Jego głos przenikał ją niczym zimny wiatr. Vidar był wszędzie i nigdzie.

\*

Kiedy pojawiła się przewodniczka z psem tropiącym, ich wołania ucichły. Usiedli przy jednym z opuszczonych domów we wsi, żeby odpocząć. Serudia puściła w obieg nakrętkę termosu z kawą. Niezamieszkaną dom należał kiedyś do rzeźnika, ale teraz nikt nie rościł sobie praw do tych starych, poszarzałych desek. Hulał tu tylko wiatr i nornice.

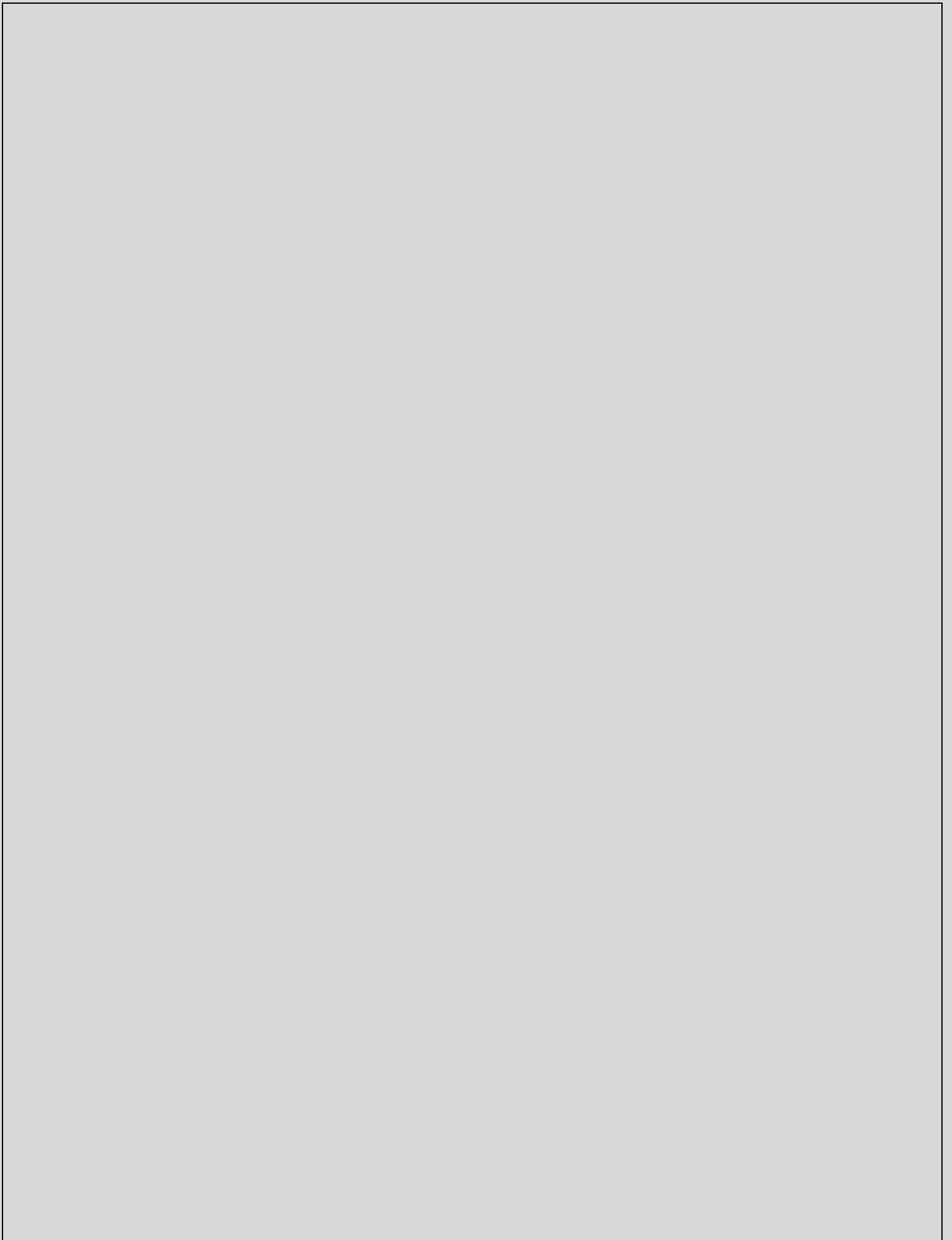
Jaskrawy radiowóz policyjny rzucał się w oczy na tle zarośli. W bagażniku siedział owczarek niemiecki i ślinił się z zachwyty. Jego przewodniczka, Anja Svärd, zadawała te same pytania, co Hassan. Simon stał, obejmując ramieniem Liv, a ona odpowiadała i wskazywała ścieżki oraz szlaki, które już przeszukali. Anja poprosiła o jakąś rzecz z zapachem Vidara, więc Liv zaprowadziła ją do domu i zdjęła z wieszaka rozpinany sweter, który stary często nosił, ale rzadko prał. Zanim wręczyła go policjantce, powąchała wełnę, by się upewnić, że zjełczała woń jej ojca przypominająca przejrzały owoc wciąż jest wyczuwalna.

Stała w oknie i patrzyła, jak odchodzą. Czarny pies szarpał za smycz, jakby już zwietrzył trop. W powietrzu wibrowało napięcie. Głos Simona lewitował gdzieś za jej plecami.

– Teraz go znajdą. Pies go znajdzie.

Liv nie odpowiedziała. Nie była nawet w stanie się odwrócić i spojrzeć mu w oczy, ponieważ wiedziała, że przejrzy ją na wylot. Zobaczy te wszystkie ukrywane wstydlive myśli. Że bez Vidara jest lepiej i wołałaby, żeby nie wrócił.

[5] Systembolaget (szw.) – państwowa sieć sklepów mająca w Szwecji monopol na sprzedaż napojów alkoholowych o zawartości alkoholu powyżej 3,5%



## WRZESIEŃ 2001

Podjeżdża do niej jakiś gruchot z opuszczonymi szybami. Mężczyzna za kierownicą ma grzywkę opadającą na oczy i otwarte usta. Krzaczasta broda zasłania połowę jego twarzy, a ubrania są wyblakłe, poszarpane i pełno na nich igliwia. Nie odrywając od niej wzroku, pochyla się nad miejscem pasażera i otwiera drzwi.

– Wsiadasz?

Dziewczyna wciąż stoi jedną nogą w rowie. Jest jesień. Purpurowe brzozy wyglądają, jakby płonęły, a ogniste liście wirują wokół jej nóg i skorodowanego podwozia. Samochód niecierpliwie wibruje. Dziewczyna pierwszy raz się waha. Dźwięk innego pojazdu na szczycie wzniesienia rozstrzyga sprawę. Dziewczyna bez słowa wskakuje do środka i zatraskuje za sobą drzwi. Mężczyzna rusza tak gwałtownie, że jej głowa uderza o oparcie, a za samochodem ciągnie się ogon spalin. Skręca w węższą drogę, nie pytając dziewczyny, dokąd chce jechać. Dziewczyna podgłośnia radio, głównie po to, by ukryć swój strach. Słyszając skoczny szlagier, mężczyzna gwizdże.

– Wiesz, kim jestem? – pyta.

Dziewczyna kiwa głową.

– Zabiłeś własnego brata.

Mężczyzna prycha, jakby powiedziała coś niedorzecznego. Droga jest w fatalnym stanie, pełno w niej dziur, deszczówka pryska na przednią szybę. Dziewczyna nie ma pojęcia, dokąd jada, i w sumie jest jej to obojętne. On wyłącza radio i wbija w nią wzrok.

– Nie zabiłem go. To był wypadek.

Dziewczyna odwzajemnia spojrzenie. Żadne z nich nie patrzy na drogę, chociaż samochód pędzi naprzód. Po jego brodzie sunie pająk, wchodzi pomiędzy sztywny zarost i z niego wychodzi. Ona wyciąga rękę i chwyta go kciukiem i palcem wskazującym, z triumfem podnosi go do góry, po czym wypuszcza przez szparę w bocznej szybie. W jego oczach pojawia się dziwny błysk.

– To nie było konieczne.

Dziewczyna się uśmiecha. Mężczyzna nie może zobaczyć jej strachu, to jest najważniejsze. Faceci są jak wilki. Gdy wyczuwają strach, atakują.

Wąska droga zaczyna się piąć w górę. Brzozy są niskie i powykrzywiane, wiatr pozbawia je liści. Samochód ledwo zipie, ryczy, rzezi. Mężczyzna pozwala mu odpocząć dopiero na szczycie. Pomiędzy rzadkimi sosnami widać wrzos, a poniżej, w dolinie, majaczy samotny dom. Dziewczyna dotyka drzwi. Dogoni ją, jeśli zaczniesz biec. Nie ukryje się w lesie przed kimś takim.

Umięśniony mężczyzna pochyla się nad nią szybkim, kocim ruchem. Ona zamyka oczy i zaciska zęby, lecz mężczyzna chce się tylko dostać do schowka. Z jego ubrań sypią się porosty i igliwie. Wyjmuje fajkę, zapalniczkę i czekoladę, którą jej daje. Tabliczka się nagrzała, jest miękka i płynna.

– Nic więcej nie mam.

Dziewczyna je czekoladę i przygląda się mężczyźnie nabijającemu fajkę. Uśmiechają się do niej czarne obwódki pod jego paznokciami, ramiona ma opalone i umięśnione. Słodki zapach wypełnia auto, jej palce lepiają się od czekolady, gdy wyciąga rękę. Mężczyzna waha się przez chwilę, zanim pozwala jej się zaciągnąć. Dziewczyna wciąga dym głęboko w płuca, po czym wolno wypuszcza go przez nos. Po chwili jej ciało robi się ciężkie, a ona siedzi nieruchomo, patrzy na drzewa falujące na wietrze i złoto padające na dolinę.



– Naprawdę mieszkasz w lesie? – pyta.

– Jak my wszyscy.

Bulgocze w niej śmiech. Przestała się bać, widzi po nim, że jej nie tknie. Jest dziki, pogubiony, w jego oczach widać samotność, ale nie chce jej skrzywdzić.

– Ja też wiem, kim jesteś – oznajmia mężczyzna. – Wiem, kim jest twój ojciec.

Dziewczyna upuszcza fajkę na kolano, tytoń przepala jej džinsy, a ona już się nie śmieje. Mężczyzna nie jest wkurzony, otrzepuje ją ręką, ostrożnie, jakby była ze szkła. Na jego brodzie błyszczą czekolada.

– Myślisz, że twój ojciec zapłaci mi znaleźne, jeśli odstawię cię do domu?

– Nie chcę jechać do domu.

– Ach tak. A dokąd?

Dziewczyna wskazuje palcem w mrok.

– Jadę z tobą – oświadcza. – W las.

\* \* \*

– Możesz wpaść? Musimy pogadać.

– Nie dam rady, muszę odebrać Vanję z przedszkola.

– Tylko na chwilę.

Przymilny ton Gabriela oznaczał kłopoty. Liam się rozłączył. Całą radość, którą czuł z powodu nowej pracy, zastąpił ćmiący niepokój. Chciał się odciąć od Gabriela, lecz równocześnie czuł, że musi mieć na niego oko, musi się upewnić, że nie pogorszy sprawy.

Budynek, w którym mieszkał Gabriel, znajdował się zaledwie kilka kwartałów od stacji benzynowej, w samym centrum. Liam siedział w aucie na parkingu i zerkał na czerwone balkony. O jedną z balustrad opierała się zasuszona choinka, wciąż w błyszczących łańcuchach na poźółkłych gałęziach. Drzwi balkonowe były uchylone, w środku migłał telewizor.

Gabriel wyprowadził się z domu, gdy miał szesnaście lat. Nie pozostawiono mu wyboru. Matka miała dość narkotyków i jego humorów i w końcu go wyrzuciła. Zrobiła to, czego nigdy nie udało jej się zrobić z ojcem. Była wściekła. Wyrzuciła jego rzeczy przez okno, džinsy i kradzione sneakersy znalazły się na podwórku. Gabriel zepchnął ją ze schodów, zacisnął jej ramię na szyi i przydusił. Matka wbiła zęby w jego rękę i ugryzła. To mogłoby się skończyć bardzo źle, gdyby nie wkroczył Liam. Rozdzielił ich w ostatniej chwili, zanim się pozabijali. Był pewny, że brat wróci, lecz tak się nie stało.

Gabriel nigdy nie miał własnego mieszkania, ale i tak zawsze jakoś sobie radził. Mieszkał u kumpli albo swoich dziewczyn. Pewnej przeraźliwie mroźnej zimy spał na kanapie u starego pijaka, który się nad nim zlitował. Wszystko po to, by nie musieć wracać do domu, do Kallbodan.

Teraz mieszkał z Johanną, młodą dziewczyną, która wiecznie spała. Nawet gdy nie spała, powieki opadały jej, jakby zaraz miała odpłynąć. Te parę razy, kiedy Liam z nią rozmawiał, mówiła sennym głosem. Podobno się zaręczyli. Gabriel ukradł pierścionek w sklepie jubilerskim. Nie trafił z rozmiarem, więc nosiła go na środkowym palcu i za każdym razem, gdy pokazywała go ludziom, wyglądało to tak, jakby pokazywała im fucka.

Liam pokonał schody dużymi susami. Miał przy pasku nóż, wypuścił koszulę ze spodni, żeby go zasłonić. Nigdy wcześniej nie bał się Gabriela, nie na serio, nie tak jak teraz. Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze. Ze szpary pod drzwiami wydobywał się duszący dym marihuany pomieszany z zapachem frytek. Musiał zadzwonić trzy razy, żeby Gabriel w końcu otworzył. Nie miał na sobie koszulki, a džinsy luźno wisiąły mu na biodrach. Liam odnotował bladą cerę i zapadnięte policzki.

Gabriel uśmiechnął się z przekąsem, gdy Liam wszedł do przedpokoju.

– Cholera, coś ty na siebie włożył?

Liam spojrział na swoją koszulę z długim rękawem. Sztywny materiał kleił się do ciała.

– Szukałem dziś pracy.

– A niech mnie. Myślałem, że to tylko takie gadanie.

Gabriel podrapał się po gołej kłacie, zamrugał powiekami. W mieszkaniu panował mrok, rozświetlała je tylko poświata telewizora. W popielniczce żarzył się papieros, a powietrze było ciężkie od dymu. Johanna leżała na kanapie w samych majtkach i koszulce na ramiączkach. Nie odpowiedziała na „cześć” Liama.

Bracia weszli do aneksu kuchennego, gdzie obok pustych kieliszków i kawałków folii aluminiowej leżały opakowania po chipsach i kartony po pizzy. Wszystko to pokrywała cienka warstwa kurzu. Nie było ani jednego krzesła, więc Liam oparł się o zlew, ale poczuł, że coś mu się klei do dłoni, więc zamiast tego stanął przy ścianie. Gabriel podciągnął nieco żaluzje i wyjrzał na podwórko. Obaj nie potrafili spojrzeć sobie w oczy.

– Myślałem, że nie przyjdiesz.

– Czego chcesz?

– Chciałem sprawdzić, co u ciebie.

– Żyję.

Liam rozpiął górne guziki koszuli, stęchłe powietrze utrudniało oddychanie.

– Cholera, jesteś cały roztrzęsiony – stwierdził Gabriel.

Z kieszeni dżinsów wyjął woreczek foliowy.

– Masz. Weź, ile chcesz. Zanim się rozsypiesz.

– Nie chcę.

Gabriel rzucił w niego woreczkiem. Liam go złapał i wsunął do kieszeni, chociaż nie powinien, miał w domu prochy, poza tym chciał z tym skończyć, lecz nie miał siły na kłótnię z Gabrielem. Zerknął na mieszkanie. W rogu leżał wąski materac, niedbale zaścielony, z kocami i poduszkami w różnych kolorach i rozmiarach. Kanapa narożna była zniszczona, poklejona taśmą izolacyjną w miejscach, w których zaczęła wychodzić pianka. Blade nogi Johanny leżały rozłożone na zmechaczonej tkaninie, a po wewnętrznej stronie jej ud majaczyły intensywnie czerwone ślady. Wyglądała, jakby nie żyła. Liam odwrócił wzrok. Nie wiedział, gdzie Gabriel poznaje swoje dziewczyny. Zawsze były młode, dużo młodsze od niego, i był dla nich miły tylko na początku.

– Po co dzwoniłeś?

Gabriel zerknął do pokoju, w którym leżała Johanna, i przysunął się do Liama.

– Pomyślałem, że powinniśmy tam wrócić.

– Dlaczego?

– Pozbędziemy się tego, co zostało, zanim coś znajdą.

– Jest za późno, nie rozumiesz tego? Teraz roi się tam od ludzi.

– Nie w środku nocy. Pojedziemy tam w nocy i zajmiemy się tym.

– Pocięło cię.

Gabriel przejechał ręką po ogolonej głowie, blizna na knykciach zalśniła w lekko przytłumionym świetle. Próbował się uśmiechnąć, lecz jedna połowa twarzy była bardziej opieszala od drugiej i nie do końca nadażała.

– Stary, martwię się o ciebie – powiedział. – Źle przez ciebie sypiam.

– Radzę sobie.

To była prawda, pierwszy raz w życiu poczuł, że się oddalili, że coś ich podzieliło. Odkąd pamiętał, pozwalał, by Gabriel wydeptywał mu ścieżki, wskazywał kierunek. Tak było prościej, pozwolić komuś decydować. I chociaż prawie zawsze wszystko się rypało, to byli we dwóch,

obrywali obaj. Nawet gdy urodziła się Vanja, nie potrafił pójść własną drogą, dopiero teraz, gdy świat już się zawalił, dotarło do niego, że to możliwe. Niezależnie od tego, co tak naprawdę wydarzyło się na tych mokradłach, wyzwoliło go to.

Może Gabriel też wyczuł, że coś się między nimi zmieniło, bo zachowywał się ostrożniej, niemal uprzejmie.

– Jak myślisz, kiedy go znajda? – spytał.

– Jestem zdziwiony, że to tyle trwa.

Gabriel wysunął z paczki dwa papierosy, jednego włożył sobie do ust, a drugiego podał Liamowi. Jego źrenice wyglądały w świetle zapalniczki jak główki szpilek. Na klatce piersiowej połyskiwały kropelki potu świadczące o jego zdenerwowaniu. Ale twarz niczego nie zdradzała, głos miał pewny i spokojny. Gabriel był taki od zawsze: miły i elastyczny w jednej sekundzie i eksplodujący w kolejnej.

– Skasowałeś zdjęcia? – upewnił się.

– Jakie zdjęcia?

– Te, które wtedy robiłeś. Zapomniałeś o nich?

Liam zaciągnął się głęboko i zdusił kasznięcie. iPhone palił go w kieszeni. Miał przed oczami mokradła, czuł ich wilgoć wypełniającą płuca. Widział starego mężczyznę zataczającego się o świecie. Wyglądał tak mizernie, gdy słońce zaświeciło nad jego głową. Był o włos od śmierci. Na myśl o zdjęciach Liam poczuł mdłości.

– Co robicie?

Johanna stała w drzwiach i przyglądała się im sennym wzrokiem. Naciągnęła cienką koszulkę, żeby zakryć majtki. Gabriel wycelował w nią papierosem.

– Połóż się.

Johanna spojrzała na Liama, zamrugła ciężkimi powiekami.

– Cześć, Liam, kopę lat.

– Wracaj do pokoju, jasne?!

Gabriel ruszył w jej kierunku. Chciał ją chwycić, ale złapał tylko za kosmyk jej włosów. Johanna krzyknęła i mu się wyrwała, biegiem wróciła na kanapę i schowała się pod koc. Gabriel skarcił ją wzrokiem.

– Liam przyszedł, żeby ze mną pogadać. Siedź cicho, jasne? Nie chcę nawet słyszeć twojego oddechu.

Ledwo można było dojrzeć jej smukłe ciało pod kocem, ale materiał się unosił, jakby płakała. Gabriel stał się dokładnie taki, jak ich ojciec. Traktował swoją kobietę gorzej niż psa, gorzej niż wszystkich innych. Liam poczuł, że ma tego dość.

– Będę leciał.

– Przecież dopiero przyszedłeś, zostań i wyluzuj.

– Muszę odebrać Vanję z przedszkola.

Gabriel odprowadził go do przedpokoju. Nigdy się nie ściskali, lecz teraz objął Liama za szyję i przyciągnął do siebie tak blisko, że jego usta musnęły ucho Liama.

– Skasowałeś zdjęcia?

– Mhm.

– Mogę zobaczyć?

– Nie ma czego oglądać. Zniknęły.

– Świetnie.

Gabriel przekręcił głowę, dotknął czołem czoła Liama, a on poczuł jego metaliczny oddech.

– Wyrzuć to z głowy, stary – szepnął. – Wyrzuć z głowy całe to gówno.

\* \* \*

Zapadła ciężka i głęboka noc, ale Liv nie mogła zasnąć. Ciało bolało ją po całym dniu spędzonym w lesie, wołało o odpoczynek, lecz nie potrafiła uspokoić myśli. Ciemność się poruszała, cienie pełzały i migotały w zaroślach. Temperatura spadła do minus sześciu stopni. Myślała o Vidarze – że gdzieś tam leży i zamarza. Miała przed oczami jego dłonie, sztywne palce i wiedziała, że jego ciało nie przetrwa zbyt wielu takich nocy.

Pies policyjny niczego nie znalazł. Przewodniczka oddała Liv sweter Vidara z przeproszającą miną, a Liv przyłożyła go do nosa. Zimny i mokry nie miał już jego zapachu. Hassan spytał, czy Vidar mógł gdzieś wyjechać.

– Może zabrał swój paszport? Gotówkę?

– Ojciec nie ma paszportu. Nigdy nie był za granicą.

Hassan poprosił ją, żeby otworzyła sejf, ale ani ona, ani Simon nie znali szyfru. Majątek nie należał przecież do nich, tylko do Vidara. Hassan zadał jej wiele pytań dotyczących pieniędzy. Ile gotówki Vidar miał przy sobie, gdyby zdecydował się ruszyć w drogę? Z kim robił w przeszłości interesy? Jak brzmią nazwiska znajomych, którzy mogliby coś wiedzieć. Liv sporządziła taką listę, ale Vidar nie robił interesów od ponad dwudziestu lat, więc była krótka i niepełna.

– Nigdzie nie pojechał.

– Skąd ta pewność?

– Nigdy by nas nie zostawił, mnie i Simona. Jesteśmy dla niego wszystkim.

## PAŹDZIERNIK 2001

Tę jesień spędza z Samotnym Wilkiem z północnego lasu. Jego samochód drzemie na parkingu leśnym za każdym razem, kiedy ona wychodzi na główną drogę. Dopiero gdy jest już prawie przy aucie, zapala światła i włącza silnik, posyła jej uśmiech, który rozgrzewa ją od wewnątrz. Jego intensywny zapach dzikości wypełnia ją wolnością. Suną wąskimi drogami zasnutymi mgłą, jedzą mięso, które upolował i ususzył, gadają o rzeczach, o których normalnie z nikim nie rozmawiają.

On opowiada o swoim bracie, o wszystkich problemach, których przysparzali przed tym śmiertelnym postrzeleniem. O ich wspólnym życiu.

– Trzymałem go w ramionach, dopóki nie nadeszła pomoc, ale nic z tego nie pamiętam. Wiem tylko, że matka nie chciała mnie wpuścić do domu, gdy wróciłem. Zamknęła drzwi na klucz. Tak oto wylądowałem w lesie.

Wciąż ma te zakrwawione ubrania, leżą w skrzyni w ruderze, która stała się jego domem. Czasami je wyjmuje i zanurza twarz w sztywnej tkaninie. Postarzał się z bólu i samotności. Nie ma jeszcze trzydziestki, ale na jego twarzy są już głębokie zmarszczki. Rodzice nigdy mu nie wybaczyli.

Dziewczyna próbuje sobie wyobrazić, jakby to było, gdyby ojciec na dobre zamknął przed nią drzwi, gdyby ją wyrzucił. O niczym innym bardziej nie marzy.

– Twój ojciec to gnój – stwierdza Samotny Wilk. – Ale ty, ty jesteś olśniewająca.

Ona ściąga igliwie z jego ubrań i opowiada o tych wszystkich miejscach, do których pojadą, o palmach, brukowanych alejkach i zielonej wodzie uderzającej o skały.

– Możemy pojechać tam razem – mówi, a on uśmiecha się pobłażliwie, co oznacza, że jest za młoda, by zrozumieć świat. On jest od niej starszy o dziesięć lat i trzyma ręce przy sobie, nigdy nie próbuje dotknąć jej tak, jak dotykają jej inni mężczyźni. Czasami pali tyle trawy, że ona musi przejąć kierownicę. Śpi z głową na jej kolanach i z uśmiechem szczęścia na popękanych ustach.

\*

Kiedy spada pierwszy śnieg, parkują na wzniesieniu i patrzą, jak białe płatki ubierają las w zimę. Nagle świat staje się boleśnie biały, a z oczu Samotnego Wilka płyną łzy, gdy obserwuje dolinę rozciągającą się pod nimi. Ale nie chce powiedzieć, dlaczego płacze. Z ich ust wydobywa się para i po chwili widzą tylko ją. Kiedy on wysiada z auta, dziewczyna idzie w jego ślady, spoglądają w niebo i zachłannie otwierają buzie, łapiąc śnieg. Jego broda jest sztywna i błyszcząca, gdy odwraca się do niej i wskazuje palcem wierzchołki świerków.

– Gdyby nie twój ojciec, cały północny las byłby mój – oznajmia.

W jego głosie wibruje gniew. Mokre płatki śniegu osiadają na ich rzęsach i dziewczyna się cieszy, że nie widzą siebie zbyt dobrze. Odkąd się urodziła, słyszała, że ojciec jest pazerny na ziemię, lecz nie wiedziała, co to ma wspólnego z nią.

– Przyszedł do moich rodziców po śmierci brata, kiedy go oplakiwali i nie myśleli racjonalnie. Zaoferował, że odkupi od nich ziemię, żeby mogli rozpocząć nowe życie gdzie indziej, uciec od wszystkich bolesnych wspomnień. Bez mrugnięcia okiem sprzedali mu ziemię, która była w naszej rodzinie od czterech pokoleń.

Dziewczyna bierze go za rękę i stoją tak przez dłuższą chwilę. Patrzą, jak śnieg powoli otula dolinę. Zamarznięty oddech rzeki unosi się ku niebu, a on rozpina kurtkę i pozwala jej się

ogrzać. Wyjmuje z kieszeni błyszczący, srebrny naszyjnik z serduszkami. Bez słowa odgarnia jej włosy i zapina go jej na szyi.

– To nie przypadek, że się poznaliśmy – mówi. – Tak miało być. Mieliśmy się spotkać i wszystko naprawić.

\* \* \*

Wzrok Liv wędrował pomiędzy drogą a świerkami. Wciąż czekała, że las się rozstąpi i wypuści chudą postać Vidara. Że ojciec niebawem z niego wyjdzie, jakby nic się nie stało. Wkroczy do sieni, zobaczy ślady obcych butów i przeklnie ją za to, że wpuściła obcych do jego domu, do jego twierdzy. Niemal widziała, jak marszczy nos i węszy niczym pies w zatęchłym powietrzu. Słyszała jego urażony głos: Co ja mówiłem o sprowadzaniu obcych?

Może chciał im dać nauczkę. Definitywnie sprawdzić ich lojalność, trzymając się od nich z daleka. Nie zdziwiłoby jej, gdyby gdzieś tam stał, w bezpiecznej odległości, i obserwował ich swoimi rozwodnionymi, bladymi oczami. Ale tego nie mogła powiedzieć policji, nie zrozumieliby jej. Nawet Hassan.

– Nie masz nic przeciwko, żebym odwiedził Felicię?

W drzwiach stał Simon. Miał zachrypnięty głos od nawoływania w lesie, twarz zaczerwienioną od płaczu i niewyspania. Chciała wyciągnąć ramiona, żeby mógł podbiec i się w nich schować, tak jak to robił, gdy był mały. Chciała go poprosić, żeby został.

– Możesz pójść ze mną – zaproponował, jakby czytał jej w myślach. – Eva zawsze mówi, żebym wziął cię ze sobą.

– Ktoś musi tu zostać na wypadek, że dziadek wróci.

Siedziała na krześle Vidara przy oknie i patrzyła, jak syn wychodzi. Zanim zniknął między drzewami, odwrócił się i jej pomachał. W pierwszym odruchu chciała otworzyć okno i krzyknąć, żeby wrócił do ciepłego i bezpiecznego domu, w którym nic nie może mu się stać, lecz poprzestała na uniesieniu ręki. Poczowała chłód szyby.

Pies leżał w progu pokoju Vidara. Za każdym razem, gdy wiatr pieścił stare ściany domu, podnosił głowę i nasłuchiwał wyczekująco. Zostawiła drzwi uchylone, jakby chciała się upewnić, że rzeczywiście pokój jest pusty.

Przysypiała na siedząco i nie widziała postaci idącej drogą. Dostrzegła ją dopiero, kiedy pies wstał, a z jego chudej klatki piersiowej wyrwało się głuche warczenie. Liv zmrużyła oczy za firankami. Zauważyła kontury mężczyzny poruszającego się w ciemności. Szedł wzdłuż drewnianej, jakby nie chciał, żeby ktoś go zobaczył.

Warczenie psa przeszło w szczekanie. Liv szybko sprzątnęła ze stołu dodatkową filiżankę, tę, z której pił Hassan. Syknęła do suki, żeby się uciszyła, po czym wymknęła się do sieni. Szła z ręką przy ścianie, potrzebowała czegoś stabilnego, o co mogłaby się oprzeć. Na zewnątrz było zbyt ciemno, by zobaczyć coś przez okienko w sieni, ale usłyszała, że ktoś wszedł na ganek, stare deski trzeszczały pod jego ciężarem.

– Tato, to ty?

Spytała tak cicho, że nie dostała odpowiedzi. Cofnęła się między zimowe kurtki wiszące na wieszaku, przez jej głowę przebiegały tysiące myśli. To koniec, zabawa się skończyła. Vidar wrócił, gotowy wkroczyć i znowu przejąć dowodzenie. Zerknęła na strzelbę wiszącą na ścianie, oczami wyobraźni widziała, jak ojciec ją unosi i strzela w drzwi. Jedna z kurtek miała kaptur z futerkiem łaskoczącym ją po twarzy. Śliskie tkaniny miały jego zapach: tytoniu i niemytej, starej skóry. Jego słowa dźwięczały jej w uszach, te wszystkie inwektywy, którymi ją obrzucał, gdy naszała go ochota.

– Kiedy umrę, będziesz bogata – mawiał. – To jedno jest pewne. Zostaniesz

wydziedziczona tylko wtedy, gdy mnie zabijesz.

Potem się śmiał, wypowiedziawszy te nieprzyjemne słowa.

Na nagłe pukanie do drzwi pies zareagował piskliwym szczekaniem. Liv stała między kurtkami, wstrzymując oddech, czekała. Vidar nigdy nie zapukałby do własnych drzwi, prędzej wyrwałby je z zawiasów. Trzy ciche puknięcia, a po nich naciśnięcie klamki. Gdy drzwi się uchyliły, ciemność i chłód wpadły do środka razem z przeciągiem.

To nie był Vidar. Liv zobaczyła na progu lekkie, zabłocone buty oraz psi ogon między nogami mężczyzny. Z półmroku wyłoniła się jego twarz i dotarła do niej słaba woń dymu papierosowego połączona z tym innym zapachem, którego nigdy nie miała dość.

– Johnny? – szepnęła. – Co ty tutaj robisz?

– Liv? – Zmrużył oczy w ciemności. – Nie widzę cię.

Powoli wyszła spomiędzy zimowych kurtek, nogi miała jak z waty.

– Ale mnie wystraszyłeś.

– Przepraszam, chciałem tylko zobaczyć, co u ciebie. Odezwał się?

Liv wyciągnęła rękę i po chwili sień wypełniła się światłem. Pies ostrożnie machał ogonem i obwąchiwał mokre nogawki Johnny'ego. Liv zerknęła w kierunku pokoju Vidara, jakby nie miała pewności, czy naprawdę zaginął.

– Chodź – wyszeptwała. – Pójdziemy na górę, do mnie.

Pozwolił prowadzić się skrzypiącymi schodami, przeszli obok zamkniętych drzwi do pokoju Simona. Położyli się na łóżku, pilnując, żeby się nie dotknąć. Nie widziała jego twarzy, czuła jedynie bijące od niego ciepło. Obecność Johnny'ego w jej pokoju była dla niej dziwna. Nie pasował tu. Jego miejsce było w domu wdowy po Johanssonie, jakby był jednym ze starych mebli, które tam zostawiła. Obserwowała zamknięte drzwi, wydawało jej się, że ktoś szarpie za klamkę.

– Żaden mężczyzna nigdy nie leżał w moim łóżku.

– Nie gniewaj się, ale trudno mi w to uwierzyć.

– Ojciec nie lubi, gdy przyprawiam kogoś do domu.

Johnny zamarł, gdy wspomniała o Vidarze, omiółtł spojrzeniem ściany.

– Jak myślisz, gdzie on jest?

– Nie wiem. Przetrzęsaliśmy całą wieś, policja szukała go z psem. Ale zapadł się pod ziemię.

– Może wyjechał?

– Przecież samochód stoi pod domem.

– Może pojechał autobusem.

– Nie znasz mojego ojca.

Pomyślała o tych wszystkich chwilach, gdy stała przy drodze numer dziewięćdziesiąt pięć z uniesionym kciukiem, kiepsko ubrana, bo działała na spontanie. Czasami miała w kieszeni pieniądze, ale najczęściej nie. Gotowa wskoczyć do rowu, gdyby dostrzegła na zakręcie volvo Vidara. Często zdarzało się, że był pierwszą nadjeżdżającą osobą, tak jakby miał telepatyczne zdolności i wyczuwał, kiedy dawała nogę.

Szorstki głos Johnny'ego wyrwał ją z zamyślenia.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – oznajmił. – Nie chciałem tego mówić przy innych, w lesie, gdy szukaliśmy Vidara.

– Tak?

– Vidar wpadł do mnie kilka dni temu i zaczął mnie oskarżać o różne rzeczy. Na koniec powiedział, żebym poszukał sobie innego lokum. Oświadczył, że mam się wynieść ze wsi.

Liv zacisnęła powieki.

– Czasami potrafi coś sobie ubzdurać na temat innych ludzi. To nie ma z tobą nic wspólnego.

– Jest porywczy, ten twój ojciec. Życie z nim to musi być istne piekło.

– Chyba się przyzwyczaiłam.

Johnny sięgnął po kurtkę. Przestraszyła się, że ją zostawi, że to koniec, lecz po chwili usłyszała kliknięcie zapalniczki, zobaczyła żar jego papierosa – błędny ognik w ciemnościach.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Jak to się stało, że wciąż tu mieszkasz, ze swoim ojcem?

To było pytanie, którego od zawsze się obawiała. Lęk w sercu był jak ogień, palił i pulsował.

– Jakoś tak wyszło. Byłam bardzo młoda, gdy urodziłam Simona, nie poradziłabym sobie sama. Ojciec mi pomagał. A potem tu zostaliśmy.

– Ale dlaczego? Przecież on cię tłamsi.

– Nic o nas nie wiesz.

– Wiem, że skradasz się po nocach jak jakaś nastolatka, a on podwozi cię do pracy jak uczennicę. To nie jest normalne, Liv. Cała okolica o was gada, o tobie, Vidarze i chłopaku. Kiedy mówię, że wynajmuję od was dom, od razu słyszę to i owo.

– Ludzie lubią gadać.

– Wiesz, co mówią?

Liv podciągnęła kolana do brody i oplótła je ramionami. Słyszała, jak Johnny chodzi przy łóżku, słyszała, jak wypuszcza dym przez usta.

– Wiesz, co o was mówią? – powtórzył.

Serce biło jej tak mocno, że była pewna, iż on też je słyszy.

– Idź już.

– Co?

Podniosła twarz i wbiła w niego wzrok w ciemności.

– Chcę, żebyś sobie poszedł.

Widziała, jak się skulił, jak niechętnie narzucał na siebie kurtkę, lecz nie zaprotestował, nie próbował zostać. Żar papierosa zamigotał wokół niego, kiedy gwałtownie otworzył drzwi. Jego kroki rezonowały w niej jeszcze długo po tym, jak zniknął na schodach. Leżała pod kołdrą, oplótła się ramionami, jakby się bała, że jej ciało rozpadnie się na kawałki. Dygotała z samotności, aż w końcu zasnęła.



## LISTOPAD 2001

Szron skrzy się na brzozie, gdy Samotny Wilk odjeżdża razem z nią. Śnieg wypełnia las nowym światłem. Teraz nie mogą nigdzie pójść, nie zostawiając śladów. Robi się zimno i on ogrzewa jej dłonie w swoich, ostrożnie w nie chucha, wkłada je sobie pod kurtkę, pod kilka warstw ubrań, tak że jego ciepło staje się jej ciepłem. Z nim nie musi marznąć i dość szybko orientuje się, że go kocha. Nie jak mężczyznę, tylko jak brata. Kogoś, komu po raz pierwszy w życiu może zaufać.

– Mam coś dla ciebie – mówi dziewczyna.

– Naprawdę?

Czeka, aż dotrą na szczyt wzniesienia. Mężczyzna parkuje w tym samym miejscu, co za pierwszym razem, gdy się poznali. Teraz góra należy do nich, u swoich stóp mają biały świat. Dziewczyna wyjmuje z kieszeni złożoną kartkę. Podając mu ją, czuje pulsowanie w palcach. Mężczyzna posyła jej długie spojrzenie, po czym rozkłada kartkę. Ona czekając, wstrzymuje oddech. Samotny Wilk podnosi kartkę do światła i przygląda się rozedrganym liniom.

– Co to jest?

– Nie widzisz? Mapa.

To plan ich domu, lecz nie musi tego mówić, bo oczy Samotnego Wilka już wypełniły się nowym życiem i drży mu broda. Dziewczyna pochyla się nad kartką i wskazuje palcem krzyżyk, którym zaznaczono serce domu.

– Jest tam więcej pieniędzy, niż była warta ziemia twojej rodziny – oświadcza dziewczyna.

Mężczyzna ostrożnie, niemal z namaszczeniem, składa kartkę i chowa ją do kieszeni na piersi.

– Co chcesz w zamian? – pyta.

– Nic.

– Daj spokój, musisz coś dostać.

– Chcę tylko, żebyś mnie stąd zabrał.

\*

Rozpalają ogień i siadają każde po swojej stronie płomieni. On ma ze sobą kukę, z której piją. Słońce wspina się coraz wyżej i zlizuje szron z drzew. Mężczyzna robi skręta i pali go nieśpiesznie, po chwili jego twarz przestaje drgać. Dotyka palcami brody. Pojawia się między nimi wibrujące napięcie, powaga, której wcześniej nie było. Ona spogląda mu w oczy i widzi, że on też ją kocha. W ten cudowny sposób, którego nie da się opisać słowami.

\*

Kiedy wysadza ją na parkingu leśnym, samochód ojca już tam czeka. Wszyscy troje wysiadają równocześnie. Ojciec dziwnie się uśmiecha.

– No proszę, jesteście – mówi. – Już prawie straciłem nadzieję.

Gdy klepie ją po ramieniu i posyła jej spojrzenie, które sprawia, że ona aż się kuli, jego oczy są tak szare jak niebo. Samotny Wilk milczy, po prostu stoi obok niej i oddycha.

– Idź do samochodu – dodaje ojciec. – Muszę chwilę porozmawiać z twoim nowym przyjacielem.

Głos ojca jest miękki niczym mech, mimo to dziewczyna nie ma odwagi zaprotestować.

Siada na tylnym siedzeniu i widzi przez okno, jak ojciec zbliża się do Samotnego Wilka. Stoją obok siebie i rozmawiają cichym głosem, mówi głównie ojciec, zamaszycie gestykuluje. Twarz Samotnego Wilka zmienia kolor, lecz w końcu kiwa głową. Kiedy odwraca się, by odejść, ona przysuwa się do okna, licząc na to, że pośle jej spojrzenie, bezgłośnie wypowie kilka słów, da jej coś, czego będzie się mogła złapać. Ale on wsiada do auta, wrzuca bieg i wjeżdża na drogę, nie patrząc w jej stronę.

Po powrocie do samochodu ojciec chwytą ją za ramiona. Wsadza jej rękę pod sweter. Chce się dobrać do naszyjnika, połyskującego serduszka schowanego pod ubraniem. Szybkim ruchem zrywa łańcuszek z jej szyi i wkłada go sobie do kieszeni.

– Nigdy więcej go nie zobaczysz – oświadcza. – Dopóki żyję.

\*

Przez całą zimę dziewczyna odwiedza parking leśny, brnie w ciemnościach przez śnieg, długo stoi, patrząc na zorzę polarną, i czeka. Milczące i ciężkie od śniegu świerki dotrzymują jej towarzystwa. Mróz szczypie, ale ona nawet tego nie zauważa. Samotny Wilk się nie pojawia. Dziewczyna myśli o mapie, którą mu podarowała, o jego słowach, że wszystko naprawią. Droga jest taka cicha i opustoszała.

Teraz znowu są samotni, każde u siebie. Ale ona nie chce uwierzyć w to, że zniknął z jej życia na zawsze.

Obudziło ją wołanie Vidara, łamiący się głos niósł się przez zamrażnięte podwórko. Na wpół przytomna, na granicy jawy i snu, wyszła z domu i ruszyła za nim w las. Chwiejąc się na nogach, kluczyła między sosnami połyskującymi w słońcu. Ścieżka była nierówna i śliska aż do samej wody. Słońce nie zdążyło jeszcze podnieść mgły z jeziora, więc nie widziała domów po drugiej stronie. W miejscach, gdzie toczyło się życie, majaczyły jedynie cienie. Samotne szczekanie psa odbijało się echem od drzew i zdawało się dochodzić ze wszystkich stron jednocześnie. Pod podeszwami jej butów chrzęścił świeży szron, a ona przestała słyszeć głos Vidara. Od ziemi bił nocny chłód i wnikał między jej ubrania, na przemian marzła i oblewała się potem. Teraz była już rozbudzona, trzeźwo myślała, ale nie umiała dać za wygraną. Wiedziała, że on gdzieś tam jest.

Nagle obok ścieżki wyrósł dom Serudii, co zmusiło Liv do wejścia między świerki. Na polanie rozbrzmiewał radosny śpiew ptaków, a gdy podeszła bliżej, zobaczyła budki i karmniki dla ptaków porozwieszane na drzewach niczym ozdoby choinkowe. Na ziemi pełno było rozsypanych ziaren, ptaki były wszędzie, trzepoczące skrzydłami i głodne. Spłoszyła je i zniknęły wśród drzew.

Głos pojawił się jak nieoczekiwany podmuch wiatru.

– A kto to się tutaj kręci i straszy moje ptaki?

Serudia stała między świerkami niczym upadły anioł. Miała na głowie czapkę, spod której wystawały białe włosy, pojedyncze kosmyki powiewały przed ogorzałymi i pomarszczonymi policzkami. Jej oczy były zaskakująco jasne.

Liv wyszła z zarośli.

– To tylko ja, Liv. Nie chciałam wystraszyć twoich ptaków. Szukam ojca. Śnił mi się dziś w nocy.

Oczy staruszki na próżno wypatrywały Liv, zatrzymały się gdzieś obok. Podniosła w górę kościstą pięść, trzymała ją tak przez chwilę, po czym rozprostowała palce i kolejne ziarna spadły na jej czapkę niczym deszcz, wabiąc ptaki.

– Vidar przyjdzie w swoim czasie – powiedziała. – Zawsze tak robi.

Staruszka miała pod płaszczem tylko koszulę nocną, delikatny materiał włóknął się po

mokrej ziemi. Ale to czapka na jej głowie sprawiła, że Liv zamarła. Kilka rozmiarów za duża, nachodziła Serudii głęboko na czoło. Było coś znajomego w tej czerwonej włóczce.

– Skąd masz tę czapkę?

Serudia dotknęła czapki, ostrożnie przejechała po niej ręką. Ptaki śpiewały histerycznie.

– Znalazłam ją – odparła. – Czekala na mnie na polanie.

– To czapka ojca. Dawno temu wydziergała ją na drutach moja mama.

Strach wyostrzył jej głos. Podbiegła do staruszki, zerwała jej z głowy czapkę i przycisnęła do serca. Serudia zamrugła, przerażona rozdziawiła usta, lecz nie protestowała. Liv zbliżyła czapkę do twarzy, poczuła zapach wilgoci, lasu i maści Vidara, tak silny, jakby ojciec stał tuż obok.

Rzuciła staruszce ostatnie spojrzenie, odwróciła się do niej plecami i pobiegła.

## Część II

Harwester wsunął między drzewa czarne ramię, które na kilka sekund jakby się zawahało, po czym opadło i chwyciło jeden z pni. Powaliło drzewo jednym mocnym uściskiem, a następnie je odkorowało. Okoliczne sosny poruszały się na wietrze. Blade słońce przyglądało się temu zniszczeniu, a kiedy było w zenicie, maszyna się zatrzymała, a zza jej sterów wysiadł mężczyzna. Powiesił sobie słuchawki na szyi i otrząsnął się jak pies, przeskakując przez drzewo, które właśnie powalił. Rozpiął rozporek i wysikał się w krzaki, a następnie spojrzął na opuszczone gospodarstwo majaczące między drzewami. Bielone ściany wyglądały w słońcu przygnębiająco, a drzwi wejściowe były na wpół otwarte i lekko skrzypiały. Zwiędłe pędy chmielu kurczowo trzymały się rynien.

Mężczyzna usiadł na schodkach ganku, stare deski zatrzęszczały niepokojąco pod jego ciężarem. Pod pachą miał torbę, z której wyjął termos i kanapki zawinięte w przezroczystą folię. Jadł, przysłuchując się wiatrowi hulającemu w starej chacie. Od czasu do czasu wydzielala zapach, od którego przestawała smakować kanapka. Mężczyzna odkręcił termos i głęboko wciągnął aromat gorącej kawy. W zaroślach majaczył harwester, stał tam i na niego czekał, a on pomyślał, że chętnie zjadłby lunch w kabinie ogrzanej słońcem.

Przełknął ostatni kęs kanapki i wstał. Kiedy brnął z powrotem przez przerośniętą trawę, zapach przybrał na sile. Czuł te cierpkie podmuchy, od których skręcał mu się żołądek. Odwrócił się i spojrzął na dom straszący pustymi otworami okien. Miał wrażenie, że w środku ktoś leży, jakieś martwe ciało w zapomnianym łóżku. Odwrócił się z powrotem w kierunku lasu, a kiedy zaczął biec, jego nogi potykały się o siebie w mokrej trawie. Ale nieprzyjemna woń towarzyszyła mu aż do zarośli i zaprowadziła do nieczynnej, kamiennej studni wystającej z mchu. Zatrzymał się kawałek od niej i zasłonił twarz rąbkiem koszuli roboczej. Jego nozdrza wypełniły się strachem. Nie chciał tam podejść. Wszystko w nim krzyczało, żeby wracał do harwestera i jego bezpiecznej kabiny. Ale ciało nie chciało go słuchać. Powoli przesunął stopy w kierunku studni. Zaslaniała ją pokrywa z poszarzałego drewna. Gdy ją unióś, z wnętrza wydobyła się chmura much. Pochylając się nad otworem, wstrzymał oddech. Zobaczył zardzewiały łańcuch znikający w ciemnościach. Nie widział wody, tylko nieprzeniknioną ciemność. Szarpiąc za łańcuch, poczuł ciężar. Pomyślał, że cokolwiek to jest, on tego nie wyciągnie. Smród był tak intensywny, że zebrało mu się na wymioty. Przykucnął i zwrócił kanapkę, którą przed chwilą zjadł. Kiedy się pozbierał, zobaczył krew. Ciemne plamy, które wsiąkły w torfowiec i w kamienie studni. Cofnął się tak gwałtownie, że upadł do tyłu na mokrą ziemię. Poderwał się i zaczął biec. Gdy dotarł do harwestera, niebo wypełniło się czarnymi ptakami.

## WCZESNE LATO 2002

Czuje już zapach nowego życia. Gdy wieczorami siedzi naprzeciwko ojca przy kuchennym stole, tylko udaje, tak naprawdę nic jej już nie obchodzi. Jej głowę wypełnia przyszłość. Obserwuje ścianę lasu za oknem i odlicza dni do chwili, gdy znajdzie się po drugiej stronie. Blade oczy ojca szukają jej nad oprawkami okularów, jakby przeczuwał, że mu się wymyka, że jej głowę przepełnia wolność.

Ojciec przeszukuje jej pokój, gdy jest w szkole, grzebie w jej szufladach i tajemnicach. Zostawia ślady rąk wśród jej ubrań i notatników, w ukrytym pamiętniku, w którym pisze tylko rzeczy przeznaczone dla jego oczu, nieistotne.

Prawdziwe tajemnice ukryła w lesie. Robi kilka kółek dla zmyłki, zanim zbliży się do mokradeł. Uginająca się ziemia to rodzaj fosi odgradzającej od ludzi. W cieniu ambony pada na kolana i ostatni odcinek pokonuje, czołgając się. Z uczuciem niepokoju w ciele wchodzi na górę po wysłużonej drabinie. Siedzi jak dziecko w domku na drzewie i czeka, aż uspokoi jej się oddech. Wolno przesuwa się do okna, spogląda na ziemię ojca i wyobraża sobie, że tam idzie, odwrócony do niej plecami. Dziewczyna trzyma w ręku niewidzialną broń, unosi lufę i oddaje strzał w jego kierunku. Ojciec pada jak długi. Potężnym ciałem wstrząsają drgawki, rzuca się jak ryba wyłowiona z wody. Ona zaciska powieki i ma to wszystko przed oczami, dopóki beztraskie drozdy nie zaczynają śpiewać w koronach drzew i nie sprowadzają jej na ziemię.

Szuka w ścianie poluzowanej deski, znajduje ją, wkłada palce pod spróchniałe drewno i wydobywa schowany tam skarb. Serce dudni jej tak, że czuje pulsowanie w opuszkach palców, gdy wyjmuje pakunek szczelnie zawinięty w trzy woreczki foliowe, chroniące przed wilgocią. W środku znajduje się plik banknotów. Waży go w dłoni, liczy każdy banknot, jak wiele razy wcześniej. Buzuje w niej krew, palce wibrują z tęsknoty za światem. Niebawem wyruszy w świat. Niebawem.

\*

Ale nadchodzi lato, a pieniądze wciąż leżą w kryjówce w ambonie. Atakuje ją jakaś choroba, ogromne zmęczenie i mdłości, które wywracają jej żołądek, wyzymają z sił. Każdej nocy podejmuje decyzję, że o świcie wyruszy w drogę, ale gdy nadchodzi ranek, znowu leży na zimnej podłodze w łazience, a świat wokół niej wiruje. Ciężar ojca przesuwa się pod drzwiami zamkniętymi na klucz:

– Co ci jest?

\* \* \*

Praca była jak gra w teatrze. Liam stał za kasą i pocił się w koszuli służbowej. Zapiął ją pod samą szyję. Kołnierzyk ocierał o świeżo ogoloną skórę. W zachlapanym lustrze w pomieszczeniu socjalnym wyglądał prawie jak jeden z nich, jak zwyczajny człowiek, lecz gdy stał za kasą, patrzenie klientom w oczy przychodziło mu z trudem. Kiedy życzył im miłego dnia, brzmiało to tak, jakby odczytywał jakąś kwestię. Wydawało mu się, że zaciskają usta na widok jego gładko ogolonej twarzy i służbowego stroju. Nie daliby się tak łatwo oszukać.

Lecz Niila wydawał się zadowolony. Po porannym ruchu przyszedł z kawą w porcelanowym kubku.

– Szybko się uczysz.

To wszystko, co powiedział, ale Liam poczuł, że pali go w gardle i napił się gorącej

kawy, by nie dać po sobie poznać, że ta pochwała go poruszyła. Sama praca nie była trudna, to do ludzi nie był przyzwyczajony.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. W weekend przyszedł do pracy na próbę, a już w poniedziałek rano Niila zadzwonił z pytaniem, czy chciałby zmiany też w dni powszednie. Powiedział, że jedna z pracowniczek znalazła się w trudnej sytuacji, zaginął jej stary ojciec. Jasne. Zaraz będę – z sercem w gardle zgodził się Liam.

I teraz stał pod jarzeniówką spocony, na próżno próbując wtopić się w otoczenie. Po lunchu ruch się zmniejszył, większość klientów płaciła tylko za benzynę. Niila pokazał mu, jak mieć oko na dystrybutory paliwa i odczytywać tablice rejestracyjne tankujących. Na stacji znajdowały się kamery, ale musiał być czujny. Niila miał w sobie spokój, który udzielał się innym. Jego głos działał jak szum spokojnego wiatru w lesie, obniżał puls.

– Palisz? – spytał.

– Czasami.

– Możesz sobie zrobić przerwę na papierosa, nie ma problemu, tylko wcześniej mi powiedz.

– I tak zamierzam rzucić.

Niila zrobił minę, jakby mu nie wierzył.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowy, bo wszystko spieprzysz. Jakiś nałóg trzeba mieć.

Niila zniknął w biurze, zostawił Liama za kasą. Prosty gest świadczący o tym, że zdał egzamin. Że mu ufa.

\*

Musiała wejść przez magazyn, bo tego nie usłyszał. Stał tyłem do lady i układał na półce papierosy, gdy nagle tuż obok niego wyrosła córka Vidara Björnlunda. Miała na sobie zdecydowanie za dużą, zniszczoną kurtkę, a na jej bladej twarzy widniały niebieskie żyłki. Nie wyglądała jak żywa, bardziej przypominała porcelanową lalkę o pustych oczach.

– Kim jesteś?

– Mam na imię Liam i tu pracuję.

– Od kiedy?

– Dopiero zacząłem.

Nie była podobna do swojego ojca, ani trochę. Omiótł spojrzeniem błyszczące czoło, usta, cienkie włosy, które nieudolnie związała w kucyk, lecz nie zauważył nawet najmniejszego podobieństwa. Może nie należało porównywać żywych z umarłymi.

Podawała mu rękę. Trzymał paczki papierosów, więc szybko je odłożył. Miała zimne palce. Ten dotyk sprawił, że po plecach przebiegł mu dreszcz. Obawiał się tej chwili, gdy będzie musiał spojrzeć jej w oczy, bał się, że go przejrzy.

– Liv Björnlund, ale to już chyba wiesz.

– Niila powiedział, że w tym tygodniu nie pojawisz się w pracy.

– Naprawdę?

– Wspomniał coś o jakimś kryzysie w twojej rodzinie, że twój ojciec zaginął czy coś takiego.

Zobaczył, jak zakołysała się pod nią podłoga i na ułamek sekundy straciła równowagę. Ale szybko się pozbierała i pochyliła się w jego stronę, zbyt blisko.

– Wiem, kim jesteś – szepnęła.

Liam zerknął w kierunku drzwi do magazynu, szukał dróg ucieczki. Jej twarz tuż przy jego twarzy, gdy wzięła go pod lupę – każdy pryszcz i zmarszczkę na jego skórze. Strach iskrzył w jego klatce piersiowej, bał się, że mogła go widzieć w Ödesmark, gdy skradał się w pobliżu

rudery, która była jej domem.

– Przychodzisz tu i kradniesz razem ze swoim bratem – oświadczyła.

– To było dawno temu.

Przez jej twarz przemknął cień uśmiechu.

– Nie martw się, nie mam złych zamiarów. Niila ma słabość do wszystkiego, co wymaga naprawy, i ludzie nie są tu wyjątkiem. Jak myślisz, dlaczego się tu znalazłam?

Uśmiechnęli się do siebie niepewnie. Jego wzrok padł na jej buty, masywne, męskie trapery, większe od jego własnych, pokryte igliwem i ziemią. Dżinsy nie były w dużo lepszym stanie, miały mokre i brudne nogawki, a ona sama nie pachniała zbyt ładnie: mieszanką potu i zgniłego siana. Z daleka dało się zauważyć, że przechodzi kryzys. Liam poczuł przytłaczające wyrzuty sumienia.

Może to zauważyła, bo zaczęła coś mówić, lecz nagle rozległo się wycie syren i przerwała. Zobaczyli dwa radiowozy z włączonymi niebieskimi światłami, pędzące z zawrotną prędkością i rozpryskujące wodę roztopową.

– Co się dzieje? – spytała Liv.

– Nie mam pojęcia.

Ale ona wcale nie czekała na jego odpowiedź. Trapery uderzały o podłogę, gdy biegła do drzwi. Liam zobaczył, jak staje przy dystrybutorze oleju napędowego i patrzy w stronę kościoła z rękami przyciśniętymi do serca. Deszcz sprawił, że pociemniało, a ona wyglądała na taką drobną i kruchą pod nisko wiszącym niebem. Chwiała się, jakby zaraz miała upaść.

Niila wyskoczył ze swojego biura jak poparzony. Liam obserwował, jak jego szef podbiega do Liv i otacza ją ramieniem. On sam został za kasą, czuł, że zbliża się katastrofa. Policja jechała na północ, w kierunku Ödesmark, i w głębi duszy wiedział, że to koniec. Że jest pozamiatane.

Wsparł się o ladę, mocno zacisnął powieki, pod którymi ukrywał się Vidar. Widział go tak wyraźnie – błądą skórę, czarne usta, które wystawały spod czapki i krzyczały do niego. Może drapieżniki już go dopadły i pogryzły tak, że jest nie do poznania. Liam wiedział, że ciało nie może długo leżeć nietknięte, las troszczy się o swoich zmarłych.

Stał kompletnie nieruchomo, gdy Liv i Niila wrócili do sklepu. Niila przeprowadził ją ostrożnie między regałami i otworzył jej drzwi do magazynu. Zanim wyszła, odwróciła się do Liama i posłała mu długie, wymowne spojrzenie, jakby dzielili jakąś tajemnicę. Jakby wiedziała.

\* \* \*

Ramiona drżały jej z wysiłku, gdy siekiera opadała, a mimo to podnosiła ją kolejny raz i kolejny. Zawzięcie rąbała drewno, a towarzyszące temu dźwięki niosły się echem po wiosce. Nie zauważyła, że Simon zmierza w jej kierunku. Zobaczyła go dopiero, gdy stanął tuż obok i krzyknął, żeby przerwała. Zaczął padać zimny deszcz, ale to też jej umknęło. Czucie wróciło jej dopiero, gdy wbiła siekierę w pień. Poczowała rwący ból wzdłuż kręgosłupa i lodowate krople na karku. Simon okrył ją kurtką i poprowadził do ciepłego domu, zdecydowanie, jakby była zwierzęciem, które trzeba zamknąć na noc. Ślizgała się na mokrej ziemi.

– Nie mogę siedzieć z założonymi rękami, muszę coś zrobić.

Zadzwoiła do Hassana jeszcze ze stacji benzynowej. Ton jego głosu świadczył o tym, że nie wszystko jest w porządku, lecz nie chciał nic powiedzieć przez telefon. Przyjedziemy do was – zapewnił, ale czas mijał, a ich ciągle nie było.

Siedzieli w ciemnej kuchni i wpatrywali się w las. Nie rozmawiali ze sobą, zamiast słów wymieniali jedynie niepokój. Wypełniał powietrze między nimi. Liv poszła do dużego pokoju i nalała sobie do szklanki bimbura Vidara. Po powrocie do kuchni wypija kilka dużych łyków, po

czym podała szklankę Simonowi. Pił zachłannie, niż się tego spodziewała. Chciała, żeby coś powiedział, żeby zaczął się skarżyć, by nazwał ją żalosaną. Cokolwiek. Cisza dzwoniła jej nieznośnie w uszach, serce waliło.

Szlaban był uniesiony, a w świetle reflektorów radiowozu, gdy ten w końcu wjechał na podwórko, widać było srebrne strugi deszczu. Z policjantami przywitani się w sieni. Hassan zdjął czapkę, z włosów kapłała mu woda. Młodszy kolega stał za nim jak cień. Mieli to wypisane na twarzach, nie musieli nic mówić.

– Nie żyje, prawda? Ojciec nie żyje.

– Może lepiej wejdziemy do środka – zasugerował Hassan. – I usiądźmy.

Jego słowa niemal utonęły w ulewnym deszczu, a Liv poczuła, że jej ciało wypełnia się dwutlenkiem węgla. To się dzieje – pomyślała. To się naprawdę dzieje. Kiedy stanęła z boku, żeby mogli wejść do środka, ugięły się pod nią nogi. Wsparła się na Simonie i poczuła, że on też cały dygocze. Trudno było jej skupić na czymś wzrok, stać prosto, a mimo to nie chciała siadać. Chciała krzyknąć, żeby sobie poszli. Nie musieli nic mówić, nie chciała wiedzieć. Już wiedziała.

– Znaleźliście go? – spytał Simon.

– Znaleźliśmy Vidara – odpowiedział Hassan, a jego głos wydawał się odległy. – Znaleźliśmy go, ale niestety nie żyje. W porze lunchu natknął się na niego pracownik leśny jakieś pięć kilometrów na północ od Ödesmark, w Gråträsk.

Kapłało mu z włosów, gdy to mówił. Liv poczuła, jak ściska ją w gardle, język napierał na podniebienie. Gråträsk – co Vidar niby miałby robić w tej wiosce? To nie mogła być prawda. Spojrzała na Simona. Pobladł, trzęsła mu się broda. Trawiąc te słowa, chwyciła go za rękę. Palce miał równie zimne jak ona. Pod powiekami widziała Vidara leżącego w lesie, patrzącego w niebo i przyprószonego śniegiem. Widziała ptaki stojące na jego głowie i dziobiące w pustych oczodołach.

– Co się stało? – spytała. – Jak zmarł?

– Nie możemy teraz wchodzić w szczegóły, ale jest jasne, że ktoś mu pomógł.

Skinęła głową. Szyja była sztywna, a ciało ciężkie. Objęła Simona, poczuła, że cały się trzęsie, szczeka zębami. Podłoga wydała jej się miękka, kiedy wstała, by przynieść z pokoju koc. Okryła dygoczącego syna. Policjanci śledzili jej ruchy, jakby się bali, że zrobi coś głupiego. Pogłaskała Simona po plecach, sama przerażona, co tylko ją wkurzyło.

– Widzicie, co narobiliście? – powiedziała do policjantów. – Wystraszyliście mojego syna.

Vidar nie żyje – słowa Hassana dzwoniły jej w uszach, lecz do niej nie docierały. Nad lasem świecił księżyc, a ona złapała się na tym, że omiata wzrokiem skraj lasu, wciąż wypatrując starego. Widziała go tam, wbrew temu, co mówili policjanci. Stał w mroku i uśmiechał się do niej.

– Chcecie, żebyśmy do kogoś zadzwonili? – spytał Hassan. – Do jakiegoś przyjaciela lub krewnego?

– Nie mamy żadnej rodziny.

Te słowa go zasmuciły. Widziała, że im współczuje. Powoli i spokojnie opowiedział o działaniach policji, o tym, że zabezpieczą miejsce zbrodni i prześlędzą ostatnią dobę życia Vidara. Liv przytaknęła, chociaż w głowie miała mętlik i próbowała ukryć swój wewnętrzny chaos. Kiedy Simon poszedł do toalety, nie miała się czego przytrzymać, podłoga pod jej stopami falowała, stół sosnowy żeglował na jej powierzchni. Spojrzała na Hassana, potem na jego kolegę, z trudem kiwnęła głową, żeby nie zauważyli, że się w niej gotuje.

Przecież nie mogła powiedzieć, że wcale im nie wierzy i wciąż liczy na to, że Vidar lada chwila może stanąć w drzwiach. Próbowała sobie przypomnieć, kto mieszka w Gråträsk. Duży



Erik i Granlundowie, ale co miałyby tam robić Vidar? Spojrzała na jarzębinę, wydawało jej się, że widzi pętlę kołyszącą się na wietrze.

– Powiesił się? – spytała szeptem, gdy Simon był w toalecie.

Hassan tylko pokręcił przecząco głową.

– Jak już wspomniałem, to nie było samobójstwo, ktoś mu pomógł.

Rozumiała, co do niej mówi, ale jego słowa do niej nie docierały. Nie chciały.

– Moja mama się powiesiła. – Skinęła głową na jarzębinę, pnącą się ku rozgwieżdżonemu niebu.

Hassan podążył za jej wzrokiem, ale widziała, że nic nie rozumie. Był zbyt młody. To się wydarzyło na długo przed tym, zanim został policjantem. Ta noc Walpurgii, gdy Kristina Björnlund powiesiła się na jarzębinie. Liv nie mogła tego pamiętać, a mimo to przez cały czas nosiła w sobie ten obraz. Suknię ślubną ciągnącą się po śniegu i zgniłe liście. Wiatr rozwiewający i targający długie, ciemne włosy. Wciąż żałowała, że to nie Vidar ją wtedy opuścił, tylko mama.

Simon długo nie wychodził z toalety. Hassan spytał, czy są tam jakieś leki, coś, co mogłoby mu zaszkodzić. Liv pokręciła przecząco głową.

– Chce popłakać w spokoju.

Vidar nigdy nie tolerował płaczu u chłopców. Simon już w młodym wieku nauczył się wymykać, kiedy tylko zbierało mu się na płacz. Ale tego im nie powiedziała. Mieli ją za trochę niespełna rozumu. Widziała niepokój w ich oczach, strach, że nie pojmują, co do niej mówią. Bo tu nie chodziło o powieszenie się, Vidar nie odebrał sobie życia. Ktoś go zamordował. Zatkało ją, gdy prawda zaczęła do niej docierać.

– Chcę go zobaczyć – powiedziała w końcu. – Mogę?

\* \* \*

Radiowóz przejechał pod oknem budynku stacji benzynowej i zatrzymał się między dystrybutorami. Liam rozejrzał się, szukając szybkiej drogi ucieczki. Niila stał przy owocach i je układał, jeden na drugim, jego policzki błyszczały jak czerwone skórki jabłek. Kiedy spojrzał na Liama, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Jak ci idzie?

– Dobrze.

– Daj znać, gdybyś miał jakieś pytania.

Był przesadnie miły, prawie jakby zamierzał go skrzywdzić. Taki manewr dywersyjny, zanim pokaże swoje prawdziwe oblicze. Liam poczuł na rękach gęsią skórę. Pomyślał, że pomylił się, sądząc, iż mógłby tutaj pracować.

Z radiowozu wysiadł policjant. Liam go poznał – to był jeden z tych młodszych, jeden z tych, którzy mają coś do udowodnienia. Podniósł rękę na powitanie, pomachał do Liama przez szybę, jakby się znali. Liam odpowiedział na ten gest sztywnym ruchem ręki. Uświadomił sobie, że teraz jest jednym z nich, jednym z tych, którzy pracują i płacą podatki. Jednym z tych, którzy mogą zaufać życzliwości.

Klienci widzieli, że nie do końca tam pasuje, lecz i tak byli mili, dopingowali go. Był jak dziecko, które uczy się jeździć na rowerze, musiał po prostu robić swoje i za dużo nie myśleć. Ale właśnie to robił – myślał. Policzył, że do drzwi magazynu, do samochodu i wolności dzieli go siedemdziesiąt pięć kroków. Uciekając, mógłby poprzewracać regały, zrobić tor przeszkód z konserw i błyszczących jabłek. Nikt by go nie dogonił, gdyby zdecydował się na ucieczkę, ani Niila, ani policja. Stara kryjówka w lesie wciąż na niego czekała, ta, którą zbudował razem z Gabrielem w czasach, gdy często musieli się ukrywać. Zanim dorośli i zrozumieli, że z czasem będzie tylko gorzej.

Czas włókł się niemiłosiernie, minęła cała wieczność, zanim policjant odłożył pistolet dystrybutora na miejsce. Zapłacił kartą i nie wykonał żadnego ruchu wskazującego na to, że wejdzie do sklepu. Jeszcze raz spojrzął na Liama, po czym usiadł za kierownicą i odjechał. To wszystko. Niila wciąż stał przy owocach i gwizdał pod nosem, nieświadomy napięcia unoszącego się w powietrzu. Tego, że było naprawdę blisko.

\*

W kieszeni zawibrowała mu komórka, domagając się uwagi. Zaniepokoił się, że to matka, że coś się stało Vanji, ale między jednym klientem a drugim zerknął na ekran i zobaczył, że to Gabriel. Dzwonił raz za razem, jakby chodziło o sprawę życia i śmierci. Liam miał to gdzieś, nie odbierał.

– To twoja komórka tak buczy? – spytał Niila.

– Ehm.

– Dziewczyna?

– Nie mam dziewczyny.

– Możesz sobie zrobić przerwę, jeśli chcesz odebrać.

– Dzięki, ale nie ma takiej potrzeby.

– Tak czy owak, nie zapomnij o przerwie. Od czasu do czasu trzeba zresetować głowę.

Ale Liam dokończył swoją zmianę bez żadnej przerwy. Idąc przez magazyn, czuł się przymulony od nadmiaru bodźców. Minał regał z akumulatorami i złapał się na tym, że zastanawia się, za ile mógłby je sprzedać. Zrobiło mu się wstyd. Włożył do ust papierosa, zapiął koszulę pod szyję i otworzył drzwi. Kiedy wchodził w wilgotną ciemność, uderzył go smród śmieci.

Cios padł, zanim jego oczy zdążyły się przyzwyczaić do ciemności. Ostry ból nad nasadą nosa, a potem ciepła krew. Chciał się chwycić drzwi, ale już się za nim zamknęły.

Kiedy padł kolejny cios, osłonił się rękami. Czyjeś dłonie zacisnęły mu się na szyi, uderzyły jego głową o szorstką cegłę. Gęsta krew popłynęła mu po ustach i brodzie, spływała do gardła.

Pozwolono im zobaczyć Vidara, ale nie powiedziano, w jaki sposób zginął. Policja nie chciała zdradzać szczegółów ze względu na trwające śledztwo, a Liv się ucieszyła, że nie będą musieli tego słuchać. Najważniejsze, że mogła go zobaczyć i upewnić się, że naprawdę nie żyje.

Ścisnęła rękę Simona. Cały się trząsł, siedząc obok niej. A może to ona dygotała? Z braku snu piekły ją oczy, lecz nie uroniła ani jednej łzy.

Las się przeredził i ustąpił miejsca miastu. Tym wszystkim natarczywym latarniom i światłom, które rozmywały blask gwiazd. Jadąc przez most, spojrziała na wijącą się w dole rzekę. Samotny przechodzień trząsł się pod parasolem, a po drugiej stronie krzyczał neon baru fast food. Jej oddech pokrył szybę i pomyślała, że tutaj na pewno go nie ma. Żywy czy martwy – nie miało to znaczenia, Vidar Björnlund wystrzegął się miasta.

Wjechali na podziemny parking. Ślamazarna winda zatrzymywała się na kolejnych piętrach, a Simon wciąż trzymał ją za rękę. W ostrym świetle jarzeniówki jego twarz była blada i nieruchoma. Wysiedli z windy i przeszli przez długi korytarz. Ich kroki rozbrzmiewały w ciszy, a woń choroby i środków czystości przybierała na sile i dusiła. Zatrzymali się przy białych drzwiach wahadłowych. Hassan wszedł pierwszy do pomieszczenia, w którym dominowały lśniąca powierzchnie oraz odbarwione płytki, sprawiające wrażenie, jakby ściany krwawiły. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się rząd małych, kwadratowych szafek. Liv poczuła gulę w gardle, mocno ścisnęła rękę Simona, ich wilgotne dłonie zespawały się ze sobą.

– Jesteś pewien, że dasz radę?

– Chcę zobaczyć dziadka.

W pomieszczeniu pojawiła się ciemnowłosa kobieta w niebieskim stroju szpitalnym.

– Proszę za mną.

Liv poczuła, że napina się każdy mięsień w jej ciele. Nie zarejestrowała żadnego zapachu i to ją zdziwiło. Zastanawiała się, jak udało im się pozbyć zapachu śmierci. Vidar leżał na stole sekcyjnym ze stali nierdzewnej. Na jego widok wstrzymała oddech. To była bardziej szara i blada powłoka niż ciało, ale nie miała wątpliwości, że to Vidar. Miał podrapaną twarz, pełną drobnych nacięć i skaleczeń, których nie było, gdy żył, jakby jakieś dzikie zwierzę wbiło w niego swoje pazury. Białe prześcieradło przykrywało tułów i nogi, lecz wydawało jej się, że widzi pod nim uszkodzenia ciała – rozerwaną skórę oraz czarną dziurę w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się serce.

Jego dłonie, usiane niebieskimi żyłami, miękko i nieruchomo leżały tuż przy ciele. Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła jego palców, które nie przypominały już szponów, śmierć je wyprostowała, uczyniła go uległym i spolegliwym. Uczyniła go lepszym.

Stojący obok niej Simon zaczął płakać, jego niepohamowany, gwałtowny szloch niósł się echem między sterylnymi ścianami. Ranił ją. Przyciągnęła go do siebie, jego głowę, żeby nie patrzył na ciało. Ona sama nie mogła odwrócić wzroku od Vidara. Nie płakała, nie krzyczała ani nie przeklinała. Po prostu stała, patrząc na swojego martwego ojca, i czuła w sercu nieśmiałą, cichą radość. Skinęła głową w kierunku Hassana.

– To on – powiedziała. – To ojciec.

– A więc to tutaj pracujesz – syknął Gabriel. – Ze wszystkich miejsc wybrałeś właśnie to?

Z nią?

– To Niila dał mi tę robotę. To nie ma z nią nic wspólnego.

Gabriel wymierzył kolejny cios, ale tym razem Liamowi udało się zrobić unik. Upadł na zalegającą przyłękę śniegu i poczuł zimno przenikające przez ubrania. Gabriel stał nad nim, gwałtowne ruchy świadczyły o tym, że jest pod wpływem amfetaminy. Liam ścisnął palcami nasadę nosa, żeby zatrzymać krwotok. Zerknął na drzwi magazynu, aby się upewnić, że nikt ich nie słyszy. Wiedział, że jeśli Niila go teraz zobaczy, w takim stanie, to na bank przemyśli sprawę i wyleje go z pracy.

Gabriel go kopnął.

– Wsiadaj do auta – rozkazał. – Przejedziemy się.

Kazał jechać Liamowi w las, daleko od ludzi, dziurawymi, zapomnianymi drogami, prowadzącymi donikąd. Z drzew parowała wilgoć, osadzała się na samochodzie, rozmywała wszystkie ostre linie. Gabriel bębnił palcami w spodnie, rzucał Liamowi zamyślane spojrzenia.

– Nie mogę ci ufać – powtarzał w kółko. – Ty nie myślisz, nie używasz mózgu.

Liam miał przed oczami tego starego mężczyznę. To się stało tak szybko, było jak zdmuchnięcie świeczki. Kilka sekund i po wszystkim, człowiek nie żyje. Przyjrzał się kurtce Gabriela, temu, co się pod nią kryło. Dłoniom Gabriela leżącym na udach, bębniącym palcom. W równych odstępach czasu sięgał do kieszeni, wyjmował papierosa i zapalniczkę. Za każdym razem serce Liama zaczynało przyspieszać.

– Szczeka mi opadła, gdy przechodziłem obok stacji i zobaczyłem cię w środku, na jej miejscu.

– To nie ma z nią nic wspólnego.

– Dręczą cię wyrzuty sumienia, prawda? Współczujesz jej.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Liam jechał zbyt szybko, z trudem wchodził w zakręty. Droga zaczęła piąć się w górę, las karłowaciał, drzewa stawały się mniejsze, ustępowały miejsca ciemnemu i bezgwiazdnemu niebu

rozpościerającemu się nad ich głowami. Minęła pora kładzenia Vanji do łóżka, Liam zdał sobie sprawę, że tego wieczoru nie powie córce „dobranoc”.

Dotarli do wzniesienia, gdzie kończyła się droga. Noc ograniczała widoczność, w ciemności majaczyły jedynie linie lasu i jezior oraz wycinka drzew rozciągająca się poniżej. Równie dobrze mogłoby ich otaczać morze, czarne i spokojne. Kilka świateł w oddali świadczyło o toczącym się tam życiu, poza tym nic. Liam rozpoznał to miejsce, byli tu w dzieciństwie. Wtedy, gdy ojciec wsadził ich do samochodu i oświadczył, że to koniec – zabiera chłopaków i znika raz na zawsze. Na masce stał sześciopak piwa, a on zatoczył ręką szerokie koło. Tu, na szczycie, mógłbym zbudować dom – powiedział. Żeby żadna łachudra nie patrzyła na mnie z góry.

Liam zaparkował i jak na rozkaz otworzyli drzwi, lecz nie wysiedli. Owiewało ich zimne powietrze. Liam zerknął na siebie we wstecznym lusterku – na górnej wardze miał zaschniętą krew, ale żadnych większych obrażeń.

– Co tutaj robimy?

Gabriel nie odpowiedział, rozchylił kurtkę i wyjął paczkę papierosów, nie próbując ukryć broni schowanej pod materiałem. Liam wbił wzrok w dolinę pod nimi, próbował zmierzyć odległość do lasu, przekonywał samego siebie, że mógłby zdążyć uciec, tylko musi wybrać odpowiedni moment. Ukryłby się w ciemności.

Głuchy dźwięk silnika przerwał jego myśli. Po chwili zobaczyli ledwo zipiące auto gramolące się pod górę. Zimne, białe światło między świerkami. Liam rozpoznał samochód po rozbitym przednim reflektorze i przerdzewiałej karoserii. Cud, że jeszcze jeździł. Miał lekko fioletowe, przyciemniane szyby, ale Liam i tak wiedział, kto jest w środku.

– Co powiemy?

– Trzymaj język za zębami, dość już nawywijałeś.

Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i z ciemności powoli wyłoniła się sylwetka Juha. Zostawił włączone światła, a jego kocie ciało wykonało zamaszysty zwrot w ich kierunku. Rzadka broda sięgała mu do klatki piersiowej, miał na sobie obszerne ubrania, które mogły wiele ukryć. Gabriel wysiadł z auta i gestem ręki nakazał Liamowi zrobienie tego samego. Liam poczuł rozpierający ból w chorym zębie.

Juha miał za plecami oślepiające reflektory, więc nie widzieli jego twarzy. Jego chuda postać szła po żwirze. Gabriel podszedł do niego i przekazał mu towar. Zasłonił twarz ręką, żeby ochronić oczy przed światłem. Juha wziął trawę i się wycofał, nie zaprzętał sobie głowy jej sprawdzaniem, jak to miał w zwyczaju. Jego ruchy były szybkie i nieobliczalne, białka oczu świeciły w ciemności.

– Chcę wiedzieć, co się stało – oświadczył.

– Co masz na myśli? – spytał Gabriel.

– W Ödesmark. Chcę wiedzieć, co się stało.

Juha zrobił krok w przód i splunął w ich kierunku. Wiatr targał mu włosy i roznosił jego kwaskowatą woń. Liam trzymał się z boku. Strach ścisnął mu żołądek, gdy zobaczył, jak Gabriel się nastroszył. Strach o to, co robi, kiedy Juha powie coś nie tak i wywiąże się kłótnia.

– Trawy wystarczy ci na dwa miesiące – oznajmił Gabriel. – Potem znajdź sobie innego dostawcę.

Juha powoli wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki, czas stanął w miejscu, gdy wyjmował z niej banknoty, następnie podał je Gabrielowi i szybko cofnął rękę, jakby się bał, że ten go ugryzie.

– Jestem odludkiem – powiedział. – Ale przed śpiewem ptaków nie ucieknę, ile bym nie próbował. A one świergoczą, że Vidar Björnlund nie żyje, mówią, że ktoś go zamordował.

Zgaduję, że coś o tym wiecie.

Gabriel przeliczył pieniądze, udawał, że nie słyszy. Liam trzymał się z dala od światła reflektorów, patrzył na las, niebo i czarną dolinę poniżej. Chciał powiedzieć, żeby Juha wszedł do auta i odjechał, zanim pogorszy sprawę, zanim Gabriel straci cierpliwość.

– No proszę – rzucił Gabriel. – Cała kwota. Dziękujemy.

Wsunął banknoty do kieszeni dżinsów i wymownie skinął głową w kierunku Juhy.

– Dałem ci mój najlepszy towar, ukróci wszystkie twoje paranoiczne myśli, gwarantuję.

A teraz wracaj do swojej chaty i zapomnij o naszym istnieniu.

Ale Juha tylko przestępował z nogi na nogę. Oddychał ciężko, jakby nocne powietrze go dusiło.

– To ja wysłałem was do Ödesmark – przypomniał. – I chcę wiedzieć, co tam się stało. Jesteście mi to winni.

Gabriel się zaśmiał, nieprzyjemny dźwięk niósł się po dolinie. Rzucił spojrzenie Liamowi, skinął głową.

– Wsiadaj do auta – rozkazał. – Chcę pogadać z Jużą w cztery oczy.

Liam ruszył niechętnie. Buzowała w nim krew. Miał wrażenie, że ziemia pod nim się rusza, i niepewnie stawiał kroki. Usiadł za kierownicą, chciał po prostu stamtąd odjechać, zostawić ich, lecz jak zwykle Gabriel zabrał kluczyki, jakby wiedział, że Liam jest o krok od ucieczki. Zatrzasnął drzwi i wytarł dłonie o dżinsy, dotknął palcami noża schowanego pod siedzeniem, ale go nie wyjął. W razie sprzeczki miał się trzymać z boku.

Zobaczył, jak Gabriel podchodzi do Juhy, ich głowy znalazły się blisko siebie, Liam nie widział już ich twarzy. Tylko rękę Gabriela w powietrzu, gdy mówił, blade palce, które w ciemności wyglądały jak éma. Następnie zobaczył, jak głowa Juhy się porusza, jakby przytaknęła lub wyraził na coś zgodę. Liam lekko opuścił szybę, przysunął się do niej, lecz i tak nie słyszał ich słów.

W końcu Gabriel cofnął się i klepnął Jużę po ramieniu. Juha zdjął czapkę, podrapał się po głowie, po czym założył ją z powrotem. Wydawał się teraz znacznie spokojniejszy. Zanim uniósł rękę na pożegnanie, rzucił Liamowi długie spojrzenie. Liam się wzdrygnął, jakby dostał batem po plecach. Niezdarnie odmachał. Zobaczył, że Gabriel i Juha podają sobie dłonie, całe napięcie i wrogość między nimi wyparowały. Niezależnie od tego, co sobie powiedzieli, doszli do porozumienia.

\* \* \*

Hassan i jego koledzy wciąż pytali o to samo, bo otrzymywane odpowiedzi ich nie zadowalały. Czy Vidar miał wrogów? Czy ktoś chciał go skrzywdzić? Kłócił się z kimś? Liv i Simona posadzono w oddzielnych pokojach i zadawano im te same pytania. W końcu słowa policjantów zaczęły się ze sobą zlewać i przerodziły się w niezrozumiały bełkot. Wszędzie rozlegał się brzęk kluczy. Dom zamienił się w więzienie, ale nie można było zamknąć żadnych drzwi. Światło miało wniknąć w każdy kąt. Musieli udostępnić wszystkie klucze, policja dostała się do samochodu, sejfu na broń i budynków gospodarczych. Gdy obce ręce przetrząsały wszystkie zakamarki i wywalały ich zawartość, bezlitosne słońce rzucało światło na te wszystkie zdjęcia, dokumenty i koszulę nocną Kristiny, wciąż wiszącą jak zjawa w szafie Vidara. Liv siedziała, obejmując ramieniem swojego syna, razem tworzyli oazę spokoju, której nikt nie mógł naruszyć. Do niej nie było klucza.

\*

Zaraz po odjeździe policji pojawiła się Felicia i wcisnęła się pomiędzy nich. Wślizgnęła

się do domu bez pukania i ruszyła w stronę schodów prowadzących do pokoju Simona, nie zwracając najmniejszej uwagi na Liv. Poruszała się po ciemnym domu jak duch, a Liv udawała, że niczego nie słyszy ani nie widzi. Potem długo stała na ciemnym półpiętrze i wsłuchiwała się w ich głosy dochodzące zza zamkniętych drzwi. Czuła się dojmująco samotna.

Kiedy już nie mogła wytrzymać, zapukała w zniszczone drewno i uchyliła drzwi, zanim zdążyli odpowiedzieć. Felicia siedziała oparta o poźółkłą tapetę, z głową Simona na swoich kolanach. Jego zaczerwieniona twarz była zwrócona do komputera, a palce Felicii przeczesywały mu włosy. Liv chrząknęła, by zwrócić na siebie uwagę.

– Felicia, nie wiedziałam, że przyszłaś.

– A gdzie miałabym być?

Ten sam bunt w oczach jak tamtego dnia nad jeziorem. Ten sam hardy uśmiech jak wtedy, gdy jej stopy balansowały na krze.

– Jesteście głodni?

Wymienili spojrzenia, po czym zgodnie pokręcili przecząco głowami.

– Co oglądacie?

– Nic takiego. Film.

Liv stała w progu, zaciskała dłoń na klamce i zastanawiała się, co jeszcze powiedzieć, by przyciągnąć ich uwagę. Miała ochotę wejść do pokoju i usiąść razem z nimi, wyjąć butelkę spod łóżka i wypić kilka porządnych łyków. Ale dawali jej do zrozumienia, że nie ma tam dla niej miejsca, że nie jest mile widziana, i jedyne, co mogła zrobić, to powoli zamknąć drzwi i wrócić do cichej kuchni.

\*

Zapaliła fajkę Vidara i uchyliła okno. Wiatr poruszał drzewami i niósł ze sobą znajome dźwięki. W całym tym gwarze rozpoznała głosy sąsiadów, brzmiały, jakby byli blisko. Poszła do sieni i z fajką w ustach założyła buty i kurtkę. Zdjęła klucz z haczyka i zamknęła młodych. Pierwszy raz zamykała drzwi wejściowe, powolnym i niewprawnym ruchem. Klucz w zamku wydawał jej się sztywny i jakiś obcy. Zarzuciła na głowę kaptur i poszła za głosami do lasu.

Zebrali się nad jeziorem: Douglas, Eva, Karl-Erik i jeszcze dwie osoby zwrócone do niej plecami. Ogień głośno trzaskał, a snopy iskier buchały ku niebu. Liv przystanęła na chwilę na skraju lasu, żeby uspokoić oddech, ale zauważył ją Douglas i do niej pomachał. W poświacie ognia jego twarz była błyszcząca i czerwona.

– Liv, chodź, usiądź z nami. Nie powinnaś zostawać teraz sama.

Podeszła do nich niechętnie, czuła na sobie ich spojrzenia. Johnny też tam był, wstał i ustąpił jej miejsca. Próbował położyć dłoń na jej dłoni, lecz Liv zrobiła unik. Skrzyżowała ramiona i włożyła sobie dłonie pod pachy, chociaż widziała, że go tym zraniła. Nic nie mogła na to poradzić. Czuła, że jeśli teraz pozwoli się komuś przytulić, to przestanie się kontrolować. Cała wioska wypełni się jej wstydem, ulgą i tym głuchym uczuciem, którego wciąż nie potrafiła nazwać. Uczuciem, że już po wszystkim. Że w końcu może zacząć żyć.

– Dlaczego tu siedzicie? – spytała.

– Siedzimy i zastanawiamy się, co u diabła dzieje się w naszej wiosce – odparł Douglas, głosem wibrującym nad trzaskającymi płomieniami. Prowokująco wbijał wzrok w Johnny'ego. – Twój ojciec nie żyje i ktoś musi zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

Liv spojrziała na ich zacięte twarze, każdą z osobna. W ponurych nastrojach siedzieli w poświacie migoczących płomieni. Jedyne Serudia miała empatyczną minę, smutny blask w zamglonych oczach i usta drżące z emocji. Liv schowała fajkę do kieszeni i pożałowała, że do nich przyszła. Wspólnota nigdy wcześniej nie dała jej pocieszenia, teraz też nie. W ciemności

między świerkami słyszała chichot Vidara, słyszała, jak przeklina ich wszystkich po kolei, z tą nienawiścią, która ocierała się o cierpienie. Nienawiść często mu towarzyszyła.

– Policja przeszukała całe gospodarstwo – poinformowała. – Ale nic się nie wyjaśniło.

– Nasze gospodarstwa też przeszukali. Jakby podejrzewali, że zaciukaliśmy jednego z naszych.

Słowa Douglasa dźwięczały jej w głowie, wibrowały. Zdziwiło ją, że Douglas nagle poczuł taką więź z Vidarem, że nazwał go „jednym z naszych”. Nigdy wcześniej nie przejawiał takiego przywiązania, a Vidar mocno by się obruszył na te słowa. A teraz Liv została sama i nie potrafiła zaprotestować. Nie czuła się komfortowo, siedząc przy ogniu z ludźmi, których nauczyła się unikać. Ludźmi, którzy czuli niechęć do Vidara, niezależnie od tego, co teraz mówili.

Karl-Erik uniósł piersiówkę do ust i wypił dużego łyka, po czym puścił ją w obieg.

Po chwili zapadła krępująca cisza. Siedząc obok Johnny'ego, Liv czuła na sobie ciekawskie spojrzenia sąsiadów, jakby wiedzieli, że coś ich łączy – przybysza i córkę Vidara. Coś takiego nakręcało plotki. Kiedy dotarła do niej piersiówka, pociągnęła solidnego łyka i poczuła ciepło rozchodzące się pod kurtką.

W płomieniach widziała Vidara. Nie jego twarz, którą pokazali jej w kostnicy, a ręce – obrączkę głęboko wciśniętą w skórę z plamami wątrobowymi oraz wychudzone palce. Przypomniała jej się wiosna, gdy uczyła się jeździć na rowerze. Przewróciła się i zdarła sobie twarz, a Vidar poślinił swoje dłonie i wyczyścił jej policzki własną śliną. Wylizał ją do czysta, tak jak to robią zwierzęta ze swoimi młodymi. Wiatr w koronach sosen niósł ze sobą jego głos, przepity i błagalny: Jeśli mnie zostawisz, to nie wiem, co zrobię.

Pozostali rozmawiali o samochodach jeżdżących po Ödesmark, zarówno w dzień, jak i w nocy, chociaż sezon testów już się skończył. Eva stwierdziła, że za śmiercią Vidara najpewniej stoi któryś z kierowców, chociaż wcale nie powinno ich już tam być.

Liv nagle przypomniała sobie samochód, który widziała tamtego poranka. Ciemne auto prawie wjechało do rowu. Czy powiedziała o tym policji? Nie pamiętała.

Przy ogniu było zbyt ciepło, kołnierz kurtki drapał ją w szyję, a Johnny uparcie siedział zbyt blisko niej. Wiedziała, że tak to działa w normalnym świecie, że ludzie szukają u siebie nawzajem pocieszenia i poczucia bezpieczeństwa. Ale na nią bliskość działała odwrotnie, stawała się nerwowa i znowu rozdrapywała swędzącą skórę. Gwałtownie wstała, alkohol zdążył już dotrzeć do krwi i dodał jej odwagi.

– Zostawiłam Felicię i Simona samych w domu – powiedziała. – Muszę wracać.

Nikt nie zaprotestował. Zimne powietrze chłodziło jej rozgrzane policzki, gdy skierowała kroki do lasu. Wchodząc między drzewa, czuła, jakby nurkowała w przerębłu. Przystanąła na chwilę i nabrała w płuca zimnego powietrza. Do jej uszu docierał gwar. Nasilił się, gdy ich opuściła. Słyszała ich krzyki polujące na nią w ciemności. Wołali, że nie powinna być sama. Nie teraz. Stanowczość ich głosów sprawiła, że przyspieszyła kroku.

\* \* \*

Las wypełniały blade widma ukazujące się w świetle reflektorów. Szutrówka wiła się nieobliczalnie w ciemności, zmuszając Liama do trzymania kierownicy obiema rękami. Chciał zadzwonić do matki, usłyszeć, że Vanja już zasnęła, że wszystko dobrze, ale nie było zasięgu.

– Muszę wracać do domu – informował Gabriela raz za razem, ale ten zdawał się go nie słyszeć. Siedział wbity w fotel pasażera i palił, czasami podnosił tylko rękę, żeby pokazać Liamowi, gdzie ma skręcić. Kiedy Liam spytał, dokąd jadą, nie uzyskał odpowiedzi. Miał przeczucie, że zmierza na własną egzekucję. Próbował odgonić te myśli, przekonać samego

siebie, że to śmieszne.

– Co mu powiedziałeś? – spytał.

– Nic, czym musiałbyś się martwić.

– Nie można mu ufać. Jak zaczną gadać, to koniec.

Gabriel wydmuchał mu dym prosto w twarz.

– Juha będzie trzymał język za zębami.

– Skąd wiesz?

– Mieszka w ruderze, do kurwy nędzy. Prędeż umrze, niż wda się w gadkę z gliną. Poza tym i tak nikt nie potraktowałby go poważnie.

Szutrówka przeszła w kiepski asfalt, od dziur i wstrząsów bolała głowa. Liam ugryzł się w policzek i poczuł na języku smak krwi. Przy drodze, między drzewami, zamajaczyła woda, w której odbijał się sierp księżyca. Byli sami, tutaj nikt nie jeździł po nocy, lecz Liam wiedział, gdzie są. Za mniej więcej pięć kilometrów miał być domu, w Kallbodan, musiał tylko zachować spokój i skoncentrować się na kierowaniu, nie prowokować kłótni. Zaraz zobaczy Vanję. Miał ją przed oczami, jak leży głęboko zakopana w pościeli w jego dawnym chłopięcym pokoju, otoczona zniszczonymi pluszakami i kamieniami babci. On pościelił sobie na podłodze, jak wiele razy wcześniej, i zaśnie, słuchając jej oddechu.

Ale Gabriel szturchnął go w ramię, nie dawał mu spokoju.

– Zatrzymaj się na tym parkingu leśnym.

– Dlaczego?

– Zatrzymaj się, przecież mówię.

Liam czuł pod dłońmi śliską kierownicę. Zatrzymywanie się tam było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, lecz wiedział, że jeśli tego nie zrobi, to będzie dym. Zwolnił, próbując ukryć swój niepokój.

Na parkingu znajdował się podłużny, drewniany budynek z toaletami i zalaminowaną mapą okolicy wiszącą na jednej z krótszych ścian. W młodości spędzali tu dużo czasu. Malowali graffiti i wprowadzali w błąd zagubionych turystów. Latem kilka lat temu zastrzelono tu zbieracza jagód z zagranicy. Aż huczało od plotek na ten temat, lecz policja nigdy nie złapała sprawcy.

Kiedy Liam parkował, zapaliła się latarnia. Drzwi do toalet były uchylone i poruszały się na wietrze. Liam poczuł na karku nieprzyjemny dreszcz.

– Muszę wracać do domu – powiedział. – Matka zacnie się zastanawiać, gdzie się podziewam.

– Niech się zastanawia.

Gabriel poczęstował go papierosem. Blizna na jego wardze świeciła w ciemności, ale oczy były puste, spojrzenie tak czarne jak noc za szybą samochodu. Liam włożył papierosa w kącik ust i wyłączył silnik. Wysiadając z auta, czuł, że zaraz stanie się coś złego. Słyszał rwącą rzekę tuż obok, wezbraną i pełną życia.

Do budynku prowadziła wąska ścieżka. Gabriel skinął głową, dając mu znak, żeby szedł przodem. Zrobił to tak stanowczo, tak że mięśnie i ścięgna aż zatrzeszczały. Na ten dźwięk Liam się wzdrygnął. Zatrzymał się przy ławce stojącej obok toalet. Na ziemi leżała mokra rolka papieru toaletowego, a w powietrzu unosiła się woń moczu. Nie chciał siadać. Warga piekła go od ciosu Gabriela, opuchlizna utrudniała palenie. Zastanawiał się, jak to wytłumaczy matce i Vanji. Pracodawcy i klientom.

Gabriel oparł się o zniszczoną ścianę, w oczach miał czarny żar.

– Pamiętasz tego zbieracza jagód, któremu odstrzelili tu łeb? – spytał.

– Jasne.



– Kurwa – rzucił Gabriel. – Mózg rozbryzgany na ścianie, czegoś takiego nie da się zapomnieć.

Liam poczuł pulsowanie w głowie i obolałej wardze. Krążyły plotki, że chodziło o porachunki narkotykowe, że to dlatego zbieracz jagód stracił życie, ale Gabriel pierwszy raz zasugerował, że mógł mieć z tym coś wspólnego, że tu wtedy był. Liam się zaciągnął, starał się nie okazywać zaniepokojenia.

– Co tu właściwie robimy? – zapytał i splunął. – Zimno jak cholera.

Zęby Gabriela świeciły w mroku.

– Chcę tylko, żebyś wiedział, że mam na ciebie oko – oświadczył Gabriel. – Kilka par oczu. I nie ma znaczenia, że jesteś moim bratem. Jeden fałszywy ruch i po tobie, kumasz?

Może z powodu strachu albo zmęczenia Liam poczuł, że chce mu się śmiać i zanim zdążył temu zapobiec, usłyszał swój śmiech rozbrzmiewający w ciemności. Zachrypnięty, nerwowy chichot. Pstryknął na wpół wypalonym papierosem w kierunku Gabriela, miał nadzieję, że go oparzy. Gabriel zrobił unik, ale Liam chwycił go za kark i wcisnął sobie jego głowę pod pachę. Po chwili obaj leżeli na zimnej i mokrej ziemi i szarpali się, jak wiele razy wcześniej. Wiedział, jak Gabriel się bije, używał nawet zębów i różnych przedmiotów – wszystkiego, żeby tylko wygrać. Narkotyki go osłabiły, lecz brak hamulców czynił go nieobliczalnym.

Liam znalazł się na plecach, z rękami Gabriela wokół szyi. Zimno ciągnące od mokrej ziemi przenikało przez ubrania i skórę, przesywając do szpiku kości. Brakowało mu powietrza, migotały nad nim cień Gabriela i korony drzew. Usłyszał charczenie, które z pewnością dochodziło z jego własnego gardła. Miał przed oczami Vanję, jej bezzębny uśmiech lśniący jak poranne słońce. Nadludzkiem wysiłkiem udało mu się odepchnąć Gabriela i wstać, kopnął brata w klatkę piersiową i tym samym posłał go w zarośla. Był wściekły, rozjuszony. Wcześniej bili się wielokrotnie, fundowali sobie wstrząsy mózgu i złamane palce, lecz nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł taki gniew. Widział, jak Gabriel wstaje, jak się otrząsa i strzepuje igliwie z ubrania. Obficie krwawił z rany na skroni, ale nic sobie z tego nie robił, uśmiechał się w ciemności.

– Przysięgam, z każdym dniem stajesz się coraz bardziej podobny do ojca – powiedział Liam i wytarł usta.

– Spierdalaj.

Liam dotknął obolałej szyi i splunął. Trzymał dystans, chociaż wciąż cały trząsł się z wściekłości. Gabriel zapalił kolejnego papierosa i ruszył w kierunku samochodu, sygnalizując, że tym razem to koniec bójk. Otworzył drzwi od strony kierowcy i skinął głową w stronę Liama.

– Mam na ciebie oko – powtórzył. – Nie zapominaj o tym.

Następnie wsiadł i uruchomił silnik. Liam stał w ciemności, czując woń moczu, i patrzył, jak Gabriel odjeżdża.

\* \* \*

Dotarła na podwórze, zanim zauważyła, że ktoś ją śledzi. Najpierw usłyszała jego oddech, charczący i zasapany, dopiero potem go zobaczyła. Przykucnęła na ganku, czekając na swojego prześladowcę. Karl-Erik wyłonił się spomiędzy świerków i przez dłuższą chwilę odpoczywał z rękami na kolanach, zanim w końcu zebrał siły, by się wyprostować i spojrzeć jej w oczy.

– Biegniesz, jakbyś uciekała przed śmiercią – stwierdził. – Jesteś zwinna jak łasica.

– Czego chcesz?

– Chciałem się tylko upewnić, że bezpiecznie wróciłaś do domu.

Karl-Erik oparł się ciężko o balustradę ganku, przegniłe drewno niepokojąco jęknęło pod jego ciężarem. W ciemności wyglądał młodo, zmarszczki się wygładziły, a oczy nabrały blasku.

Liv się skrzywiła, próbowała uspokoić oddech. Przez ułamek sekundy myślała, że to Vidar.

– Vidar nie żyje – powiedział Karl-Erik, jakby czytał w jej myślach. – Wszystko się zmieniło.

– Widziałam go w kostnicy, widziałam na własne oczy, że nie żyje. A mimo to mam wrażenie, że po prostu poszedł się przejść i że w każdej chwili może wyjść z zarośli.

– Minie trochę czasu, zanim to do ciebie dotrze. Najpierw musisz otrząsnąć się z szoku.

Nie odważyła się powiedzieć, jaka czuje się pusta, jakie to wszystko wydaje jej się nierzeczywiste, mimo że widziała ciało Vidara wyglądające jak kukła. Nie płakała ani wtedy, gdy Hassan przekazał jej wiadomość o śmierci ojca, ani później, w kostnicy. Czowała jedynie potajemną ulgę i przestała ją swędzieć skóra.

Karl-Erik postawił stopę na schodach, przeniósł na nią swój ciężar. Zastanawiała się, czy powinna go zaprosić do środka. Pomyślała, że najwyższy czas, by zacząć się zachowywać normalnie, skoro Vidar już nie żyje. Że może najlepszym rozwiązaniem będzie zaprzyjaźnienie się z mieszkańcami wioski, zanim ją opuści. Chociaż zawsze, gdy Karl-Erik znajdował się w pobliżu, czuła w ciele niepokój przypominający ten, który odczuwała w towarzystwie Vidara: wrażenie, że wypełni z własnej skóry.

– Teraz musimy się trzymać razem – oznajmił Karl-Erik. – Czy tego chcemy, czy nie.

– W jaki sposób właściwie jesteśmy spokrewnieni? – spytała, chociaż знаła odpowiedź.

Karl-Erik zwlekał z odpowiedzią, wpatrywał się w drzwi za nią. Pomyślała, że nie usłyszał pytania.

– Matka Vidara i moja matka były przyrodnimi siostrami, miały tego samego ojca. Ale nie znały się, z tego, co mi wiadomo. Twoja babcia była nieślubnym dzieckiem. Nigdy nas nie odwiedziła.

– To dlatego ty i ojciec mieliście takie napięte relacje?

Karl-Erik prychnął. Czuć było od niego intensywną woń alkoholu, ale nie wydawał się ani trochę pijany.

– Nie sądzę. Chodziło o coś więcej.

– O co?

– To długa historia, a ja jestem zmęczony. Ale wpadnij kiedyś, to wszystko ci opowiem.

Mroczny ton jego głosu sprawił, że sięgnęła na klamkę. Stare deski trzeszczały pod nią, gdy powoli przenosiła ciężar ciała z pięt na palce. Chciała spytać, dlaczego Vidar nazywał go nieudacznikiem, chciała się dowiedzieć, co poszło nie tak, lecz miała wrażenie, że Vidar stoi w ciemności i przysłuchuje się ich rozmowie. Tak jakby ciągle mógł na nią spaść jego gniew, gdyby powiedziała zbyt wiele.

– Zapamiętaj sobie – powiedział Karl-Erik, wskazując na nią palcem. – To nie więzy krwi czynią nas rodziną, tylko wstyd. To on nas łączy.

Spojrzał jej głęboko w oczy. Minęła dłuższa chwila, zanim Liv odzyskała oddech, a jej ciało wróciło do równowagi. Miała wrażenie, jakby jego słowa parzyły, jakby podeszły zbyt blisko. Znów oplotła się ramionami, próbowała się ukryć.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Karl-Erik uśmiechnął się do niej ze smutkiem.

– Sądzę, że wiesz.

Powiew wiatru przyniósł ze sobą głosy pozostałych i woń ogniska. Karl-Erik przysunął się do niej i szepnął, jakby się bał, że jego głos też pofrunie w noc razem z wiatrem.

– Co ty właściwie wiesz o tym facecie?

– O kim?

– O tym koleśiu, który wynajmuje od was chatę. Johnnym czy jakoś tak.

– Nie robi wokół siebie hałasu. Pracuje, płaci czynsz i raczej stroni od ludzi. Tyle.

Karl-Erik podrapał się z namysłem po brodzie. Wyglądał, jakby zamierzał zaprotestować, lecz zamiast tego zdjął nogę ze schodów i wyjął z kieszeni piersiówkę. Wypił kilka łyków, nie odrywając od niej wzroku.

– Uważaj, kogo wpuszczasz do swojego życia – wyszeptał. – Nikt z nas nie może czuć się bezpiecznie. Jedyne, co możemy zrobić, to mieć oczy i uszy szeroko otwarte i nikomu nie ufać. Nawet sobie nawzajem.

\* \* \*

Liam szedł po omacku po ciemnym lesie. Księżyc schował się za chmurami, a marznący deszcz chłostał go po twarzy. Miał mokro w butach, a zimne i mokre dżinsy kleiły mu się do nóg, lecz i tak się pocił. Nie pierwszy raz Gabriel zostawił go na jakimś zadupiu, ale poprzysiągł sobie, że ostatni.

W domach było cicho i ciemno, gdy w końcu dotarł do Kallbodan. Psy zaczęły ujadać na długo przed tym, jak go zobaczyły. Matka wyglądała przez okno, gdy wbiegał na podwórko. Kiedy wszedł do przedpokoju, już na niego czekała.

– Rany boskie, co się stało?

– To Gabriel – powiedział tylko.

Nie musiał nic więcej dodawać. Nie zadawała kolejnych pytań, nie chciała wiedzieć, zamiast tego wyciągnęła rękę po mokre ubrania i otuliła go ręcznikiem kąpielowym, jak wiele razy wcześniej. Zaprowadziła go do kuchni i wyjęła z zamrażarki stek z łosia, żeby przyłożył go sobie do opuchniętej wargi. Spytał o Vanję, chociaż wiedział, że dawno zasnęła. Matka rozpałała w piecu, a on usiadł na krześle jak najbliższej płomieni. Czuł, jak ciepło wnika w przemarzniete stawy, tak że aż bolały. Może było coś w jego milczeniu albo sposobie, w jaki oddychał, bo matka stanęła za nim i objęła go szczupłymi ramionami, dotknęła swoim policzkiem jego policzka. Pozwolił jej na to, choć ścisnęła bardzo mocno, boleśnie.

– Gabriel zabrał mi auto – poinformował. – Mogę jutro wziąć twoje, żeby pojechać do pracy?

– Wiesz, że możesz.

– Dzięki.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam? – spytała szeptem. – To, że jesteście braćmi, wcale nie oznacza, że musicie trzymać się razem.

\*

Kiedy doszedł do siebie, poszedł na górę. Vanja spała w jego dawnym pokoju, trzymając w ramionach pluszowego króliczka, który też kiedyś należał do niego. Przyniósł kołdrę, poduszkę i pościelił sobie na podłodze. Leżąc i wsłuchując się w oddech swojej córki, czuł niepokój. Myślał o tych wszystkich wieczorach, gdy nie wracał do domu, o tych wszystkich dniach, gdy leżał nieprzytomny, a Vanja siedziała z babcią i czekała, aż ojciec w końcu się obudzi. Myślał o jej radości, gdy wreszcie otwierał oczy, jakby był najlepszy, mimo wszystko. Próbował pocieszać się tym, że trochę się poprawił. Już dawno nie przegapił usypiania Vanji ani nie przespał całego dnia, lecz i tak było mu wstyd. Miał poczucie, że na nią nie zasługuje.

Przytłaczały go negatywne myśli. Przypomniały mu się te wszystkie noce, gdy ludzie dzwonili po towar. Zawsze spotykał się z klientami przy drodze, nigdy nie pozwolił nikomu wejść do domu. Bał się, że zobaczą Vanję. Ale to już przeszłość. Przestał trzymać towar w domu. Ludzie szybko zrozumieli, teraz dzwonili do Gabriela – to on zajmował się uprawą, zajmował się wszystkim. Liam z każdym miesiącem coraz bardziej się wycofywał, małymi krokami próbował

odciąć się od dawnego życia. Pieniądze topniały, lecz to nie miało żadnego znaczenia. Brudna forsa i tak tylko przeciekała mu przez palce, nigdy na nic mu nie wystarczała. Odstawił narkotyki. Zdarzało się, że coś wziął, by ukoić nerwy, ale nigdy na taką skalę jak kiedyś.

Policja i opieka społeczna miały na niego oko. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie uporządkuje swojego życia, zabiorą mu Vanję, to była tylko kwestia czasu. Gdyby nie matka, zrobiliby to już dawno. Ale ona zawsze go wspierała, wyřęczała w różnych sprawach. Nie wiedział, dlaczego i skąd czerpie na to siłę. Wiedział tylko, że to dzięki niej wciąż ma Vanję. Ale nawet matka go nie uratuje, jeśli wyjdzie na jaw prawda o tamtej nocy w Ödesmark. Jeśli tak się stanie, to będzie koniec, jego córka będzie dorastać bez niego. Myśląc o tym, cicho zapłakał. O tym, jak cholernie bliski jest tego, żeby ją stracić.

\* \* \*

Liv wiedziała, że klucz do tajemnic Vidara znajduje się w jego pokoju, lecz mimo to nie miała pojęcia, gdzie go szukać. Przeglądając to, co po nim zostało, czuła jego niezadowolenie piekące ją w palce. Wysuwając szuflady i zagłędając do nich, miała wrażenie, że robi coś zakazanego. Tani tytoń do fajki, kolekcja saamskich noży, zegarek ze stali nierdzewnej, który przestał nosić dawno temu. Na zakurzonych powierzchniach widniały ślady pozostawione przez policję. Liv miała nieodparte wrażenie, że i tak nie znajdzie niczego, czego wcześniej nie zauważyli funkcjonariusze.

Vidar jeszcze nie opuścił swojego pokoju, jego zjełczała woń wgrzyła się w zniszczoną tapetę i Liv nie była w stanie się jej pozbyć, ile by nie wietrzyła. Napełniła wiadro ciepłą wodą z mydłem i zaczęła szorować podłogę oraz ściany. Pracowała przy szeroko otwartym oknie, wpuszczając do środka zapach lasu.

Wysunęła stolik nocny, żeby umyć pod nim podłogę, i odkryła, że coś za nim leży. Czarny kalendarz, z którym Vidar się nie rozstawał, który był dla niego jak Biblia i nikt nie mógł go dotykać. Każdego roku kupował sobie nowy, a stare przechowywał w szufladzie w piwnicy. Kiedy była młodsza, zdarzało jej się do nich po kryjomu zagłędac, lecz szybko sobie uświadomiła, że nie ma w nich nic interesującego, tak jałowe życie wiódł jej ojciec.

Odłożyła ścierkę i zaczęła przeglądać kalendarz, w głowie słysząc protesty Vidara. Strony były wypełnione notatkami na temat wszystkiego, co robił w ciągu dnia: podwiózł Liv do pracy, uwędził łososia, naprawił zawiasy w jednym z budynków gospodarczych, przywiózł Liv. Najczęściej powtarzającymi się czynnościami było odwiezienie i przywiezienie Liv z pracy, temu podporządkowywał cały dzień. W niektóre dni nic innego nie robił. Smutna egzystencja uchwycona rozstrzelonym i starodawnym charakterem pisma.

Tu i ówdzie robił też inne notatki świadczące o jego potrzebie nieustannej kontroli:

*Liv wyszła z domu o godz. 01.16, wróciła o 04.32.*

*Liv biegala, nie bylo jej ponad trzy godziny.*

*Rower Simona pod domem Modigów o godz. 21.22.*

*Liv wyszła z domu o 00.12, wróciła o 03.31.*

*Widziałem dwóch mężczyzn na naszej działce o godz. 02.13.*

Ostatni wpis wprowadził ją w osłupienie. Vidar wspominał o wilkach na działce, nie o mężczyznach. Poczynił tę obserwację dwudziestego piątego kwietnia, tydzień przed swoim zniknięciem. Liv odłożyła kalendarz i oparła głowę na rękach. Powinna była na to wpaść. Vidar zawsze nazywał mężczyzn jakoś inaczej: potwory, psy, sępy, nigdy ludzie.

Zaczęła wybierać numer Hassana, lecz rozmyśliła się. Notatki Vidara były zbyt zawstydzające, za dużo mówiły o ich życiu, o jego obsesji. Były jak dziennik okrętowy chorej egzystencji, nie nadawały się do pokazywania ludziom.

\* \* \*

Kiedy się obudził, pochylała się nad nim Vanja. Jej twarz była tak blisko, że jej oczy się ze sobą zlewały.

- Masz czarne usta – wyszeptwała.
- To nic takiego, po prostu się przewróciłem.
- Wyglądają okropnie.

Dotknął ust palcami. Zaszła na nich krew, tworząc na dolnej wardze ogromny strup. Kiedy usiadł na łóżku, huczało mu w głowie. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje. Vanja ostrożnie położyła dłonie na jego policzkach.

- Podmuchać?
- Tak, poproszę.

Przyszykowała się, jakby miała zdmuchnąć świece na torcie urodzinowym. Liam zamknął oczy i poczuł na twarzy jej ciepły oddech. Siedział nieruchomo, próbując przełknąć łyżki piekące pod powiekami. Zastanawiał się, co powie Niili, co sobie pomyślą klienci, gdy go zobaczą. Martwił się, że zostanie wyrzucony z pracy.

Męski głos dobiegający z dołu sprawił, że oboje się wzdrygnęli. Oczy Vanji zrobiły się ogromne.

- To Gabriel – powiedziała.
- Chyba tak.

Zanim zdążył zareagować, wypuściła jego twarz ze swoich dłoni i boso ruszyła biegiem na dół. Zbiegła po schodach, chociaż wiedziała, że nie wolno jej tego robić, a on był zbyt zamroczony, żeby jej zwrócić uwagę. W głowie mu pulsowało, a serce dudniło, gdy wstawał z podłogi i człapał do toalety, w której matka powiesiła na suszarce jego ubrania. Szybko się ubrał i przepłukał obolałą twarz zimną wodą. W kieszeni dżinsów znalazł woreczek, który dostał od Gabriela, i włożył sobie pod język benzo. Przez dłuższą chwilę stał oparty rękami o umywalkę, żeby dojść do siebie.

\*

Gabriel siedział w fotelu ojca, gdy Liam zszedł do kuchni. Niepokój w jego ciele wprawiał stół w wibracje. W kuchni pachniało przetworami z jagód, a matka stała przyciśnięta do zlewu, jakby miała przed sobą obce zwierzę, a nie własnego syna. Vanja siedziała Gabrielowi na kolanach i promieniała, podskakiwała w rytm jego wygłupów. Omiótł spojrzeniem Liama, brudne ciuchy z poprzedniego dnia, rozwaloną wargę.

- Cholera, stary, wyglądasz, jakbyś miał za sobą ciężki wieczór.
- Co tu robisz?

Gabriel okręcił sobie wokół ręki warkocz Vanji jak linę i spojrzał na niego prowokacyjnie. Liam wykonał kilka niechętnych kroków w głąb pomieszczenia. Na stole, obok chleba żytniego domowej roboty, stał dzbanek z ziołową herbatką. Matka zaczęła nerwowymi ruchami wyjmować filiżanki i dodatki do pieczywa. Jej biżuteria dźwięczała i pobrzękiwała – przywoływała na myśl więźnia skutego łańcuchami. W końcu przeprosiła ich łamiącym się głosem i z ulgą poszła do psów. Gabriel działał na nią tak samo, jak kiedyś ojciec – wypełniał cały dom trwogą.

Kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi, Gabriel skinął ręką.

- Siadaj.
- Nie mam czasu, muszę jechać do pracy.

Gabriel opierał brodę o głowę Vanji, ścisnął ją swoimi umięśnionymi ramionami, jakby

chciał ją zagłaskać na śmierć.

– Siadaj, mówię.

Głos był spokojny, ale oczy zdradzały gniew. Liam zerknął na zegarek, mógł poświęcić dziesięć minut, nie więcej. Gabriel szepnął Vanji na ucho coś, co ją rozśmieszyło. Zaczęła smarować mu kromkę, nałożyła na nią kilka plasterków żółtego sera, wędliny oraz ogórka, zrobiła kanapkę w rozmiarze XXL. Na stole przed nimi leżała rozłożona gazeta „Piteå-Tidningen”. Gabriel podsunął ją Liamowi i postukał palcem w nagłówek. Czarne litery wydawały się do niego krzyżeć: Zaginiony mężczyzna znaleziony martwy w studni.

Cała kuchnia się zakołysała. Gabriel pochylił się nad stołem, przyskrzywił go wzrokiem.

– W studni? Serio? Jak to, do cholery, wytłumaczysz?

\* \* \*

Liv siedziała w pierwszym rzędzie i próbowała się rozplakać. Kościół pękał w szwach. Przybyli ludzie z okolicznych wsi: z Moskosel, Auktsjaur i Järvträsk. Powietrze było gęste od zapachu perfum, wody po goleniu i wścibskich pytań. Czuła na karku spojrzenia. Wszyscy znali Vidara, lecz tak naprawdę go nie znał nikt. Teraz przyszli, żeby ich zobaczyć, córkę i wnuka. Czuła się jak lis zmuszony do opuszczenia swojej nory, wystraszony i oślepiiony światłem. Obejmowała Simona ramieniem, chciała go chronić przed ludzką ciekawością, natrętnymi spojrzeniami. Felicia siedziała po jego drugiej stronie, mocno splelił palce. Ostatnio byli nierozłączni, nie odstępowali się na krok. Spoczywająca na ramieniu Simona dłoń Liv lekko dotykała włosów Felicii. Były miększe, niż się spodziewała, wcale nie takie plastikowe i sztuczne, na jakie wyglądały. Makijaż jej się rozmasał, czarne smugi sygnalizowały emocje. Ale to nie jest prawdziwy płacz – pomyślała Liv. Dziewczyna po prostu dobrze udaje.

Liv czuła wewnątrz spokój i pustkę. Policja też pojawiła się w kościele. Liv mignął Hassan, zanim usiadła. Miał na sobie ciemną koszulę i krawat, nie był w mundurze, ale i tak domyślała się powodu jego obecności. Miała świadomość, że zabójca Vidara może się znajdować w tej zatłoczonej przestrzeni, może siedzi na jednej z twardych ławek i przygląda się swojemu dziełu. Przed nią stała prosta, sosnowa trumna z kwiatami, które już zaczęły więdnąć. To Eva i Douglas wszystkim się zajęli, nalegali na godny pogrzeb. Ona sama miała inne zdanie. Stwierdziła, że ojciec nie chciałby, żeby marnowała pieniądze na takie fanaberie. Jak umrę, to mnie spalcie – powiedział kilka razy. Nie chcę żadnych ceregieli. Wściekły się, gdyby ich teraz zobaczył, tych wszystkich ludzi, którzy zebrali się w kościele, żeby płakać nad jego losem. Wyraźnie słyszała w głowie jego protesty, gdy pastor wygłaszał mowę, ten jego charakterystyczny, chrapliwy głos: Przeklęte sępy. Nie można nawet umrzeć w spokoju.

Zerknęła przez ramię na tłum cisnący się w ławkach. Ci, dla których zabrakło miejsca, stali oparci o żółtą ścianę. Dojrzała wśród nich Johnny'ego. Wydawał jej się teraz wyższy niż w domu wdowy, górował nad ludźmi jak sosna. Wyglądał, jakby patrzył wprost na nią, szukał kontaktu. Przesunęła wzrok, omiotła spojrzeniem znajome twarze. Byli tam wszyscy – sąsiedzi i klienci stacji benzynowej. Mieli smutne miny.

Simon przybliżył usta do jej ucha.

– Dziadek nikogo z nich nie obchodził, ani trochę – wyszeptał. – Dlaczego tu przyszli?

\*

Przy kawie podchodzili i składali kondolencje. Chór mówiący jednym głosem: To straszne, przerażające, okropne, co się stało. Vidar był specyficzny, nawet trudny, lecz nikt nie zasługuje na taki los. Kilka osób podzieliło się anegdotami z młodości, z czasów, gdy Vidar korzystał z życia, robił interesy i uganiał się za kobietami. Opowieściami wywołującymi pustą

śmiej, będącymi bezowocną próbą ożywienia nastroju, uczynienia z Vidara człowieka, którego można ciepło wspominać. Ale Liv nie było ani do śmiechu, ani do płaczu. Po prostu siedziała i cały czas zerkła na zegarek, zastanawiając się, kiedy ludzie w końcu zaczną się żegnać i zbierać do domu, tak żeby to się nie wydało niegrzeczne albo nie przyciągnęło zbyt dużej uwagi.

Ją i Simona otoczyli sąsiedzi, Douglas, Eva i Karl-Erik, próbując odwrócić ich uwagę od tego, co się stało. Nie spodziewała się tego, nie w kontekście murów, jakie przez lata wybudował Vidar. W ciągu jednej nocy zostały zburzone. Serudia też tam siedziała. Piła kawę i kiedy nikt tego nie słyszał, pochyliła się w kierunku Liv i położyła kościstą dłoń na jej ręce.

– Ostatnio pamięć coraz częściej mnie zawodzi – powiedziała. – Ale jedno wiem na pewno: w miejscu, gdzie znalazłam czapkę Vidara, rosną maliny moroszki.

– Niemożliwe, przecież śnieg jeszcze nie stopniał.

– Wiesz, co mam na myśli. Jego czapka leżała w malinowym chruśniaku.

\*

Szeptano o niej. Liv wyłapywała z gwaru pojedyncze zdania, czuła palące spojrzenia. Głuche oskarżenia, od których swędziała ją skóra.

– To pogrzeb – kilka razy powiedział Douglas. – To nie jest odpowiedni czas ani miejsce na plotki oraz spekulacje. Dajmy się wykazać policji.

Długo siedziała w toalecie z twarzą w dłoniach. Ludzie krakali wokół niej jak wrony. Podłoga falowała pod jej stopami, gdy wracała do swojego stolika, do sąsiadów. Johnny siedział nieco z boku, zobaczyła jego promienną twarz, obcy błysk w jego spojrzeniu, gdy ich oczy się spotkały. Jasne włosy Simona niczym słońce obok jej pustego miejsca. Wydawały się takie odległe, oddzielało ich od siebie tyle ciał, czarne morze poliestru i oskarżających spojrzeń. Potykając się, Liv szła między wystrojonymi ludźmi, sukienka kleiła jej się do ciała jak zwiotczała skóra, a włosy na szyi były wilgotne. Suchość czuła tylko w ustach. Język przykleił jej się do podniebienia, nie mogłaby odpowiedzieć na pytanie, nawet gdyby chciała. Poczła narastający gniew, chciała pozrywać białe, papierowe obrusy ze stołu, wylać gorącą kawę na ich zacne kolana i wypełnić ich eleganckie buty potłuczoną porcelaną. Miała ochotę przyłożyć sobie odłamek szkła do szyi, na oczach wszystkich, lecz zdołała jedynie podnieść głowę i spojrzeć im w oczy, każdemu po kolei. Milkli, gdy przechodziła obok, jakby ktoś szedł obok niej i ściszał głośność. Wiedziała, że wszyscy myślą to samo, ale nikt nie miał odwagi powiedzieć tego w jej obecności. To było tak widoczne w ich spiętych barkach i wąskich kreskach ich ust, że równie dobrze mogliby to ogłosić: że to ona zamordowała swojego ojca.

## ZIMA 2002

Ignoruje wszystkie znaki – wrażliwe piersi oraz wrażliwość na zapachy. Stała się taka wyczulona, że ledwie może gdzieś pójść. Wszystko jej śmierdzi – palące oddechy ludzi, spaliny skuterów jadących przez wieś i słodka woń towarzysząca ubojowi zwierząt w sąsiednim gospodarstwie. Nic jej nie umknie.

Chowa nabrzmiewające ciało pod luźnymi ubraniami, wdzięczna za chłód i ciemność w środku zimy. Kiedy już nie da się ukryć brzucha, przestaje chodzić do szkoły. Leży w swoim pokoju i czuje ruchy dziecka, kręci się w niej jak robak, ogromny pasożyt, który wysysa z niej wszystkie siły.

Gdy przychodzi ojciec, dziewczyna podciąga kołdrę pod brodę, ale on i tak nie ma odwagi na nią patrzeć, jego spojrzenie błądzi gdzieś ponad jej głową. Trzy razy dziennie przynosi jej na górę jedzenie: blodpudding[6], pyzy z wątróbką i wywar na kościach – potrawy bogate w żelazo i tłuszcz, które mają ją wzmocnić przed porodem. Dziecko budzi się podczas jej posiłków, wierci się i kopie, jakby się czegoś domagało.

Ojciec nie chce, by w tych ostatnich miesiącach pokazywała się ludziom. Muszą jej wystarczyć spacerunki po lesie, wdychanie zapachu śniegu i cisza, ale i tak czuje, że ojciec obserwuje ją z domu, co nie pozwala na relaks. Czasami zamiast spaceru otwiera okno i wsłuchuje się w szept padającego śniegu i wiatru szumiącego w świerkach. Wioskę spowija ciemność, a ludzie i zwyczajny świat wydają się tacy odlegli. Ojciec odpycha każdego, kto próbuje się do nich zbliżyć. Mówi, że nikogo nie potrzebują.

– Nie przejmuj się, skarbie. Przejdziemy przez to razem.

Pod koniec dziecko jest już tak ciężkie, że dziewczyna i tak nie ma siły wychodzić. Staje w połowie schodów, by złapać oddech, a gdy ojciec krzyczy, że ma zostać w pokoju, posłusznie wraca. Leży na dziewczęcym łóżku, w różowej pościeli, i patrzy na unoszący się brzuch. Podejrzewa, gdzie są jego nóżki, gdy kopie, bo wie, że to chłopiec – przyszły mężczyzna i potwór. Truchleje na samą myśl o dniu, gdy z niej wyjdzie i będzie musiała go poznać.

Myśli o tych wszystkich samochodach i mężczyznach, neonie na stacji benzynowej, ich zimnych rękach pod jej kurtką, o tym, jak w nią wchodzili, jak ją zostawiali z gęsią skórą i szczekającą zębami. Ciepło wspomina tylko Samotnego Wilka. Czasami wypatruje go w nocy przez okno. Wyczuwa ten zapach dzikości, pamięta to upojenie jego bliskością, miejsce pasażera w jego samochodzie. To maksimum wolności, jakie udało jej się osiągnąć.

\* \* \*

W budynku stacji benzynowej czuło się powiew śmierci. Czarne garnitury i sukienki tłoczyły się między półkami, z zimną satysfakcją wypisaną na twarzach. Padał deszcz, niebo wisiało nad stacją jak brudne prześcieradło, równie sprane, co wchodzący i wychodzący ludzie, wnoszący ze sobą wilgoć. Właśnie pochowali Vidara Björnlunda i nie potrafili rozmawiać o niczym innym. Liam stał za kasą i chłonał wszystko, co wydobywało się z ich ust.

– Myślałem, że zemdleje, biedna dziewczyna.

– Ciekawe, co będzie z chłopakiem. To jego w tym wszystkim szkoda najbardziej.

– O zmarłych nie mówi się źle, ale Vidar dostał to, na co zasłużył. Przyprawiał mnie o ciarki, odkąd zmarła jego żona.

Spekulowano na temat sposobu śmierci Vidara. Obcięty na zapalkę facet o bujnej brodzie pochylił się nad ladą i szepnął do Liama, że wie z pewnego źródła, jak do tego doszło.



– Najpierw odstrzelono mu głowę, a potem przejechano po nim quadem, łamiąc mu przy tym wszystkie kości. Był jak sflaczały worek, gdy go wyciągali ze studni!

Byli tak zajęci rozmową o zmarłym, że chyba nawet nie zauważali jego rozciętej wargi i rany na policzku. Tylko Niila spytał, co się stało, więc Liam wymyślił jakąś bajeczkę o treningu hokejowym, chociaż nigdy nie grał w hokeja. Ale w dzieciństwie to było jego największe marzenie.

W czasie przerwy był tak wykończony, że musiał się oprzeć o śmierdzący śmietnik, żeby nie upaść. Zapas tabletek, które dostał od Gabriela, kurczył się z każdym dniem. Nie chciał ich brać, lecz nie mógł się powstrzymać. Potrzebował czegoś na stres. Nerwy miał tak zszargane, że podskakiwał na najcichszy dźwięk. Przed pracą zażył dwie benzo, ale nie czuł żadnego efektu, głowa wciąż pękała mu od chorych myśli. Pałac, wypatrywał Gabriela. Cały czas się bał, że brat wyłoni się z ciemności i zacznie go dręczyć nowymi problemami, żądaniami i kłamstwami.

Liam wiedział, że to Gabriel przeniósł ciało, chociaż ten zaprzeczył. Siedział u matki przy kuchennym stole i próbował zrzucić winę na kogoś innego. Od tamtej nocy na mokradłach Liam nie potrafił już do niego dotrzeć. Gabriel był gorszy od ojca – narkotyki pozwalały mu żyć w swoim świecie i wierzyć we własne kłamstwa. Jedyne, co Liam mógł zrobić, to trzymać się od niego z daleka, nie pozwolić się głębiej wciągnąć w to bagno, w którym i tak już tkwił.

Właśnie zgasił papierosa, gdy nagle otworzyły się drzwi do magazynu i stanęła w nich Liv Björnlund. Miała na sobie czarną sukienkę, która wisiała na niej jak worek. Jej twarz była blada i zacięta.

– Co ci się stało? – spytała.

– Przewróciłem się na treningu hokejowym.

– Dasz jednego?

Wyjmując papierosa z paczki, próbował uspokoić drżenie rąk. Nie miała też zapalniczki. Zbliżając płomień do jej twarzy zobaczył, że jest tak samo wyczerpana jak on. Miała cienie pod oczami i zmarszczki. Ale nic nie świadczyło o tym, żeby płakała.

– Dzisiaj pochowałam ojca.

– Słyszałem, moje kondolencje.

– Niila nie chce, żebym w tym miesiącu pracowała. Mówi, że ludzie są zbyt ciekawscy. Nie zostawią mnie w spokoju. Podobno możesz wziąć moje godziny.

– Tylko do twojego powrotu. Potem wszystko będzie po staremu.

Nerwowo zerkała w mrok, jakby się bała, że ktoś tam jest i podsłuchuje. Zaciągała się mocno i szybko, kołysała tułowiem.

– Nie mów nic Niili, ale nie sędzę, żebym w ogóle wróciła.

– Jak to?

– Ojciec nie żyje, więc nie widzę żadnego powodu, żeby tu zostać. Sprzedam dom i przeprowadzę się gdzieś razem z synem, daleko stąd.

Podeksytowanie w jej głosie, tak nowe, światło w oczach, gdy odgarniała włosy z twarzy i spoglądała na Liama. Dla niego to była wspaniała wiadomość. Wyprowadzka Liv i jej syna oznaczałaby, że na co dzień nic nie przypominałoby mu o tym, co się stało, i mógłby szybko o wszystkim zapomnieć.

– Muszę wracać, zanim Niila zacznie mnie szukać.

– Podobno masz córkę.

– Zgadza się.

– Niila mówi, że to dlatego tu pracujesz. Ze względu na nią.

Liam opuścił głowę. Zobaczył, że z jej czarnych butów wystają dwie różne skarpetki: jedna biała, jedna czarna.

– Obiecałem, że zbuduję dla niej dom.

– No proszę.

Uniosła nogę i zgmiotła nią papierosa. Liam otworzył drzwi i puścił ją przodem. Przystanąła w progu, pochyliła się ku niemu i wyszeptwała:

– Wiesz, co jest ważniejsze od tego, żeby wybudować dla niej dom?

– No?

– Sprawić, że pewnego dnia odważy się go opuścić.

\* \* \*

Vidar został zastrzelony, zanim wrzucono go do studni. Afisze z sensacyjnymi nagłówkami gazet zdawały się za nimi krzyczyć, gdy jechali przez wieś. I wszędzie te palące spojrzenia. Simon siedział obok niej z kapturem na głowie, próbował ukryć, że płacze. Chciała go pocieszyć, powiedzieć coś w stylu, że dziadek już nie cierpi, że śmierć pewnie przyszła tak szybko, że nawet nie zdążył nic poczuć. Ale słowa nie przechodziły przez gardło, więc jechali w milczeniu, połączeni tą nową spowijającą ich ciemnością.

Przy szlabanie na podjeździe czekały na nich dwie obce osoby, kobieta i mężczyzna. Po kamerach i dużym mikrofonie można było wywnioskować, że to dziennikarze. Liv ich rozpoznała, wcześniej siedzieli pod kościołem jak para wygłodniałych wron.

Kiedy zwolniła, Simon położył dłoń na klamce.

– Przegonić ich w diabły?

– Nie, po prostu nic im nie powiemy.

Wysiadła z auta, żeby wyręczyć Simona i podnieść szlaban.

– Jak się czujesz, Liv? – spytała dziennikarka. – Porozmawiasz z nami chwilę? – Głos miała łagodny, niemal proszący, lecz Liv tylko mocniej naciągnęła kaptur kurtki, nawet na nią nie patrząc. Potem wsiadła do auta i wjechała na bezpieczny teren. W domu opuściła żaluzje, by ochronić się przed ciekawskimi spojrzeniami, które chciały ją rozerwać na strzępy.

\*

Poczekwała, aż nad wsią zapadnie zmrok, i dopiero wtedy odważyła się wyjść z domu. Siedziała na ganku, wpatrując się w las, z fajką Vidara w ustach, gdy zadzwonił Hassan i powiedział, że właśnie do nich jedzie. Kiedy poszła podnieść szlaban, dziennikarzy już nie było.

– Można by pomyśleć, że tu mieszkasz – zażartowała, gdy wysiadł z auta.

– Nie mów nic mojej partnerce. I tak uważa, że ciągle nie ma mnie w domu.

Usiadł obok niej na ganku. Liv paliła fajkę i przyglądała się jego twarzy, zastanawiając się, dlaczego przyjechał. Zaproponowała mu fajkę, ale pokręcił przecząco głową.

– Jak się masz? – spytał.

– Bywało lepiej.

Czekała, że Hassan coś powie, poczuła narastające zniecierpliwienie. Miała wrażenie, że policjant tylko udaje troskę, by trzymać ją na oku.

Na stole leżała „Piteå-Tidningen”, Liv wskazała palcem nagłówek.

– Tutaj jest napisane, że oddano dwa strzały.

Hassan westchnął całym ciałem.

– Zgadza się.

– Dlaczego musimy czytać o tym w gazecie? Czemu nam o tym nie powiedziałaś?

– Bo to przeciek. Śledztwo wciąż jest w toku.

– Macie jakąś teorię, kto mógł to zrobić?

– Nie mogę o tym z tobą rozmawiać, nie teraz.

Wyglądał na autentycznie zasmuconego. Odwrócił się, żeby lepiej ją widzieć. Liv wpatrywała się w las, obserwowała, jak drzewa i niebo zlewają się ze sobą w mroku.

– Podejrzewacie, że to ja go zastrzeliłam, prawda? To dlatego przeszukujecie gospodarstwo i dlatego nic mi nie mówisz.

Hassan przeciągnął dłonią po twarzy. Skrzywił się.

– Nie da się prowadzić śledztwa w sprawie morderstwa, nie przyglądając się najbliższym ofiary. Tak to po prostu jest. Nie zamierzam przeproszać za naszą pracę, ale proszę, żebyście nie traktowali tego osobiście. Na tym polega śledztwo.

Fajka zgasła w tym samym momencie, w którym słońce schowało się za horyzontem. Z ciemności powiało wilgotnym zimnem. Liv zadygotała, ale mimo to nie chciała wracać do domu. Wszystko wydawało jej się tam teraz takie obce, rozdrapane i obnażone. Hassan pochylił się ku niej i powiedział cicho:

– Wierz mi lub nie, ale jestem po twojej stronie, Liv. Nawet jeśli nie mogę wyjawić ci szczegółów śledztwa, to chcę, żebyś to wiedziała. Jesteśmy tu ze względu na was i na Vidara. Nikt nie zasługuje na taki los.

Oczy zaczęły jej łzawić na wietrze, nie wycierała ich. Może Hassan pomyśli, że to prawdziwe łzy.

– Wiem, że byliście sobie z Vidarem bardzo bliscy – dodał Hassan. – Dla ciebie i dla Simona to okropnie trudny czas i chcę, żebyś wiedziała, że w razie czego chętnie ci pomogę. Nie tylko jako policjant, ale również jako bliźni.

– Skąd ten pomysł, że byliśmy sobie bliscy?

To pytanie go zaskoczyło. Widziała, że zbiło go z tropu. Przeczesał ręką gęste włosy.

– Bo inaczej nie mieszkałabyś z nim pod jednym dachem, prawda? A on nie nosiłby przy sobie twojego zdjęcia.

Hassan zaczął gmerać w kieszeniach kurtki, bąknął coś o ubraniach Vidara i dowodach, po czym wyjął mały woreczek i jej go wręczył.

– Kiedy znaleźli Vidara, miał to zdjęcie w wewnętrznej kieszeni koszuli.

Liv chwyciła woreczek palcami, nawet nie musiała patrzeć, wiedziała.

– To nie moje zdjęcie, tylko mamy.

– A niech mnie. Jesteście niesamowicie podobne. Mógłbym przysiąc, że to ty!

Fotografię sfatygował czas i częste oglądanie. Kristina była na niej młoda, uśmiechnięta i z rozpuszczonymi włosami. Tylko spojrzenie zdradzało powagę kryjącą się w jej głowie; mrok, który niebawem miał upomnieć się o swoje. Liv oddała zdjęcie Hassanowi. Vidar nosił przy sobie zdjęcia Kristiny, odkąd sięgała pamięcią. W dzieciństwie lubiła je oglądać, potrafiła godzinami wpatrywać się w tę piękną twarz i nigdy nie miała dosyć. Ale z czasem to się zmieniło i widziała w nich tylko siebie.

– Popełniła samobójstwo, gdy miałam zaledwie kilka miesięcy.

– To musiało być dla ciebie strasznie trudne – stwierdził Hassan. – Dorastać bez matki.

Liv wstała i zagwizdała na psa. Ciało bolało ją ze zmęczenia, każdy krok sprawiał jej ból. Zatrzymała się przy drzwiach wejściowych i posłała mu ostatnie spojrzenie.

– Ludzie gadają, że zrobiła to przez ojca. Mówią, że zabiła ją jego miłość.

\* \* \*

Kręciło mu się w głowie od tych wszystkich plotek, przypominały mu o zdjęciach, które miał w komórce. Począł, aż zapadnie noc i psy się uciszą. Vanja spała twarzą do ściany, rysy na tapecie rozchodziły się nad jej drobnym ciałkiem niczym pajęczyna. Siedział w poświacie monitora i przyglądał się zdjęciom, które po chwili wypełniły cały ekran. Vidar pochyłony,

z rękami w parującej ziemi, jakby czegoś szukał.

Liam przeniósł zdjęcia na komputer przed usunięciem ich z komórki. Przechowywanie ich na komputerze też nie wydawało mu się bezpieczne, lecz nie potrafił definitywnie ich usunąć. Za każdym razem, gdy próbował to zrobić, coś go powstrzymywało. Musiał je oglądać, chciał zrozumieć, co wydarzyło się tamtej nocy, chociaż doprowadzało go to do szaleństwa.

Głównie były to zdjęcia obejścia. Samotne okno, w którym paliło się światło, i ścieżki oferujące ucieczkę w świetle księżyca. Trzy pary drzwi prowadzące do domu: frontowe, tylne, boczne oraz te do piwnicy przy jednej z krótszych ścian budynku. Jabłoń przy ścianie szczytowej mogąca służyć za drabinę, jeśli trzeba by było zeskoczyć z pierwszego piętra lub z dachu. Volvo zaparkowane z boku, maską w krzakach czarnej porzeczki, zardzewiałe felgi świeciły o świetle jak złoto.

Nieostre zdjęcia zrobione tuż przed tym, gdy to się stało. Stary z twarzą przy ziemi. Jego anemiczny cień między świerkami, jaśniejące niebo i pierwsze promienie słońca. Obok cień ambony. Zszedł ze ścieżki, jakby czegoś szukał.

Liam rozjaśnił ekran i powiększył obraz. Wszystko zrobiło się dużo wyraźniejsze, wróciły wspomnienia, krzyk ptaków i zapach prochu. Poczul na plecach zimny pot i aż się wzdrygnął, lecz mimo to nie mógł oderwać wzroku od zdjęć. Vanja poruszyła się na łóżku, więc zamarł. Mleczne światło już zaczęło przenikać do pokoju, rzucając wątlą poświatę na jej śpiącą twarz.

Znowu spojrział w monitor. Vidar klęczał z rękami w ziemi. Nagle Liam zobaczył coś w lewym rogu i zamarł. Znowu powiększył obraz. Zmrużył oczy i dostrzegł element, który chyba tam nie pasował. Coś błękitnego na tle ciemnego lasu. Może jakaś część garderoby? Kurtka człowieka wchodzącego między drzewa? Czy to mógł być Gabriel? Przecież on znajdował się po drugiej stronie. Liam powiększył obraz, aż stał się niewyraźnym zlepkiem pikseli. Rozjaśnił go, podregulował kontrast, ale jedyne, co udało się zobaczyć, to rozmyte niebieskie kontury. Nie miał pewności, że rzeczywiście kogoś tam widzi. Równie dobrze zmęczenie mogło płatać mu figla.

Vanja cicho mruknęła, więc szybko zamknął zdjęcia. W poświacie monitora widział, jak się kręci. Jej połyskujący warkocz zwisał poza łóżkiem, lecz się nie obudziła. Spała tak głęboko, że trudno było stwierdzić, czy oddycha. Podkraść się do niej na sztywnych nogach i położył dłoń między jej łopatkami, tak jak gdy była niemowlęciem i strach przed jej utratą nie pozwalał mu zasnąć.

Skulił się na materacu, naciągnął na siebie kołdrę i koc, ale wciąż było mu zimno. Trząśł się, dopóki nie zasnął. W sennym koszmarze usłyszał kaszel Gabriela.

\* \* \*

W sąsiedniej wiosce panowała jeszcze bardziej senna atmosfera niż w Ödesmark. Opustoszałe stodoły i domy smagane wiatrem straszyły pustymi otworami okien. Liv siedziała wbita w fotel pasażera. Cały czas miała wrażenie, że ktoś stoi w mroku i ją obserwuje. Prowadził Simon, musiał poćwiczyć. Smutne cienie pod oczami sprawiały, że wydawał się starszy. Kiedy mijali huśtawki, zwolnił, chociaż od dawna nie rozbrzmiewał tam dziecięcy śmiech. Liv starała się zapanować nad złymi przeczuciami.

- Jeśli będzie tam policja, to zawracamy – zarządziła.
- Nie możemy, przecież słyszą, że jedziemy.
- Nie mam siły na ich spojrzenia.

Policja zrekonstruowała ostatnie dni życia Vidara, ale dalej jej nie wierzyli, gdy mówiła, że nie miał ani przyjaciół, ani wrogów. Samotność dawała mu poczucie bezpieczeństwa, tolerował jedynie najbliższych. Nigdy nie zaciągał długów. Policja przeszukała dom i samochód,

zabrała strzelby z sejfu na broń w piwnicy. Ale gorsze od pytań i naruszenia spokoju były te świdrujące spojrzenia, wnikające głęboko pod skórę. Ci ludzie wypalali w niej dziury oczami.

Mijając gospodarstwo Dużego Henrika, zobaczyli go stojącego przed stajnią i gapiącego się na drogę, jego polar świecił w półmroku jak zimowe słońce. Simon uniósł rękę, lecz w odpowiedzi zobaczył jedynie posępne spojrzenie.

– Idź do diabła! – rzucił.

– Nikt nie chce nas znać – stwierdziła Liv. – Przynosimy pecha.

– Wcześniej też nikt nie chciał nas znać.

Z daleka dostrzegli blokadę. Ślady kół przecinały szutrówkę wzdłuż i w szerz, a taśmy policyjne powiewały nad zaroślami. Za granicą działki i chaszczami rozciągała się poręba, na tle okolicznej zieleni teren jakby dotknięty jakąś chorobą. Nie było tam życia, tylko cienie chmur powoli przesuwające się nad ziemią. Simon podjechał tak blisko, że zderzak musnął tablicę informującą o blokadzie.

– Nikogo tu nie ma – powiedział.

– Jak myślisz, gdzie jest ta studnia?

– Gdzieś na tej działce. Pewnie kompletnie zarośnięta. Gdyby nie wyrąb, nigdy by go nie znaleźli.

Może to nadciągająca burza, a może poczucie osamotnienia, tak czy inaczej nagle płacz ścisnął jej gardło. Płacz nieobecny od czasu wiadomości o śmierci Vidara. Liv kilkakrotnie mocno zacisnęła powieki, więc słone łzy musiały sobie znaleźć ujście przez nos. Wytarła je rękawem i chwyciła za klamkę. Nie miała czasu na opłakiwanie ojca.

Policjanci wydeptali ścieżki w zaroślach. Wyglądały jak czarne strumienie łączące się przy studni ziejącej otworem pomiędzy nagimi brzoźami. Stanęli przy kamieniach porośniętych mchem i Liv podniosła pokrywę zdecydowanym ruchem.

Zastanawiała się, czy wrzucono go do tej głębokiej i wyschniętej studni głową w dół. Kiedy się pochyliła, usłyszała cichy szum, szept dobiegający z wnętrza ziemi. Z bliska zobaczyła ciemne plamy krwi zaschniętej na poroście i kamieniach. Odwróciła wzrok, spojrzała na Simona obserwującego porębę, jakby szukał wyjaśnienia wśród ściętych drzew.

– Ludzie gadają, że Juha się tu kręcił – powiedział.

– Juha Bjerke? Kto tak mówi?

– Jedna z kobiet pracujących przy zwierzętach u Modigów. Podobno ostatnio często widywała Juhę we wsi. Poluje w tych okolicach, chociaż nie ma licencji. Już raz pomylił człowieka ze zwierzęciem.

Liv pokręciła głową.

– Ludzie zawsze będą obwiniać Juhę, jak tylko coś się stanie. Wątpię, żeby maczał w tym palec.

Miała nadzieję, że Simon nie usłyszał drżenia w jej głosie. Nie widziała Juhy Bjerkego od wielu lat, prawie zapomniała o jego istnieniu, lecz wciąż pamiętała tę bujną brodę, to czujne spojrzenie. Minęło wiele lat, ale wiedziała, że nigdy nie zapomni, jak jeździli po okolicy jego ledwo zipiącym autem, gdy za oknami płonęła jesień, a oni rozmawiali o wolności i palili trawę. To był dobry czas wypełniony nadzieją, zanim wtrącił się Vidar i wszystko zniszczył. Nie wiedziała, co powiedział, by pozbyć się Juhy, lecz efekt był taki, że Samotny Wilk z północnego lasu nigdy więcej po nią nie przyjechał.

– Znasz Juhę? – spytał Simon.

– Znam, to za dużo powiedziane. Wszyscy wiedzą, kim jest.

– Naprawdę nie umiesz kłamać.

Rzeczywiście, okłamywanie cię kiepsko mi idzie – pomyślała Liv. Kilka razy okrążyła

studnię i wybujałe chaszczce. Jeśli to prawda, że Vidar został zastrzelony, to raczej nie tutaj. Za mało było tu krwi, tylko kilka pojedynczych plam wokół pokrywy studni. Na pewno został tu przyciągnięty i ukryty; przyciągnięty z miejsca, w którym rosły maliny moroszki, jeśli wierzyć opowieściom Serudii. W tym miejscu, przy studni, nigdy nie rosły maliny moroszki, ziemia była zbyt sucha.

Pod suchymi gałęziami leżał niedopałek. Liv podniosła go i spojrzała na niego pod światło. Był to czerwony marlboro, wypalony tylko do połowy. Wyglądał, jakby ktoś zgasił go butem.

– Co tam masz?

– Nic.

Błyskawicznie wsunęła go do kieszeni.

– Jedźmy, nie chcę tu dłużej być.

\*

Duży Erik nie stał już przed stajnią, gdy wracali, ale zauważyła jego cień za firanką. Niewiele myśląc, położyła rękę na dłoni Simona.

– Wjedź tutaj.

– Dlaczego?

– Sprawdźmy, co się dzieje w tej przeklętej wiosce.

\* \* \*

Gabriel przestał odbierać od niego telefony. Kiedy Liam pojechał do jego mieszkania, otworzyła mu Johanna. Miała na sobie ubrania Gabriela, twarz zasłaniały ciemne włosy, spod których prześwitywało zapuchnięte oko.

– Gabriela nie ma w domu.

– Mogę wejść i na niego poczekać? To ważne.

– Powiedział, że mam cię nie wpuszczać.

– Wiesz, gdzie jest?

Pokręciła przecząco głową, przygryzła wargę. Liam widział po niej, że wie więcej, niż mówi, ale nie zamierzał się z nią kłócić, i tak było jej ciężko.

– Przekaż mu, że byłem.

Przymknęła drzwi, zostawiła tylko wąską szparę na zdrowe oko.

– Martwi się o ciebie – powiedziała flegmatycznie. – Mówi, że tracisz głowę.

Liam się uśmiechnął.

– Ostatnio jak sprawdzałem, była na swoim miejscu.

\*

Znalazł go w barze Frasses. Gabriel siedział sam przy stoliku w ogródku z policzkami jak chomik. Opychał się frytkami. Nie zareagował, gdy Liam wysiadł z samochodu. Podniósł głowę dopiero, kiedy brat usiadł naprzeciwko. Jego twarz wyglądała w słońcu na bardziej zrelaksowaną niż zwykle, z kącika ust wypływała mu czerwona strużka ketchupu. Odłożył frytki i wytarł ręce w dzinsy.

– Tracę apetyt, jak tylko cię widzę.

– Mógłbym powiedzieć to samo.

– Czego chcesz?

– Przejedziemy się? Chciałbym ci coś pokazać.

– Nie mogę, czekam na kogoś.

–To zajmie maksymalnie dziesięć minut, potem odwiozę cię do domu. To ważne.

\*

Jeziro było lśniące i opustoszałe, nikt jeszcze się nie kąpał. Brzozy lekko się zazieleniły, ale lato wciąż wydawało się odległe. Gabriel opuścił szybę i zapalił jointa. Na przemian palił i kasłał, unikał patrzenia na Liama. Na krzyk ptaka obaj się wzdrygnęli. Puszczały im zszargane nerwy, pozostawali gotowi do ucieczki. On też się boi – pomyślał Liam. Boimy się siebie nawzajem.

Minęły już te czasy, gdy dawali sobie poczucie bezpieczeństwa w te wszystkie niekończące się noce, kiedy ciemność spowijała obojcie jak duszący koc, a dom wibrował od łez i kłótni. Zawsze to Liam wślizgiwał się do łóżka Gabriela, nigdy odwrotnie. Gabriel zasłaniał dłońmi uszy Liama, żeby nie słyszał tego, co się działo piętro niżej, tego wszystkiego, co się tłukło i rozpadało w drobny mak, czego później nie dało się już naprawić. Czasami, gdy było bardzo źle, Gabriel głośno śpiewał. Śpiewał, dopóki Liam nie zasnął.

Liam wziął macha, by nieco zasypać przepaść między nimi, po czym wyjął komórkę.

– Podejrzewam, że nie byliśmy tam sami – powiedział w końcu. – Możliwe, że był tam jeszcze ktoś.

– Nie zaczynaj znowu.

Liam uniósł komórkę na wysokość oczu Gabriela. Pokazał mu zdjęcie, na którym stary kłęcz, a wschodzące słońce rzuca ciepłą poświatę na las. Gabriel się zaciągnął, mówił z dymem w płucach:

– Chyba kazałem ci to skasować?

– Wiem, ale przyjrzyj się temu. Spójrz w lewy róg.

Liam przybliżył mu komórkę do twarzy. Na małym ekranie nie było zbyt dobrze widać, ale przy odrobinie wysiłku można było zobaczyć za Vidarem niebieski cień.

– Tam, między drzewami, widzisz?

Gabriel wydmuchał dym i zmrużył oczy.

– Widzę tylko to cholerne zdjęcie, które miałeś wykasować dawno temu.

Zgasił jointa w pustej puszcze po coli stojącej w uchwycie na kawę, oparł się i spojrzał na Liama spod ciężkich powiek. Delikatne tiki twarzy świadczyły o tym, że jest wściekły. Postukał Liama w czoło.

– Czasami zastanawiam się, czy ktoś tam w ogóle mieszka – oznajmił. – Nie chcesz mnie słuchać, nie robisz tego, co ci każe. Nie mam już do ciebie siły. Może Juha powinien się tobą zająć, byłby spokojny.

Liam się odsunął, udawał, że nie słyszy. Znowu przyjrzał się zdjęciu, sam już nie ufał swoim zmysłom. Może to wiatr targający gałęziami drzew sprawił, że widział coś, czego tam wcale nie było. Może światło się jakoś dziwnie załamało i wywołało złudzenie optyczne. Może Gabriel ma rację i to tylko jego zestresowany mózg płata mu figla, szuka innych wyjaśnień. Jakiegós wyjścia.

Zanim zdążył zareagować, Gabriel wyrwał mu telefon z ręki i wysiadł z auta. Uniósł telefon nad głowę, rzucił nim o asfalt i rozdeptał go na miazgę. Na jego twarzy rysowała się furia. Kiedy skończył, podniósł to, co zostało z komórki, i rzucił daleko w jezioro.

Liam siedział nieruchomo i przyglądał się temu wszystkiemu, patrzył na okręgi, które powstały na wodzie. Czuł pod sobą drgania ziemi, słyszał trzask, gdy powoli się wypiętrzała i otwierała. Czekala na niego.

Na ganku domu Dużego Henrika siedział chudy kot i z niezadowoleniem obserwował, jak wysiadają z auta. Nikt nie zareagował, gdy Liv zadzwoniła do drzwi, chociaż słyszała czyjeś

kroki w środku.

– Lepiej otwórz – zawołała. – Wiem, że jesteś w domu.

Simon już wracał do samochodu, gdy nagle drzwi zaskrzypiały, uchyliły się i pojawiła się w nich twarz Dużego Henrika. Liv sięgała mu do klatki piersiowej, był naprawdę postawnym mężczyzną, a mimo to próbował uniknąć spotkania z nią.

– Czego chcecie?

– Wejść do środka i porozmawiać.

– O czym?

– Chyba się domyślasz.

Duży Henrik stanął w progu. Liv przypomniała sobie pewne zdarzenie z czasów szkolnych: stycziowy chłód i las uginający się pod śniegiem, autobus złapał gumę. Ona i Duży Henrik szli śladem skutera śnieżnego, rozmawiali przez całą drogę do Ödesmark, chociaż wcześniej nigdy nawet na siebie nie spojrzeli. Tam, gdzie był głęboki śnieg, on szedł pierwszy i torował jej drogę. A następnego dnia zachowywał się tak, jakby to wcale się nie wydarzyło. Podobnie było teraz, pomarszczona twarz nie chciała jej zauważyć.

– No to wejdźcie.

Dom był duży, cichy i oszczędnie umeblowany. Duży Henrik zaprosił ich do kuchni, zaproponował, żeby usiedli. Kawowe okręgi na ceracie zdradzały, gdzie zazwyczaj siedzi. Od śmierci matki mieszkał sam. Z rodzeństwa tylko on został w wiosce.

– Zgaduję, że napijecie się kawy.

Nie czekając na odpowiedź, wrzucił do piecyka szczapę drewna i zaczął nasypywać kawę.

– Nie rób sobie kłopotu.

Powiedziała to spokojnym, pojednawczym tonem, nie chciała, żeby Duży Henrik stawał okoniem. Simon siedział obok niej i obgryzał skórki wokół paznokci. Duży Henrik postawił na stole ładne, porcelanowe filiżanki ze złotym paskiem. Wciąż dotykał swojej łysiny, drapał się po niej.

– To okropne, co się stało – powiedział. – Byłem na pogrzebie, pięknie go zorganizowaliście.

– Pomogli nam Modigowie. Gdyby nie oni, nie byłoby żadnego pogrzebu.

Duży Henrik wykonał gest w kierunku okna.

– Niepojęte, że tam leżał, rzut beretem od mojego domu. Na samą myśl o tym zaczynam się bać ciemności.

– Niczego nie widziałeś?

– Wszystko powiedziałem policji. Nie mam pojęcia, w jaki sposób znalazł się w tej studni.

– Nie widziałeś nikogo, kto jechałby tą drogą?

– Teraz nikt już tędy nie jeździ. Pracownicy leśni wjeżdżają od drugiej strony, wykarczowali sobie własną drogę. Aż do tej tragedii nie było powodu, żeby ktokolwiek się tutaj zapuszczał. Teraz policja, dziennikarze i gapie rozjeżdżają tę drogę w tę i z powrotem.

Jego łysina świeciła, gdy nalewał kawy. Simon położył ręce na stole. Popijając gorącą kawę, bacznie przyglądał się temu postawnemu mężczyźnie. Liv nie była w stanie przełknąć ani łyka. Jej żołądek strajkował.

– Ludzie pewnie gadają. Na pewno słyszałeś mnóstwo plotek.

Ładna porcelana wyglądała komicznie w ogromnych dłoniach Dużego Henrika, jakby się bawił serwisem dla lalek.

– Słyszałem to i owo, ale nie wiem, czy się wam to spodoba.



– Nami się nie przejmuj. Chcemy tylko wiedzieć, co ludzie gadają.

Duży Henrik westchnął i złapał się za głowę. Rzucał im ukradkowe spojrzenia.

– Cóż, wybaczcie, jeśli to zabrzmiało zbyt brutalnie, ale niejedni tutaj chcieli wpackować Vidarowi Björnlundowi kulkę w łeb. Przez lata doprowadzał ludzi do furii. Właściwie to cud, że stało się to dopiero teraz.

Simon z brzękiem odstawił filiżankę. Liv zauważyła pulsowanie na jego szyi, nad kołnierzykiem.

– Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Nie wskażę konkretnej osoby, bo słyszałem to z wielu ust. Twój ojciec nie był lubiany i dobrze o tym wiesz. Dorobił się na krzywdzie ludzi. Namawiał ich do sprzedaży ziemi tylko po to, żeby odsprzedać ją z zyskiem. Wiele rodzin straciło dorobek swojego życia w ciągu jednej nocy, a czegoś takiego się nie zapomina. Te rany wciąż krwawią.

– Ojciec nie zajmował się tym od ponad dwudziestu lat.

– To prawda, ale interesy z przeszłości mają teraz swoje konsekwencje. Północny las ma zostać wykarczowany, chociaż te drzewa mają ponad sto lat. I to właśnie Vidar uruchomił tę lawinę, kupując ziemię Bjerkego i potem ją sprzedając.

Teraz to Liv wbiła wzrok w ceratę. Czowała na sobie pytające spojrzenia Simona. Nie była pewna, ile wiedział o starych czasach, o wszystkim, co się wydarzyło przed jego narodzinami. Wiedziała, że niektórzy ludzie są wściekli na Vidara, ale to było tak dawno, powinni już puścić to w niepamięć.

– Chcesz pieniędzy? – spytała.

Duży Erik zaśmiał się bezdźwięcznie.

– Nigdy nie grzeszyłaś bystrością – stwierdził.

– Podaj kwotę, jakkolwiek. Zapłacę, ile chcesz, tylko powiedz, kto zamordował mojego ojca.

Mężczyzna w końcu podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. Ogromne ciało trzęsło się ze złości, gdy pochylił się nad stołem.

– Pamiętam, jak stałaś przy drodze z uniesionym kciukiem i chciałaś stąd uciec. I chociaż wskakiwałaś do każdego, nawet najbardziej zdezelowanego auta, to nigdy stąd nie wyjechałaś. A teraz jest już za późno, zrobiłaś się dokładnie taka jak twój ojciec. Myślisz, że wszystko da się załatwić pieniędzmi.

Liv wstała tak gwałtownie, że niedopita kawa wylała się na ceratę. Zapłonął w niej dawny wstyd. Przebiegła przez ciemną sień i wyszła na zewnątrz. Zaskoczyło ją, że już zapadł zmrok. Spowił ją swoim chłodem, gdy biegła do samochodu. Zanim dogonił ją Simon, zdążyła uruchomić silnik i zawrócić na wąskiej drodze. Wskoczył na miejsce pasażera i zaczął się szarpać z pasem, odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– O co chodziło?

Liv wyciągnęła rękę, szukając jego dłoni.

– To bez znaczenia. Nic, co się wydarzyło, zanim przyszedłeś na świat, nie ma żadnego znaczenia.

[6] *blodpudding* (szw.) – krew wieprzowa zapiekana z musem jabłkowym, posiekaną podsmażoną cebulą, mąką żytnią, śmietaną, słabym piwem lub bulionem oraz przyprawami.

## PRZEDWIOŚNIE 2003

Krzyk dziecka głęboko ją rani, a mimo to nie jest w stanie zwlec się z łóżka. Łóżeczko ze szczebelkami zamienia się w świetle księżycy w klatkę, znacznie mniejszą od jej własnej. Stare ściany nie zatrzymują krzyku dziecka wewnątrz domu. Dziewczyna wie, że niesie się on po wsi i płoszy ptaki siedzące na drzewach.

To ojciec bierze małego na ręce i kołysze go, chodząc po ciemnych pokojach z ręką opiekuńczo spoczywającą na łysym ciemiączku. Wędruje tak całe noce, niestrudzony w swojej miłości. W równych odstępach czasu zakrada się do jej pokoju. Dziewczyna udaje, że śpi, gdy ojciec rzuca na nią swój cień.

– Trzeba go nakarmić.

– Śpię.

– Chyba nie chcesz, żeby umarł?

Próbuje ją wystraszyć, lecz jej ciało już na to nie reaguje. Jakby całe jej wnętrze wyciekło podczas porodu, jakby była w środku kompletnie pusta. Nie ma już ani żołądka, ani serca, nie ma krwi, którą płynąłby strach.

Miała nadzieję, że po porodzie zabiorą jej dziecko, że położna i pielęgniarki zobaczą, co się dzieje, i ulitują się nad nią. Ale niczego nie zauważyły i nie ulitowały się.

Ojciec sadza ją na łóżku, podnosi jej bluzkę i odsłania nabrzmiałe piersi. Dziecko jest w jej ramionach niesamowicie ciężkie. Dziewczyna siedzi w ciemności i patrzy, jak mały walczy, żeby się przysssać. W jego małych, żarłocznych usteczkach brodawki szczypią ją i bołą, a gdy wreszcie puszcza jej pierś, delikatna skóra sutka pęka i zaczyna krwawić.

Dziewczyna siedzi z zaciśniętymi powiekami, a ojciec ją chwali.

– Zobacysz, wyrośnie duży i silny.

\*

Świerki uginają się pod ciężarem śniegu, a krzyk noworodka wibruje nad całą tą cichą bielą. Dziewczyna kładzie sobie poduszkę na głowie, udaje, że ją też przysypał śnieg. Widzi odbicie dziecka w ciemnych oknach, pomarszczoną twarz i bezzębny otwór gębowy głośno domagający się wszystkiego tego, czego nie potrafi mu dać. Pokój jest skąpany w ostrym świetle, lecz jej brakuje już sił na witanie nowego dnia. Wkłada tylko rękę pod materac i zaciska ją na nożu, który tam czeka. Przesuwa ostrze po bladym i miękkim przedramieniu. Zawsze jest jakieś wyjście, nawet jeśli prowadzi donikąd.

\* \* \*

Czarne oczy Kristiny obserwowały ją z drugiego końca pokoju. Liv podeszła i wyjęła zdjęcie ze zniszczonej ramki. Długo siedziała z nim w dłoni i głaskała palcem ziarnistą twarz, tak podobną do jej twarzy, jakby trzymała w ręku lustro. Różniły je tylko włosy – Kristiny były gęste i czarne jak smoła, sprawiały, że jej oczy lśniły jak gwiazdy.

Liv odwróciła fotografię. W prawym rogu zauważyła kilka liczb. Najpierw pomyślała, że to data, ale liczby się nie zgadzały, było ich za dużo. Jedenaście. Napisała je niecierpliwa ręka Vidara, niechlujnie i krzywo. Liv spojrzała na drzwi szafy, za którymi krył się sejf. Wciąż był zamknięty i nieosiągalny. Policja poinformowała, że wysła technika, który go otworzy, ale może to trochę potrwać. Liv zawołała Simona.

Zapomniała, że jest u nich Felicia. Oboje powoli zeszli po schodach, rozczochrani

i rozpaleni, jakby ich na czymś przyłapała.

– Dlaczego krzyczysz?

Liv się zawahała. Zerknęła na Felicię, dziewczyna uśmiechnęła się do niej. Ekstrawaganckie niebieskie włosy czyniły ją podobną do rusałki, oblekały bajkowością. W końcu Liv podniosła do góry zdjęcie Kristiny.

– Chyba znalazłam szyfr do sejfu.

Simon wziął od niej fotografię i przyjrzał się cyfrom. Jego gołe barki były usiane czerwonymi pryszczami. Liv usłyszała w uszach wibrujący głos Vidara: Załóż bluzkę, chłopcze, nie lataj goły.

– Chodź, sprawdzimy – zaproponował.

Drzwi szafy otworzyły się z ciężkim westchnięciem. Wnętrze ziało ciemnością i pustką, odkąd Liv pozbyła się ubrań Vidara. Zostało tylko kilka samotnych wieszaków, które o siebie stuknęły, no i czarne oko sejfu. Był przymocowany do podłogi i nie dało się go przesunąć. Liv we wczesnym dzieciństwie widziała w nim banknoty, ale to było dawno temu, poza tym nie ufała już swojej pamięci.

Liv i Felicia zerkały Simonowi przez ramię, kiedy kręcił gałką zamka. Każde kliknięcie przeszywało Liv jak strzał z pistoletu. Felicia to zauważyła i położyła rękę na jej plecach, pogłaskała ją niezdarne. Było od niej trochę czuć alkoholem, a może to tylko perfumy. Liv nie miała pewności. Felicia miała wytatuowany na ramieniu szeroko rozwarty pysk tygrysa. Duże kły błyszczały realistycznie.

– Wiecie, co jest w środku? – spytała.

Liv powoli pokręciła głową.

– Nie widziałam, żeby ojciec otwierał sejf od czasu, gdy byłem dzieckiem. Wtedy jeszcze mi ufał.

– Mój tata jest identyczny – oznajmiła Felicia. – Zaczął spać z portfelem pod poduszką.

Powiedziała to ze śmiechem, lecz Liv czuła między łopatkami jej zimną dłoń. Simon kucnął, na jego plecach perlił się pot i śmierdział, jakby biegał w deszczu po lesie. Jego dłoń była ostrożnie skulona na zamku sejfu. Po jedenastu głośnych kliknięciach drzwiczki się otworzyły. To się stało tak nagle, że wszyscy troje odskoczyli do tyłu, jakby się spodziewali, że ze środka wyskoczy Vidar. Czarna otchłań sejfu drwiła z niej, odkąd sięgała pamięcią. Pomyślała o tym, że zawsze sobie wyobrażała, iż to Juha uchyli drzwi sejfu, by dostać się do majątku Vidara. Ale teraz okazało się, że nie było tam ani banknotów, ani skarbów, tylko kurz wirujący w ciemnej otchłani. Simon odwrócił się ku niej.

– Nic tutaj nie ma. Jest pusty.

Poczuła zdziwienie.

– Musiał mieć inną skrytkę. Albo ulokował jednak wszystko w banku. Ale jakoś w to nie wierzę.

Vidar nie ufał bankom, zawsze mówił, że trzeba mieć w domu skrzynię ze skarbami. Na wszelki wypadek.

Simon włożył rękę do sejfu i przejechał nią po śliskich półkach. Zatrzymał się, gdy coś brzęknęło mu pod palcami. Delikatnie wyjął znaleziony przedmiot i uniósł go do światła. Liv wstrzymała oddech. Jej głowa wypełniła się wspomnieniami, kiedy zobaczyła naszyjnik. Poczuła zapach wolności i suszonego mięsa. Zerwany łańcuszek i serduszko zaśniedziały, lecz wiedziała na pewno, że to ten sam naszyjnik, który Juha podarował jej dawno temu.

– Co to? – spytał Simon.

– To moje.

– Co robi w sejfie?

– Nie wiem.

Ale wiedziała. Naszyjnik był pozdrowieniem od Vidara, przypomnieniem tego, co robiła z Juhą za jego plecami tamtej jesieni. Ich naiwne plany, że wezmą pieniądze i uciekną – młodzieńcza głupota i ostateczna zdrada. To dlatego Vidar opróżnił sejf. Nigdy jej nie wybaczył, chociaż nie związała się z Juhą. Wyciągając rękę po naszyjnik, słyszała w głowie jego przekleństwa. Bała się, jakby wciąż żył.

\* \* \*

Liam siedział w pomieszczeniu dla personelu i przeglądał domy na internetowym serwisie ogłoszeniowym Hemnet. Wszystkie były za drogie. Nie chciał mieszkać w ruderze, na którą było go stać. Marzył mu się dom nad wodą, pod lasem i z własnym ogrodem. Daleko od psów matki, od Gabriela i dawnego życia. Dołożyłby starań, aby dobrze żyć z sąsiadami, zapraszałby ich na kawę i prowadziłby z nimi niezobowiązujące rozmowy. Tylko musiał dostać szansę.

Nowy telefon był większy od tego, który zniszczył mu Gabriel, miał lepszy ekran. Po chwili do pomieszczenia dla personelu wszedł Niila i zerknął Liamowi przez ramię. Zobaczył, że ogląda domy na komórce.

– Taniej jest kupić ziemię i samemu coś zbudować.

– Kompletnie się na tym nie znam.

– Ojciec niczego cię nie nauczył?

– Zmarł, gdy miałem trzynaście lat.

Ojciec nauczył go tylko, jak siał zniszczenie. W ścianach w ich domu było więcej dziur niż matka miała obrazów, którymi mogła je zakryć, lecz o takich rzeczach nie mówi się głośno. Niila poklepał go po ramieniu. Liam zeszywniał.

– Mogę cię wszystkiego nauczyć, jeśli się na to zdecydujesz. Zbudowałem dom dla siebie i dla brata. To straszna harówka, ale gdy już się go postawi własnymi rękami, to ma się ogromną satysfakcję, która na długo daje człowiekowi siłę.

Liam przełknął ślinę, poczuł gulę w gardle. Nie przywykł do tego, że ktoś chce mu pomóc. Nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko siedział jak kołek i próbował odchrząknąć, by w ten sposób zapanować nad emocjami. Być może Niila to zauważył, bo nic już więcej nie powiedział, posłał mu tylko ten swój półuśmiech i dolał im kawy, po czym wrócił do klientów.

Liam właśnie włożył pod język tabletkę benzo, gdy zamek szyfrowy znowu piknął. Pomyślał, że Niila czegoś zapomniał, ale zamiast niego zobaczył Liv Björnlund. Drzwi głośno się za nią zatrzasnęły. Ten dźwięk wciąż rozbrzmiewał między ścianami, gdy na siebie spojrzeli.

– Jest kawa? – spytała Liv.

– Chyba tak.

Liam poczuł w ustach gorzkość, gdy podchodziła do kuchenki i nalewała sobie kawę. Szybko połknął tabletkę. Telefon wciąż leżał przed nim na stole, lecz ekran się wygasił. Nie zobaczyła domów, o których marzył.

– Pracujesz dziś? – spytał.

– Nie, Niila uważa, że nie jestem gotowa, by wrócić na scenę.

– Jaką scenę?

Usiadła naprzeciwko niego. Jej tułów tonął w czerwonej koszuli flanelowej z wytartymi wzmocnieniami na łokciach i ciemnymi plamami na piersi. Wyglądała jak dziewczynka, która pożyczyla ubranie od taty.

– Kasa jest jak scena, nie zauważyłeś tego? Przyciąga spojrzenia. A ty musisz tam stać i powtarzać te same, nudne kwestie, dzień za dniem.

Liam zamrugał powiekami. Myślał, że tylko on czuje się tak, jakby grał w teatrze.

– Wiem, co masz na myśli.

Uśmiechnęła się. Kosmyki rozczochranych włosów zasłoniły jej twarz, ale i tak dostrzegł blask w jej oczach. Ujrzał w niej dziecko, którym kiedyś była, zanim ramiona zaczęły jej opadać, a na twarzy pojawiły się zmarszczki.

– Przyniosłam Niili papiery – poinformowała. – Upiera się, że mam iść na zwolnienie.

– Wołałabyś pracować?

Wzruszyła ramionami.

– Tutaj przynajmniej się wie, co ludzie gadają, zna się wszystkie plotki i spekulacje. Nie dowiem się tego, siedząc w domu.

– Same bzdury – stwierdził Liam. – Lepiej tego nie słuchać.

Przekrzywiła głowę i wbiła w niego wzrok.

– Powiesz mi, co słyszałeś?

– Na jaki temat?

– O ojcu, o mnie. Wiem, że ludzie gadają. Każdy, kto tutaj wchodzi, ma swoją teorię na temat tego, co się wydarzyło. Zdziwiłoby mnie, gdyby było inaczej.

Liam dopił kawę i zerknął na zegarek, zostały mu tylko trzy minuty, potem musiał stanąć za kasą.

– Nie słucham plotek.

– Daj spokój, nie musisz mnie oszczędzać. Obwiniają mnie, prawda? Myślą, że zamordowałam własnego ojca.

– Na twoim miejscu miałbym w dupie, co mówią ludzie.

Na jej twarz padło dzienne światło. Jej oczy były tak oślepiająco niebieskie, że musiał odwrócić wzrok.

– Ty też myślisz, że to zrobiłam?

Wstał i przepłukał kubek. Czuł, że Liv na niego patrzy, czeka w napięciu. Próbował uśmiechnąć się do niej przez ramię w ten uspokajający sposób, w który uśmiechał się do Vanji, gdy coś ją niepokoiło. Uśmiechnął się, mimo że miał okropne wyrzuty sumienia. To przez niego cierpiała, to on wlaź z buciarami w jej życie i spowodował w nim chaos.

Zanim wyszedł, ostrożnie dotknął jej ramienia i głośno odchrząknął.

– Wydaje mi się, że Niila ma rację. Powinnaś pojechać do domu i odpocząć.

\* \* \*

Nie potrafiła odpocząć, nie mogła znieść tej ciszy. Musiała cały czas być w ruchu. Nie mogła usiąść, bo wtedy zaczynała myśleć. Oparła czoło o szybę okienną i spojrzała na porąbaną jarzębinę. Czarne gałęzie leżały rozczapierzone na zahibernowanej trawie jak kości. Zamierzała je spalić razem z zeszlórocznymi liśćmi, a smętny pień wyrwać z korzeniami. Dokładnie tak, jak to sobie obiecywała przez te wszystkie lata.

W domu pachniało mydłem. Wszystko lśniło. Wyjątkiem były mokre, wyszorowane szarym mydłem deski podłogowe, na których pies pozostawił ślady swoich łap. Otworzyła na oścież drzwi do pokoju Vidara. Był równie pusty i pozbawiony duszy, jak on sam.

Przez otwarte okna na dole wpadało wiosenne powietrze i wywiewało kwaskowatą woń starego. Z Vidara nic nie zostało, nawet jego zapach. Wszystkie jego ubrania, miszmasz puchu, polaru i flaneli, wyrzuciła na podwórko. Stare, pożółkłe koszulki na grubych ramiączkach i dziurawe skarpety. Wyglądało to tak, jakby na ziemi leżało jakieś skulone, duże, pstrokate zwierzę. Wszystko miało niebawem spłonąć na stosie wspomnień.

Z góry dobiegł ją perlisty śmiech Felicii. Liv spodziewała się, że Simon będzie protestował przeciwko tym czystkom, że będzie chciał, aby w pokoju Vidara wszystko zostało po

staremu, ale nie powiedział ani słowa. Może ją rozumiał, może też uważał, że teraz łatwiej się oddycha. A może po prostu był zajęty dziewczyną o niebieskich włosach.

To ten śmiech przegonił ją z domu, nagle poczuła się strasznie samotna wśród tych lśniących powierzchni. Wypucowany dom wydał jej się obcy. Stała przed pękniętym lustrem i przeczesła włosy palcami, ochlapała pachy zimną wodą i uszczypnęła się w policzki. Następnie krzyknęła do młodych, że idzie się przejść.

– Pa! – odpowiedzieli, zadowoleni, że się jej pozbęda. Wychodząc na podwórko, słyszała ich śmiech.

Minęła stos szmat Vidara i wbiegła między sosny, gdzie resztki zimy wyparowywały pod wpływem ciepła. Woda szumiała, a ptaki odnalazły głos po długiej ciszy. Liv też czuła w sercu wiosnę, czuła ciepłe promienie słońca na swojej skórze. Wszystko kiełkowało i budziło się do życia. Nie było tam miejsca na mroczne myśli o Vidarze.

Ruszyła na skróty przez mokradła, chciała jak najszybciej dotrzeć do domu wdowy po Johanssonie. Teraz była jej kolej, żeby się pośmiać, na chwilę o wszystkim zapomnieć. Ale zdążyła przebiec tylko kawałek, gdy nagle coś błysnęło w uginającym się pod nią mchu. Zwolniła i pomyślała, że może to kawałek metalu, który przyciąga światło i je odbija. Cofnęła się, weszła między kępy traw i pieńki pokryte porostem. Pochyliła się nad błyszczącym przedmiotem. Głęboko zaczerpnęła powietrza, gdy zobaczyła, co to takiego. Szkła pękły, a metalowe oprawki się wygięły, lecz i tak nie miała wątpliwości, że to okulary Vidara. Bez nich był praktycznie ślepy. Ostrożnie podniosła zdeformowane oprawki, delikatnie chwyciła je między kciuk a palec wskazujący, jakby były martwym zwierzątkiem, którego właściwie nie chciała dotykać. Włożyła je do wewnętrznej kieszeni kurtki i uważnie obesła to miejsce w poszukiwaniu czegoś jeszcze, jakiegoś wyjaśnienia. Ale były tam jedynie mech, moczary i wilgoć wznosząca się ku niebu. Przed oczami miała Vidara siedzącego przy kuchennym stole, z lornetką przyciśniętą do okularów, zapatrzonego w mrok i przekonanego, że na jego ziemi grasuje wilk.

Po kilku metrach dostrzegła ślady quada, dwie ciemne koleiny znikające między sosnami. Dwieście metrów dalej stała ambona i Liv prawie słyszała strzały niosące się echem po wsi, niemal czuła podmuch kul i widziała ptaki wyfruwające z drzew. Oto, co się stało. Serudia miała rację. To tutaj padł na ziemię, pośród moroszek.

Gałęzie oblepione nabrzmiałymi kroplami wody jak biżuterią, szarpały ją za włosy. Gdy przeciskała się między nimi, krople pękały i spadały na nią, a ona czuła na sobie spojrzenia dzikich zwierząt wyczaijących z kryjówek. Nie wiedzieć czemu, pomyślała o wszystkich świadkach oglądających moment śmierci Vidara. Krukach żeglujących między drzewami i marzących o jego miękkich wnętrzościach, ustach i oczach. Dzikich zwierzętach w oddali, które unosiły nosy do nieba i wciągały ten pierwszy zapach śmierci, gdy ciało wciąż jeszcze było ciepłe i wypełnione krwią. Może dlatego zaciągnięto go do studni? Nie tylko po to, żeby go ukryć, lecz również dlatego, żeby dzikie zwierzęta nie rozszarpały go na jego własnej ziemi. Ostatni odruch miłosierdzia?

Okulary Vidara znalazła obok leżącej sosny. Na chwilę oparła się o zmurszałe drzewo, próbowała ocenić odległość do ambony. Pięćdziesiąt metrów, nie więcej. Vidar nie miał żadnych szans. Zabójca z pewnością zwabił go tamtego ranka do lasu, prosto w pułapkę. Widziała to teraz bardzo wyraźnie.

Quad pozostawił głębokie koleiny, ale podeszła w nie czarna woda i zalała ślady opon. Szła po nich, a jej własne ślady też znikaly w błocie. Niskie chmury pojawiły się znikąd i zasłoniły słońce. Ostatni odcinek prawie pełzała, szukając czegoś, czegokolwiek. Kiedy dotarła do chybota drabiny ambony, jej ubrania ociekały wodą, a chłód przenikał przez wszystkie

warstwy i sprawiał, że szczękała zębami. Wspinając się po drabinie, słyszała w głowie ochryply głos Vidara. Brzmiało to jak piosenka: *Póki co nie ma komarów, trochę to potrwa, zanim zakwitnie moroszka. Niebawem znowu będziemy się kochać na łące, niebawem pojawi się nasze dziecko.*

Ambona była pusta, wyjątek stanowiły igły i szyszki, które wpadały do środka przez liczne szpary. Uklękła i przejechała dłonią po nierównej podłodze w poszukiwaniu łusek po nabojach i niedopałków albo czegoś innego, co ewentualny strzelec mógłby po sobie zostawić, lecz nic nie znalazła. Włożyła rękę pod luźną deskę w ścianie i grzebała w ciasnej kryjówce, aż poczuła pod palcami folię. Zaskoczyło ją, że wciąż tam są. Skupiona wyjęła woreczki foliowe. Kiedyś miały niebieski kolor, tego była pewna, ale z czasem wyblakły. Z zapartym tchem rozwinęła folię i wyjęła skarb, który się w niej krył. Stare banknoty pomarszczyły się i straciły kolor, posklejały się ze sobą i nie dało się ich policzyć. Wstrząsnął nią nagły spazm. Włożyła je z powrotem do woreczków i wcisnęła do skrytki za deską. Nie chciała tego pamiętać.

Ciemne deski skrzypiały złowieszczo, gdy czołgała się do okna. Znowu zaczęło padać, krople deszczu lądowały na mchu z głuchym szeptem. Kiedy była młodsza, obiecał jej, że nauczy ją polować. Każdej jesieni, gdy wybierał się na polowanie, słyszała tę samą śpiewkę, że w następnym roku to już naprawdę z nim pójdzie. Ale nadchodził kolejny rok, a jej nie było wolno nawet dotknąć strzelby.

\* \* \*

Głowa łosia wisząca na ścianie wpatrywała się w nią przez kłęby dymu. Zwierzę zdawało się potajemnie uśmiechać. Zasłony były zaciągnięte, lecz słońce i tak wpadało do pokoju i obnażało kurz oraz ich blade, zimowe ciała. Na jej biodrze spoczywała ręka Johnny'ego, lekka jak piórko. Byłoby miło, gdyby się nie uparł, że chce porozmawiać o Vidarze. Zepsuł tym nastrój.

- Jak idzie śledztwo? – spytał. – Coś nowego?
- Policja mówi tylko, że wciąż w toku, ale nie wiem, co to znaczy.
- Nie mają podejrzanego?
- Nie mówią mi.
- W tartaku ludzie snują domysły. W pokoju socjalnym mówią tylko o tym.
- Domyślam się.
- Położyła dłoń na jego piersi, wsunęła palce w szorstkie włoski. Jego serce biło mocno.
- Gadają o tobie – powiedział ostrożnie.
- I co mówią?
- Że to ty możesz na tym najwięcej zyskać.

Cofnęła rękę, przez kilka sekund wpatrywała się w głowę łosia, po czym wstała i zasłaniając się, zaczęła szukać ubrań. Czasami czuła tam obecność wdowy, zjełczały zapach starości, którym przesiąkły ściany. Wiedziała, że ludzie plotkowali, robili to od zawsze. Odkąd sięgała pamięcią, gadali o Lilli Livegen Björnlund i jej pazernym ojcu.

- Chyba nie jesteś zła? Powtarzam tylko to, co usłyszałem.
- Nie obchodzi mnie, co wygadują.
- Nie idź, proszę.

Znalazła sweter i szybko wciągnęła go przez głowę. Kurtka wisiała nad komodą, a w wewnętrznej kieszeni tkwiły schowane okulary Vidara. Zasuważąc zamek, poczuła ostre oprawki. Mężczyzna leżący w łóżku zapalił kolejnego papierosa. Nieśpiesznie podeszła do jego stolika nocnego, pochyliła się, wyjęła z popielniczki niedopałek i przyjrzała mu się.

- Co robisz?

- Umiesz polować?
- Nie, a powinienem?
- Nigdy nie trzymałeś w ręku broni?
- Byłem w wojsku, ale dawno temu.
- Umiesz strzelać czy nie?
- Że umiem, to za dużo powiedziane. – Uśmiechnął się. – Ale chyba też nie jestem w tym

totalnie beznadziejny.

Wrzuciła niedopałek z powrotem do popielniczki i sięgnęła po dżinsy. Wisiały jej na biodrach, w ostatnich latach bardzo schudła. Wszystko zaczęło z niej wypływać, nawet własne ciało. Ubierając się, usłyszała szczekanie psów na zewnątrz. Na drodze pojawił się samochód. Zakradła się do okna i wyrzuciła przez żaluzje.

– To policja.

Johnny szybko zgasił papierosa i pozbierał swoje ubrania, przykrył narzutą wygniecioną pościel i zagłębienia w materacu zostawione przez ich ciała. Po chwili rozległo się niecierpliwe pukanie. Liv stała przyciśnięta do ściany.

– Nie chcę, żeby mnie tutaj zobaczyli.

Johnny poszedł do sieni i szybko wrócił z jej butami.

– Wyjdź przez okno – szepnął, zamykając drzwi do sypialni.

Słyszała, jak wchodzi do sieni, dom wypełnił kobiecy głos. Policjantka poinformowała, że chcą chwilę porozmawiać, o sąsiedzie Björnlundzie i tej strasznej rzeczy, która się wydarzyła. Johnny zaprosił ich do kuchni, nogi krzesel zaskrzypiały o podłogę, a z kranu poleciała woda. Liv wślizgnęła się za zasłonkę i podniosła haczyk okienny. Pomiedzy dwiema szybami leżały martwe muchy, a delikatna pajęczyna pełna czarnych much oblepiła jej kurtkę i włosy. Słońce zaszło i zaledwie kilka kroków dalej czekały na nią ciemne ramiona lasu. Przełożyła jedną nogę, potem drugą, psy Johnny'ego dokładnie obwąchały jej buty wiszące w powietrzu. Kiedy skoczyła i zaczęła biec, dogoniły ją i pognały za nią daleko w głąb mokradła, gdzie się potknęła i upadła. Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami, a przez jej ubranie przenikało zimno. Smród wydobywający się z psich pysków uświadomił jej, że mogłyby ją rozszarpać na strzępy, a potem wchłonęłyby ją mech i czarna woda mokradła. Ale psy po prostu ją tam zostawiły, na ściółce lasu.

Czerwony ford przez dłuższą chwilę stał przy dystrybutorach. Kierowca nie wykonywał żadnych ruchów świadczących o tym, że zamierza wysiąść. Klienci wchodzili i wychodzili, a Liam obserwował auto, spanikowany, że to może być Gabriel albo jakiś gliniarz. Kierowca był irytująco schowany za jednym z dystrybutorów, co tylko pobudzało fantazję Liama, chociaż wiedział, że kryminalni zazwyczaj rozbijają się po okolicy volvo V70 z nowszego rocznika. Poza tym nie zauważył dodatkowych świateł tylnych ani widocznych anten. Niczego, co świadczyłoby o tym, że to policjant. Przeciwnie, wóz był dość sfatygowany. Mógł należeć do któregoś z tych gości, z którymi zadawał się Gabriel. Do kogoś, kto miał zastąpić Liama za kierownicą.

Popołudniowy ruch nadchodził falami, a gdy kolejka w końcu się zmniejszyła, czerwonego samochodu już nie było. Liam próbował nie wpadać w paranoję. Po skończonej pracy napełnił kubek kawą i zajrzał do biura, żeby pożegnać się z Niilą, po czym wyszedł przez magazyn. Żarówka nad drzwiami się przepaliła, więc poświecił sobie telefonem, żeby nie wychodzić w całkowitą ciemność, na wypadek, gdyby stał tam Gabriel.

Ale tym razem to nie Gabriel na niego czekał, tylko ten czerwony ford. Za Liamem głośno zatrzasnęły się drzwi i nie mógł już wrócić do sklepu, nawet gdyby chciał. Kawa pluskała w kubku, a on stał plecami do budynku i patrzył, jak z samochodu wysiada i uśmiecha się do niego blondynka w czerwonym płaszczu i z ustami pomalowanymi czerwoną szminką, lekko



odciśniętą na zębach.

– Liam Lilja?

– A z kim mam przyjemność?

Przez jego głowę przebiegało tysiące myśli. Jak na glinę wyglądała za mało poważnie, a równocześnie była zbyt zadbana jak na potencjalną klientkę Gabriela.

– Malin Sigurdsdotter – odparła. – Dziennikarka „Norran”.

Dziennikarka. Powinien był się domyślić. Niila ostrzegła go przed tymi wszystkimi sępami, które zlecą się wokół nieszczęścia Liv. Nic nie mów – poradził mu. Najważniejsze, by Liv i chłopak mieli teraz spokój.

Malin Sigurdsdotter zdjęła rękawiczkę i podała mu rękę na powitanie. Ścisnęła jego palce i mocno nimi potrząsnęła, posyłając szeroki, czerwony uśmiech. Liam zastanawiał się, czy powinien odwzajemnić uśmiech, udawać uprzejmość, czy raczej po prostu odwrócić się na pięcie i odejść. Cofnął rękę, wypił łyk kawy i ruszył w kierunku swojego samochodu. Nie chciał, by zobaczyła jego narastający niepokój.

Pobiegła za nim, pytając o atmosferę w pracy, o Liv.

– Nie mam nic do powiedzenia. Jestem tu nowy. Nic nie wiem.

Ostrożnie usiadł za kierownicą i włożył kubek w uchwyt. Dziennikarka wsadziła głowę między otwarte drzwi, nie chciała pozwolić mu odjechać.

– Podobno Liv Björnlund zwolniono w związku z zabójstwem jej ojca, a pana zatrudniono na jej miejsce, czy to prawda?

Liam prychnął.

– Nie, to nieprawda.

Zaczął zamykać drzwi, by zmusić dziennikarkę do wycofania się. Uruchamiając silnik i chwytając za kierownicę, czuł rosnącą irytację. Wycofał, nie patrząc na kobietę, jakby wcale jej tam nie było. Przez całą drogę do domu towarzyszyło mu nieprzyjemne uczucie. Wszyscy zdawali się myśleć, że zajął miejsce Liv, i nie czuł się z tym komfortowo. Może dlatego, że było w tym trochę prawdy.

\* \* \*

Liv biegła przez las. Ciągle potykała się o korzenie drzew, ciężko upadała na mokrą ziemię, by po chwili znowu wstać i biec dalej. To ją spowalniało. Gdzieś w oddali szczekał pies – było to takie charakterystyczne ujadanie, które zazwyczaj słyszało się podczas polowania. Kiedy dotarła do Björngården, obok garażu stał zaparkowany radiowóz. W oknie zamajaczyły jej blond włosy Simona i postawna sylwetka Hassana. Wyglądało na to, że policja zapukała do każdego domu we wsi. Pojawiła się myśl, żeby po prostu odwrócić się na pięcie i stamtąd uciec, lecz było za późno, a poza tym nie miała gdzie się ukryć.

Wchodząc do sieni, usłyszała ich śmiech. Buty Hassana stały równo ustawione na wycieraczce, szyderczo lśniąco obok jej zniszczonych traperów. Siedzieli spowici zapachem kawy, między nimi stał talerz z ciastkami. Gdyby nie mundur policyjny Hassana, można by pomyśleć, że to zwyczajne przyjacielskie spotkanie. Stała w drzwiach i zobaczyła przerażenie w ich oczach, gdy w końcu ją zauważyli.

– Gdzie ty byłaś? – spytał Simon. – Wyglądasz strasznie.

Uświadomiła sobie, że jest cała mokra, a jej ręce są czarne od ziemi.

– Po prostu szłam na skróty przez mokradła.

Spojrzała na Hassana.

– Co ty tutaj robisz? – Jej głos był oschły, niemal wrogi, ale Hassan tylko się uśmiechnął.

– Rozumiem, że macie mnie trochę dosyć – oznajmił. – Ale przychodzę z całkiem

dobrymi wieściami. Właśnie mówiłem Simonowi, że zrobiliśmy dość duży postęp w śledztwie. Niestety nie mogę zdradzić szczegółów. Mogę tylko powiedzieć, że zabezpieczyliśmy ważny dowód przy studni, w której znaleziono Vidara, i jestem przekonany, że niedługo dowiemy się prawdy.

Liv poklepała się po piersi, poczuła pod materiałem okulary Vidara i zawahała się przez chwilę.

– Znalazłam coś, co może mieć znaczenie w kontekście śledztwa.

– Ach tak? Co takiego?

– Natknęłam się na okulary ojca. Leżały niedaleko ambony. Bez nich był ślepy, nigdzie się bez nich nie ruszał, nigdy.

Ostrożnie wyjęła okulary z wewnętrznej kieszeni kurtki i podała je Hassanowi. Stare, porysowane oprawki zaśniły w świetle lampy.

– Podejrzewam, że to właśnie tam został zastrzelony – dodała. – Na mokradłach. Serudia sugerowała to samo, chociaż wtedy tego nie rozumiałam. Powiedziała, że znalazła zakrwawioną czapkę ojca w miejscu, gdzie rośnie malina moroszka.

Hassan wyjął z kieszeni parę cienkich, niebieskich, jednorazowych rękawiczek, założył je, po czym uniósł okulary na wysokość oczu i wnikliwie im się przyglądał.

– Możesz mi pokazać, gdzie je znalazłaś?

– Chyba tak. Leżały na południe od ambony.

– I jesteś pewna, że to okulary Vidara?

Liv i Simon przytaknęli, nie mieli żadnych wątpliwości. Siedzieli w milczeniu i patrzyli, jak Hassan ostrożnie wkłada zniszczone okulary do papierowej torebki i pisze na niej datę. To było osobliwe doświadczenie – widzieć, jak rzecz należąca kiedyś do Vidara jest traktowana w ten sposób, pakowana jak prezent. Rzeczy traciły bez niego swoją moc, stawały się mniej rzeczywiste.

## WIOSNA 2003

Dziecko to egzotyczny kwiat rosnący w ciemności między nimi. Nastaje wiosna, przynosi nadzieję i wypełnia ciche pomieszczenia osobliwym światłem. Ojciec i dziewczyna stoją nad dzieckiem, szukają siebie w tej pomarszczonej twarzyczce, przepełnieni prawdziwym strachem, który niesie ze sobą jedynie miłość.

Wielokrotne wizyty w przychodni wywołują w niej niepokój. Dziewczyna nosi chłopca na swoim spiętym ramieniu, czuje, że z każdym dniem staje się większy i cięższy. Je, śpi, płacze i chwyta ją swoimi silnymi rączkami. Mimo to stoi nad nim co rano i obserwuje to miękkie, rosnące ciało, głaszcze puch na jego głowie i szuka w tych oczach pozbawionych wyrazu jakiegoś śladu potwora ukrywającego się w środku. Przeświadczenie, że chłopiec nosi w sobie niewidoczną chorobę, nie daje jej spokoju. Bo ona wie, że coś jest nie tak, mały nie jest taki jak inne dzieci. Nigdy nie powinien był się urodzić.

– Chłopakowi nic nie jest – mówi ojciec. – Każdy to widzi.

Ale w drodze do przychodni jej kark jest wilgotny od potu, chociaż rano szron wciąż mieni się na drzewach. Ojciec czeka, jak zwykle, na parkingu, a ona wchodzi do środka z dzieckiem na ręku. Jego spojrzenie pali ją w plecy, kiedy zamykają się za nią ciężkie drzwi. Ostre słońce towarzyszy im w drodze do poczekalni i kłuje w oczy w gabinecie. Dziewczyna siedzi na krawędzi krzesła i patrzy, jak ważą i mierzą małego. Wokół delikatnego ciemiączka świeci aureola wiosennego światła, a lekarka mówi pogodnym głosem:

– Jaki śliczny chłopczyk.

Rośnie dokładnie tak, jak powinien, nie ma się do czego przyczepić. Nawet jeśli lekarka dostrzeże potwora, nie daje tego po sobie poznać. Martwi się raczej o dziewczynę.

– Masz kogoś, kto ci pomaga? To ważne, żebyś mogła trochę odpocząć.

– Radzę sobie.

– A tata chłopca? Wciąż nie podejrzewasz, kto może nim być?

– Nie.

Kłamstwo jest jak duży, ciepły koc, którym otula siebie i dziecko. Mocny materiał utkany z instynktu samozachowawczego, by nikt nie mógł ich skrzywdzić. A na parkingu siedzi ojciec z twarzą w dłoniach, kiwa się, w przód i w tył.

\* \* \*

Ten poranek, gdy szła przez wieś, był jasny i tętnił życiem. Wybrała okrężną drogę przez zarośla, omijając dom Serudii, żeby nie wpaść na staruszkę. Z daleka słyszała krzyk ptaków.

Dom Karla-Erika stał na wzniesieniu. Był w jego rodzinie od pokoleń, lecz w odróżnieniu od jej domu, dbano o niego. Pamiętała mgliście z dzieciństwa, jak siedzi w słonecznej kuchni i zanurza w kawie migdałowe ciasteczka, podczas gdy Vidar i Karl-Erik zamieniają słówko na boku. Tak to nazywał Vidar. Nawet kiedy Karl-Erik rzucił w niego butelką i musiał uciekać, twierdził, że tylko zamieniali słówko. Ale im była starsza, tym częściej ostrzegał ją przed Karlem-Erikiem. Mówił, że ten sfiksował i że często traci głowę dla kobiet. Nie bez przyczyny został starym kawalerem.

Twarz Karla-Erika wyglądała w dziennym świetle na zapuchniętą. Szarą cerę pokrywały duże, ciemne pory.

– Ach, to ty, Liv. Zapraszam, zapraszam.

Wewnątrz dom prezentował się jeszcze lepiej. Zobaczyła wyremontowaną kuchnię i nowe

podłogi. Chodziła ostrożnie w skarpetkach i mówiła ściszym głosem, jakby była w kościele. Karl-Erik postawił na stole dzbanek z kawą i spytał, czy podać też mleko. Kiedy stanął za drzwiami do lodówki, usłyszała, że pociąga z butelki.

– Może chcesz czegoś mocniejszego?

– Dzięki, kawa wystarczy.

Jej wzrok wędrował po ścianach, zatrzymał się na kilku obrazach wiszących nad kuchenną sofą. Martwe drzewa narysowane czarnym ołówkiem, wyciągające nagie gałęzie ku rozmytemu, zachmurzonemu niebu. Każdy rysunek zdawał się przedstawiać to samo drzewo, tylko pod innym kątem. Jarzębinę, na której powiesiła się Kristina. Kiedy to sobie uświadomiła, poczuła ciarki na plecach.

Karl-Erik otworzył piwo. Ten dźwięk sprawił, że aż podskoczyła.

– Co u ciebie i u Simona?

– Dziękuję, radzimy sobie.

– Policja ciągle tu przyjeżdża i wypytuje. Ale zdaje się, że nic nie mają. Chyba, że ty wiesz coś więcej?

Liv pokręciła przecząco głową. Pomyślała o okularach Vidara, lecz nie chciała o tym rozmawiać. Nie z Karlem-Erikiem.

– To straszne – powiedział. – Że wam, bliskim Vidara, nic nie mówią. To skandal.

Napił się piwa i zdusił beknięcie. Jego spowolnione ruchy świadczyły o tym, że to nie było jego pierwsze piwo tego dnia. Tak intensywnie się w nią wpatrywał, że miała ochotę stamtąd uciec.

– Nigdy nie rozumiałem, dlaczego zostałeś z Vidarem – oświadczył. – Zawsze myślałem, że wyjedziesz w świat. Albo przynajmniej zbudujesz sobie swój własny.

Słyszac te słowa, pożałowała, że nie poprosiła o coś mocniejszego. Stół wyglądał na równie nowy jak podłoga, lśniący i bez zarysowań. Nie było na czym zawiesić wzroku.

– Przyszłam, bo chcę porozmawiać o tobie i o ojcu – oznajmiła. – O waszym konflikcie.

Karl-Erik zgniótł pustą puszkę w dłoni i wyjął z lodówki kolejne piwo. Jego policzki płonęły.

– O zmarłych nie należy mówić źle, ale powiem ci to samo, co już mówiłem policji: nie opłakuję śmierci Vidara, raczej odwrotnie. Nareszcie można tu oddychać swobodnie. Gdybym wiedział, kto za tym stoi, poklepałbym go po plecach.

Ogarnął ją gniew, gorący i niespodziewany. Sprawił, że podkoszulek przykleił jej się do pleców. Martwe drzewa na ścianie zdawały się poruszać, drwić z niej.

– Dlaczego tak mówisz?

– Poczekaj.

Karl-Erik zniknął w przyległym pokoju. Słyszała, jak wysuwa szuflady i w nich grzebie. Jej wzrok padł na nóż leżący na blacie. Miał pochwę z ciemnej skóry i grawerowaną rękojeść z rogu renifera, był niepokojąco podobny do noża, który Vidar nosił przy pasku. Wstała, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Przejechała po nim opuszkami palców, jednocześnie nasłuchując tego, co robi Karl-Erik. Wysunęła nóż z pochwy i podniosła go do światła. Przyglądając się wyszukanym detalom, poczuła się nieswojo.

Kiedy Karl-Erik wrócił do kuchni, wymierzyła ostrze w jego kierunku.

– To wygląda jak nóż ojca.

Karl-Erik oparł się o futrynę, spojrzął na nią i na nóż przymrużonymi oczami.

– Mam ten nóż od zawsze. To prezent od wujka Henrika. Zrobił nóż dla mnie i dla Vidara, gdy byliśmy dziećmi, więc możliwe, że twój ojciec miał podobny. Ale ten tutaj jest mój, daję ci słowo.

Pod pachą trzymał album, który ostrożnie położył na stole.

– Usiądź – poprosił. – Obejrzyj te stare zdjęcia, to zrozumiesz to i owo.

Niechętnie odłożyła nóż i usiadła. Kiedy nie wykonała żadnego ruchu świadczącego o tym, że zamierza otworzyć album, stanął za nią i zaczął go kartkować drżącymi rękami. Było w nim mnóstwo zdjęć z czasów, gdy pociągłe policzki Karla-Erika okalały baczki. Tyle się na nich uśmiechał, że z trudem go poznawała, lecz co do kobiety na zdjęciach nie miała żadnych wątpliwości. Jedwabiste włosy i to spojrzenie, na widok którego zamierała. To samo spojrzenie, które co rano widziała w lustrze.

Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiała. Ramię Karla-Erika obejmujące Kristinę, ich głowy blisko siebie. Na jednej z fotografii kąpali się nago w świetle zachodzącego słońca po drugiej stronie jeziora, na innej stali na biegówkach, w takich samych czapkach i kurtkach. Oboje tacy młodzi, w wieku Simona, jeszcze dzieci. Na kilku innych zdjęciach pojawiali się też inni ludzie, ale rozpoznała tylko Vidara. Siedział z boku uśmiechnięty, również młody. I to nie on obejmował Kristinę.

Spojrzała na Karla-Erika.

– Ty i mama byliście parą?

– Kristina była moją pierwszą miłością. Jediną kobietą, jaką kochałem.

Jego głos był zupełnie trzeźwy, gdy to mówił. Wyraźny i pewny. Na jego twarzy malował się ból.

– I co się stało?

– Dobrze wiesz, co się stało. Odebrał mi ją Vidar. A potem zawalił się świat.

\* \* \*

– Tato, zrobisz mi kłosa?

– Co takiego?

– Kłosa. To taki warkocz, który wygląda jak kłos.

– Brzmi dziwnie.

– Bardzo trudno go zapleść, ale mama Jamila to umie, bo jest fryzjerką.

– Ja na pewno też się nauczę.

Vanja uśmiechnęła się do niego z tylnego siedzenia.

– Jamila mówi, że mamy czeszą lepiej niż ojcowie, ale ja jej powiedziałam, że to nieprawda, bo mój tata umie zrobić każdą fryzurę, która jest na YouTubie.

Liam się zaśmiał, skręcając w szutrówkę prowadzącą do ich domu.

– Mogę spróbować.

Duma w jej głosie coś w nim poruszyła. To było uczucie, do którego nie mógł się przyzwyczaić. Trudno mu było pojąć, że jest na świecie ktoś, kto tak bardzo w niego wierzy, kto widzi w nim tylko dobro.

\*

Radiowóz zauważył, gdy już było za późno. Stał zaparkowany na podjeździe matki, a psy ujadły za kratami. Tak rzadko ktoś ich odwiedzał, że nikt z nich nie był do tego przyzwyczajony, a już na pewno nie psy. Zastanawiał się, czy nie zawrócić i nie wjechać z powrotem na drogę główną, ale wiedział, że już go zobaczyli.

Vanja zapukała palcem w szybę.

– Policja.

– Widzę.

– Myślisz, że szukają Gabriela?

– Nie wiem, zaraz się dowiemy.

Okrażając auto i odpinając Vanję, miał miękkie kolana. Może wyczuła jego strach, bo przycichła i uparła się, żeby wziął ją na barana. Jej drobne ramiona złapały go mocno za szyję, a on pragnął tylko wbiec z nią w krzaki i zniknąć.

Strach był tak silny, że przekraczając próg domu, Liam poczuł mdłości. Pomyślał, że już pozamiatane, że przyjdzie mu zapłacić za błędy. Na próżno próbował żyć normalnie, za długo z tym zwlekał. Zabiorą mu Vanję, nie będzie już mógł być jej tatą. Ktoś inny będzie ją nosił na swoich ramionach, zaplatał jej warkocze i słuchał jej śmiechu. Ktoś, kto na to zasługuje.

Krew buzowała w jego ciele, kręciło mu się w głowie. Ale pomyślał, że cokolwiek się stanie, nie wolno mu się teraz rozsypać, nie wolno mu przestraszyć Vanji. Poprosi matkę, żeby zabrała ją do drugiego pokoju, zanim go zatrzymają, żeby mała nie musiała na to patrzeć.

Matka przywitała ich w przedpokoju. Jej włosy pachniały szafranem, gdy ich przytuliła.

– Jest tu od ponad godziny – szepnęła mu na ucho. – Ale nie chce powiedzieć, o co chodzi.

\*

Hassan siedział na krześle ojca i pił herbatę ze szklanki ze złotym paskiem, którą matka kupiła w Marrakeszu. Pojechała tam po pogrzebie ojca, próbując, trochę za późno, odnaleźć samą siebie. Liam oparł się o framugę drzwi, Vanja wciąż siedziała mu na plecach, z szeroko otwartymi oczami, milcząca, przyciskając policzek do jego policzka.

– No, jesteś w końcu – powiedział Hassan. – Już prawie straciłem nadzieję.

– Czego chcesz?

– Teraz chcę wiedzieć, co to za małpkę masz na plecach.

Vanja przewiesiła się Liamowi przez bark.

– Nie jestem małpką.

– Czyżby? A kim?

– Jestem Vanja.

– Vanja? – zdumiał się Hassan. – Ostatnio jak cię widziałem, byłaś taka mała.

Pokazał rękami rozmiar niemowlaka.

– Znasz mnie?

– Nie, ale znam twojego tatę. Czasami, gdy napsoci, przyjeżdżam i każę mu się ogarnąć.

Hassan puścił oko do Vanji. Liam postawił ją ostrożnie na podłodze i poprosił, żeby zajrzała do psów. Podejrzliwie ściągnęła usteczka i posłała zarówno Liamowi, jak i Hassanowi długie spojrzenie, po czym w końcu poszła z babcią do psów.

Liam poczekał, aż zamkną się za nimi drzwi, i odwrócił się do policjanta. Pomyślał, że to dobry znak, że Hassan jest sam. Gdyby zamierzali go zatrzymać, byłoby ich kilku.

– Możesz być z niej dumny – stwierdził Hassan.

– Czego chcesz?

– Usiądź, to pogadamy.

Liam niechętnie usiadł na krześle, nie zdejmując kurtki, chociaż w środku było ciepło i duszno. Hassan posłodził sobie herbatę sporą ilością cukru i rzucił Liamowi spojrzenie, które niczego nie zdradzało.

– Cholera – powiedział. – Wyglądasz jak człowiek. Ledwo można cię poznać.

– To dlatego tutaj jesteś? Żeby komentować mój wygląd?

– Po prostu dobrze wyglądasz i to mnie cieszy. Widać, że wzięłeś się w garść.

– Staram się.

Przez okno zobaczył Vanję i matkę. Furtka do zagrody zaskrzypiała, a wiatr rozwiewał im

włosy, gdy przeciskały się pomiędzy zniecierpliwionymi psami. Pomyślał, że niedługo jego też będą musiały odwiedzać za kratkami, i poczuł w sercu ból.

– Słyszałem, że zaczęłaś pracę na stacji benzynowej.

– Zgadza się.

– Niila mówi, że pracujesz za Liv Björnlund.

Na dźwięk jej imienia Liam poczuł, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg.

– Tylko do czasu, aż jej sytuacja się ustabilizuje.

– Znaliście się wcześniej, ty i Liv?

– Kojarzyłem ją ze stacji, tylko tyle.

– Wspominała coś na temat śmierci swojego ojca?

– Tylko, że został zamordowany.

Hassan napił się herbaty. Na stole między nimi leżał kryształ górski i skupiał światło. Liam wiedział, że matka położyła go w tym miejscu, żeby go chronić. Pocieszyło go to, chociaż kompletnie nie wierzył w moc jej kamieni.

– Nic więcej?

Liam zrozumiał, że Hassanowi nie chodzi o niego, ale o Liv. Nie tylko ludzie w okolicznych wioskach sądzili, że to ona stoi za śmiercią Vidara, policja także. Sięgnął po kryształ i ścisnął go w dłoni. Poczuł ulgę.

– Spytała mnie niedawno, czy ja też myślę, że to ona.

– Że ona co?

– No wiesz, że zabiła własnego ojca.

– I co odpowiedziałaś?

– Że powinna pojechać do domu i odpocząć.

Poczuł na skórze palące spojrzenie Hassana.

– Czyli uważasz, że Liv Björnlund nie ma nic wspólnego ze śmiercią swojego ojca?

Kryształ wbił mu się w rękę. To była jego szansa. Wiedział, jak postąpiłby Gabriel, gdyby teraz tu siedział. Wykorzystałby okazję i skierowałby na nią podejrzenia. Wyrzuty sumienia nigdy nie stawały mu na drodze, gdy w grę wchodziło ratowanie własnej skóry.

Z zewnątrz dochodził śmiech Vanji. Liam czuł, jak jego skóra pęka pod naciskiem kryształu.

– Liv to cholernie dziwna dziewczyna – powiedział. – Ale nie jest morderczynią.

\* \* \*

Jechali w kierunku wybrzeża. Simon siedział obok niej wpatrzony w komórkę. Wcześniej tego samego dnia zadzwonił mecenas Ljuslinder i poprosił, żeby pojawili się u niego na odczytaniu testamentu Vidara. Liv nawet nie wiedziała, że Vidar go spisał. Bała się tej jego ostatniej woli; tego, że to może być kolejna próba upokorzenia jej.

Zostawili za sobą bezwietrzny las i jechali dalej, aż wreszcie ujrzeli niebo odbijające się w morzu. Simonowi tak urosły włosy, że mógł je związać w małą kitkę, co obnażyło czerwony ślad na skórze pod uchem, którego wcześniej nie zauważyła. Domyśliła się, że to malinka zrobiona przez Felicię. Naznaczyła go, tak jak to robią młodzi ludzie, gdy myślą, że kochają. Taka dziecinna potrzeba zostawienia śladu na skórze tej drugiej osoby, jak wyrycie inicjałów w korze drzewa. To nie była miłość, ale Liv nie mogła tego powiedzieć głośno. Wiedziała, że tylko czas i życie mogą to pokazać Simonowi.

Właściwie to się cieszyła, że Simon w końcu kogoś ma. Wrażliwy, samotny chłopiec ze spuszczoną głową odszedł w niepamięć. Ten, który na przerwach rzucał piłką o ścianę, bo nikt nie chciał się z nim bawić. Ten, który zawsze siedział z przodu autobusu, żeby kierowca mógł

interweniować, gdyby ktoś go zaatakował. Ten, który w prezencie gwiazdkowym chciał lalki Barbie i kucyki My Little Pony, aby potem dać je dziewczynkom. Dziewczynkom, które czasami były dla niego miłe, miłsze niż chłopcy. Robiły mu naszyjniki, które po powrocie do domu musiał chować pod bluzką, żeby Vidar ich nie zauważył. Ale w końcu i tak je wypatrywał. Wyciągał wtedy rękę i zrywał naszyjnik, a podłoga w kuchni zamieniała się w morze mieniących się pereł. Liv wciąż pamiętała ten okropny dźwięk świata rozsypującego się w drobny mak.

– Jesteś smutny? – spytała.

Skinął twierdząco głową i wyjrzał przez okno, unikając jej wzroku. Wymarł oczy, nie chciał, żeby widziała jego łzy.

Miasto było skąpane w wiosennym słońcu, ludzie porozpinali kurtki i wystawiali do niego blade twarze. Płynęła przez nie rzeka niczym ogromna żyła, wzdłuż której rosły brzozy przyozdobione pierwszymi zielonymi pąkami. Liv sunęła przez ronda i skrzyżowania, kurczowo zaciskając palce na kierownicy. Nie miała doświadczenia w jeżdżeniu po mieście w takim tłoku.

– A ty jesteś smutna? – spytał Simon, gdy w końcu zaparkowali.

Wzięła ze sobą z domu fajkę Vidara i teraz siedziała i niezdarnie nabijała ją tytoniem.

– Jasne, że tak.

– Nie widać tego po tobie. Nie płaczesz.

– Nie potrafię płakać, chyba zapomniałam, jak to się robi.

– Nigdy nie widziałem cię płaczącej.

Uśmiechnęła się. Tyłu rzeczy nie widział, tyłu rzeczy nie wiedział. O niej i o tych nocach w obcych samochodach. O ich rękach na jej skórze. O poczuciu wyzwolenia, gdy wpychali w nią swoje języki i członki. I o pustce po wszystkim. W drodze do domu Vidar prowadził, nawet na nią nie patrząc. To wtedy pojawiał się płacz. Tylko wtedy. Pogłaskała syna po głowie i policzku z lekkim zarostem.

– Moje łzy zniknęły, gdy urodziłam ciebie.

\*

Pojawili się za wcześnie. Spotkanie miało się rozpocząć o dziesiątej, a dopiero dochodziła dziewiąta trzydzieści. Liv wyszła na zewnątrz, oparła się o maskę samochodu, zapaliła fajkę i zaciągnęła się dymem. Młasnęła, tak jak miał to w zwyczaju robić Vidar. Wspomnienia jej ciążyły, widziała go wszędzie. Jego powykręcane dłonie na kuchennym stole, te same, które puściły bagażnik, gdy uczyła się jeździć na rowerze. Dopiero gdy dojeżdżała do głównej drogi, zorientowała się, że już za nią nie biegnie, że jest tylko kropką w oddali. Rower zaczął się chwiać i już po chwili leżała na szutrowej drodze ze zdartymi kolanami i poczuciem, że ją zawiódł. Musimy się trzymać razem, ty i ja – powtarzał. Inaczej wszystko trafi szlag.

\*

Simon wyszedł z budynku i stanął obok niej. Kiedy wyciągnął rękę po fajkę, nie zaprotestowała. Ich ramiona stykały się ze sobą, gdy tak stali i wydmuchiwali kółka dymu ku lśniącym dachom. Żadne z nich nie płakało.

W kancelarii mecenasa mieli wrażenie, że wszyscy się na nich gapią. Trapery Liv dyndały niepewnie nad poplamioną wykładziną, gdy Ljuslinder zaprosił ich do swojego gabinetu. Miał mętne spojrzenie, wilgotne dłonie oraz błyszczącą łysinę. Kiedy mówił, jego włoski w nosie dotykały górnej wargi, zlewając się z krzaczastymi wąsami. Gabinet był zakurzony i śmierdziało w nim zgniłymi owocami.

– Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Vidar był dobrym człowiekiem. To okropne. Okropne.



Nad koszem na śmieci unosiła się chmura muszek owocówek absorbująca uwagę Liv. Ljuslinder poślinił palec i przejrzał dokumenty. Powiedział, że znał Vidara ponad dwadzieścia lat i to był dla niego ogromny zaszczyt, móc pracować dla tak charyzmatycznego mężczyzny. Liv siedziała na krawędzi krzesła, zastanawiając się, czy mówi poważnie, czy może próbuje im się tylko przypodobać. Zdziwiło ją to, że koniec końców Vidar zdecydował się zaufać adwokatom i bankom, a nie swoim bliskim, lecz podejrzewała, że chodziło o potrzebę kontroli. Chciał mieć ostatnie słowo, bez względu na wszystko.

Ljuslinder położył na biurku kartkę, jego palec zostawił na niej wilgotne ślady. Mecenas tokował nosowym głosem. Testament Vidara został spisany tego samego roku, w którym urodził się Simon i absolutnie nie był niczym dziwnym ani niespotykanym.

– Vidar chciał się tylko upewnić, że wnuk też będzie po nim dziedziczył w razie jego śmierci. Bez testamentu w pierwszej kolejności dziedziczą dzieci i cały majątek przypadłby w udziale tobie, Liv. Ale Vidar chciał, żebyście dziedziczyli po połowie. W jego oczach tak było bardziej sprawiedliwie.

Liv spojrzała na syna i poczuła ulgę, usłyszała swój własny śmiech. Spodziewała się czegoś zupełnie innego, czegoś wstrętnego i wyrachowanego, ostatniej próby kontrolowania jej. Wszystkiego, tylko nie tego.

Simon wyglądał na zagubionego. Mrugał w milczeniu, podczas gdy Ljuslinder referował im szczegóły. Kwoty brzmiały w jego ustach wulgarnie, nieprawdopodobnie. Mogły zmienić wszystko. Do Liv z trudem docierały te słowa, widziała tylko jego włoski w nosie, muszki owocówki oraz lewitujący nad nimi cień Vidara. Widziała go człapiącego w świetle księżyca z noworodkiem na rękach, jego dłoń okalającą główkę chłopca niczym tarcza. Ukradkowe spojrzenia, jakby się bał, że zabierze mu dziecko. Pokochał chłopca od pierwszej chwili, na długo przed tym, zanim ona była w stanie to zrobić.

Jechała do domu zbyt szybko, ignorując fotoradary i dziury w metalowym płocie, przez które w każdej chwili na jezdnię mogło wybiec dzikie zwierzę. Chmury pędziły po niebie, a wiosenny wiatr powodował sztorm na leśnym morzu wokół nich. Stare volvo kołysało się na dziurawej drodze.

– Możemy kupić nowe auto – powiedział Simon.

– Możemy kupić wszystko nowe.

Ta myśl powinna ją cieszyć, świadomość, że oszczędne życie z Vidarem wreszcie dobiegło końca. Teraz nie musieli się już o nic martwić – ani o samochód, ani o piłę mechaniczną, ani o zniszczony dom. Świat stał przed nimi otworem, sami mogli podejmować decyzje. Paradoksalnie, myśląc o wolności, nie potrafiła się rozluźnić, czuła ucisk w klatce piersiowej. Wolność jawiła jej się tak obco, niemal groźnie. Możliwe, że Simon czuł to samo, bo siedział wpatrzony w las i zaciskał zęby.

– Chcę jakoś dobrze spożytkować te pieniądze – oświadczył.

– Czyli?

– Pomóc rodzinie Felicii. Niedługo wszystko stracą, krowy i całą resztę. A bank nie chce im udzielić kolejnego kredytu. Splajtują bez zastrzyku gotówki.

Wiatr ściągał auto do rowu. Liv zaciskała dłonie na kierownicy tak mocno, że aż bolały ją palce. Usłyszała w głowie głos Vidara, jego protesty.

– Uważam, że nie powinieneś się mieszać w interesy Modigów.

– Dlaczego?

– To miłe, że chcesz pomóc, ale jesteście jeszcze tacy młodzi. Pieniądze i związki to nie jest dobre połączenie. To się może źle skończyć.

– Przepraszam, a co ty na ten temat wiesz? Nigdy nie byłaś w prawdziwym związku.

Z tego, co mi wiadomo.

Słyszając protekcyjny ton Simona i widząc to jego mroczne spojrzenie, uświadomiła sobie, jak bardzo jest podobny do Vidara i że śmierć starego niczego nie zmieni, dopóki będzie żył w nich samych.

\* \* \*

Liv obudził Simon skaczący na skakance. Serce domu biło mocniej niż zwykle. Widząc słońce za oknem, Liv poczuła, że to jest właśnie ten dzień. Nadeszła pora. Tak jej się spieszyło, że nie zdążyła się ubrać i w samej koszuli nocnej pobiegła do drewnitni po kanister. Z wściekłością polała benzyną rzeczy Vidara. Stare, zniszczone i mokre ubrania nie wyglądały najlepiej, czekając, aż rzuci w nie zapaloną zapalkę. Ogień buchnął z głośnym sykiem. Nie wiało, więc płomienie były wysokie i zachłanne. Wyobraziła sobie, że Vidar jest w tym dymie unoszącym się ku niebu. Poczuła woń identyczną z tą, która wydobywała się z jego ust, gdy się nad nią pochylał. Ogień buchał i trzaskał. Nie usłyszała nadchodzącego Simona, który nagle wyrósł obok niej, spocony i zdyszany. Przestraszyła się, że zacznie protestować, że zacznie płakać, jak w kostnicy, gdy nagle wszystko stało się takie rzeczywiste. Ale on tylko stał nieruchomo tuż obok niej i wpatrywał się w płomienie.

– Do lata chcę sprzedać gospodarstwo – poinformowała.

– Dlaczego?

– Bo jesteśmy wolni, możemy się stąd wyprowadzić.

Musieli przekrzykiwać płomienie.

– Ale ja chcę tu zostać – oznajmił Simon.

– Przecież zawsze mówiłeś, że chciałbyś przeprowadzić się do miasta.

– To było, kiedy żył dziadek i podejmował wszystkie decyzje. Teraz możemy o sobie decydować samodzielnie.

Na tym zakończyła się ich rozmowa, ponieważ drogą przejechały radiowozy policyjne. Nie miały włączonych syren, ale jechały szybko. Zdecydowanie za szybko. Liv spojrzała za nimi, gdy mijały wjazd na ich posesję i kierowały się w głąb wioski. Poczuła skurcz żołądka.

– Jak myślisz, dokąd tak pędzą? – spytał Simon.

– Nie wiem. Pożyjemy, zobaczymy.

– Skoczę do Felicii, sprawdzę, czy coś wiedzą.

Liv została przy ogniu i patrzyła, jak Simon znika w lesie. Chciała krzyknąć, żeby został, lecz nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa. Samotność ją przerażała. To wtedy wracał Vidar, kątem oka widziała jego cień, jakby nic się nie zmieniło. Jakby wciąż żył.

Wróciła do domu, do kuchni, usiadła przy oknie i patrzyła na płomienie wzbijające się ku niebu. Pies leżał przy jej nogach i za każdym razem, gdy nastawiał uszy, jej serce przyśpieszało. Siedziała tak, jak kiedyś Vidar, schowana za firanką, obserwowała drogę i ogień. Nagle poczuła się obserwowana, jak wtedy, gdy stała za kasą i wszyscy na nią patrzyli. Wyobraziła sobie, że ktoś stoi w lesie i widzi jej głowę w celowniku.

Minęła dłuższa chwila, zanim znowu zobaczyła radiowóz. Teraz jechali powoli, lecz i tak nie widziała, czy to Hassan siedzi za kierownicą. Wstrzymała oddech, gdy mijali szlaban, bojąc się, że skręcą do niej, ale pojechali dalej i zniknęli za wzgórzem.

Wkrótce pod szlaban podjechał Karl-Erik i zatrąbił, żeby mu otworzyła. Nowe auto błyszczało w słońcu jak łosoś. Niezdarnie objechał płonące ubrania i zaparkował przed gankiem, złobiąc przy tym głębokie koleiny. Wysiadł z samochodu, rozglądając się nerwowo, jakby w strachu, że zostanie na czymś przyłapany, po czym wbił wzrok w tłący się stos.

– Wydaje mi się, że policja odjechała z waszym lokatorem.

– Naprawdę?  
– Właśnie ich mijalem, dwa radiowozy. Johnny Westberg siedział z nieszczęśliwą miną na tylnym siedzeniu jednego z nich.

Liv zmrużyła oczy, patrząc w dół drogi. Próbowwała ukryć zdenerwowanie.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Co tu palisz?

– Rzeczy ojca.

Karl-Erik skinął głową, jakby ją rozumiał. Dostrzegając Vidara w jego twarzy, pokrewieństwo było widać w zmarszczkach. Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki, a jej pierwsza myśl była taka, że zaraz wyjmie piersiówkę i sobie golnie, tak jak to robił, gdy ich drogi krzyżowały się w lesie, jakby na sam widok drugiego człowieka musiał się napić. Ale on zamiast buteleczki wyciągnął bransoletkę i wręczył ją Liv. Czarny, skórzany pasek poprzeplatany nicią cynową z guziczkiem z rogu renifera.

– Należała do Kristiny. Nie wiem, czy to twój rozmiar, ale to bez znaczenia. Powinna należeć do ciebie.

Skóra była miękka i wysłużona, a nic cynowa przebarwiona, czas odcisnął na niej swoje piętno, ale bransoletka naprawdę robiła wrażenie. Liv bez słowa założyła ją sobie na nadgarstek i poprosiła Karla-Erika o jej zapięcie. Zauważyła, że też ma sztywne palce, lecz nie tak bardzo jak Vidar. Bransoletka pasowała na nią jak ulał. Wyczuwała pod nią swój puls.

– Gdzie twój chłopak?

– U Modigów.

Karl-Erik splunął na ziemię.

– Wiedziałem, że Douglas złapał go w swoje szpony.

– Co masz na myśli?

– Douglas biega po okolicy i rozpowiada, że będą mieć całą wioskę, jego córka i twój syn. Od śmierci Vidara zachowuje się, jakby wygrał w totka.

Liv dotknęła bransoletki. Poczowała ciepło bijące od dogasającego ognia i wciągnęła gryzący dym głęboko w płuca, starała się nie myśleć o Johnnym, radiowozie, Douglasie, okularach porzuconych na mokradłach... Wszystko wirowało tak szybko. Słyszała w swojej głowie ostrzeżenia Vidara: w dniu, w którym zaufasz drugiemu człowiekowi, stracisz samą siebie.

\* \* \*

Po spacerze z psem zamknęła go w pustym domu i weszła w zarośla. Nad ścieżką płonęło wieczorne słońce, ale ona nie potrzebowała światła, by trafić w to miejsce. W wiosce panowały cisza i spokój, nad mokradła docierały jedynie poszczekiwania psów oraz smród krów Modigów. Poza tym żadnych oznak życia.

Dom wdowy po Johanssonie stał opuszczony pośród mokradeł. Wszystkie światła były pogaszone i żaden pies nie wybiegł na spotkanie. Słyszała tylko dźwięk plastiku powiewającego na wietrze, a kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że policjanci zaplombowali drzwi i powiesili tabliczkę informującą o tym, że teren został zabezpieczony. Liv przejechała ręką po taśmie i nacisnęła klamkę. Drzwi zostały zamknięte, pierwszy raz odkąd wprowadził się tu Johnny.

Stała przy oknie kuchennym i poświeciła do środka latarką w telefonie komórkowym. Wszystko wyglądało tak jak zwykle: naczynia w zlewie, na stole kilka wypalonych świeczek i pudełeczko z wykałaczkami. Jej wzrok przyciągnęły makatki wdowy wiszące na ścianach. Obeszła dom i zajrzała do sypialni, gdzie jak gdyby nigdy nic czekała na nią głowa łosia. Kołdra leżała zwinięta na podłodze. Pewnie policja wyrwała Johnny'ego ze snu. Liv wyłączyła latarkę

i przycisnęła komórkę do piersi, nie chciała widzieć nic więcej.

\*

Kiedy Simon wrócił do domu, siedziała w kuchni przy zgaszonym świetle. Przyszła z nim Felicia, rozmawiali wesoło, otrzepując buty i wieszając kurtki. Gdy weszli do kuchni, widziała na ich twarzach, że coś się stało i muszą to z siebie wyrzucić, chociaż wcale nie chciała tego słuchać. Nie była pewna, czy da radę się z tym zmierzyć.

– Policja zatrzymała Johnny'ego Westberga – poinformował Simon. – Widzieliśmy, jak go zabierali.

– Spytaliśmy, co zrobił, ale nie chcieli nam powiedzieć – dodała Felicia.

– To on, prawda? To on zamordował dziadka?

Simon był czerwony na twarzy. Kiedy mówił, z jego ust wydobywały się drobinki śliny.

Liv tylko pokręciła przecząco głową.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, zanim nie dowiemy się czegoś więcej.

– Jesteś w nim zakochana, prawda? To dlatego go bronisz!

– Nikogo nie bronię, ale nie możemy go osądzać, zanim nie poznamy szczegółów.

Simon uderzył ręką w ścianę tak mocno, że powstała dziura. Przerażony spojrzał na to, co zrobił, potem na nią, a następnie wbiegł po schodach na górę i zniknął w swoim pokoju. Oszupiała Felicia popatrzyła na Liv, a po chwili się otrząsnęła i pobiegła za Simonem. Liv poczuła, że w jej żyłach płynie samotność. Została sam na sam z czarnym otworem w ścianie.

## LATO 2003

Dziecko śpi na jej rękach. Dziewczyna przykrywa drobną twarzyczkę swoim wełnianym swetrem w tradycyjny, norweski wzór, by ochronić ją przed słońcem, wiatrem i hałasem. Soczysta zieleń pochyla się nad zakurzoną polną drogą, a w rześkim powietrzu unosi się zapach lata. Jest wcześnie rano, lecz słońce mocno świeci i odbija się w oknach samochodów, tak że dziewczyna nie widzi, kto siedzi za kierownicą. Stoi w rowie z dzieckiem na ręku, a samochody mijają ją jeden za drugim. W jej ramię wrzyna się torba wypełniona pieluchami. Ręce omdlewają pod ciężarem dziecka. Chłopiec szybko rośnie, jego jasne, dziecięce oczy z każdym dniem widzą coraz więcej. Dziewczyna musi się pośpieszyć, czas się kurczy.

Na szczycie wzgórza pojawia się czarne auto, maska świeci w słońcu jak olej. Dziewczyna z dzieckiem na ręku bierze głęboki wdech i wychodzi na drogę, unosi do góry wolną rękę i uśmiecha się tak szeroko, że aż ją bolą policzki. Dopiero, gdy samochód zwalnia, widzi, że kierowca jest kobietą. Cofa rękę, lecz jest już za późno, kobieta się zatrzymała i opuściła szybę, patrzy na nią znad okularów przeciwsłonecznych.

– Dokąd chcesz się zabrać?

Dziewczyna kładzie rękę na karku dziecka pokrytym meszkiem. Zazwyczaj unika kobiet. Za dużo widzą, ich oczy zaglądają wszędzie. Nie są takie jak mężczyźni, oni widzą tylko to, co chcą widzieć i co pasuje do ich wyobrażeń. Kobiety trzymają się rzeczywistości.

– Tylko do Arvidsjaur.

– Widzę, że jesteś obładowana ponad siły. Wskakuj, podwiozę cię!

Włosy kobiety mają kolor czerwonego wina, ostre pazurki okalające twarz wydają się wibrować z ciekawości, gdy dziewczyna w końcu otwiera drzwi i wsiada. Kobieta zdejmuje okulary przeciwsłoneczne, rozpiną kardigan i zdumiona przypatruje się śpiącemu dziecku.

– Ojoj – mówi szeptem. – Kogo my tu mamy?

– Niestety nie mam fotelika samochodowego.

– Z takim cennym ładunkiem będę jechać bardzo ostrożnie.

Kobieta częstuje dziewczynę krówkami i kawą z termosu. Pachnie cudownie, ale dziewczyna boi się, że obleje dziecko, więc odmawia. Przyciska miękkie, śpiące ciało do piersi i wpatruje się w drogę, podczas gdy kobieta mierzy ją wzrokiem.

– Gdzie chcecie wysiąść?

– Proszę nas wysadzić tam, gdzie będzie pani pasować.

Słońce wspina się coraz wyżej i nadaje zieleni nienaturalnego blasku. Dziewczyna wygląda przez okno, żeby uniknąć kłopotliwych pytań. Przez lata nauczyła się unikać ludzkiej ciekawości i wszystkich zastawianych pułapek. Kobieta już się nie uśmiecha, krówka wybrzusza jej policzek.

– Bije cię? – pyta nagle. – Czy twoje życie jest zagrożone?

– Nikt mnie nie bije.

– Dzisiaj jest piątek, posterunek policji jest czynny do trzeciej.

– Aha.

– Może cię tutaj wyrzucę? Mogliby ci pomóc.

Dziewczyna boi się, że mocne bicie jej serca obudzi dziecko. Przygryza wargi i czuje w ustach smak krwi. Myśli, że już nigdy więcej nie zabierze się na stopa z kobietą. Kiedy mijają kościół, trzyma wolną rękę na klamce. Gdyby nie dziecko, pociągnęłaby za nią, otworzyłaby drzwi i wyskoczyłaby z samochodu, lecz teraz się waha, bo nie chce zrobić mu krzywdy. To

przecież ze względu na niego tutaj jest, żeby nic mu się nie stało.

Lato wtargnęło na ulice, ludzie są wszędzie, powietrze wibruje od gorąca i bez troski. Dziewczyna obserwuje przechodniów wygłodniałym wzrokiem, ich uśmiechy i opalone nogi. Kobieta parkuje przed długim, czerwonym budynkiem i głaszcze palcem policzek śpiącego dziecka.

– Pójdę z wami.

– Nie trzeba.

Dziewczyna szybko bierze dziecko i torbę, po czym wysiada z auta. Wolno idzie w stronę zamkniętych drzwi i odwraca się dopiero po postawieniu nogi na schodach. Kobieta macha do niej, po czym wrzuca bieg i odjeżdża. Dziewczynę dziwi, że tak szybko się poddała, że nie nalegała. Na drzwiach wisi tabliczka z napisem „Zaraz wracam” i gdy dziewczyna naciska na klamkę, stwierdza, że są zamknięte na klucz. Czuje ulgę i siada na schodach. Usta dziecka budzą się i szukają piersi. Dziewczyna siedzi na policyjnych schodach z zamkniętymi oczami i karmi małego. Nagle dopada ją ogromne zmęczenie.

Wiatr niesie ze sobą nieprzyjemny zapach śmierci. Brzozy otaczające posterunek policji szumią, gdy wstaje ze schodów i idzie na tyły budynku. W cieniu leżą trzy worki śmieci, jeden na drugim, rój much krąży wokół czarnej folii. Podtrzymując główkę dziecka schyla się i zagląda do jednego z worków. W środku znajduje się głowa renifera, muchy chodzą po pustych oczodołach, a z martwego pyska wystaje kawałek języka. Dziewczyna odskakuje i zasłania dziecko swetrem. Wydaje z siebie głuchy dźwięk, który niesie się echem między drzewami.

– Kradzież reniferów – informuje głos tuż obok niej.

Młody policjant z pryszczami na brodzie pojawił się znikąd. Dziewczyna mocniej przytula dziecko.

– Ale kto robi coś takiego?

– Cóż, ludzie opętani nienawiścią robią okropne rzeczy.

Mężczyzna trzyma w ręku torbę z fast foodem, a włosy na jego karku są wilgotne. Mundur wygląda na ciepły. Dziewczyna wstrzymuje oddech, słysząc tylko gaworzenie dziecka i brzęczenie much latających nad szczątkami zwierząt. Zabite renifery wysyłają ostrzeżenie, zimny dreszcz przebiega po jej plecach.

– Mogę ci w czymś pomóc? – pyta policjant. – Chcesz coś zgłosić?

Gestem ręki zaprasza ją do środka. Dziewczyna rozgląda się za drogą ucieczki, a on otwiera drzwi. Dziecko ulewa na jej ramię, a ona wpatruje się w czerwony i spocony kark policjanta, próbując zebrać myśli. Trudniej okłamać mężczyznę w mundurze, są szkoleni do odkrywania prawdy, a prawda jest niebezpieczna, nie może jej wyjawic, bo wtedy zabiorą jej dziecko.

Policjant przytrzymuje drzwi. Na papierowej torbie, którą trzyma w ręku, pojawia się ciemna, tłusta plama. Dziewczyna wchodzi do chłodnego pomieszczenia, wciąż czuje w nozdrzach woń śmierci. Uśmiecha się szeroko, by ukryć strach, który rozszarpuje ją od środka.

– Nie chcę niczego zgłaszać, chciałabym tylko skorzystać z telefonu i zadzwonić do mojego ojca. Chyba go zgubiliśmy.

Policjant pochyła się nad dzieckiem i wykrzywia twarz.

– Oczywiście. Ojcowie są ważni, lepiej ich nie gubić.

\* \* \*

Kiedy pojawił się Hassan, rzeczy Vidara leżały zwęglone na podwórku. Przyjechał sam i była mu za to wdzięczna. Tej nocy nie zmrużyła oka i bolała ją głowa.

– Co tu spaliłaś?

– Trochę rzeczy ojca.

Spojrzał na zwęglone ubrania.

– Nie słyszałaś o second-handach?

– To były same śmieci, nic, co można by sprzedać.

– Są ludzie, którzy kupią wszystko.

– Ojciec nie chciałby, żeby ktoś chodził w jego ciuchach. Wolałby, żebym je spaliła.

Kiedy wchodził do sieni, zaskrzypiała pod nim podłoga. Pies skulił się w rogu i położył po sobie uszy. Liv zastanawiała się, czy przestraszył go mundur, czy muskularna postura Hassana, a może zrozumiał powagę sytuacji. Hassan przykucnął i wyciągnął rękę, cierpliwie poczekał, aż pies odważy się do niego podejść.

– Napijesz się kawy?

– Chętnie.

Poszła do kuchni zaparzyć kawę, czekając, aż Hassan coś z siebie wydusi. Ale on wciąż zaprzyjaźniał się z psem, głąskał go, mówił do niego miłym, żartobliwym głosem, co w innych okolicznościach może nawet by ją rozśmieszyło.

Potem, gdy już siedzieli przy stole naprzeciwko siebie, jego wzrok cały czas uciekał w kierunku spalonych ubrań, jakby znajdowała się tam jakaś odpowiedź.

– Mam nadzieję, że zostawiłaś sobie jakieś pamiątki.

– Wspomnień mam aż zanadto.

Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech.

– Jak się miewasz?

– Żyję.

– A Simon? Jak sobie z tym wszystkim radzi?

– Jest mu dość ciężko, ale większość czasu spędza u swojej dziewczyny. Teraz jest właśnie u niej.

– To Felicia Modig?

– Mhm.

Zastanowiło ją, skąd wie, że Simon i Felicia są parą. Czy to Simon mu o tym powiedział, czy może wywęszył to w jakiś inny sposób. Prawdopodobnie wiedział już o nich wszystko, znał wszystkie plotki rozprowadane przez ludzi w okolicznych wioskach.

– Z tego, co słyszałem, ty też jesteś w związku – powiedział Hassan. – Z Johnnym Westbergiem. To prawda?

– Związek to chyba za dużo powiedziane, czasami ze sobą sypiamy.

Czuła, że pali ją twarz, gdy jej się przyglądał. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

– On twierdzi, że to coś więcej. Mówi, że spotykacie się od jesieni i że jest w tobie zakochany.

– Skoro tak mówi.

– A ty jak opisałaś waszą relację?

– Tak jak to przed chwilą zrobiłam. Czasami ze sobą sypiamy. Tylko tyle i nie rozumiem, co policji do tego.

Hassan oparł się na krześle, świdrował ją wzrokiem, czegoś szukał. Liv sięgnęła po fajkę Vidara i woreczek z tytoniem leżący na parapecie. Musiała coś zrobić z rękami.

– Johnny Westberg został wczoraj aresztowany – poinformował Hassan.

– Słyszałam.

– Jest podejrzany o zabójstwo twojego ojca. Mamy mocne dowody przeciwko niemu.

Tytoń wypadł jej z ręki i wylądował w nieruszanej kawie. Miała przed oczami Johnny'ego, bliznę na jego szyi, która świeciła w ciemności, mrok w jego oczach, gdy mówił, że

to nie w porządku, że Liv musi się wymykać z domu w tajemnicy przed swoim ojcem. To nagle wyznanie, że Vidar próbował go wyeksmitować zaledwie dzień przed tym, jak został zamordowany. Ten niepokój w jego głosie. Widziała ciało Vidara w kostnicy, miękkie, białe palce, wygładzone czoło. Próbowała to sobie wyobrazić: Johnny'ego, który strzela do Vidara i wrzuca zwłoki do studni. Na samą myśl o tym poczuła mdłości. Ścisnęła fajkę w dłoni, nie była w stanie jej zapalić. Hassan nie odrywał od niej wzroku, szukał czegoś w jej twarzy, jakiejś emocji, która zaprowadziłaby go dalej.

– Póki co nie przyznaje się do winy. Ale zeznał, że Vidar go nie lubił i trzymaliście waszą znajomość w tajemnicy. Powiedział, że przychodziłaś do niego w nocy, gdy Vidar już zasnął, że ukrywaliście się jak nastolatki.

– Ojciec nie lubił obcych.

– Johnny twierdzi, że byłaś u niego tej nocy, gdy Vidar został zamordowany. To prawda?

Fajka w jej dłoni poruszała się w rytm pulsu. To prawda, była u Johnny'ego przez krótką chwilę. Nigdy nie zostawała na dłużej niż dwie, trzy godziny, za bardzo bała się Vidara, obawiała się, że ich nakryje. Może to zrobił, nakrył ich, może poszedł za nią i poczekał, aż wyjdzie i dopiero wtedy wszedł do środka. Oczami wyobraźni widziała, jak ci dwaj mężczyźni ścierają się ze sobą w świetle księżyca. Przeszył ją zimny dreszcz.

– Byłam tam najwyżej dwie godziny.

– O której?

– Od północy do drugiej, może trochę krócej. Nigdy nie zostawałam dłużej.

– Dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej?

– Nie myślałam, że to ma jakieś znaczenie.

Hassan spojrział na nią podejrzliwie.

– Możesz opowiedzieć, jak się poznaliście z Johnnym?

– Przyszedł do nas jesienią po klucz do domu Johanssonów. Nie pamiętam dokładnej daty, ale na pewno spadł już pierwszy śnieg. Tylko się przywitaliśmy, ojciec wszystko z nim załatwił.

– Wcześniej się nie kontaktowaliście, na przykład przez Internet?

– Nie. Wszystkim zajmował się ojciec. Chciał wynająć ten dom, zamiast go sprzedawać, uważał, że tak będzie bezpieczniej. Ale nie wiem, jak nawiązał kontakt z Johnnym. Powiedział mi tylko, że w końcu znalazł kogoś, kto chce zamieszkać w domu wdowy po Johanssonie. Potem Johnny przyszedł po klucz. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

– Kiedy rozpoczęła się wasza relacja seksualna?

– Niedługo potem.

– Kto ją zainicjował?

Spojrzała na las falujący na wiosennym wietrze.

– Pewnego wieczoru przebiegałam obok tego domu i zobaczyłam Johnny'ego. Wyglądał na bardzo samotnego. Spytałam, czy poczęstuje mnie kawą. Tak to się zaczęło.

Wszystko to było prawdą, a mimo to czuła się jak oszustka. Niczego już nie rozumiała, miała mętlik w głowie, może przez ten szok, w którym wciąż była. Przecież nie знаła Johnny'ego, nie naprawdę. Torpedowała wszystkie jego próby zbliżenia się do niej i to go frustrowało. Nigdy nie był agresywny, lecz dostrzegła u niego cień rozczarowania za każdym razem, gdy go zostawiała, by biec do domu, choć błagał, żeby została. Mroczny cień na jego twarzy za każdym razem, kiedy się rozstawali. I pomyślała, że to wszystko jej wina, że powinna była zachować większą ostrożność. Odkąd tylko nieco podrosła, Vidar ostrzegał ją przed światem, przed potworami grasującymi na ich ziemi, którzy tylko czekają na odpowiedni moment, by zaatakować. Jeśli człowiek się z nimi zada, to już po nim.



- Dostrzegła rezygnację na twarzy Hassana. On też nie tknął kawy.
- Z tego co mi wiadomo, odziedziczyłaś po ojcu trochę pieniędzy.
  - Można tak powiedzieć.
  - Czy kiedykolwiek rozmawiałaś o nich z Johnnym?

Potrząsnęła przecząco głową i włosy zasłoniły jej twarz. Nigdy nie rozmawiała z nikim o pieniądzach, wołała tego unikać. Prawda była taka, że na samą myśl o tym słowie zaciskało jej się gardło. Pieniądze były czymś złym i wstrętnym, czymś, co buduje mury między ludźmi, odbiera im rozum. Wciąż słyszała ostrzeżenia Vidara, ten pesymizm, który jej wpajał od dzieciństwa. Pieniądze to najczęstsza przyczyna tego, że ludzie się mordują – zwykł mawiać. Nigdy nie wspominaj o naszym majątku. Nie rób tego, jeśli życie ci miłe.

\* \* \*

Liam obserwował przez szybę samochodu bawiące się dzieci. Wyglądały, jakby tańczyły. Vanja w środku kółeczka kręciła się tak intensywnie, że żółta spódniczka rozłożyła się wokół jej talii jak parasolka. Wiedział, że się śmieje, chociaż tego nie słyszał. Tego zaraźliwego śmiechu, który nie pozostawiał obojętnym nawet najzimniejszych serc. Żył dla tego śmiechu.

Kurtkę zostawił w samochodzie. Chciał, żeby personel zobaczył jego niebieską koszulę służbową. Nosił ją z dumą, jak flagę. Chciał, żeby wszyscy widzieli, że to poważna sprawa, że uporządkował swoje życie. Pytania i zatroskane spojrzenia mogli zachować dla siebie.

Kiedy szedł w górę żwirową alejką, w kieszeni zawibrowała mu komórka. Pomyślał, że to pewnie matka chce, żeby kupił karmę dla psów. Jeśli chodziło o te czworonogi, zachowywała się jak zdesperowana ćpunka. Jeszcze tylko jeden dziesięciokilowy worek i damy sobie radę – mówiła. – Inaczej będę musiała wyjąć łososia z zamrażarki.

Ale to nie była matka, tylko Gabriel. Dyszał do słuchawki, jakby biegł.

- Stary, musisz przyjechać. Masakra!
- Nie mogę. Jestem w przedszkolu.
- A ja w szklarni. Musisz tu przyjechać... pośpiesz się.
- Co się stało?

Rozłączyło ich, zanim Gabriel zdążył odpowiedzieć. Liam stał na żwirowej alejce pod przedszkolem i próbował do niego oddzwonić, ale ciągle było zajęte. Gabriel nie miał w zwyczaju prosić o pomoc, wydawał jedynie rozkazy. Liam poczuł w ciele niepokój. Vanja go zauważyła i przestała tańczyć, stała z czołem przyciśniętym do przeszklonych drzwi i patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi, poważnymi oczami. Przez ramię miała przewieszony gruby i lekko rozczochrany warkocz, policzki zaróżowione. Liam wsunął komórkę do kieszeni i biegnąc do niej, uśmiechnął się szeroko i fałszywie. Otworzyła drzwi i wyszła na schody, przez kilka sekund obserwowała jego twarz, zanim pozwoliła się podnieść.

Przedszkolny personel kręcił się wokół nich, podczas gdy Vanja walczyła z kurtką i butami. Od ich lepkich, życzliwych spojrzeń cierpła mu skóra. Pytali, jak mu idzie na stacji, czy znalazł jakieś mieszkanie. Marcus, najmłodszy z nich, powiedział, że ma kuzyna w Abborrträsk, gdyby Liam szukał domu. Komórka wibrowała mu w kieszeni jak szalona i kiedy w końcu byli gotowi do wyjścia, Gabriel wysłał mu SMS-a: Pośpiesz się, tu jest masakra!

- Kupimy jedzenie dla psów? – spytała Vanja.
- Najpierw musimy odwiedzić wujka Gabriela.
- Wziął narkotyki?
- Nie, coś ty, po prostu muszę z nim chwilę pogadać.

Vanja siedziała w milczeniu, gdy zapinał jej pas. Już nie dawała się tak łatwo oszukać. A może od zawsze wiedziała, kiedy kłamał. Jadąc, zaciskał zęby. Właściwie to powinien olać

Gabriela, ale nie umiał odwrócić się do niego plecami, jeszcze nie. Stawka była zbyt wysoka. Teraz, gdy wreszcie był na dobrej drodze, musiał mieć Gabriela na oku, by się upewnić, że nie narobi więcej szkód, że nie spieprzy tego, co Liam z takim mozołem próbuje zbudować.

Wiosna za lekko brudnymi szybami nie żartowała. Woda była wszędzie. Parowała i pluskała, zostawiała brudne smugi na autach i znakach drogowych. Kalosze Vanji majtały nad wycieraczką jak dwa żółte słońca.

– Babcia mówi, że wujek Gabriel był bardzo mądry, zanim zaczął brać narkotyki, mądrzejszy niż teraz.

– Naprawdę?

– Mówi, że narkotyki wypaliły mu mózg. Jak zimne ognie.

Vanja rozczapierzyła palce i wydała z siebie świst. Liamowi znowu zawibrowała komórka w kieszeni, ale jej nie wyjął. Miał wrażenie, jakby po nim też płynęła woda, zimny i brudny prysznic. Miał guł w gardle i piekły go oczy. Czuł, że brakuje mu powietrza.

– Jak myślisz tato, to boli?

– Co takiego?

– Gdy mózg się pali?

Liam opuścił szybę i splunął.

– Tak sędzę. Bardzo boli.

– To dlaczego ludzie biorą narkotyki, skoro to boli?

– Bo czasami, gdy się ich nie weźmie, boli jeszcze bardziej.

\* \* \*

Plik papierów wylądował na stole z głuchym odgłosem. Przedegzekucyjne wezwania do zapłaty i pisma od komornika, pogniecione i zaplamione kawą. Hassan stukał kostkami palców w rzędy liczb, zmarszczki między brwiami zmieniły go w kogoś innego, starszego i bardziej zmęczonego. Liv spojrzała na korony sosen za oknem, nie chciała patrzeć na te papiery, nie chciała wiedzieć.

Hassan ostrożnie przesunął dokumenty w jej stronę, zmuszając ją do zmierzenia się z rzeczywistością.

– Jak dobrze znasz Johnny'ego Westberga?

– Właściwie to wcale. Wiem tylko, że pochodzi z południa Szwecji i że pracuje w tartaku w Glommerstråk.

– Nigdy nie pomyśleliście, żeby sprawdzić zdolność kredytową waszego nowego najemcy?

– Tymi sprawami zajmował się ojciec i wątpię, żeby chciał płacić za coś takiego, wołał polegać na własnej opinii.

– Czy Johnny zalegał kiedyś z czynszem?

– Z tego, co wiem, to nie. Nie płacił zbyt dużo. Dom stał pusty przez ponad dziesięć lat. Cieszyliśmy się, że ktoś chce w nim zamieszkać.

– Szkoda, że nie sprawdziliście jego zdolności kredytowej, bo wtedy dowiedzielibyście się, że Johnny Westberg ma ponad dwa miliony długu. Od prawie trzech lat żyje na granicy ubóstwa, co prawdopodobnie jest dla niego trudne. Kilka razy próbował odebrać sobie życie. Blizna na szyi to pamiątka po ostatniej próbie, według dokumentacji medycznej prawie mu się udało.

Blizna na szyi. Liv wielokrotnie czuła to wybrzuszenie pod opuszkami palców, biały pasek skóry był dużo miększy niż reszta ciała. Raz prawie spytała, skąd ją ma, lecz coś ją powstrzymało. Jeśli dostrzegała w kimś mrok, od razu się wycofywała. Swojego miała pod

dostatkiem.

– Nie wiedziałam. Nigdy nie rozmawialiśmy o jego przeszłości.  
– Wyszło na jaw, że chcąc się pozbyć długów, Johnny nawiązał kontakt z kryminalnym półświatkiem, co tylko pogorszyło jego sytuację. Nowi znajomi prawdopodobnie mu grozili i dlatego uciekł na północ. I nie sądzę, że to przypadek, że wynajął dom właśnie od was. Skonfiskowaliśmy jego komputer i okazało się, że zanim przeniósł się do Ödesmark i już po przeprowadzce, kilkaset razy szukał w Google informacji na temat majątku Vidara. Wszystko wskazuje na to, że od samego początku miał chrapkę na wasze pieniądze.

Liv usłyszała w głowie chichot Vidara: Co ci zawsze powtarzałem? Że możesz ufać tylko najbliższym. Reszta to żebracy i sępy. Ostrzegał ją przed tym, odkąd pamiętała – przed złem i chciwością po drugiej stronie lasu.

Pomyślała o Johnnym, o jego twarzy w świetle żaru papierosa, bezbronności, którą czasami dostrzegała w nieśmiałym spojrzeniu. Johnny nigdy nie dał jej do zrozumienia, że potrzebuje pieniędzy. To ona zaczęła tę znajomość, wszystko wydarzyło się z jej inicjatywy.

– Jeśli chodziło mu o kasę, to dobrze to ukrywał.  
– Johnny Westberg to desperat – oznajmił Hassan. – A zdesperowani ludzie robią głupie rzeczy. Póki co nie przyznaje się do winy, ale wątpię, by długo w tym wytrwał.

Oboje wzdrygnęli się na dźwięk deszczu, który zaczął dudnić w okno. Nad wioskę nadciągnęły chmury, a oni nawet tego nie zauważyli. Po chwili zaczęli mówić głośniej.

– Skoro chodziło mu tylko o pieniądze, mógł je po prostu ukraść. Nie musiał zabijać. Dlaczego to zrobił?

– Może wcale tego nie planował, ale sytuacja wymknęła mu się spod kontroli.

Liv zasłoniła usta zacisniętą pięścią, poczuła narastające mdłości. Przypomniały jej się słowa Johnny'ego. Mówił, że Vidar do niego przyszedł i kazał mu się wynosić. Może od tego wszystko się zaczęło. Chciała powiedzieć o tym Hassanowi, lecz nie dała rady. Bała się, że ujawni za dużo. Zasłaniała usta dłonią jak tarczą, mocno zaciskała szczęki.

Hassan pochylił się ku niej, szukał jej spojrzenia.

– Powiedziałaś Vidarowi o waszej relacji?

– Nie musiałam – wyszeptwała. – Wszystkiego się domyślił.

– I jak zareagował?

– Powiedział to, co zawsze, gdy się z kimś spotykałam.

– Czyli co?

– Że Johnny mnie skrzywdzi.

\* \* \*

Kiedyś poprzysiągł sobie, że nigdy nie pozwoli Vanji zbliżyć się do plantacji, lecz coś w głosie Gabriela sprawiło, że zrobił wyjątek. Tylko ten jeden raz.

To był opuszczony domek letniskowy nad strumykiem, z zabitymi oknami i porośniętymi ścianami. Jedyne ślady kół na ubiegłorocznej trawie świadczyły o tym, że ktoś odwiedza to miejsce. Samochód Gabriela stał zaparkowany w lesie. Nagle na wietrze trzasnęły drzwi wejściowe, ale nigdzie go nie widzieli.

– Co za okropny dom – stwierdziła Vanja.

– Po prostu trochę zaniedbany. Zostań tu, zaraz wrócę.

Wiatr szarpał gałęziami. Liam wysiadł z auta. W powietrzu unosił się zapach rosnącej w środku marihuany. Rozejrzał się, omiół wzrokiem rozkołysany las. Do najbliższego domku letniskowego było daleko, ludzie przyjeżdżali tam tylko latem, o ile w ogóle. Przedzierając się przez zarośla, poczuł, że stało się coś naprawdę złego. Plantacja to był jego pomysł. Vanja była

wówczas maleńka, a on nie dorósł jeszcze do odstawienia narkotyków. Własna plantacja oznaczała, że nie musiał robić interesów z idiotami. W każdym razie takie było założenie. Dopóki nie wtrącił się w to Gabriel, który chciał robić to na większą skalę i sprzedawać. Liam odwalił największą robotę: wysiał pierwsze nasiona i eksperymentował z lampami nagrzewającymi oraz oczyszczaczami powietrza, aż wszystko zaczęło działać i sadzonki urosły. Okazało się, że ma do tego talent. Może odziedziczył po matce rękę do roślin, jej wrażliwość na wszystko, co żywe.

W ostatnim roku próbował się od tego odciąć. Powiedział Gabrielowi, żeby radził sobie sam, że to dla niego zbyt ryzykowne, ale Gabriel umiał ściągnąć go z powrotem. Zawsze wiedział, jak go przekonać.

Podchodząc do drzwi, zrozumiał, co jest nie tak. W środku panowała ciemność, lampy były zgaszone. Fioletowe światło zastąpiła czern. Odwrócił głowę i zobaczył szeroko otwarte oczy Vanji za szybą samochodu. Warkocz włożyła sobie do buzi. Robiła tak, gdy była zdenerwowana, ssała i gryzła własne włosy, aż robiły się mokre. Próbował ją przestraszyć, mówiąc, że jeśli nie przestanie, to jej żołądek zapełni się włosami i będzie potrzebna operacja. Ale robiła to dalej i wiedział, że to jego wina, że to on wprowadza niepokój do ich życia.

Nagle rozległ się głośny kaszel Gabriela. Liam otworzył drzwi i wszedł w sam środek zniszczenia.

Na podłodze leżała ziemia pomieszana z odłamkami szkła. Sadzonek nie było, ktoś powyrywał je z doniczek, zostały tylko najmniejsze, leżały zwiędnięte na kupkach. Lampy nagrzewające zostały rozbite, a plastik zerwany ze ścian przypominał czarne paski skóry. Szum wentylatorów ucichł, nie kręciły się. Wszystko było zniszczone, jakby przez domek letniskowy przeszedł huragan.

Gabriel kucnął w środku tego chaosu i grzebał w tym, co zostało.

– To ty? Wolniej się nie dało?

– Ja pierdołę, co tu się dzieje?

– To Juha. Wiem, że to on. Chce nas ukarać za śmierć Vidara. Co najmniej połowa sadzonek wyparowała, a resztę szlag trafił. I wszystkie lampy są rozbite, rozpieprzył wszystko.

Gabriel podniósł z podłogi doniczkę i cisnął nią o ścianę z taką siłą, że jej część utknęła w zmurszałym drewnie. Liam stał w drzwiach, próbował się pozbierać, oszacować straty. W sumie miał to gdzieś. Czuł tylko ulgę, że nie chodziło o policję, która mogłaby ich zatrzymać. Plantacja go nie interesowała, równie dobrze mogłaby przestać istnieć.

Odłamki szkła chrzęściły Gabrielowi pod butami, gdy błady krążył po pomieszczeniu.

– Chodź – rzucił. – Jedziemy do Juhy.

– Jestem z Vanją, nie mogę nigdzie jechać.

– Znow zapomniałem, jaki jesteś bezużyteczny, ale walić to. Sam to załatwię.

– Co zamierzasz zrobić?

Gabriel kopnął rozbity lampę.

– Zobaczysz. Juha sobie nawet nie zwinie skręta, jak z nim skończę. Dopilnuję, żeby spotkało go to, co starego Björnlunda.

\* \* \*

Douglas Modig napełnił kieliszki po brzegi, po czym uniósł swój tak, że wódka zachlupotała. Objął Liv wolną ręką i wznosząc toast, dotknął jej czoła swoim spoconym policzkiem.

– Za policję – powiedział. – Dobra robota. Z mordercą Vidara za kratkami możemy w końcu zacząć pracować nad tą straszną tragedią.

Liv wbiła wzrok w cienkie paseczki smażonego mięsa renifera błyszczące na jej talerzu. Tłuszcz zastygł, tworząc żółtą powłoczkę. Nie mogła nic przełknąć. Popełniła błąd, przychodząc do Modigów. Przekraczając próg ich domu, poczuła, że zdradza Vidara. I nie podobało jej się to, jak Douglas i Eva na nią patrzyli, jakby była jakąś cholerną zagadką, którą zamierzają rozwiązać.

Pojawiła się tu ze względu na Simona. Siedział na krześle naprzeciwko niej i też nie miał apetytu, dłużej widelcem w jedzeniu. Ale widziała, że jest stałym bywalcem w domu Modigów. Bez skrępowania wypił kieliszek wódki, a Liv zaczęła się zastanawiać, jak często to robi, gdy odwiedza Felicię, bo na pewno nie był to pierwszy raz.

– Zdziwiło mnie, że nic ze sobą nie przywiózł – powiedziała Eva. – Kiedy odwiedziłam go zimą, siedział wśród rzeczy wdowy. Nie miał choćby jednego swojego mebla. To wyglądało żałośnie.

– Owszem – przytaknął Douglas. – Z początku było nam go żal. Nie był przygotowany do życia na północy, przeprowadził się tu w środku zimy bez ani jednego kawałka drewna. Daliśmy biedakowi trochę opału, żeby nie zamarł, zanim coś sobie zorganizuje. A potem dowiedzieliśmy się, że to bezwzględny morderca. Na samą myśl o tym aż cierpnie mi skóra.

Liv poczuła, że swędzą ją ramiona. Jedzenie stygło na talerzu. Szkoda jej było tak dobrego mięsa, ale nie potrafiła się zmusić, by sięgnąć po sztućce. Rozmowa cały czas dotyczyła Johnny'ego Westberga i wiedziała, że czekają, aż zabierze głos. Milczała, więc Douglas znów ją objął.

– Liv, co powiesz o tym wszystkim? Podobno spędzaliście ze sobą czas, ty i Johnny? Coś was łączyło?

Liv odsunęła od siebie talerz z nietkniętym mięsem renifera. Zerknęła na Simona.

– Nie – odparła. – Nic nas nie łączyło. Bywałam tam czasami, żeby sprawdzić, czy z domem wszystko w porządku.

Douglas uśmiechnął się do niej z niedowierzaniem.

– Dziwi mnie, że Vidar niczego nie przeczuwał – powiedział, wkładając wykałaczkę między zęby. – Znał się na ludziach.

Miał czerwone policzki, a jego oczy błyszczały z podekscytowania. Jak dzieciak w Wigilię – pomyślała Liv. Było oczywiste, że się tym napawa. Nie wiedziała tylko, czy z powodu śmierci Vidara, czy po prostu z powodu zamieszania i tego, że w wiosce wreszcie coś się dzieje. Za każdym razem, gdy się ku niej pochylał, miała ochotę krzyknąć.

Kiedy Eva w końcu wstała od stołu, by z niego posprzątać, Douglas znowu napełnił kieliszki. Liv wypła łyk i potem jeszcze jeden, alkohol przyjemnie spłynął jej do żołądka. Zauważyła, że ręka Simona leży pod stołem na udzie Felicii.

Eva gwizdała sobie pod nosem, parząc kawę. Podając lody waniliowe i dżem z maliny moroszkowej, uśmiechnęła się porozumiewawczo do Simona.

– Nie martw się – powiedziała do niego. – Mam dla ciebie sorbet. Wiem, że unikasz tłuszczu.

Może to przez ten matczyzny ton Ewy, a może przez sposób, w jaki pogłaskała go po głowie, Liv nagle poczuła, że brakuje jej tchu. Simon miał dopiero siedemnaście lat. Powinni byli zapytać ją o zgodę, zanim zaproponowali mu alkohol. Pełny kieliszek wódki, a potem dwa następne. Sorbet zamiast lodów. Liv nie wiedziała, że się odchudzał. Nie unikał tłuszczu, tylko szyderstw Vidara przy stole. Komentarzy, że nie może przytyć, bo nie znajdzie sobie dziewczyny, jeśli będzie brzydki i gruby. Eva i Douglas nie znali jej syna, a mimo to zachowywali się tak, jakby byli jego rodzicami.

Wszyscy zamarli, gdy wstała z krzesła. Simon wbił w nią wzrok, oblał się rumieńcem i zrobił minę, jakby chciał jej powiedzieć, żeby się opamiętała, zanim narobi im wstydu.

– Pójdę już – oznajmiła Liv. – Wybaczcie, ale nie czuję się najlepiej.

Douglas próbował ją zatrzymać, ale Liv szybko wyszła do sieni. Po omacku znalazła swoją kurtkę wśród innych okryć, a potem buty, lecz Eva musiała jej pomóc z kurtką – zasunęła jej suwak, jak dziecku. Liv otworzyła drzwi, stała z twarzą zwróconą ku chłodnej nocy i głęboko oddychała. W oborze muczwały krowy. Chwiejnym krokiem wyszła z domu Modigów, przeprosiła Evę ostatni raz, po czym zamknęła za sobą drzwi. Przedzierając się przez las, odwróciła się tylko raz, żeby sprawdzić, czy Simon za nią nie idzie, lecz zobaczyła tylko ciemność.

## LATO 2008

Śmiech dziecka ją uskrzydla. Chłopiec stoi w wodzie, na słońcu, i oślepia swoimi dziecięcymi pulchnościami oraz rozpromienioną, szczęśliwą buzią. Jego radość jest zaraźliwa, przenika pod skórę i tchnie w nią nowe życie. Tak jakby zdjęła przepaskę z oczu i na nowo odkrywała świat: intensywnie zielony las i taniec wążek na wodzie, w której jej syn uczy się pływać. Świat jest piękny dzięki niemu.

Nie zauważa mężczyzny przedzierającego się przez wierzbówkę i oganiającego się od much. Kiedy siada obok niej, najpierw dociera do niej woń obornika, tak intensywna, że dziewczyna musi oddychać ustami. Wita się z nią, nie odrywając wzroku od dziecka bawiącego się w wodzie. Zakłóca ich raj, ich piękną chwilę na ziemi.

– Kawy?

Wyjmuje termos, wciska go jej do ręki, na ławce kładzie spory kawałek sera do kawy. Patrzy na dziecko wzrokiem drapieznika, a w jej ciele boleśnie napina się każdy mięsień.

Mężczyzna wrzuca kawałek sera do zakrętki termosu i się uśmiecha.

– Fajny chłopak.

Chłopiec trzyma w ręku podbierak, zanurza go w wodzie, chcąc złapać kijankę lub okonia. Ten ruch sprawia, że chwieje się na nogach i prawie upada, lecz w ostatniej chwili odzyskuje równowagę. Krzyczy i śmieje się jednocześnie. Mężczyzna obok niej też się śmieje, nie może się powstrzymać, wylewając przy tym trochę kawy, a ona paruje na trawie. Woła coś do chłopca, chyba że potrzebuje prawdziwej wędki. Jest ciepło, pot spływa jej po plecach i zaczyna się domyślać, o co chodzi mężczyźnie. Widzi, jak zasłania dłońią oczy i mocno je mruży, żeby przyjrzeć się chłopcu. Lokom i pucułowatym policzkom.

– Nie jest do ciebie zbyt podobny.

– Całe szczęście.

Mężczyzna rechocze. Kawa parzy ją w ustach, smakuje obornikiem. Wie, co on zaraz powie, niemal słyszy, jak te słowa formują się w jego strunach głosowych.

– Kto jest jego ojcem?

– Nikt kogo znasz.

– Ludzie są ciekawi.

– Mam to gdzieś.

Mężczyzna zdejmuje bluzkę przez głowę i wyciera się nią pod pachami. Brzuch trzęsie mu się nad paskiem, a na piersi ma tatuaż, którego wcześniej nie widziała – starannie wykaligrafowane imię córki. Odłamuje kolejny kawałek sera i wkłada go sobie do buzi. Robi minę do chłopca, który odpowiada tym samym, jakby prowadzili rozmowę, w której ona nie uczestniczy.

W powietrzu brzęczą muchy, siadają czarnymi rojami na jego zapaskudzonych butach i lgną do jej spoczonej głowy. Dziewczyna dopija kawę i woła do chłopca, że pora wracać do domu, lecz on wpatruje się w wodę i udaje, że nie słyszy. Mężczyzna opiera się na ławce i klepie się po białym, obwisłym brzuchu.

– Ludzie pytają nawet, czy to mój syn.

– Aha.

– Ale odpowiadam zgodnie z prawdą, że minęło wiele lat, odkąd coś nas łączyło, więc nie może być mój. Nawet gdybym chciał.

– Nie wiedziałam, że zajmują cię wiejskie plotki.

– Ludzie chcą wiedzieć, są ciekawi. Nic na to nie poradzę, tak po prostu jest.  
Dziewczyna wstaje z ławki i jeszcze raz woła chłopca, który rzucił podbierak w trawę i stoi z pulchnymi rączkami zanurzonymi w wodzie. Mężczyzna chrząka, nie daje za wygraną.

– A może to twój ojciec zrobił ci dzieciaka?

Mówi to cicho, ale słowa i tak zdają się nieść echem po jeziorze.

– Pierdol się.

Z walącym sercem podbiega do wody i bierze chłopca na ręce. Wiaderko z kijankami obija jej się o plecy, kiedy stamtąd odchodzi.

\* \* \*

Na podwórku było pusto i ciemno. Pies stał na końcu swojego łańcucha ze wzrokiem wbitym w dom, a z jego gardła wydobywało się głucho warczenie, jakby w środku znajdował się ktoś obcy i niebezpieczny.

Włożywszy klucz do dziurki, Liv odkryła, że drzwi są otwarte. Już w progu poczuła obcą woń, lekko kwaśną, od której przewróciło jej się w żołądku. Wzięła z półki łyżkę do butów i uniosła przed sobą jak broń. Poszła za tym zapachem aż do kuchni, jej wzrok padł na cień przy oknie, na krzesło Vidara. Serce podeszło jej do gardła. Wymachując łyżką do butów, włączyła światło i zobaczyła obcego mężczyznę. Dwoma palcami chwyciła psa za obrożę, żeby go nie zaatakował.

– Kim jesteś?

– Daj spokój, Liv. Nie poznajesz mnie?

Miał siwe włosy, które opadały na chude ramiona i zlewały się z kilkuletnią brodą. Jego twarz zestarzała się szybciej niż ciało, czas odcisnął piętno na przebarwionej, pomarszczonej skórze. Znajomy błysk w jego oczach sprawił, że głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Juha?

– Kopę lat.

Przypomniała jej się ich wspólna jesień, ocieniony parking leśny, na którym czekał na nią Juha. Na maskę spadały liście i zbliżała się zima. Miał wtedy ciemniejsze włosy, zdrowszą skórę, dawał jej tyle nadziei, że na samo wspomnienie o tym zakłuło ją w sercu.

– Nie możesz tak po prostu wchodzić do mojego domu. Śmiertelnie mnie przestraszyłeś.

– Słyszałem, co spotkało Vidara. Moje kondolencje.

– Jasne.

Zobaczyła na jego twarzy przebłysk uśmiechu, lecz to nie był ten sam uśmiech, który miała w pamięci. Ten był smutny i obnażał braki w uzębieniu. Puściła psa i pozwoliła mu obwąchać Juhę. Dało się zauważyć, że ma lepsze podejście do zwierząt niż do ludzi. Przyjrzała się łachmanom. Zielony polar i ciemne spodnie robocze nosiły ślady lasu i ognisk. Przy pasku wisiały dwa noże, ale chyba nie miał przy sobie innej broni.

Liv stanęła przy zlewie, trzymała dystans. Wypatrywała przez okno Simona. Mężczyzna nie odrywał od niej wzroku. Też na niego spojrzała.

– Siedzisz na krześle ojca.

– Chyba go już nie potrzebuje.

Juha puścił do niej oko. W słabym świetle lampy kuchennej wciąż widziała w nim tego mężczyznę, który spał z głową na jej kolanach. Jakby cofnął się czas.

– Czekałam na ciebie na tamtym parkingu. Całą zimę czekałam, ale ty się nie pojawiłeś.

– To Vidar kazał mi trzymać się od ciebie z daleka.

– I posłuchałeś go?

– Potrafił być przekonujący.



– Tęskniłam za tobą.

Uśmiech zamarł na jego twarzy, zasłonił oczy ręką, jęknął cicho. Liv wciąż stała przy zlewie, nie chciała się do niego zbliżyć. Jej nos już przywykł do zapachu, jak zawsze, już nie czuła jego smrodu. Miał czarną ziemię pod paznokciami i w zagłębieniach dłoni, jakby wygrzebał się z jakiejś nory. Unikał jej prawie dwadzieścia lat, trzymał się z daleka, a teraz nagle siedział przy jej stole, jakby on też na nią czekał.

Wolno podniósł wzrok, wbił go w zdjęcie Simona wiszące na ścianie.

– To twój syn?

– Mhm.

– Jest bardziej podobny do Vidara niż do ciebie.

– Spieprzaj!

Juha uniósł brudne ręce do góry.

– Wierz mi lub nie, ale nie przyszedłem tutaj, żeby się kłócić. Wciąż błyszczysz jak zimowe jezioro, Liv, i to mnie cieszy. Wiem, że jest za późno, że powinienem był przyjść dawno temu. Ale jestem i myślę, że wciąż możemy sobie pomóc.

– Wątpię.

Spozierał na ciemność na oknem, jakby się bał, że ktoś tam stoi i podsłuchuje. Liv przyniosła butelkę z bimbrem Vidara i naląła im obojgu po kilka kropel. Juha z wdzięcznością opróżnił kieliszek, alkohol lśnił na jego spękanych ustach.

– Cholera – rzucił. – Mam wrażenie, jakby to było wczoraj.

Liv sączyła alkohol, nie chciała mówić, że dla niej minęły lata świetlne.

– Pamiętasz, co ci opowiedziałem o Vidarze i ziemi? – spytał Juha.

– Powiedziałeś, że twoi rodzice sprzedali wszystko Vidarowi po śmierci twojego brata.

– Tak to się zaczęło. Żadne z nich nie myślało wtedy trzeźwo. Vidar pojawił się u nas, zanim mój brat wystygł w grobie. Spałem wtedy poza domem, bo nikt nie mógł na mnie patrzeć. Wciąż tak jest. Matka leży w szpitalu w Skellefte i powiedziała personelowi, że co by się nie działo, nie chce mnie widzieć. Swojego jedyne, żyjącego syna.

Kiedy już zaczął mówić, nie mógł przestać. Liv stała przy zlewie, a bimber Vidara rozgrzewał ją od środka, dawał paliwo tłącej się w niej złości. Czekala wtedy na Juhę całą zimę. A teraz siedział tutaj, podstarzały i zniszczony, z tym samym poczuciem niesprawiedliwości, co osiemnaście lat temu. Głośno odstawiła kieliszek, żeby go uciszyć.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

Juha się zmieszał. Patrząc na nią, wysuwał i chował dolną szczękę.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której pewnie nie wiesz.

– Jaka?

– Zawarłem z Vidarem umowę, po tym jak nas nakrył. Obiecał, że pozwoli mi mieszkać w północnym lesie, tylko mam się od ciebie trzymać z daleka. Dotrzymywał umowy przez blisko dwadzieścia lat, ale w marcu dostałem pismo z przedsiębiorstwa leśnego.

Wyjął jakąś kartkę z wewnętrznej kieszeni i powoli ją rozwinął.

– Wytną wszystko. Mam się wynieść do Midsommar.

Kiedy spojrział na Liv, na jego twarzy malowały się silne emocje, jakby zaraz miał się rozplakać albo krzyknąć lub coś jeszcze gorszego. Widząc to, Liv poczuła narastającą złość. A więc to dlatego ją opuścił. Wystarczyła podła obietnica Vidara.

– Nie mam nic wspólnego z interesami ojca. Przecież wiesz.

– Ale odziedziczyłaś jego fortunę, prawda?

– Dlatego przyszedłeś? Chcesz pieniędzy?

Wykrzywił twarz, jakby te słowa sprawiły mu ból, rozplakał się. W tym stanie bardziej

przypominał młodego mężczyznę, którym kiedyś był, mężczyznę, którego kochała jak brata. Wierzyła mu tamtej jesieni, wiązała nadzieje z jego samotnością, tak podobną do jej własnej. Ale on zamiast niej wybrał ziemię.

– Chcę tylko odzyskać to, co mi zabrano – oświadczył. – I wiem, że możesz mi pomóc.

– Wątpię.

Wytarł usta grzbietem dłoni, wciąż błędził spojrzeniem po ścianach, unikał jej wzroku.

– Policja ma niewłaściwego człowieka. Wiem, kto zabił Vidara, i to nie był ten biedak, o którym piszą w gazetach.

– Skąd to wiesz?

– Jestem samotnikiem, Liv. Nie żyję już wśród ludzi. Szczerze mówiąc, to zadają się ze mną tylko drobni złodzieje i inni degeneraci. Niekochani ludzie żyjący w cieniu tak jak ja. Wiemy, co w trawie piszczy, czy tego chcemy, czy nie. To nasze przekleństwo.

Wskazał palcem na okno.

– Wiem, kto zabił Vidara – dodał. – I to nie był ten oszust matrymonialny, któremu wynajmowaliście dom. Policja przetrzymuje niewłaściwego człowieka.

– Może w takim razie powinieneś pogadać z policją.

– Mam w dupie policję, to tobie chcę pomóc, nie rozumiesz tego? Często o tobie myślałem przez te wszystkie lata, Liv. Zaslugujesz przynajmniej na prawdę. W zamian chcę tylko ziemi, którą obiecał mi Vidar.

Liv tak mocno ścisnęła kuchenny blat, że aż zabolęły ją palce.

– Nie mogę dać ci ziemi i dobrze o tym wiesz. Ojciec wszystko sprzedał.

– W takim razie daj mi pieniądze, które dostał za północny las i będziemy kwita.

Juha włożył do ust papierosa i zapalił go, nie pytając o zgodę. Wydmuchiwał dym nosem i ustami, czekając, aż Liv coś powie. Kiedy tego nie zrobiła, zniecierpliwiony zastukał palcem w stół.

– Masz szansę wszystko naprawić, Liv. O nic więcej nie proszę. Jeśli to zrobisz, podam ci na talerzu mordercę twojego ojca.

\* \* \*

Liam palił papierosa przy śmietniku, przeglądając na wietrze jedną z popołudniówek. Pogrubione nagłówki informowały o czterdziestodwulatku aresztowanym w związku z zabójstwem milionera z Ödesmark. Opisywano go jako samotnika z ogromnymi długami hazardowymi. Podejrzewano, że przeniósł się na północ, by uciec od dawnego życia i to właśnie pieniądze Björnlunda sprawiły, że wybrał Ödesmark. W latach dwutysięcznych Vidar Björnlund figurował na listach najbogatszych mieszkańców regionu, o czym mężczyzna podejrzany o jego zabójstwo prawdopodobnie dobrze wiedział. Czterdziestodwulatek wynajął dom od Björnlunda i zatrudnił się w tartaku w Glommersträsk. Koledzy zeznali, że był dość małomówny, trzymał się na uboczu, ale poza tym był w porządku i wywiązywał się ze swoich obowiązków. Policja wciąż się nie wypowiedziała na temat motywu zabójstwa, lecz wszystko wskazywało na to, że chodziło o pieniądze.

– Nie wierz we wszystko, co piszą.

Głos pojawił się znikąd. Kiedy Liam opuścił gazetę, po prostu tam stała. Błada, z głęboko osadzonymi oczami i z zaciśniętymi ustami.

– Nie wierzę.

Liv sięgnęła po jego papierosa, włożyła go sobie do ust i mocno się zaciągnęła, nie odwracając od niego wzroku. Liam złożył gazetę i wsunął ją pod pachę. Zapalił kolejnego papierosa, starając się do niej nie zbliżyć. Zerknął na zegarek, jego przerwa właśnie się kończyła.

Niila w każdej chwili mógł wyrzeć i go pogonić.

– Policja ma niewłaściwego człowieka – oświadczyła Liv.

– Wcale mnie to nie dziwi.

Lekko się uśmiechnęła. Stała zbyt blisko, musieli się odwracać, by nie dmuchać sobie nawzajem dymem w twarz. Kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich Niila, odskoczyli od siebie, jakby na czymś ich przyłapał.

Liam stanął za kasą i patrzył, jak Liv i Niila znikają w biurze. Ostrożnie rozłożył gazetę i postawił ją na stojaku. Klienci podchodzili do gazet zaraz po wejściu do środka. Nagłówki o Ödesmark były ważniejsze od mleka i snusu. Stali tam, przeglądali gazety i mruzcili pod nosem, podczas gdy Liam obserwował drzwi do biura. Nie potrafił się rozluźnić, gdy ona była w pobliżu. Dreptał za kasą jak zwierzę uwięzione za kratami, z trudem odpowiadał, gdy klienci do niego zagadywali. Zastanawiał się, co miała na myśli, mówiąc, że policja ma niewłaściwego człowieka, zastanawiał się, ile tak właściwie wie.

Kiedy w końcu wyszła z biura, skinęła tylko szybko głową w jego kierunku i zniknęła za drzwiami do magazynu. Liam poczuł niepokój. Było coś w sposobie, w jaki na niego patrzyła. Tak jakby go przejrzała. Niila wyszedł z biura, stanął obok Liama i powiedział cichym głosem:

– Musimy mieć na nią oko – powiedział. – Obawiam się, że postradała zmysły.

– Co masz na myśli?

– Twierdzi, że sama znajdzie mordercę swojego ojca.

\* \* \*

Kiedy wyszedł na kolejną przerwę, ona wciąż tam była. Pojawiła się, kiedy tylko zapalił papierosa, jakby na niego czekała.

– Samochód nie chce mi odpalić, masz kable?

Najpierw nie zrozumiał, co powiedziała, gapił się tępo na jej usta. Może spodziewał się, że powie coś innego, coś strasznego. Za każdym razem, gdy się pojawiała, miał wrażenie, że to już koniec.

Wzruszył ramionami.

– Jasne.

Nie musiał przestawiać auta, jej wysłużony, stary wóz stał zaparkowany tuż obok jego. Wyjął z bagażnika kable rozruchowe i otworzył maskę. Stanęła obok i przeczesła włosy drżącą ręką, co go zaniepokoiło.

– To auto lata świetności ma już za sobą.

– Kupię nowe. Po prostu jeszcze nie doszłam do siebie po tym wszystkim.

– Masz inne rzeczy na głowie.

– Ojciec zawsze mówił, że kupno nowego auta to jak wycieranie gówna pieniędzmi.

Mówiąc to, sparodiowała swojego ojca. Liam prychnął, a gdy zerknął na nią spod maski, zobaczył, że ona też się uśmiecha. Ten uśmiech nieco go uspokoił. Nad ich głowami wisiły ciężkie chmury. Liv świeciła mu latarką, gdy podłączał kable.

– Znasz Juhę Bjerkego? – spytała nagle.

Liam zacisnął klemy na akumulatorze.

– Tego z północnego lasu? Wszyscy go znają.

– Był u mnie wczoraj.

– Naprawdę?

– Twierdzi, że policja zatrzymała niewłaściwego człowieka i że wie, kto zamordował ojca.

– Coś takiego.

- Powie mi, ale najpierw muszę mu zapłacić.
- Liam powoli się wyprostował. Huczało mu w głowie.
- Uruchom silnik.

Liv wyłączyła latarkę i wsiadła do swojego złomu. Drzwi stawiały lekki opór, nie chciały się zamknąć, lecz przy trzeciej próbie dały za wygraną i gdy w końcu przekręciła kluczyk, silnik zaskoczył i Liam zobaczył, jak Liv uśmiecha się przez brudną szybę. Odwzajemnił uśmiech, chociaż serce tak mu waliło, że ledwo oddychał. Odkręciła szybę i podziękowała, a on odłączył kable i przycisnął je do klatki piersiowej.

- Juha Bjerke to szaleniec. Nie wierzyłbym w to, co mówi.

\* \* \*

Było późno, ale Gabriel odebrał po pierwszym sygnale. Był nocnym markiem.

- Mam złe wieści – oznajmił Liam.
  - No?
  - Chodzi o naszego przyjaciela z lasu. Chyba puszcza parę.
- Gabriel zaklął.
- Już jadę.

Czekając na brata, Liam nie mógł usiedzieć spokojnie, krążył po ciasnym pokoju, od czasu do czasu stawał w oknie i wyglądał na drogę. W zagrodzie majaczyły cienie psów. Vanja spała głębokim snem z jednym ze szczeniaków, który od czasu do czasu podnosił głowę i przyglądał mu się czujnym wzrokiem.

Liam zobaczył światło między świerkami, zanim usłyszał samochód. Wyszedł na schody tak cicho, jak tylko potrafił, zostawiając śpiącą Vanję samą. Psie ogony stukały niecierpliwie w kratę, gdy Gabriel skręcał na podjazd. W domu zapaliło się światło, Liam zobaczył między kwiatkami zaciekawione spojrzenie matki. Była jak te psy, czujna i gotowa. Nic nie uszło jej uwadze.

Gabriel wysiadał z auta, psy zaczęły ujadać, a Liam je uciszać w obawie, że obudzą Vanję. Usiedli na zmechaconej kanapie głęboko zapadniętej w przemarzniętej trawie. To ojciec wywłókł ją z salonu, kiedy zachorował na raka. Pierwszej zimy pokrył ją śnieg, lecz wraz z nastaniem wiosny odsłodził ją i przykrył skórą reniferów, wykopał obok niej dołek na ognisko. Potem tam siedział, aż w końcu umarł.

Gabriel zasłonił twarz kołnierzem i zakasłał w polar, żeby stłumić charkot wydobywający się z jego płuc. Pomarańczowy polar pachniał marihuaną.

- Widziałem się wczoraj z Jennifer. Pytała o ciebie.
- Aha.
- Pokazałem jej kilka fotek Vanji. Chciałem, żeby zobaczyła, jak mała urosła, ale to nie był dobry pomysł. Wpadła w szal, zaczęła krzyczeć i rwać sobie włosy z głowy.
- Myślałem, że jest w Sztokholmie.
- Wróciła. Chciała kupić ode mnie towar, ale ją odesłałem. Powiedziałem, że nic już jej nie sprzedam.

Liam splunął w trawę. Szutrówka wiła się w świetle księżycy jak srebrny wąż. Wydawało mu się, że Jennifer zaraz wyłoni się z ciemności, że zaraz zobaczy te jej wyblakłe oczy i duży brzuch z Vanją w środku. Wciąż tak ją widział, w ciąży z ich dzieckiem. To nie była planowana ciąża i chcieli ją usunąć, lecz Jennifer przegapiła wszystkie wizyty u ginekologa i brzuch szybko stał się widoczny, a ruchy dziecka – wyczuwalne. Liam nigdy tak się nie bał, jak tamtego lata przed narodzinami Vanji. Z Jennifer było jeszcze gorzej, po kryjomu zażywała prochy i piła bimber. Nie wracała do domu na noc, chociaż brzuch był już tak duży, że ciągnęło ją do przodu.

Kiedy zbliżał się termin porodu, Liam szukając jej, wyważył trzy pary drzwi. W końcu zatrzymała go policja. Tę noc, gdy rodziła się Vanja, spędził w areszcie z policjantem, który zaparzył mu kawę i poczęstował papierosem. Liam ciskał się od ściany do ściany w celi bez okna, przekonany, że nie urodzi im się dziecko, tylko pokurcz, bo oboje ćpali i cokolwiek rosło w brzuchu Jennifer, było bez szans. Kiedy rano go wypuszczono, przed aresztem czekała na niego wzruszona matka. Powiedziała, że został ojcem małej dziewczynki. Cudownej, ślicznej dziewczynki.

Zerknął na drzwi do garażu, by się upewnić, że nie stoi tam Vanja i nie przysłuchuje się ich rozmowie.

– Jennifer zna zasady. Jeśli będzie czysta, pozwolę jej na spotkania z Vanją. Nie będę robił problemów.

– Nigdy nie będzie czysta. Musiałbyś zobaczyć ten rozpierdol. Cały przedpokój był we włosach, jak po walce dwóch kotów.

Gabriel zarechotał. W oknie zobaczyli matkę. Zapaliła świeczkę. Jej płomień drgał, gdy ruszała się za firanką.

– Chciałeś pogadać – przypomniał Gabriel. – Co Juha znowu zmalował?

Liam się zawahał. Zawsze dużo ryzykował, opowiadając Gabrielowi różne rzeczy. Brat był marionetką, którą sterowały silne emocje, nie panował nad złością. Ale musiał mu o tym powiedzieć, zanim będzie za późno.

– Pojechał do córki Vidara Björnlunda i powiedział, że policja zatrzymała niewłaściwego człowieka. Twierdzi, że wie, kto naprawdę zamordował Vidara.

– Oskarża nas?

– Na razie nie. Najpierw chce forszę.

Gabriel zazgrzytał zębami. Żar z jego papierosa wyglądał w ciemności jak świetlik.

– Łasy jest na pieniądze jak na kogoś, kto mieszka w szałasie.

– Jeszcze mu nie zapłaciła, ale widać, że połknęła przynętę. Chce ratować swojego kochanka, tego z długami.

– Gość, którego aresztowali, to jej kochanek?

– Tak mówią.

Gabriel zarechotał zachrypniętym głosem.

– Nie martw się, już się nim zająłem. Właśnie stamtąd wracam.

Uniósł rękę na wysokość twarzy Liama i pokazał zakrwawione knykcie. Ciemność skrywała, w jakim poza tym jest stanie, ale poświecił na siebie komórką, żeby Liam mógł zobaczyć świeże plamy krwi na jego ubraniach, rękach i twarzy. Wyglądał, jakby zaszlachtował jakieś zwierzę.

– Ja pierdołę, coś ty narobił?

– Przecież powiedziałem, że zajmę się Juha. Pojechałem do północnego lasu po sadzonki i pogadać z naszym przyjacielem. Już nam nie zaszkodzi.

## LATO 2009

Dziecko jest coraz starsze i dziewczyna przestaje myśleć o wyruszeniu w świat. Nadchodzą i mijają kolejne wiosny i lata, lecz dziewczyna już nie spaceruje wzdłuż drogi z podniesionym kciukiem. Mężczyźni w samochodach stają się mglistym wspomnieniem. Czasami widuje ich w ciemności zapadającej nad wioską, ale nie wierzy już w to, że mogą ją uratować.

Teraz za kierownicą siedzi ojciec, odwozi ją na stację benzynową, gdzie dzień za dniem stoi wśród ludzi, prawie jakby to było jej miejsce. Pewnej zimy właściciel stacji zaproponował jej tę pracę, gdy stała z Simonem na rękę i czekała, aż Vidar zatankuje. Może zrobiło mu się jej żal.

– Potrzeba nam w sklepie nowych twarzy – oznajmił. – Jesteś zainteresowana?

Najpierw nie zareagowała, jakby nie usłyszała pytania, ale potem szybko przyjęła propozycję, z obawy, że Vidar zaraz wtrąci się do rozmowy. Kiedy wszedł do budynku, ona i Niila byli już dogadani.

Teraz stoi na scenie w ostrym świetle jarzeniówek i uśmiecha się do ciekawskich ludzi. Płacą za benzynę i mleko i w swoją gadkę szmatkę nieustannie wplatają pytania. Ich oczy błyszczą, a usta się wykrzywiają, gdy pytają o dziecko. Wnikliwie przyglądają się twarzy chłopca, kiedy odwiedza ją w pracy i stoi, trzymając ją za rękę. Ludzie szukają odpowiedzi w jego ładnych rysach. To dziwne – mówią. – Chłopiec pojawił się jakby znikąd. Można by uwierzyć, że spadł z nieba jak anioł.

\*

Zapomina o pliku banknotów pleśniejącym między spróchniałymi deskami ambony. Kłamstwo utrzymuje ją przy życiu. Miłość do dziecka okazuje się silniejsza niż dawne marzenia. Ojciec siedzi na swoim krześle w kuchni i widzi wszystko, zanim się to wydarzy. Chodzi z chłopcem do lasu i pokazuje mu to, co kiedyś będzie należało do niego.

Jak mnie zostawicie, to utopię się w jeziorze – mówi co jakiś czas, a jego groźby i miłość oplatają ich niczym sieć. Ograniczają ich. Wioska jest czarną, wsysającą dziurą, która nigdy ich nie wypuści. Co rano ten sam widok z okna na piętrze, jarzębina i mur lasu. Za drzwiami czerwony dywan – pępowina prowadząca do dziecięcego pokoju. Teraz już nie jest z ojcem sama, nigdy nie będzie.

\* \* \*

Minęło wiele lat, odkąd spotykała się z Juhą Bjerkiem, lecz wspomnienia były wciąż żywe. Zapach dzikości i poczucie wolności. Widziała jego skromną chatę tylko raz, ale strach wyostrzał wspomnienia, które prowadziły ją przez ciemny las. Wąska droga wiała się przez odludne tereny, prowadziła obok opuszczonych, zapomnianych gospodarstw straszących pustymi otworami okien. Wieczne słońce płonęło we wstecznym lusterku, las rzucał cienie na samochód i gdy już zamierzała dać za wygraną i zawrócić, jej oczom ukazała się drewniana chata wciśnięta między sosny, dokładnie taka, jak ją zapamiętała. Jego auto też tam stało. Wciąż pamiętała to szorstkie siedzenie, łaskoczące ją w uda, zapach marihuany i swój głos błagający o to, żeby mogła zniknąć.

Starła się nie patrzeć na ciała zwierząt zwisające z drzew, lecz nie potrafiła zignorować skrzypiących lin i głuchego tańca much wokół śmierci. Między sosnami wisały dwie skóry jelenia. W ciemności wyglądały jak rozpostarte skrzydła. Słyszała szemrzący w zaroślach potok.

Mimo to nie bała się, podchodząc do chaty Juhy, знаła go i wiedziała, że nie chce jej skrzywdzić.

Ostrożnie zapukała do drzwi i usłyszała ujadanie psa, Juha nie reagował. Po chwili waliła już całą pięścią, wprawiając w wibrację czaszkę wiszącą na drzwiach.

– Juha! – zawołała. – To ja, Liv Björnlund. Przywiozłam pieniądze.

Plik banknotów schowała pod kurtką. Tyle pieniędzy nie miała przy sobie nigdy wcześniej. Nie wzięła ani korony z tego, co zostawił po sobie Vidar, chociaż potrzebowali wielu rzeczy: nowego samochodu, nowego dachu, nowego życia. Pieniądze ją przerażały, a nagła wolność paraliżowała. Liv nie umiała z niej korzystać. Aż do teraz, gdy nagle stanęła pod drzwiami Juhy Bjerkego, gotowa zapłacić mu za nazwisko zabójcy ojca. Może to naiwna myśl, lecz wyobraziła sobie, że jeśli pozna prawdę, ten koszmar się skończy, a ona wreszcie zacznie żyć.

Nacisnęła klamkę i powoli otworzyła drzwi. W środku czekał pies, kudłaty wilczur. Nie dał się pogłaskać, tylko patrzył na nią pożądlwym wzrokiem, gdy wchodziła do chaty. Poczła w nozdrzach ciepłe, zatechłe powietrze i woń Juhy, zanim go zobaczyła. Szare, przytłumione światło wpadające przez drzwi ukazało proste, drewniane meble. Wszędzie znajdowały się trofea myśliwskie: poroża, czaszki i skóry. To było jak wejście do krypty z kośćmi, miejsca udekorowanego przez śmierć.

Juha leżał na legowisku w głębi chaty, wychudzony, nie ruszał się i nie odzywał. Gdyby nie ten charakterystyczny zapach, nie zauważyłaby go.

– Juha, to ja, Liv. Śpisz?

W odpowiedzi usłyszała jedynie stęknienie.

– Żyjesz?

Zostawiła drzwi otwarte na oścież, po czym zrobiła kilka ostrożnych kroków w głąb pomieszczenia. Do środka wpadł podmuch świeżego powietrza, wzbili wokół niej pył, igliwie i suche liście. Chata była przedłużeniem lasu, bardziej szalasem niż domem.

Pomyślała, że albo Juha umarł, albo jest to zasadzka. Mężczyzna żyjący w lesie nie spałby tak głęboko, nie rejestrując, co dzieje się wokół niego. Nie mógłby sobie na to pozwolić.

Z jego gardła wydobył się głuchy protest, gdy zbliżyła się do legowiska. Znowu zawołała go po imieniu. Nie słysząc odpowiedzi, poczuła strach. Dopiero gdy stanęła tuż nad nim, usłyszała, że oddycha. Poczła duszącą woń krwi, słodką i żelazistą. Zalała ją fala wspomnień z uboju, zobaczyła mgłę w oczach Vidara rozpruwającego zwierzę, ciepłą parę wydobywającą się z wnętrzości.

Ostrożnie położyła rękę na barku Juhy, a on jęknął. Twarz wykrzywiona bólem lśniła od zaschniętej krwi, splątane strąki brody sięgały aż do pasa. Jego dłoń pojawiła się znikąd i zacisnęła się wokół jej nadgarstka z siłą świadczącą o tym, że wciąż tli się w nim życie.

– Próbował mnie zabić – wyszeptał.

– Kto taki?

– Obawiam się, że sam diabeł.

Liv zerknęła w kierunku otwartych drzwi.

– Wciąż tu jest?

– Słyszałem, jak odjeżdża. Nie stawiałem oporu, więc go to nie bawiło. Myślał, że już po mnie.

Juha puścił nadgarstek Liv i próbował usiąść, lecz wysiłek wywołał gwałtowny kaszel, który zmusił go do położenia się. Brzmiało to tak, jakby coś mu się w środku poluzowało. Liv się rozejrzała. Pomyślała, że jeśli chce poznać prawdę, najpierw musi mu pomóc.

– Musisz jechać do szpitala.

– Nie ma mowy.

Skrzywił się i wskazał palcem butelkę stojącą na fajerce.

– Daj mi się tylko napić, a zobaczysz, że mi się poprawi.

– Trzeba oczyścić ci rany.

– Podaj mi butelkę.

Zignorowała jego protesty, zostawiła go w chacie i poszła do strumienia po wodę, żeby przemyć mu rany. Nie mając nic lepszego, oderwała kawałek swojej koszulki. Ostrożnie go rozebrała, zdjęła mu polar, koszulkę na ramiączkach oraz zmechacone kalesony. Pocił się z bólu, ale mimo to silił się na dowcip.

– A więc po to tu przyszedłeś.

Zmyła warstwę brudu, odsłaniając skryte pod nim sińce. Obrzek klatki piersiowej sprawiał, że syczał, gdy jej dotykała. Mimo to najgorsza była twarz. Miał rozcięty łuk brwiowy i wargę, skrzepniętą krew na policzkach, brodzie i szyi. Odłaziła jak kora, gdy przecierała ją szmatką. Pies siedział obok i wylizywał poturbowane ciało Juhy równie gorliwie, jak wylizywałby szczeniaka z błon płodowych. Liv pozwalała mu na to, bo Juha nie protestował, zwierzę działało na niego uspokajająco.

Kiedy Juha był względnie czysty, nalała mu kilka kropel bimbru do plastikowego kubka, po czym niewprawnymi ruchami zrobiła skręta i włożyła mu go do ust. Po wypiciu alkoholu i głębokim zaciągnięciu się trawą Juha wzmocnił się na tyle, że usiadł. Liv rozchyliła kurtkę i pokazała mu plik banknotów.

– Jeśli mi powiesz, co wiesz o mordercy ojca, będą twoje.

– Już nie chcę twoich pieniędzy. – Brakowało mu kilku zębów w górnej szczęce i trochę seplenił.

Liv zapięła kurtkę. Adrenalina i duszne powietrze sprawiły, że poczuła mdłości.

– Chcę wyznać moje grzechy – powiedział Juha. – Tylko tego chcę.

Coś w jego głosie zmroziło jej krew. Podeszła do drzwi, włożyła twarz w szparę i wciągnęła w płuca zapach nadciągającego deszczu. Pomyślała, że Juha nie jest przy zdrowych zmysłach. Może uderzono go w głowę i miał wstrząs mózgu.

– Chcę tylko wiedzieć, co się stało ojcu.

– Obawiam się, że to długa i smutna historia. I zostanie między nami, bo nie zamierzam gadać z policją. Opowiem ją tylko tobie.

– To zacznij w końcu.

Juha skinął głową, nabrał powietrza.

– Wszystko zaczęło się od pisma z przedsiębiorstwa leśnego. Byłem w szoku, gdy dostałem tę decyzję. Po tych wszystkich latach chcieli mnie przegonić z mojej ziemi. Z ziemi, w której spoczywa mój brat. Nie potrafiłem się z tym pogodzić. Vidar obiecał mi, że będę mógł tutaj zostać, miałem tylko trzymać się od ciebie z daleka. Tak powiedział. Ale kiedy skontaktowałem się z nim na wiosnę, zaśmiał mi się prosto w twarz i oświadczył, że to nie on o tym decyduje. Koniec końców jego obietnica nie była warta funta kłaków.

Juha dostał ataku kaszlu. Liv wciąż stała przy drzwiach i obserwowała to wątłe ciało. Czowała narastający strach.

– To ty go zabiłeś, prawda? To ty zamordowałeś ojca?

– Gdybym miał odwagę to zrobić, zrobiłbym to już dawno temu, ale jestem zbyt wielkim tchórzem na takie bohaterские czyny. Mam już na swoim sumieniu człowieka i jakoś muszę z tym żyć.

– Ale powiedziałeś, że chcesz wyznać swoje grzechy.

Odkrztusił flegmę. Podniósł z podłogi sweter i wytarł sobie nim twarz. Zaciśnął powieki, żeby się pozbierać.



– Jest dwóch braci – wydusił z siebie w końcu. – Jeden to nieudacznik, a drugi to prawdziwy diabeł. Przychodzą tu z trawą i kawą, żebym nie musiał jeździć do wioski. To wygodne dla takiego odludka jak ja. Poza tym w odróżnieniu ode mnie są młodzi, sprawni i głodni życia. Dlatego nasłałem ich na Vidara, jak tylko dostałem to pismo. To był mój sposób na definitywną zemstę.

Liv się zachwiała.

– Kazałeś im go zabić?

Juha zaciągnął się skrętem i machnął lekceważąco ręką.

– Nie. Nie mieli go zabijać, tylko zabrać mu trochę tych pieniędzy, które zdobył, oszukując przez te wszystkie lata. Pieniądzy, które tylko zaśmiecały tę starą rudę, wasz dom. Forsę należącą do mnie i do reszty tych biedaków, których oszukał. Vidar obłowił się na ludzkim nieszczęściu, teraz nadeszła pora, żeby za to zapłacił.

Liv zacisnęła palce na futrynie, jej twarz zalała fala gorąca, chociaż w środku było jej zimno.

– Niestety popełniłem błąd, obdarzając zaufaniem tych dwóch kolesi – dodał Juha. – Ten, którego nazwałem nieudacznikiem, nacisnął na spust i zastrzelił Vidara. A teraz chcą mnie zlikwidować, bo za dużo wiem. Ale mnie nie tak łatwo wykończyć.

– Jak nazywają się ci bracia?

Juha długo się wahał, powieki same mu się zamykały.

– Lilja – odpowiedział w końcu. – Liam i Gabriel Lilja. Ich rodzina ma gospodarstwo w Kallbodan. Ojciec zmarł na raka, a matka jest hipiską i hoduje psy. Ciężko przegapić ten dom, kundle są wszędzie.

– Liam? Powiedziałeś: Liam?

– Tak, a co? Znasz go?

Liv przełknęła ślinę. Przez głowę przebiegały jej tysiące myśli. Liam ze stacji benzynowej. Pogubiony chłopak marzący o swoim domu. Ledwo mógł jej spojrzeć w oczy. Szybkim ruchem wyjęła pieniądze z kieszeni i wyciągnęła dłoń, lecz Juha tylko pokręcił głową.

– Nie chcę twojej forsy. Po prostu napraw to wszystko. Tylko tyle.

Zawahała się. Banknoty paliły ją w rękę. Nie namyślając się zbyt długo, położyła je na stole, po czym wybiegła z chaty i go zostawiła.

\* \* \*

Leśną drogą płynęła woda. Bezdźwięczny deszcz pokrywał świat lśniąca powłoką. Kiedy jechała przez las, dźwięczał jej w uszach głos Vidara, ostrzegał ją. Cień jego zadowolonego uśmiechu majaczył za brudną szybą, więc włączyła wycieraczki, żeby się go pozbyć. Nie wspomniał ani słowem, że sprzedał północny las, że Juha zostanie wypędzony ze swojej ziemi. Juha nie był kłamcą. Jeśli twierdził, że Liam i jego brat pojawili się w Ödesmark, aby ich okraść, to musiała być prawda. Czuła, że ten Liam jest jakiś dziwny, odkąd zobaczyła go za kasą na stacji benzynowej po raz pierwszy. Widziała niepokój na jego twarzy, gdy na nią parzył. Sztyniał, gdy pojawiała się w pobliżu, jakby szykował się do walki. To nie był przypadek, że dostał pracę na stacji, blisko niej. Wszystko było częścią czegoś większego, czegoś, czego nie rozumiała. Tego, przed czym na długo przed swoją śmiercią ostrzegał ją Vidar.

Najpierw usłyszała psy, dopiero później zobaczyła dom. Chatę na odludziu, w opłakanym stanie, tak jak Björngården. Wzdłuż dłuższego boku działki mieściła się zagroda dla psów. Liv zobaczyła zniecierpliwione cienie tłoczące się za kratą. Kiedy zatrzymała samochód, palce zastygły jej na kierownicy. W nosie wciąż czuła zapach Juhy. Gdy spojrzała na swoje ubrania, zobaczyła, że są całe we krwi. Przekrzywiła wsteczne lustro i odkryła, że na policzkach też ma

czerwone smugi. Jej twarz przybrała barwy wojenne. Pośliniła palce i próbowała je wytrzeć. W jej oczach widać było przerażenie. Starła się za wiele nie myśleć, tylko działać, poddać się instynktowi. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, że powinna zadzwonić do Hassana, poinformować go, co zamierza zrobić. Ale on by jej to odradził, wiedziała o tym. W jednym z okien pojawiła się czyjaś twarz. Była to kobieta o napuszonych włosach, miała w spojrzeniu coś dzikiego. Liv wysiadła z samochodu, huczało jej w głowie. Szczekanie psów towarzyszyło jej, kiedy szła w kierunku domu, i osiągnęło punkt kulminacyjny, gdy zapukała do drzwi.

Otworzyła jej ta kobieta. Miała na sobie długą sukienkę ciągnącą się po podłodze, a pomiędzy obojczykami wytatuowane oko, które gapiło się na Liv. Była niewiele starsza od Liv, lecz miała już wokół ust głębokie zmarszczki i wyglądała na steraną życiem. Liv przedstawiła się i podała jej dłoń.

– Chciałabym porozmawiać z pani synami.

– Pani z policji?

– Pracuję z Liamem na OKQ8.

– Zrobił coś głupiego?

– Po prostu chciałam z nim pogadać.

Kobieta miała naszyjnik z błyszczących kamieni, który okręcała sobie nerwowo wokół dłoni. Skinęła głową w kierunku budynku znajdującego się po drugiej stronie podwórka.

– Znajdziesz go w garażu.

Odwróciwszy się, Liv zauważyła zniszczoną kanapę zatopioną w chaszczach. W oknie na górze paliło się światło, ale nikogo w nim nie widziała.

– Dziękuję – powiedziała, lecz kobieta już zdążyła zamknąć drzwi.

Kiedy szła przed podwórze, psy znowu zaczęły czekać. Wyglodniałe oczy drapieźników obserwowały ją przez kratę. Miała wrażenie, jakby szła korytarzem więziennym, molestowana wzrokiem.

Stała przed garażem. Jej wzrok przyciągnęła pomarańczowa tabliczka z napisem Keep out. Słyszała głosy w środku – jasny, dziecięcy śmiech, który sprawił, że zdjęła rękę z noża. Tabliczka ostrzegawcza drgnęła na gwoździu, gdy Liv zapukała do drzwi. Otworzyła jej mała dziewczynka z grubym warkoczem i zaciekawionym spojrzeniem.

– Kim jesteś?

Liv szukała odpowiednich słów, zaskoczona widokiem dziecka. Starła się zasłonić rękami plamy krwi na swoim ubraniu.

– Czy tata jest w domu?

Liam siedział w głębi pomieszczenia. Był zaskoczony, gdy ją zobaczył. Wydawał się młodszy, kiedy nie miał na sobie koszuli służbowej, w luźnej, ciemnej bluzie z kapturem wyglądał bardziej jak starszy brat niż ojciec, jak ktoś, kto tylko udaje dorosłego.

– Co ty tutaj robisz?

Być może w głosie Liama pojawił się jakiś niepokój, bo dziewczynka schowała się za jego plecami. Widząc to, Liv cofnęła się w czasie, do ciemnych nogawek policjantów i dłoni Vidara szukającej jej ręki pod stołem. Przypomniała sobie tamto okropne uczucie, że życie jest jak wiosenny lód, który zaraz pęknie, jeszcze dwa kroki i wciągnie ją pod wodę.

– Przysłał mnie Juha Bjerke. Muszę z tobą pogadać. O ojcu.

Widziała, że zrozumiał. Jabłko Adama przesuwało się, gdy przełykał ślinę. Wziął małą na rękę, dziewczynka schowała twarz w jego szyi.

– Vanja, leć na chwilę do babci, żeby dorośli mogli porozmawiać.

Dziewczynka usiadła mu na kolanach, jej policzki były czerwone jak jabłka.

– Poprosić babcię, żeby zaparzyła kawę?

- Świetny pomysł.
- I podgrzała bułeczki w mikrofalce?
- Jeśli jakieś ma.

Odprowadził małą do drzwi i przez chwilę stali i patrzyli, jak biegnie do domu babci. Oddech Liama przyspieszył. Liv znowu zacisnęła palce na rękojeści noża, gotowa przyłożyć mu ostrze do szyi, gdyby zaszła taka konieczność. Ruchem ręki zaprosił ją do środka.

- Napijesz się czegoś? Mam piwo i sok.
- Nie, dziękuję.

Stała plecami do drzwi, podczas gdy on kręcił się po pokoju. Wyjął z lodówki piwo i usiadł przy okrągłym stole zawalonym kredkami i kartkami. Dziełami sztuki na różnych etapach powstawania. Na jednym z nich było napisane dziecięcymi literami: *Vanja ♥ tata*.

- Wejdz i usiądź.
  - Postoję.
- \* \* \*

Nie miała odwagi wejść do pokoju. Patrzyła na niego tak, jakby w każdej chwili mógł ją zaatakować, a ręka za plecami świadczyła o tym, że chowa tam jakąś broń, pistolet lub nóż. Nie przerażało go to.

- Szukałeś pracy na stacji, bo chciałeś się do mnie zbliżyć – stwierdziła.
- Szukałem tam pracy, bo chcę zacząć nowe życie.
- Widziałam wasz samochód na drodze tamtej nocy.

Zlepione w strąki mokre włosy zasłaniały jej twarz. Na ubraniu miała ciemne plamy, jakby czołgała się po glinie. Albo po krwi. Tak intensywnie przeszywała go wzrokiem, że aż się speszył. Otworzył piwo i wypił duży łyk.

- Nie wiem, o czym mówisz.
- Daj spokój, Juha wszystko mi opowiedział. I widziałam was, ojciec zresztą też. Powiedział, że wokół domu kręcą się wilki, ale to was miał na myśli. Przyłapał was i dlatego go zabiliście.

Liam poczuł mrowienie w palcach, puszka z piwem parzyła go w rękę. Gdyby był tu Gabriel, cisnąłby w nią tym piwem, przewróciłby stół i krzyknął, że nie wie, o co jej chodzi. Chwyciłby ją za gardło i podniósł do góry, tak że jej stopy oderwałyby się od podłogi. Być może jeszcze niedawno Liam postąpiłby tak samo, w czasach, gdy rządziły nim emocje. Ale teraz siedział nieruchomo z piwem w ręku i niepokojem bulgoczącym w żołądku.

- Juha to stary ściemniacz.
- Najwyraźniej ty również. Uwierzyliśmy z Niilą w twoją łązawą bajeczkę o tym, że chcesz rozpocząć nowe życie, daliśmy się nabrać. Nawet było mi cię szkoda, gdy pierwszy raz zobaczyłam cię na stacji. Wydawałeś się taki zagubiony, taki niepewny. Teraz rozumiem dlaczego.

- Nie mam nic wspólnego ze śmiercią twojego ojca.

Spojrzał jej prosto w oczy, jego głos był spokojny i pewny, nawykły do kłamstw. Pomyślał, że może uda mu się ją przekonać, że to pomyłka, zanim będzie za późno.

Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji, była jak twarz lalki. Prawą rękę wciąż trzymała za plecami, lewą na klamce, a jej klatka piersiowa unosiła się, jakby już biegła. Liam liczył się z tym, że zadzwoniła na policję i już są w drodze. Może już zgarnęli Gabriela, może już przedstawiał im swoją zmyśloną wersję w jakimś pokoju przesłuchań. Cokolwiek się stało, to będzie słowo przeciwko słowu. Jedyne, co mógł zrobić, to ich przekonać, przekonać Liv.

Liv zrobiła krok w głąb pokoju. Zaimponowała mu odwagą, tym, że przyszła sama.

– Niewinny człowiek siedzi w areszcie – oznajmiła. – I nie odejdę stąd, dopóki się nie dowiem, co tak naprawdę się stało.

Liam dopił piwo i otworzył nowe, intensywnie myśląc. Na stole leżały rysunki Vanji: słońce z promieniami aż do samej trawy, ludzie z szerokimi uśmiechami i motyle ze skrzydłami w gwiazdki. Pośrodku tego wszystkiego napis: *Vanja ♥ tata*.

Poczuł pieczenie pod powiekami. Kobieta, która przed nim stała, też była czyjąś córką. Córka nieżyjącego mężczyzny. Zalała go fala ogromnego zmęczenia i kiedy na nią patrzył, wszystkie mięśnie w jego ciele się poddały, przestały walczyć. Nie miał już siły dłużej kłamać.

– Byłem tam – powiedział w końcu.

– Co?

– To nie ja go zastrzeliłem, ale widziałem, jak upada. Byłem tam.

Zaczął mimowolnie wyrzucać z siebie słowa. Liv oniemiała, podczas gdy on opowiadał, jak zaparkowali auto nad jeziorem, jak stali między drzewami i obserwowali przytłumione światło w ich oknach, ich ruchy. O tym, że czekali na odpowiedni moment, by ruszyć do akcji, ale idąc za Vidarem do lasu, zrezygnowali ze swojego planu. To był pomysł Gabriela. Właściwie to przyjechali za późno, słońce już było w blokach startowych, noc prawie się skończyła. Rozdzielili się i zgubił Gabriela. Uszy go paliły, gdy o tym wszystkim opowiadał, poczuł suchość w ustach, słowa zlepiały się ze sobą. Dopił piwo i unikając jej wzroku, opisywał las i mokradła, nagle widział wszystko bardzo wyraźnie: podmokłą ziemię w porannym świetle, drzewa spowite mgłą, ciało staruszka, które kołysało się jak drzewo targane wiatrem nad miękką ziemią kilka sekund przed upadkiem. Przypomniawszy sobie głuchy szok, gdy padł strzał, i przejmującą ciszę, zanim ptaki wypełniły niebo.

– Nie chcieliśmy, żeby ktoś zginął. Nie po to się tam pojawiliśmy. Ale coś poszło cholernie nie tak. Mój brat czasami działa impulsywnie.

Płacz ścisnął mu gardło, gorączkowo przełykał ślinę. Przeraziło go jej spojrzenie. Rysunki Vanji zaszeleściły, gdy podchodziła do stołu.

– A więc to twój brat?

– Najpierw tak myślałem, ale już nie jestem tego taki pewien. Sądzę, że tamtego ranka oprócz nas był tam ktoś jeszcze. Ktoś, kto tam przyszedł, żeby zabić Vidara.

Liam zauważył nóż w jej ręku, białe palce zaciśnięte na rękojeści. Jej strach odzwierciedlał jego strach. Starał się nie myśleć o policji, o tym, co się wydarzy. Próbował po prostu przekazać jej prawdę.

– Chciałbym ci coś pokazać.

Nie czekając na odpowiedź, wstał i przyniósł laptopa. Ręce mu się trzęsły, gdy wpisywał hasło i otwierał ukryty folder ze zdjęciami. Gabriel by go zabił, gdyby się o tym dowiedział, lecz to nie miało teraz żadnego znaczenia. Nic już nie miało znaczenia. W tym momencie Liam nie przejmował się ani bratem, ani policją, wiedział jedynie, że wszystko, co dusił w sobie, musi ujrzeć światło dzienne. Inaczej go to zabije.

Odwrocił ekran tak, żeby dobrze widziała. Usłyszał świszczący dźwięk, gdy wyjmowała nóż z pokrowca. Wolno podeszła do stołu, pachniała deszczem i śmierdziała potem, kapąco jej z włosów. Liam napił się piwa, udając, że nie zauważył noża, podczas gdy tak naprawdę cały czas obserwował go kątem oka, gotów wykręcić jej rękę i go zabrać, gdyby zaszła taka potrzeba.

Otwierając zdjęcia, słyszał jej głośny oddech. Na ekranie pojawił się jej dom, samotne okno i drzwi, ciemne prześwity w lesie. Kiedy dotarł do zdjęcia staruszka, zaczęła się trząść.

– Nie wiem, jak się znalazł w tej studni – powiedział Liam. – Bo zastrzelono go na mokradłach.

– To prawda – powiedziała gardłowym głosem. – Wiem nawet, w którym miejscu.

Patrzyli na wątłe ciało Vidara pochylone nad ziemią, jakby się modlił, na ręce grzebiące w mokrej ziemi.

– Czegoś tam szukał – oznajmił Liam. – Ale nie wiem czego.

– Upadły mu okulary – szepnęła Liv. – To ich szukał.

Liam umieścił strzałkę w lewym rogu i powiększył obraz. Przyglądał się rozmytym świerkom i karmazynowemu niebu, jakby robił to po raz pierwszy. Wskazał palcem na ekran.

– Gabriel siedział gdzieś po drugiej stronie. Nie wiem dokładnie, w którym miejscu.

Przesunął palec w kierunku jasnego cienia między drzewami.

– Wydaje mi się, że ktoś tu jest. Ktoś w niebieskiej kurtce. Widzisz?

Liv przybliżyła się do ekranu, dłonią zasłaniała usta, twarz miała tak bladą, że aż się przestraszył. Wstał z krzesła i próbował ją nakłonić, żeby usiadła, zanim zemdleje, ale stanowczo go odepchnęła i prawie drasnęła nożem. Nie odrywała wzroku od ekranu, od rozmytych konturów i niebieskiego cienia, który mógł być kurtką lub bluzą wyróżniającą się na tle zielonego lasu. To mogło być tylko złudzenie, lecz im dłużej patrzył na zdjęcie, tym bardziej nabierał przekonania, że rzeczywiście ktoś tam jest.

– Nic nie widzę – powiedziała, prostując się.

Liam poczuł przytłaczające rozczarowanie.

– Nie widzisz, że to mógł być człowiek? Ktoś w niebieskiej kurtce.

Liv pokręciła przecząco głową i zaczęła się wycofywać, szybko podeszła do drzwi, deszcz uderzał w dach i okno, więc zarzuciła na głowę kaptur, żeby się przed nim ochronić. Jej drobne ciało utonęło w śliskim materiale. Liam oniemiał. Gdyby nie zdjęcie, które miał przed sobą, to by tego nie zauważył, ale teraz podobieństwo było uderzające. Przeniósł wzrok z ekranu laptopa na kurtkę Liv i z powrotem na ekran. Niebieski kolor zakłuł go w oczy.

\* \* \*

Deszcz zbierał się na drodze i stanowił śmiertelną pułapkę. Jechała szybko, chociaż samochód niebezpiecznie ślizgał się na zakrętach, a wycieraczki nie nadążały zbierać wody. Załamanie pogody było tak gwałtowne, że nie odróżniała już nieba od lasu, wszystko się ze sobą zlewało, jechała ciemnym tunelem niemającym końca. Wstrząsał nią płacz, słone łzy spływały po jej policzkach i brodzie. Nie widziała drogowskazu prowadzącego do wsi, ale wiedziała, że tam jest. Jakaś niewidzialna nić łączyła ją z domem rodzinnym i nie pozwalała jej się zgubić. Nie pozwalała jej stąd uciec. Gлина oblepiała opony. W blasku długich świateł widać było strugi ulewnego deszczu wyglądające jak włócznie. Wypowiadały wojnę każdemu, kto odważył się wyjść z domu. Liv nie spodziewała się, że może kogoś spotkać, nie spodziewała się tu ludzi i dlatego prawie go przejechała.

Szedł pochylony środkiem drogi, a ona tak gwałtownie zahamowała, że opryskała mu twarz błotem. Wyłączyła długie światła, żeby zobaczyć, że to ona, i otarła łzy mokrym rękawem kurtki, by niczego nie zauważył; nie zauważył, że stoi nad przepaścią. Kiedy wsiadł do samochodu, objęła go. Był cały mokry, czuła, jak dygocze. Wzięła z tylnego siedzenia koc dla psa i go okryła. Wciąż był jej dzieckiem, jej synem, poczuła, że nie pozwoli go sobie odebrać.

– Co ty tutaj robisz?

– Pokłóciłem się z Felicią, nie chciałem tam zostać.

Uruchomiła silnik i ruszyła w dół, serce łomotało jej w piersi, a gdy dotarła do szlabanu oraz drogi prowadzącej w górę, do Björngården, zdecydowała, że pojedzie dalej. Simon siedział niespokojnie, jego oddech zaparował szybę.

– Co ty wyprawiasz? Minęłaś wjazd.

– Przejeździemy się.

- Teraz? Przecież leje!
- Chcę z tobą porozmawiać.

Zrobił zdziwioną minę, ale nie zaprotestował. Kiedy wrócili na główną drogę, deszcz nieco ustał i zobaczyła drogowskaz oraz głąz przy rowie, przy którym kucąca, czekając na idealny samochód. Ten, który miał ją stąd zabrać.

- O co się pokłóciliście?
- Co?
- Ty i Felicia?
- Nie wiem.
- Nie wiesz?
- Nie chcę o tym gadać.

Liv zerknęła na niego, wydawał się bardziej wkurzony niż smutny. Policzki miał mokre od deszczu, nie od łez. Poczowała nagły przypływ nadziei. Mieli szansę, żeby stąd uciec, ostatnią szansę. Teraz to ona siedziała za kierownicą.

– Kiedy byłam młodsza, łapałam stopa przy tej drodze, opowiadałam ci? Chciałam się stąd wyrwać za wszelką cenę. Nie obchodziło mnie, kto mnie zgarnie, taka byłam zdesperowana.

– To dlaczego nie wyjechałaś?

– Ojciec zawsze mnie znajdował. Nie miało znaczenia, jak daleko zajechałam, on zawsze siedział w volvo i na mnie czekał. A potem urodziłeś się ty. I wtedy nie chciałam już uciekać.

Simon przejechał palcem po zaparowanej szybie, narysował na niej kółko.

– Podróże stopem są niebezpieczne. Mogłaś umrzeć.

Ten sam pouczający ton, co u Vidara. Ciekawiło ją, czy Simon jest świadomy tego podobieństwa, coraz większego z każdym dniem, i tego, że ją to przeraża. Skręciła na parking i się rozejrzała, z determinacją spojrzała do tyłu w kierunku Ödesmark.

- Kiedy wrócimy do domu, spakuj się.
- Dlaczego? Dokąd się wybieramy?
- Wyjeżdżamy stąd. Raz na zawsze.

\* \* \*

Zapaliła fajkę, obserwując swoje odbicie w ciemnej szybie. Wiedziała, że Liam nie naśle na nią policji, ma zbyt wiele do stracenia. Wciąż miała pod powiekami obrazy Johnny'ego w areście, ale precedziła dym przez zęby i je odgoniła. Wolność wymagała ofiar, wymagała krwi.

Dom wibrował od ruchów Simona na górze, trząsał drzwiami, spuszczał wodę w toalecie, ale nie schodził na dół.

- Spakowałaś się?
- Nigdzie nie jadę.
- Nie masz wyboru. Pakuj się.

Może wyczuł w jej głosie, że mówi poważnie, bo ociągając się, zszedł na dół. Wciąż miał mokre włosy i był w spodniach od piżamy, dając jej tym do zrozumienia, że zostaje. Spojrzał na jej torbę leżącą na stole, tylko z paroma najpotrzebniejszymi ubraniami. Resztę zamierzała zostawić.

- Jest środek nocy. Nie możemy poczekać do rana?
- Nie mamy czasu.
- Skąd ten pośpiech?

Jego cień rozciągał się w poprzek pokoju, górował nad nią. Uświadomiła sobie, że ją przeraża, bała się własnego syna. Zobaczyła pulsowanie na jego szyi. Widziała, że jest

zdeenerwowany. Skinęła głową w kierunku krzesła, na którym wisiała kurtka. Niebieski materiał lśnił w ciemności.

– Siadaj – rozkazała mu.

Niechętnie wysunął krzesło. Oparł głowę na rękach i chwycił palcami włosy, jakby chciał je wyrwać razem z cebulkami. Pod nową warstwą mięśni i męskości wciąż dostrzegała swojego chłopca, teraz stał się wyraźniejszy, z drżącą brodą i płaczem w głosie.

– Nie rozumiem, dlaczego musimy jechać. W końcu jesteśmy wolni. Dziadek nie żyje.

– Załóż kurtkę.

– Co?

– Załóż kurtkę, która wisi za tobą na oparciu krzesła.

Podniósł wzrok i przestraszony spojrzał jej prosto w oczy. Powoli, nie odrywając od niej wzroku, sięgnął po zniszczoną kurtkę i ją założył. Była na niego za mała, zbyt opięta w barkach, miała za krótkie rękawy. Zdawała się wyciskać z niego powietrze, oddychał szybko i z wysiłkiem.

– Zadowolona?

Liv potrząsnęła energicznie głową.

– Chciałabym się dowiedzieć, co robiłeś w mojej kurtce tamtego ranka, gdy zastrzelono dziadka.

Ukrył twarz w dłoniach, zamarł na dłuższą chwilę, po czym zaczął swoją opowieść.

## NOC DRUGIEGO MAJA

Stare ręce wdzierają się do jego snu. Sztynne szpony łapią go pod kołdrą, szorstkie i niecierpliwe. W pokoju jest ciemno i czuć oddech dziadka, mija dłuższa chwila, zanim dostrzeżę jego starą twarz.

– Co robisz, dziadku?

– Wstawaj, chłopcze. Nie mamy czasu.

Ma ze sobą strzelbę. Chłopak widzi czarną lufę i opada z powrotem na poduszki. Wydaje mu się, że dziadek chce go zastrzelić, że już po nim. Chce zawołać mamę, lecz dziadek to zauważa i uderza go sztywną pięścią w twarz. Jego palce śmierdzą prochem.

– Wilki się tutaj kręcą, pora je załatwić.

– Przecież jest środek nocy.

– Słońce zaraz wszędzie. No, chodź!

Dziadek daje mu broń, jego niesprawne ręce nie są już w stanie jej trzymać, a co dopiero strzelać. Chłopak zrozumiał, że to dlatego został obudzony tuż przed świtem, ma zostać katem. Chce zaprotestować, ale coś w głosie dziadka sprawia, że jest mu posłuszny. Nie brzmi już jak starzec, żądza krwi zdaje się go uleczać. Kiedy chłopak się ubiera, dziadek stoi w oknie i wygląda przez szparę w żaluzjach. Słysząc jego świszczący oddech.

Wymyka się przed chłopakiem na schody, sztywne stawy skrzypią równie głośno jak zniszczone deski. Starzeli się razem, dziadek i dom, czasy świetności mają już dawno za sobą. Na dole, w sieni, chłopak się waha, wolno sznurkuje buty sobie i dziadkowi, potem długo stoi i udaje, że szuka czapki. Słyszy wiatr smagający ściany budynku i wzdryga się na myśl o ciemności i wietrze po drugiej stronie drzwi. W końcu szybkim ruchem zdejmuje z wieszaka kurtkę mamy, bo jest cieplejsza. Dziadek zaczyna się niecierpliwić, popycha chłopaka przed sobą jak nieposłuszne zwierzę.

Kiedy otwiera drzwi, zimny wiatr uderza go w twarz. Krwawa pręga majaczy na niebie po wschodniej stronie, lecz do świtu wydaje się jeszcze daleko. Dziadek wskazuje palcem w dół, na jezioro.

– Ty pójdziesz od wschodu, a ja od zachodu. Spotkamy się na mokradłach.

Jego szpony głaszczą strzelbę z szorstką czułością.

– Nie wolno ci się zawahać, rozumiesz? Masz strzelać, żeby zabić.

To jego ostatnie słowa. Chłopak zamyka za nim drzwi, biegnie do drzwi na tyłach domu i otwiera je tak cicho, jak tylko potrafi, po czym wychodzi na zimno. Nie pierwszy raz się rozdzielają, dziadek lubi mieć oko na kilka miejsc jednocześnie. Wiatr szarpie chłopakiem, gdy skrada się w stronę lasu. Nasłuchuje nietypowych dźwięków, ale słyszy tylko szept drzew i psa, który stoi w sieni i skomle za nimi. Dziadek nigdy nie zostawia psa. Naprawdę musi myśleć, że na ich ziemi grasują wilki, które mogą rozszarpać Raję, jeśli nie będą ostrożni. Chłopak na chwilę przystaje i zerka na okno w pokoju mamy. Białe firanki poruszają się w ciemności jak duchy. Wie, jak mama śpi – twarzą w kierunku drzwi i z nożem pod materacem. Wchodzi w zarośla razem z jej tajemnicami.

Mieszka w nim potwór, którego nie widać, lecz ludzie i tak go wyczuwają. Często staje przed lustrem, patrzy sobie głęboko w oczy, a gdy robi to dostatecznie długo, dostrzeżę go. Ludzie ciągle mu powtarzają, że z niego wykapany dziadek, jakby chcieli mu dokuczyć. Wyobraża sobie, że coś wiedzą. Kiedy był młodszy, lubił, gdy mówili, że jest podobny do dziadka, był z tego dumny, ale to było, zanim zrozumiał, jak okrutny jest świat, jaką krzywdę



ludzie potrafią wyrządzić sobie nawzajem.

Między świerkami unosi się mleczna mgła, a chłopak słyszy jedynie krew huczącą mu w głowie. Czuje ruchy potwora, który chce się wydostać na zewnątrz. Chłopak kurczowo zaciska palce na strzelbie, a ramiona boją go od jej ciężaru. Świt wypełnia las, świerki wyciągają do niego gałęzie, uderzają go i szarpiają, lecz ból tylko go napędza, ośmiela potwora.

Dociera na umówione miejsce przed dziadkiem. Mokra dłoń rozciąga się przed nim w świetle brzasku jak mięsista, parująca rana. Idąc ich skrajem, wypatruje dziadka po drugiej stronie, ale jeszcze go nie ma. Czas odcisnął swoje piętno na jego stawach, usztywnił go i spowolnił. Właściwie to nie muszą go już słuchać. Powiedział to mamie w święta, gdy rano chowała przed nim prezenty. Powiedział, że dziadek jest za stary, żeby nimi rządzić. Że mogą robić, co chcą. Ale ona tylko posłała mu ten uśmiech oznaczający, żeby był cicho, bo dziadek wszystko słyszy, nawet gdy mówią szeptem albo bezgłośnie. Lewituje nad nimi jak wszechmogący Bóg, a może diabeł, i chociaż starzeje się na ich oczach, mają wątpliwości, czy kiedykolwiek umrze.

Spomiędzy drzew wyłania się ambona. Samotna zaspą śnieżną wciąż leży w cieniu zmurszałego drewna. Chłopak przewiesza sobie broń przez ramię i chwyta się drabiny. Stopnie są wilgotne i buty jeżdżą niebezpiecznie na śliskiej powierzchni. Najpierw chce tylko zlokalizować dziadka. Dopiero gdy już tam siedzi, z lufą w oknie, uświadamia sobie, że dostał szansę, żeby się wyzwolić.

Zaczynają mu drżeć ręce. Z trudem zapanowuje nad strzelbą. Ma słońce za sobą, gdy dziadek wchodzi na mokradła. Porusza się niezdarnie, jak postrzelone zwierzę. To będzie akt miłosierdzia ze strony chłopaka – zakończy cierpienie dziadka i ich. Widzi, że dziadek pada na kolana i pochyla się nad podmokłą ziemią. Zgubił okulary, jego oczy wyglądają jak czarne szparki, gdy w końcu się podnosi i odwraca twarz ku słońcu, ku chłopakowi.

Chłopak tyle razy myślał o tym, że byłoby lepiej, gdyby dziadek umarł. Byliby wolni. Po jego śmierci wszystko stałoby się dużo prostsze, bo nie kierowałyby każdym ich krokiem.

Kula trafia go z taką siłą, że odrzuca go do tyłu. Niebo wypełnia się czarnymi ptakami i chłopakowi huczy w uszach, gdy ponownie celuje. To dziadek nauczył go strzelać i byłby z niego dumny, gdyby nie to, że to on tam leży i rzuca się w mchu jak ryba. To wygląda tak nierealnie, dzieje się jak we śnie. Przez okno w ambonie chłopak widzi, jak ciało dziadka sztywnieje i zaczyna zapadać się w ziemię, mokradła chcą go wciągnąć do środka, chcą go szybko pochować. Chłopak ma mroczki przed oczami.

\*

Chłopak wiesza sobie strzelbę na plecach i od niechcenia zsuwa się po drabinie. Przez chwilę stoi i obserwuje nieruchome ciało, próbuje zrozumieć, że to dziadek. I nagle wydaje mu się, że słyszy głosy, zawroźnienie wilków. Ścigają go. Odwraca się i zaczyna biec z całych sił z powrotem do domu. Chowa broń w drewnutni i przemyka po schodach do swojego pokoju. Drzwi do pokoju mamy wciąż są zamknięte, a on nagle czuje, że za nią tęskni. Chciałby tam wejść i o wszystkim jej opowiedzieć. Przekazać jej, że już po wszystkim. Na pewno zrozumie, co ma na myśli. Odchyli kołdrę i robi mu miejsce, opuszkami palców pogłaszcze jego powieki i szepnie, że już nie mieszka w nim potwór. Wypędzili go.

Ale nie ma odwagi. Żelazne zawiasy skrzypią, gdy zakrada się do swojego pokoju. Zdejmuje z siebie przemoczone ubrania i wślizguje się pod kołdrę, leży ze wzrokiem wbitym w sufit. Próbuje sobie wyobrazić, że to wszystko było tylko złym snem, ale jego serce nie chce się uspokoić, ciała nie da się oszukać. Czas mija. W końcu wokół niego robi się jasno, pokój zmienia kolor. Chłopak słyszy, że mama się obudziła, słyszy jej zaspane kroki na schodach.

Słońce mocno świeci przez żaluzje. Mama woła dziadka – to pierwsze, co robi, i samotność w jej głosie dociera aż na górę, do chłopaka. Zasłania uszy rękami i zamyka oczy. Udaje, że nic się nie stało.

\* \* \*

Obejście i znajome pomieszczenia nagle wydały jej się jakieś obce. Pustka w sercu sprawiła, że zaczęła się doszukiwać emocji, coś przecież musiała czuć. Simon szukał jej wzrokiem. Po tym, jak przyznał się do tego, co zrobił, jego głos stał się chrapliwy, uszło z niego całe powietrze, siedział wypompowany. Liv przeczesła mu ręką włosy. Odwrócił wzrok.

– Kazałaś mi iść do szkoły, ale nie poszedłem. Biegiem wróciłem na mokradła. Kiedy do niego podszedłem, zobaczyłem, że kruki już się do niego dobrały, nie miał już oczu.

Zachwiał się na krześle, światło księżycy padało na jego bladą twarz. Liv spanikowała, że zaraz upadnie, zemdleje. Obeszła stół i ostrożnie pomogła mu wstać, zaprowadziła go do dużego pokoju i położyła go na kanapie. Sama usiadła na podłodze przy jego głowie i głaskała go po bladych policzkach, próbując zdusić mdłości. Nie chciała już tego słuchać.

– Powinieneś odpocząć.

Ale on mówił dalej. Gdy już zaczął, nie potrafił przestać.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Wiem tylko, że musiałem.

Zacisnął palce na jej nadgarstku i przyciągnął ją do siebie. Miał to samo dzikie spojrzenie, co Vidar.

– Chciał, żebym był taki jak ty, mamó. Ale to niemożliwe, ja nigdy nie będę taki jak ty.

\*

Położyła twarz na jego klatce piersiowej, wsłuchiwała się w mocne bicie serca. Jej syn. Coś się w nim poruszało, czuła to. Coś dzikiego i obcego zaanektowało jego ciało, coś, czego istnienie przez te wszystkie lata tylko przeczuwała, a teraz się ujawniło. W pokoju powoli robiło się coraz jaśniej. Wiedziała, że niedługo trzeba będzie wyjść z mroku.

– To moja wina, że Johnny siedzi w areszcie – stwierdził Simon.

– Wcale nie. To wina policji.

– Nie, moja. To ja wsadziłem go za kratki.

– Co masz na myśli?

– Następnego dnia udawałem, że idę do szkoły, ale poszedłem pod dom wdowy po Johanssonie. Stałem w krzakach i patrzyłem, jak Johnny jedzie do pracy i wtedy podjąłem decyzję: przyniosłem broń z drewni i ukryłem ją w jego piwnicy. Drzwi były otwarte, wystarczyło po prostu wejść. Wyczyściłem strzelbę z moich odcisków palców, po czym ją tam zostawiłem. Dziadek miał gdzieś rejestrowanie broni, więc wiedziałem, że nie muszę się tym przejmować. Równie dobrze mogła należeć do wdowy. Albo do Johnny'ego. Nie musiała być nasza.

Poczuła, że Simon jest rozpalony. Chciała, żeby zamilkł, chciała go uciszyć. Jego słowa szkodziły im obojgu, lecz on mówił dalej:

– Pamiętasz to włamanie do szkoły w ubiegłe Boże Narodzenie? – spytał słabym głosem.

Skinęła głową.

– Złodzieje zostawili po sobie niedopałki, tak namierzyła ich policja. Było na nich ich DNA. Wpadłem na pewien pomysł. Wziąłem kilka petów z popielniczki Johnny'ego i włożyłem je do woreczka foliowego. Klucz do quada wisiał w jego sieni. Użyłem go do przetransportowania ciała dziadka. Planowałem wywieźć go gdzieś daleko, może nawet do kamieniołomu, ale bałem się, że ktoś mnie zobaczy, więc dotarłem tylko do sąsiedniej wioski, do

studni. Podrzuciłem tam pety Johnny'ego. Wrobiłem go.

Liv miała dość, chwiejnym krokiem poszła do łazienki i zwymiotowała do zardzewiałej umywalki. Potem stała dłuższą chwilę, wpatrując się w pęknięte lustro. Nie poznawała swojej twarzy. Kiedy wróciła do pokoju, już był dzień. Simon miał na powiekach trupie światło.

Siedziała na fotelu obok swojego śpiącego syna, aż słońce zajrzało do pokoju. Wtedy poszła do kuchni i zaparzyła kawę, lecz gdy parująca filiżanka już stała na stole, nie była w stanie się z niej napić. Nie widziała już Vidara, nie słyszała też jego głosu. Jej podświadomość w końcu zaakceptowała fakt, że ojciec nie żyje.

Zaniosła torby do samochodu. Świeżo przebudzona trawa zamieniła się w morze żółtych mleczy. Jej wzrok przyciągnął czerwony kanister stojący w garażu. Spojrzała na dom. Oczami wyobraźni widziała, jak wysuszone, stare deski wyginają się w płomieniach, słyszała ich trzask. Zaniosła kanister pod ścianę budynku. Spojrzała przez okno na swoje śpiące dziecko. Przez całe jego krótkie życie zastanawiała się, gdzie się ukrył ten potwór. Nie było go widać. Wszyscy lekarze zapewniali ją, że to całkowicie zdrowy chłopczyk. Mieścił się w siatkach centylowych, rósł i rozwijał się tak, jak powinien. Jeśli miał w sobie jakieś zło, to niewidoczne gołym okiem.

Odkręciła kanister i wstrzymała oddech, czując intensywny zapach benzyny. Huczało jej w głowie, nie mogła uspokoić myśli. Zamierzała podpalić dom i wywieźć syna w bezpieczne miejsce. Wziąć na siebie winę i potwierdzić podejrzenia mieszkańców wsi. To jej kurtka została przecież uchwycona na zdjęciu, to Liv nigdy nie uwolniła się od Vidara. Simon był tylko chłopcem, dzieckiem.

Usiadła obok kanistra, wystawiając twarz do słońca. Nie była w stanie podpalić domu. Widziała pod powiekami twarz Simona, małego Simona o pucułowatych policzkach, roześmianego. To była jej wina, to ona poniosła porażkę, przekazała mu swoje demony i pozbawiła go uśmiechu. Powoli docierało do niej, że podpalenie domu nie jest żadnym rozwiązaniem, kłamstwa też nie. Kłamstwa mogły ją jedynie zaprowadzić do więzienia. Wiedziała, że jeśli weźmie na siebie winę, Simon i tak nigdy nie będzie wolny. Kłamstwo będzie dla niego ciężarem, z czasem coraz większym, aż w końcu nie będzie już miał siły go dźwigać. Tak to jest z tymi najmroczniejszymi tajemnicami. Wiedziała o tym, że powoli niszczą człowieka od środka i w końcu nic z niego nie zostaje. Jedyne, co mogło go uratować, to prawda. Jeśli miał jakąkolwiek szansę na normalne życie, to musiała mu pozwolić odpokutować za swoje czyny. Inaczej nigdy nie stanie się wolnym człowiekiem.

Ptaki krzyczały za nią, gdy wchodziła do domu. Wystukując numer na komórce, słyszała oddech Simona śpiącego w dużym pokoju. Miała usta tuż przy słuchawce, kiedy szeptała:

– Przyjedź jak najszybciej. Potrzebujemy pomocy.

\*

Minęła prawie godzina, zanim Hassan zaparkował przed ich domem. Widok radiowozu był teraz równie nierzeczywisty, co tamtego ranka, gdy Hassan przyjechał, aby ich powiadomić o śmierci Vidara. Poczekała, aż stanie na ganku i dopiero wtedy obudziła Simona. Przejechała kciukiem po jego powiece i zobaczyła, jak drga, zanim się obudził.

– Przyjechał Hassan.

Simon się podniósł.

– Dlaczego?

– Pora, żebyśmy wyznali prawdę.

Myślała, że będzie wściekły, że ją odepchnie i rzuci się do drzwi. Pobiegnie na dół, do piwnicy, i schowa się między sprzętem treningowym. Ale on tylko ją objął, przylgnął do niej kurczowo, tak jak to robił, gdy był mały. Czowała jego strach. Hassan zawołał ich przez drzwi.

Otworzył mu Simon. Wyszedł na ganek i wyciągnął nadgarstki w kierunku policjanta.

– To mnie szukacie.

\* \* \*

Posterunek policji wyglądał dokładnie tak jak tamtego dnia, gdy czekała na schodach z Simonem na rękę. Dotknęła dłońmi nagrzaną cegłę, spuściła głowę, musiała wyjść na świeże powietrze. O ścianę budynku opierały się tylko mleczki, tym razem nie było tu żadnych czarnych, foliowych worków, żadnych martwych reniferów.

– Postąpiłaś słusznie.

Poczuła rękę Hassana między swoimi łopatkami, nie słyszała, że do niej podchodzi. Pogłaskała ją po plecach. Trzęsły jej się nogi, nawet stanie było wysiłkiem.

– To ja powinnam tam siedzieć.

– Dlaczego tak mówisz?

– Powinnam była go chronić, zapewnić mu przyszłość. Zamiast tego pozwoliłam, żeby dorastał w Ödesmark z Vidarem, chociaż wiedziałam, co potrafi zrobić z człowiekiem.

– Nie mogłaś przewidzieć, że to się tak skończy.

Wsparała się na nim, gdy wracali do środka. Omiotła wzrokiem parking, jakby chciała się upewnić, że Vidar nie siedzi tam w volvo i nie czeka, żeby zawieźć ich do Ödesmark.

Hassan posadził ją ostrożnie na krześle na korytarzu.

– Nie zostawiaj mnie.

– Zaraz wracam, skoczę tylko po kawę.

Na pozostałych policjantów nawet nie miała odwagi spojrzeć. Ich mundury szeleściły na lśniących korytarzach. Jarzeniówki kłuły w oczy jak zimowe słońce. Hassan włożył jej do ręki kubek z parującą kawą, potem stał obok niej, rozpraszając jej czarne myśli swoją pogawędką. Musiała czekać na korytarzu, podczas gdy Simon składał swoje zeznania. W końcu wyszedł z kajdankami na nadgarstkach. Mieli go zawieźć do aresztu w mieście. Kiedy tak stali naprzeciwko siebie, próbując się pożegnać, zobaczyła w jego oczach ulgę. Płakała tylko ona. Zarzuciła mu ręce na szyję, a on przycisnął policzek do jej policzka, nie mógł jej objąć.

\*

W wiosce nastało lato, w powietrzu unosił się zapach zieleni i nagrzanego lasu. Liv siedziała na schodkach ganku z kluczem w dłoni i czekała. Słońce paliło ją w twarz, a wokół niej latały bąki żądne krwi, lecz nie chciała siedzieć w pustym domu. Ani minuty dłużej. Cisza w środku prawie ją udusiła. Cały czas łapała się na tym, że nasłuchuje uderzeń skakanki o podłogę w piwnicy i powłóczystych kroków starego na schodach. To, że jeden był już na tamtym świecie, a drugi siedział za kratkami, nie miało żadnego znaczenia. I tak żyli pomiędzy tymi ścianami, nie dawali jej spokoju.

Opowiedziała o tym Simonowi, gdy zadzwonił.

– Rano wciąż słyszę, jak uderzasz w worek treningowy.

– Sprzedaj tę ruderę – nalegał.

– Tak zrobię.

– Teraz to ty siedzisz za kierownicą. Nie zapominaj o tym.

Wokół niego było słyhać tyle życia, śmiechy i krzyki, że czasami wyobrażała sobie, że jest w mieście i na nią czeka. W mieście, w którym nikt ich nie zna.

Johnny próbował ją stąd zabrać. Krótco po tym, jak policja go wypuściła, stanął pod jej drzwiami, prosząc, by się spakowała. Myślała, że będzie na nią zły za to, co zrobił Simon, za te wszystkie dni spędzone w areszcie, ale on tylko wziął ją w ramiona i powiedział, że zabiera ją ze

sobą. Daleko od tego, czego nie chcą pamiętać. Niemal z nim pojechała, chociaż nie można mu było zaufać. To się wydawało takie łatwe, po prostu wsiąść do samochodu i pozwolić się wieźć po obcych drogach. Ale wiedziała, że to nie jest dobry pomysł, że jeśli ma stąd wyjechać, to swoim autem.

\*

W końcu usłyszała samochód. Chmura kurzu wzbiła się między drzewami i po chwili go zobaczyła. Liam miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Dziewczynka siedziała z tyłu. Oboje byli uśmiechnięci i machali do niej. Wstała na obolałe nogi i wyszła im na spotkanie. Dziewczynka miała buzię całą umorusaną lodami, usta ciemne od czekolady. W ręczce trzymała próbnik kolorów niczym wachlarz, który przyłożyła do łuszczącej się elewacji. Niebieskozielone odcienie ładnie korespondowały z niebem.

Liam podniósł okulary na czoło, miał zmęczone oczy, ale gdy wręczyła mu klucz, pojawił się w nich błysk.

– To nie w porządku – stwierdził.

– Co takiego?

– Że nie chcesz ode mnie pieniędzy.

Liv machnęła ręką.

– Powinienem ci za niego zapłacić.

– Tato, zobacz, ten kolor będzie super!

Dziewczynka podniosła próbnik do góry i wskazała palcem jedną z kratek – chłodny, turkusowy odcień.

– Tak, bardzo ładny – zgodził się Liam.

Trzymał klucz w dłoni, lecz zwlekał z wejściem do środka. Liv podeszła do auta, chcąc jak najszybciej odjechać.

– W razie czego dzwoń, masz mój numer – powiedziała.

– Czytałem, że dostanie krótki wyrok ze względu na wiek. I okoliczności.

Zatrzymała się. Wstyd palił ją mocno jak słońce. Bąki ciągnęły do jej spoconej skóry, więc mocno wymachiwała rękami.

– Mam nadzieję – odparła. – Nie wiem, co piszą gazety, ale Simon nie jest potworem. To tylko chłopiec.

– Potwory nie istnieją – oznajmiła dziewczynka.

Miała jego oczy, duże i jasne. Wachlowała się próbnikiem i z zaciekawieniem zerkała na Liv.

– Co ci się stało w szyję?

Liv dotknęła palcami blizn na szyi. Było tak ciepło, że o nich zapomniała. Miała na sobie jedynie cienką koszulkę na ramiączkach, która niczego nie ukrywała.

– Często się drapałam i porobiły mi się blizny.

Dziewczynka wykrzywiła twarz.

– To musiało bardzo boleć.

– Rzeczywiście. Ale teraz czuję się lepiej i już się nie drapię.

Uśmiechnęły się do siebie. Liam trzymał ręce na ramionach dziewczynki. Trudno jej było ustać nieruchomo, rosnące ciało rozpierała energia. Liv po raz ostatni spojrzała na swój dom rodzinny, zatrzymała wzrok na brudnej firance w kuchni, za którą siadywał Vidar i spoglądał na wieś. Teraz były tam tylko cisza i spokój.

Pomachali jej na pożegnanie. We wstecznym lusterku zobaczyła, jak się odwracają i wchodzą do domu, warkocz dziewczynki wyglądał w słońcu jak sznur złota. Inna dziewczynka

i inny ojciec, całkiem nowa historia, która z czasem zamaluje starą. Kolorami zorzy polarnej[7].

[7] Ödesmark to fikcyjna miejscowość leżąca w północnej Szwecji. Jej nazwa składa się ze słów öde, czyli przeznaczenie, los, doła, i mark czyli ziemia.

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej wydawczyni Helenie Ljungström i mojej redaktorce Annie Anderssona za cierpliwość, entuzjazm i umiejętność wyciągania z moich tekstów tego, co najlepsze. Praca z Wami jest prawdziwą radością. Wyrazy podziękowania kieruję też do Martina Ahlströma, Görana Wiberga, Thérèse Cederblad, Bo Bergmana i reszty zespołu Albert Bonniers Förlag.

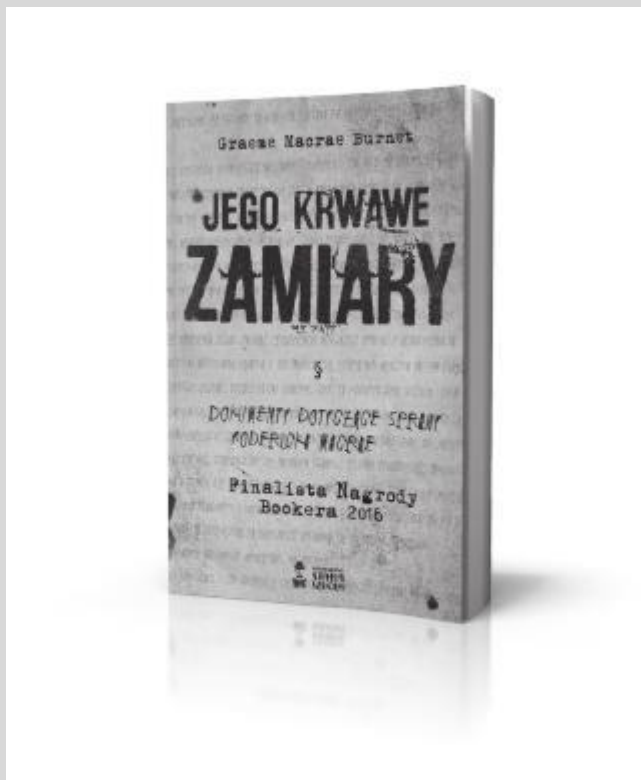
Mojej agentce Julii Angelin dziękuję za fantastyczne zaangażowanie i znakomitą pracę przy moich książkach. Pragnę również podziękować Marilinn Klevhamre, Annie Carlander, Josephine Oxelheim i reszcie wspianiałego zespołu Salomonsson Agency. Dzięki Wam marzenia się spełniają.

Chciałabym też podziękować Niklasowi Natt och Dag za to, że przeczytał mój maszynopis i podzielił się ze mną swoimi spostrzeżeniami, które były dla mnie nieocenione podczas pracy nad tą książką. Jestem zaszczycona, mogąc nazywać Cię moim przyjacielem.

Pragnę również podziękować Danielowi Svärdowi za to, że dał mi szansę spojrzeć na tekst jego oczami.

Na podziękowania zasługuje też Kenneth Vikström, który tak hojnie dzielił się ze mną wiedzą na temat pracy policji. Twoja pomoc była niezwykle cenna podczas całego procesu powstawania niniejszej książki.

Dziękuję Robertowi Jacksonowi, mojemu mężowi, za nieustającą wiarę we mnie. Kocham Cię.



**Jedna z najważniejszych powieści grozy ostatnich lat.**

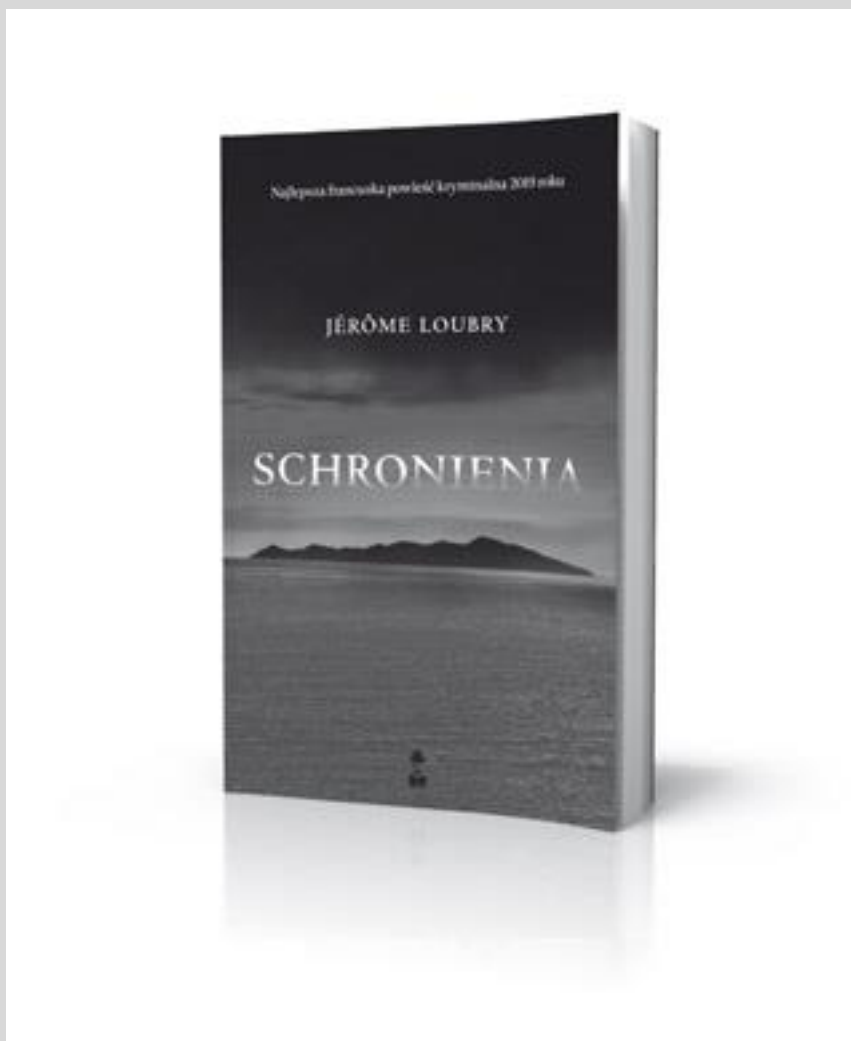
**Wiele nagród i nominacji. Pierwszy thriller w finale Nagrody Bookera!**

Dziewiętnastowieczna Szkocja. Wyżyny zapomniane przez Boga i ludzi. Potrójne morderstwo.

Do zbrodni przyznaje się młody rolnik – Roderick Macrae. Czy naprawdę jest winien? I co tak właściwie oznacza wina? Obrony Rodericka podejmuje się pan Sinclair, prowincjonalny adwokat. Robi wszystko, by dowieść, że Roderick nie zasłużył na szubienicę.

*Jego krwawe zamiary* to trzymająca w napięciu powieść, która nikogo nie pozostawi obojętnym. W obliczu ludzkiej tragedii autor szuka prawdy o zbrodni. Tylko czy prawda istnieje?





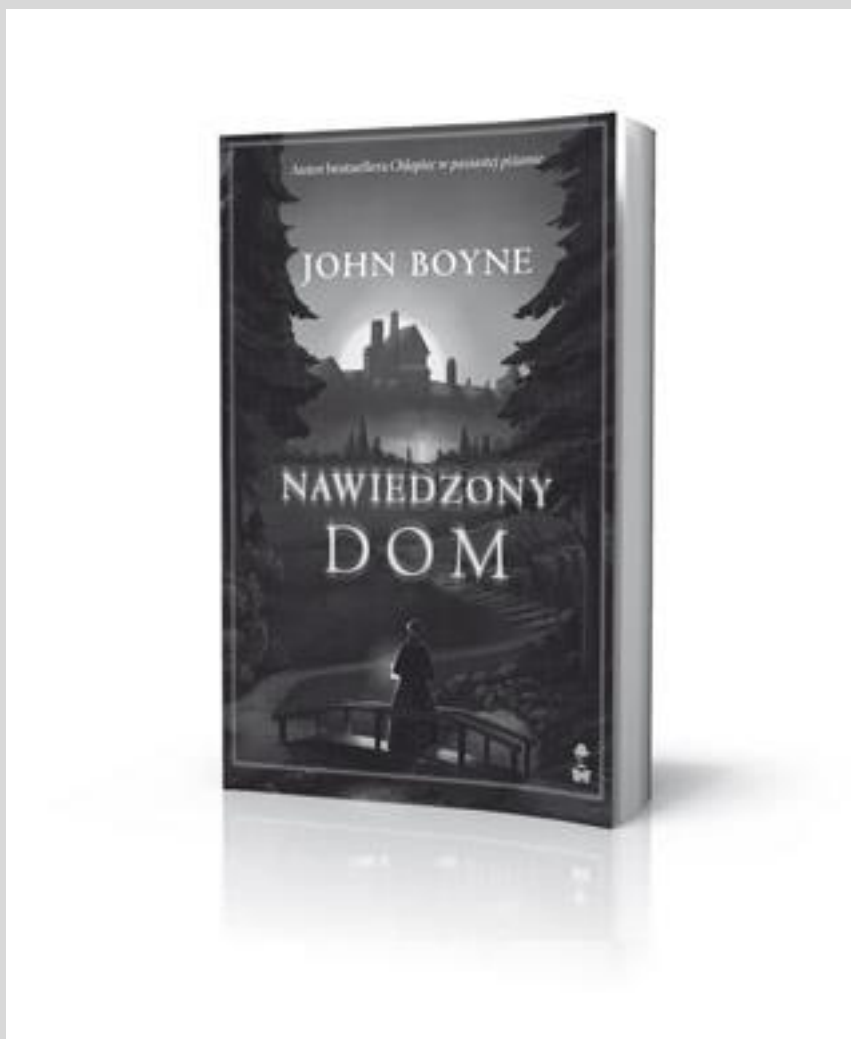
### **Zdobywca nagrody dla najlepszej powieści francuskojęzycznej!**

Sandrine, początkująca dziennikarka, rozpoczyna karierę zawodową w prowincjonalnej gazecie. Jednym z jej pierwszych tematów są swastyki namalowane na krowach lokalnego hodowcy. Z marazmu małego miasteczka wrywa ją wiadomość o śmierci babci. Sandrine zostaje wezwana na tajemniczą wyspę...

Kiedy dopływa do brzegu, ogarniają ją wątpliwości. Zamknięta społeczność, klaustrofobiczna atmosfera, tajemnicze niedomówienia. Mieszkańcy wyspy skrywają mroczną tajemnicę.

Sandrine podejmuje próbę ucieczki, wkrótce jednak okazuje się, że nic nie jest takie, jakie się wydaje.

Mistrzowski thriller psychologiczny, którego nie odłożycie ani na chwilę.



Mroczna Anglia, 1867. Po śmierci ojca Eliza Caine postanawia porzucić Londyn i objąć stanowisko guwernantki w posiadłości Gaudlin Hall. W starym domu nie zastaje jednak pracodawcy. Wita ją tylko... dwoje dzieci.

Tajemnica, o której nikt nie chce mówić. Klaustrofobiczna atmosfera angielskiej prowincji i seria wypadków wskazujących na siły nadprzyrodzone. Kiedy na jaw wychodzi tragiczny los poprzednich guwernantek, Eliza Caine pojmuje, że w Gaudlin Hall stoczy bój o życie swoje i swoich podopiecznych.

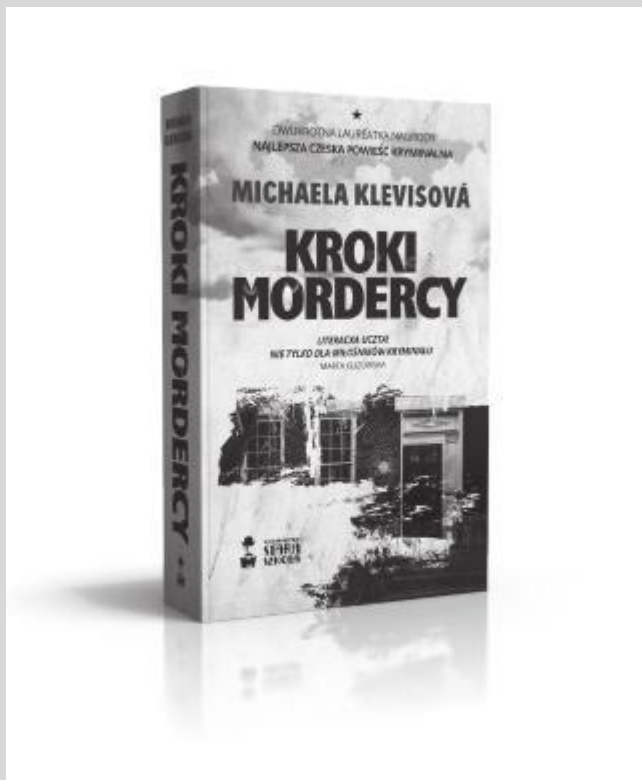
John Boyne – autor światowego bestsellera *Chłopiec w pasiastej piżamie* (ponad dziesięć milionów sprzedanych egzemplarzy), jeden z najpopularniejszych irlandzkich pisarzy, laureat wielu międzynarodowych nagród. Jego książki zostały przetłumaczone na ponad pięćdziesiąt języków.



Anna Walenta to główna scenarzystka najpopularniejszego czeskiego serialu telewizyjnego „Podwórze”. Dzięki pracowitości i ambicji odnosi duże sukcesy, lecz pod powłoką wielkomięskiego blichtru skrywa sekrety, których nie wyjawia prawie nikomu.

Ester Czarna prowadzi pensjonat na peryferiach Pragi. Kiedy pewnego dnia odwiedza ją przyjaciółka Anna, w nocy zostaje popełnione morderstwo. Na jaw zaczynają wychodzić demony przeszłości oraz tajemnice teraźniejszości, a śledztwo prowadzi inspektor Bergman. Jak poradzi sobie w środowisku niekończącego się serialu telewizyjnego, w którym trwa nieustanna walka o władzę i wpływy? Czy mordercą okaże się gwiazda srebrnego ekranu, czy może prawda leży gdzie indziej?

Intryga bez nadmiaru brutalnych scen i z rozbudowaną psychologią postaci to znak firmowy Michaeli Klevisovej – królowej czeskiego kryminału, dwukrotnej zdobywczyni nagrody dla najlepszej powieści detektywistycznej!



W lasku miejskim na peryferiach Pragi zostaje zamordowana młoda kobieta. Czy jej podobieństwo do córki mieszkającej w pobliżu dziennikarki jest przypadkowe? Śledztwo rozpoczyna inspektor Bergman.

Powieść Michaeli Klevisovej to doskonałe studium psychologiczne i obraz społeczeństwa, w którym pod powłoką pozornej normalności skrywają się tajemnice i pragnienia.

Inspektor Bergman – dwukrotnie rozwiedziony miłośnik kotów, wielbiący porządek i rzeczowość. Empatyczny, stanowczy i systematyczny. W pracy pomagają mu podwładni: Sylwia Rolnik i Adam Danesz.

*Kroki mordercy* to pierwsza część cyklu z inspektorem Bergmanem.

## **Spis treści:**

Okładka Strona tytułowa Część I Przedwiośnie 1998 Lato 1998 Jesień 1998 Lato 1999  
Gwiazdka 1999 Październik 2000 Wrzesień 2001 Październik 2001 Listopad 2001 Część II  
Wczesne lato 2002 Zima 2002 Przedwiośnie 2003 Wiosna 2003 Lato 2003 Lato 2008 Lato 2009  
Noc drugiego maja Podziękowania

